*Luanne Rice*

# *Sklep „Pod Dziewiątą Chmurką"*

Z angielskiego przełożyła
*Małgorzata Żbikowska*

*Podziękowania*

*Autorka dziękuje za okazaną sympatię, życzliwość i pomoc w słownictwie technicznym Robowi Monteleone'owi, Johnowi S. Johnsonowi i Dianie Atwood Johnson, Thomasowi R Brielmannowi, Williamowi T. Crawfordowi, Jimowi, Julii i Jessice Maywaltom, Lindzie Camarra i Karen Le Sage Stone.*

# Rozdział I

Do Fort Cromwell w stanie Nowy York znów zawitała jesień. Sara Talbot siedziała na werandzie małego białego domku, popijając jabłkowo cynamonową herbatę i zastanawiała się nad swoim losem. Na sąsiedniej posesji dzieci myły samochód. Wodny pył z gumowego węża musnął jej twarz. Otulona czerwonym wełnianym kocem wystawiła twarz do słońca, wyobrażając sobie, że jest w swoim rodzinnym domu na wyspie Elk i czuje na ustach smak słonej wody. Ulicą wolno sunął błękitny sedan. Wyglądał, jakby należał do służb miejskich lub do policji. Na boku miał napis „Zespół Pielęgniarek Środowiskowych". Wjechał na podjazd przed domem Sary. Wysiadła z niego drobna, schludnie wyglądająca kobieta w białym kitlu.

Sara uśmiechnęła się na jej widok.

- Co tutaj robisz?

- Miłe powitanie -zauważyła pielęgniarka.

- Myślałam, że już ze mną skończyłaś -stwierdziła Sara. Jedną ręką przytrzymała koc, a drugą zmierzwiła krótkie białe włosy.

- Skończyłam z tobą? Moja córka by mi tego nie wybaczyła. Poza tym czy sądzisz, że można w ten sposób traktować przyjaciół?

- Jestem twoją pacjentką, Meg - odparła z uśmiechem Sara.

- Byłaś, Saro, byłaś, ale teraz przyjechałyśmy zabrać cię na przejażdżkę.

- Na przejażdżkę? Dokąd? - Spojrzała w stronę samochodu i dostrzegła Minii na tylnym siedzeniu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Saro. - Meg pochyliła się, by ją objąć.

Sara otoczyła pielęgniarkę ramionami. Owionął ją cytrynowy zapach szamponu. Zabrzęczały klucze, długopisy i stetoskop w kieszeni kitla Meg. W klapie, pod plakietką z nazwiskiem, miała przyczepionego kolorowego plastikowego misia. Trochę jej przybyło ciała, przemknęło przez myśl Sarze, lecz uścisk był ciepły i przyjazny.

- Skąd wiedziałaś? - spytała, kiedy odsunęły się od siebie. Skończyła dziś trzydzieści siedem lat. Nie zaplanowała z tej okazji przyjęcia, nie dostała też żadnych kartek ani nie miała telefonu z domu. Dzień jak każdy inny. Siedząca w samochodzie Mimi

pomachała do niej jasnoróżową kartą, na której widniały wypisane dużymi srebrnymi literami życzenia urodzinowe.

- Zajrzałam do twojej karty choroby - uśmiechnęła się Meg. - Chodźmy.

Will Burke stał w swoim hangarze, zaglądając pod dziób samolotu Piper Aztec. Jesień była dla niego najlepszą porą roku. Wszystkie trzy obsługiwane przez jego firmę samoloty miały zamówione kursy i czekały na swoją kolej. Tereny wokół jeziora, słynące z produkowanego tu jabłecznika i malowniczych szlaków, często odwiedzali turyści. A on organizował im piętnastominutowe loty widokowe, które cieszyły się szczególną popularnością w czasie ludowego festynu. Pod koniec października zjeżdżali tu na weekend rodzice uczącej się w dwóch miejscowych college'ach młodzieży. Rezerwowali sobie loty tam i z powrotem do Nowego Jorku, żeby uczestniczyć w miejscowych atrakcjach i przy okazji odwiedzić dzieci.

Słysząc chrzęst opon na żwirze przed hangarem, wytarł klucz nasadowy w niebieską szmatkę i włożył go do wysokiego czerwonego pudła na narzędzia. Dochodziła szesnasta. Przyjaciółka jego córki zarezerwowała na tę godzinę piętnastominutowy lot widokowy z okazji urodzin, ale nie wiedział czyich. Nic trudnego, a w kieszeni zostanie mu trzydzieści dolarów.

Wsunął koszulę w dżinsy i wyszedł na dwór przywitać klientki. Dzień był słoneczny, a w powietrzu pachniało świeżością, uśmiechnął się więc do nadjeżdżającego samochodu i pomachał ręką.

Wysiadły z niego Meg i Mimi Ferguson. Meg była pielęgniarką środowiskową. Powitała go wesołym okrzykiem, na co szeroko się uśmiechnął i podszedł do nich, zastanawiając się, która z nich obchodzi dziś urodziny. Jego córka czasami opiekowała się małą Mimi. Dziewczynka miała zdaje się jakieś dziesięć lat.

W tym momencie z samochodu wysiadła kobieta, której Will nie znał. Była drobna i szczupła i wyglądała jak nastolatka. Miała bladą cerę i niesforne włosy w kolorze musu brzoskwiniowego, ale uwagę Willa zwrócił sposób, w jaki kobieta spojrzała w niebo: jej twarz wyrażała absolutny zachwyt, jakby nie mogła uwierzyć, że niebo jest takie niebieskie albo że wkrótce wzniesie się tak wysoko.

- Gotowe do lotu? -spytał.

- Którym samolotem polecicie, panie Burke? -spytała podekscytowanym tonem Mimi.

- Tamtym. - Wskazał na dwuosobowego pipera.

- To nie zmieścimy się wszyscy. - W głosie Mimi brzmiało rozczarowanie.

- Mimi... - powiedziała z wyrzutem Meg.

- Przykro mi, Mimi, ale w dużym samolocie trzeba zmienić olej - powiedział Will. - Gdybym wiedział...

- Wiesz co, Mimi? -weszła mu w słowo nieznajoma kobieta. -A może ty polecisz zamiast mnie?

- To twoje urodziny - zaprotestowała Mimi. -Ja wpadłam na ten pomysł i chcemy, żebyś to ty poleciała.

- Wszystkiego najlepszego - zwrócił się Will do kobiety.

- Dziękuję.

Na jej twarzy znów pojawiło się zdziwienie, że może być taka szczęśliwa. Popatrzyła na niego, a on poczuł się tak, jakby spotkał kogoś, kogo dawno znał, lecz ten ktoś bardzo się zmienił: schudł lub utył, zmienił fryzurę, dosięgła go choroba. Wydawało mu się, że spotkał już tę kobietę, lecz inaczej wtedy wyglądała. Zaskoczony, że takie zrobiła na nim wrażenie, wskazał ręką na niebo.

- Gotowa? - spytał.

- Tak.

- A więc chodźmy - powiedział, po czym zwrócił się do Mimi. - Susan jest w biurze. Może zajrzysz do niej? - spytał z nadzieją w głosie.

Ojciec przywiózł Secret na lotnisko. Dostała ataku duszności i szkolna pielęgniarka usiłowała skontaktować się z matką, lecz oczywiście nie było jej w domu. Secret powiedziała wówczas, żeby zatelefonowała do Agencji Lotniczej Burke'a i poprosiła Willa. Ojciec na pewno po nią przyjedzie. I tak się stało. Poczuła się lepiej, jeszcze zanim dojechali na lotnisko, ale nie było sensu wracać do szkoły. Lekcje właśnie się kończyły. Siedziała teraz przy biurku ojca i malowała paznokcie. Przez wielkie okno można było obserwować płytę lotniska. Mimi, jej mama i ich znajoma rozmawiały właśnie z ojcem.

Ze wszystkich dzieci, którymi się opiekowała, najbardziej lubiła Mimi. Dziewczynka była grzeczna, słuchała rodziców, nie namawiała Secret do przekłucia sobie uszu w dziwacznych miejscach i chciała zostać weterynarzem, gdy dorośnie. Miała swój własny świat wyobraźni i tak jak Secret wiedziała, że życie nie kończy się na szkole Emmy Turnley.

- Cześć, Susan! - zawołała Mimi, wbiegając do biura.

- Susan? - Secret nawet nie podniosła głowy. - Nie ma tu nikogo o takim imieniu.

- A prawda, zapomniałam - uśmiechnęła się Mimi. -Masz teraz na imię Secret. Co robisz?

- Październik to miesiąc czarów. Jak wiesz, jestem czarownicą, więc maluję na odpowiedni kolor paznokcie - odpowiedziała Secret, jakby tłumaczyła coś oczywistego nierozgarniętej, lecz sympatycznej młodszej koleżance, po czym zamachała palcami przed nosem dziewczynki.

- Ojej! - W głosie Mimi zabrzmiał podziw.

Opalizujące na niebiesko paznokcie Secret miały wymalowane tuszem i piórkiem misterne pajęczynki, a na lewej ręce mikroskopijne pajączki.

- Widzę, że namówiłyście tę panią na lot samolotem - powiedziała, wyglądając przez okno. Lotnisko było małe i nie panował na nim duży ruch. - Bardzo była zaskoczona?

- Bardzo - przyznała Mimi. -Miałaś fajny pomysł.

- Mhm. - Secret przyjęła komplement jako coś naturalnego. Znana była z zaskakujących pomysłów. Przyglądając się idącej do samolotu kobiecie, zauważyła, że jest chuda, ma okropny kolor włosów i wyjątkowo miłą twarz. -Czy ona naprawdę jest chora? - spytała.

- Była bardzo chora - wyjaśniła Mimi. - Ale już czuje się lepiej. Mama opiekuje się wieloma osobami i jakiś czas temu mówiła, że Sara umrze. Ale teraz twierdzi, że może przeżyje. Bardzo się z tego cieszę, ale nie bardzo rozumiem.

- Jesteś za młoda, by to zrozumieć - stwierdziła tonem wyższości Secret, chociaż kiedy straciła brata, była młodsza od Mimi. W gardle zaczęło ją drapać i poczuła ucisk w piersiach. Sięgnęła do górnej

szuflady biurka po inhalator, który zawsze tam leżał. Zaciągnęła się głęboko.

- Dobrze się czujesz?

W głosie Mimi brzmiał niepokój, jak zwykle gdy nadchodził atak. Tym razem nie było takiego niebezpieczeństwa. Secret cierpiała na astmę i różne alergie. Poznała Mimi przez Meg Ferguson. Po jednym z ciężkich ataków duszności, kiedy zaczęła sinieć na twarzy, lekarz zalecił terapię inhalacyjną i matka wezwała pielęgniarkę środowiskową.

- Dobrze.
- Całe szczęście, że masz inhalator.
- Zapomniałam go zabrać do szkoły i musiałam zwolnić się z lekcji.

Z chwilą gdy to powiedziała, ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że oszukała Mimi i szkolną pielęgniarkę. Miała przecież inhalator. Leżał na dnie plecaka, pod przyborami do malowania i książkami. Nudziła się dziś na lekcjach, czuła samotna, kiedy więc dostała napadu duszności, poprosiła, by zawiadomiono ojca.

Secret stale odczuwała samotność. Tęskniła za bratem. Mieszkając z matką, tęskniła za ojcem. Tęskniła nawet za matką, choć miała ją na co dzień. Spacerując z koleżankami, tęskniła za nimi, chociaż były w pobliżu.

Podobnie było teraz. Siedząc z Mimi w biurze ojca, obserwowała, jak ta chora kobieta z okropnym kolorem włosów i promieniejącą radością twarzą wsiada do samolotu, i w tej samej chwili zaczęła tęsknić za nią. Było to tak silne uczucie, że zabrakło jej tchu w piersiach. A przecież pierwszy raz widziała tę kobietę i nawet nie znała jej imienia.

Polecieli na północ w stronę jeziora i zachodniego pasma gór mieniącego się pomarańczowymi barwami. Skaliste urwiska połyskiwały czerwienią, a woda w jeziorze miała kolor ciemnego granatu. Sara przycisnęła czoło do szyby okiennej i obserwowała szybujące poniżej jastrzębie o czerwonych ogonach. Ich sylwetki rzucały tajemnicze cienie na gładką taflę wody.

- Latała pani kiedyś awionetką? - spytał pilot.
- Tak.

- Sądziłem, że to pani pierwszy raz. Mimi i jej mama były takie podekscytowane pani wycieczką.

- Mówiłam kiedyś Meg, że uwielbiam latać. Teraz jednak nie zdarza mi się to często. Dawniej wiele weekendów spędzałam w samolotach trochę większych od tego, pokonując drogę z Bostonu do Maine, gdzie się urodziłam.

- Ja też pochodzę z Nowej Anglii -powiedział. -To jezioro jest piękne, ale daleko mu do...

- Atlantyku - dokończyła z uśmiechem.

Zaśmiał się jak ktoś, kto spędził kawał życia nad morzem, lecz z jakiegoś powodu przeniósł się do Nowego Jorku.

- Nazywam się Will Burke. - Zdjął rękę z drążka sterowniczego i podał Sarze.

- Sara Talbot.

- Witaj, Saro.

- Kim jest ta młoda dziewczyna, którą widziałam w oknie biura na lotnisku? -spytała.

- To moja córka Susan.

- Ile ma lat?

- Piętnaście, a zachowuje się jakby miała dwa razy tyle.

- Znam ten ból - powiedziała, spoglądając na wschód, jakby usiłowała zobaczyć małą wyspę na północy stanu Maine, od której oddzielały ją cztery stany.

Lecieli dalej, mimo że byli już w powietrzu siedem i pół minuty i powinni wracać. Pod nimi rozpościerały się bezkresne sosnowe lasy. Promienie zachodzącego słońca rzucały złociste smugi w ten bezmiar zieleni, muskając czubki strzelistych sosen.

Sara poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

- Nie sądziłam, że będę mogła świętować swoje urodziny - powiedziała.

- A jednak tak się stało - odparł.

Przyciągnął do siebie drążek sterowniczy i samolot zaczął się wznosić. Poszybowali prosto do nieba. Sara poczuła dreszczyk emocji i rozpierającą ją radość istnienia. Serce podeszło jej do gardła, a siła ciążenia przycisnęła do fotela. Will rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

Po chwili samolot dał nura w dół, zrobił pętlę, potem jeszcze

jedną. Ręka Willa była tak blisko, że Sara zapragnęła ją pochwycić. Jednak trwało to tylko sekundę. Samolot wyrównał pozycję. Piętnaście minut dawno minęło, lecz oni lecieli dalej. W końcu zawrócili w stronę lotniska.

# Rozdział II

- Podobał jej się lot?

Will siedział przy kuchennym stole i czytał gazetę. Nie dosłyszał pytania córki. Był na nogach od piątej rano: robił przegląd samolotów i odbył lot wokół stanu z kartografem, który nanosił poprawki na mapę, dokonywał pomiarów wzniesień i opracowywał siatkę dróg. Will musiał latać nisko i kilka razy wracać w to samo miejsce, by kartograf mógł lepiej obejrzeć teren. Jutro rano czekał go drugi taki kurs.

- Przepraszam, Susan - powiedział ziewając. - O co pytałaś?

- Susan? - Zmarszczyła czoło, wrzucając grzanki do miski. Zawahał się, usiłując przypomnieć sobie, jakie imię teraz wybrała.

- September?

- Tato, od tygodni nie używam tego imienia. Nie mogę uwierzyć, że nie pamiętasz imienia własnej córki. Secret.

- O właśnie, Secret. -Złożył gazetę, by go nie kusiła. Nie rozumiał tych ciągłych zabaw ze zmianą imienia i nie pochwalał ich, lecz córka ciężko zniosła śmierć Freda, a potem rozwód rodziców, toteż uznał, że powinien ustąpić. -A więc o co pytałaś, Secret?

- Czy podobał się tej pani lot?

- Sarze? - Will przypomniał sobie jej rozjaśnione słońcem oczy. - Chyba tak.

- Dość długo to trwało.

- Naprawdę? A mnie wydawało się, że bardzo krótko. Wiesz, ile byłeś w powietrzu? Trzydzieści pięć minut. A miało być tylko piętnaście.

- Zegarek musiał mi stanąć - odpowiedział, starając się zachować powagę.

Za każdym razem, kiedy zaczynał okazywać zainteresowanie

jakąś kobietą, stawała się przewrażliwiona. Pewnie oba-wiała się, że pójdzie w ślady matki, która wyjechała na narty z Julianem i wróciła mężatką.

- Twój zegarek nigdy nie staje, tato. Ty jesteś osobą punktualną, nigdy się nie spóźniasz. Sam mnie uczyłeś odczytywać godziny, jeszcze jak służyłeś w marynarce. Na przykład teraz jest godzina osiemnasta trzydzieści czasu Greenwich. Pamiętasz?

- Tak, kochanie.

- Więc nie wierzę, że stanął ci zegarek.

- No cóż, polecieliśmy nad jezioro. Liście na drzewach były takie piękne, że nie chciało nam się wracać. Chyba straciłem poczucie czasu.

- Ty nigdy nie tracisz poczucia czasu. Myślę, że...

Urwała. W jej oczach błysnął niepokój. Skończyła przygotowywać sałatkę i postawiła miskę na stole. Była to drewniana miska, którą dostali z Alice od jego brata w prezencie ślubnym. Kiedy Alice przeprowadziła się do Juliana, pozwoliła mu ją zatrzymać. Secret wypełniła ją sałatą, pomidorami, ogórkiem, grzankami i białymi winogronami. Teraz czekała na ocenę ze strony ojca.

- Wygląda wspaniale - powiedział.

- Dziękuję. Większość ludzi nie pomyślałaby o dodaniu winogron, tymczasem one bardzo wzbogacają smak, prawda?

- Prawda. - Nałożył sobie sporą porcję, wiedząc, że po odwiezieniu córki do byłej żony wstąpi do McDonald'sa na podwójnego cheeseburgera.

- Tylko się do niej zbytnio nie przywiązuj.

- Do kogo? - spytał, chociaż wiedział, o kim mówi.

- Do tej pani Sary.

- Kochanie, ja tylko zabrałem ją na przejażdżkę samolotem. Nic więcej.

- Ona jest chora, tato. To był tylko taki prezent na pożegnanie. Nie ma tu nikogo bliskiego i pani Ferguson chciała sprawić jej przyjemność na ostatnie urodziny.

- To nie były jej ostatnie urodziny - zaprotestował Will, dziwiąc się, jak bardzo go to dotknęło.

- Gdyby to miały być moje ostatnie urodziny, to chciałabym o

tym wiedzieć. Wszystko bym dokładnie zaplanowała i wspaniale spędziła czas. Pojechalibyśmy na Rhode Island i zaprosiłabym wszystkich na przejażdżkę kolejką do Edaville. Byłoby mnóstwo ciastek i prezentów. Jeździlibyśmy tą kolejką tak długo, póki nie powiedziałabym wszystkiego, co miałabym do powiedzenia. Słuchałabym też moich ulubionych piosenek, z mojej własnej listy przebojów.

- Będziesz jeszcze długo musiała na to czekać -powiedział, świadomy, że wkracza na niebezpieczny teren.

- Na co?

- Na śmierć.

- Fred nie czekał długo.

- Fred... - powtórzył, delektując się dźwiękiem tego imienia.

- On nie wiedział, że to są jego ostatnie urodziny. Kiedy nadszedł ten dzień, nie przypuszczał, że to jego ostatni. Jak to może być, tato? Rano budzisz się szczęśliwy, a już o czternastej toniesz?

Popatrzył na córkę. Żadne z nich nie tknęło sałatki. Secret wpatrywała się w niego, lecz w jej wzroku nie dostrzegł wyrzutu, jedynie szczere spojrzenie dziecka, które wciąż ufa ojcu, pomimo tego, że zawiódł.

- Nie wiem, kochanie -przyznał, wiedząc, że wszystko, co może jej ofiarować, to szczerość.

- Mama już się z tym pogodziła -powiedziała z goryczą w głosie.

- Nigdy się z tym nie pogodzi. Nie można pogodzić się z utratą własnego dziecka, kochanie.

- Ale o nim nie mówi. Kiedy ja coś powiem, ucisza mnie, bo to denerwuje Juliana. A z niego jest bogaty drań, który cały czas spędza na wyścigach samochodowych i odczytach. Dziś wieczorem znowu poszli na jakiś odczyt.

- Nie mów tak o nim, Susan. Mama powiedziała, że idą na przedstawienie. - Życie jego byłej żony upływało na uczestniczeniu w kulturalnych wydarzeniach organizowanych przez miejscowe szkoły.

- No to palant, idiota, kretyn, ciemniak, nudziarz, sztywniak, upierdliwiec.

- Susan. Secret - powiedział ze znużeniem w głosie. - Daj spokój, dobrze?

- Przepraszam, tato.

Wlała do sałatki sos winegret. Potem nałożyła sobie na talerz jedynie liście sałaty. Przypuszczając, że najlepsze chce zostawić dla niego, nałożył sobie dokładkę, by sprawić jej przyjemność.

- Miałaś świetny pomysł z tymi winogronami - powiedział.
- Dziękuję. Sprawia miłe wrażenie.
- Kto, kochanie?
- Ta pani Sara.
- To prawda -przyznał.
- Mam nadzieję, że jest wyleczona - stwierdziła. - Bo śmierć wysysa z człowieka siły.

Sara zaczęła otwierać sklep na kilka godzin dziennie, zwykle od dziesiątej do drugiej. Lubiła, jak poranne słońce zaglądało przez wysokie okna, rzucając cienie na bladożółte ściany. Dzisiaj czuła się trochę zmęczona. Miała ochotę zwinąć się w kłębek na krótką drzemkę wśród kołder i poduszek, które sprzedawała i które w większości wypełnione były gęsim puchem, pochodzącym z farmy jej ojca w Maine.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Podniosła wzrok znad spisu inwentarza i uśmiechnęła się do dwóch studentek z college'u. Przez chwilę patrzyły na nią niepewnie. Wiedziała, że wygląda trochę dziwnie ze swymi krótkimi włosami, więc uśmiechnęła się do nich z sympatią.

- Dzień dobry. Powiedzcie, jeśli będę wam potrzebna.

Oczywiście, dziękujemy - odparła wyższa dziewczyna, uśmiechając się do koleżanki, która położyła się na łóżku przykrytym puszystą adamaszkową kołdrą w kolorze ecru. U wezgłowia piętrzyły się poduszki ozdobione wąskimi paskami w kolorze umbry, złocistymi zwojami i ręcznie malowanymi dębowymi liśćmi.

- Chcę mieć takie właśnie łóżko - westchnęła leżąca wśród poduszek dziewczyna.
- Naprawdę? - spytała Sara.
- Szkolna administracja nie zapewnia tak kosztownego wyposażenia - wyjaśniła wysoka dziewczyna. -Po prostu fantazjujemy sobie.
- Każdy ma prawo pomarzyć - stwierdziła Sara.

- Nie mam karty kredytowej - powiedziała jej koleżanka. - Ale gdybym zadzwoniła do rodziców, a oni podaliby pani numer swojego konta, czy mogłabym coś u pani kupić i zabrać do kampusu?

- To da się zrobić - powiedziała Sara. - Wszystko dostarczę osobiście w srebrnych saniach.

Dziewczyna zachichotała i ponownie westchnęła, kryjąc twarz w miękkiej pościeli.

Sara przypomniała sobie swoje szkolne lata. Cienka pościel i szorstkie stare koce zainspirowały ją do otwarcia sklepu „Pod Dziewiątą Chmurką". Opuściła Wellesley po pierwszym roku i otworzyła swój pierwszy sklep w Bostonie. Początkowo sprzedawała w nim towary wyrabiane przez ojca na farmie.

Farma była na granicy upadku. Właściwie zaczęła podupadać po śmierci matki Sary, kiedy ojciec został sam na gospodarstwie z czternastolenią córką. Nigdy nie rozmawiała o tym z ojcem, wiedziała jednak, że sklep podniósł go na duchu. Sara prowadziła finanse, sama wszystko obmyślała, rozszerzając asortyment wytwarzany na wyspie Elk o towary sprowadzane z Francji i Włoch. Główny sklep pozostał w Bostonie, lecz po ośmiu latach i kilku niefortunnych romansach przeniosła się do tego słynącego ze szkół miasteczka w stanie Nowy Jork. Od tego czasu minęło dziesięć lat, a farma nadal istniała.

Zadzwonił telefon.

- Sklep „Pod Dziewiątą Chmurką".

- Wszystkiego najlepszego - odezwał się niski głos.

Poczuła gwałtowny skurcz serca i ucisk w gardle. Bała się, że jeśli odetchnie lub kichnie, połączenie zostanie przerwane.

- Spóźniłem się jeden dzień. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi, nawet nie zauważyłam -skłamała.

- Co robiłaś? Byłaś gdzieś na kolacji?

- Odbyłam lot samolotem, by popatrzeć na kolorowe liście. Wspaniale wyglądały, czerwone, pomarańczowe i żółte, jak wielka miska płatków. Przypomniały mi ciebie i nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Ty też byś się śmiał, latając nad tym pięknym jesiennym krajobrazem i myśląc o płatkach Trix. Pamiętasz, to były twoje ulubione płatki.

- Nie bardzo.

- Jak się miewasz?

Wyobraziła sobie, jak stoi w wielkiej kuchni w jej rodzinnym domu, a w starym kamiennym piecu płonie ogień. Zamknęła oczy i przeniosła się myślami na wyspę Elk. Zobaczyła ciemną zatokę, schludny biały dom i łąki pełne białych gęsi. Szumiało morze, a powietrze pachniało sosnami.

- Dobrze -odpowiedział.

- Nadal nie chcesz wracać? Naprawdę podoba ci się praca na farmie? Bo jeśli...

- A ty jak się czujesz? -wszedł jej w słowo.

- Wyśmienicie -odparła.

- Naprawdę?

- Tak. - Odwróciła się plecami do dziewcząt z college'u, żeby nie mogły jej usłyszeć. -W zeszłym miesiącu skończyłam chemioterapię. Radioterapia również wypadła bardzo dobrze. Nie ma śladu po nowotworze. Zrobili mi MRI i doktor twierdzi, że jestem czysta.

- Jesteś wyleczona?

- Tak -powiedziała, zagryzając wargę.

Tak wielkiej optymistki jak ona nie było chyba na świecie. Niektórych irytowała swoją radością. Nie mogła się jednak powstrzymać. Znała statystyki: najwyżej pięć lat życia, a często mniej. A ona tu opowiada, że jest wyleczona, kiedy nawet nie wie, czy jest to możliwe.

- To dobrze - powiedział. Zaległa długa chwila ciszy, po czym odchrząknął i powtórzył: - To bardzo dobrze.

- Czy dziadek stoi koło ciebie? - spytała.

- Nie, jest w stodole. Ja przyszedłem, żeby zrobić lunch. - Ponownie odchrząknął. -Pomyślałem, że zadzwonię i złożę ci życzenia.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś, Mike. Tęsknię za tobą.

- Mhm.

- Bardzo. Chciałabym, żebyś był tu ze mną, żebyś się zdecydował...

- Kiedy przyjedziesz do Maine? Dziadek prosił, żebym spytał. A, i żebym złożył ci życzenia w jego imieniu.

- Czy to on kazał ci do mnie zatelefonować? - spytała

podejrzliwie.

- Nie. To był mój pomysł.
- Aha. - Uśmiechnęła się.
- No to kiedy przyjedziesz?
- Nie wiem. -Myśl o przyjeździe na wyspę wywołała w niej niepokój. Doktor powiedział, żeby unikała stresu, że najlepszą ochroną jest psychiczna równowaga. Myśl o tym, że zobaczy Mike'a i jej zgorzkniałego starego ojca, a także świadomość, że teraz on go wychowuje, wywoływały zamęt w głowie.
- Mogłabyś przyjechać na Święto Dziękczynienia - zaproponował Mike.
- Zastanowię się.
- Jesteś zbyt słaba, żeby przyjechać?
- Nie, czuję się dobrze. Mówiłam ci, że...
- Więc czemu nie?
- Powiedziałam, że się zastanowię.

Zaległa kłopotliwa cisza. W głowie Sary wirowały setki pytań, oskarżeń, deklaracji miłości. Jak jej syn mógł ją zostawić i pojechać na wyspę? Od śmierci matki nie mogła się doczekać, by stamtąd uciec. Zostawiła ojca własnemu losowi, a on swym upartym milczeniem nie pozwalał jej o tym zapomnieć. Tymczasem Mike postanowił poszukać na wyspie związków z Zeke Loringiem, jego ojcem, który zmarł, zanim on się urodził.

- Proszę pani! -zawołała jedna z dziewcząt. -Chciałabym kupić kilka rzeczy. Czy mogłabym zatelefonować do mojej matki w sprawie numeru konta? Na pewno się zgodzi.
- Och, masz klientów -powiedział Mike, słysząc w słuchawce przytłumione głosy. -Lepiej już skończę. Dziadek czeka na lunch.
- Cieszę się, że zadzwoniłeś, kochanie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką zrobiłeś mi przyjemność -powiedziała. -To dla mnie sto razy ważniejsze od jakiegokolwiek prezentu, ważniejsze nawet od domu dla lalek, który dostałam, kiedy miałam cztery lata. Mówię szczerze, bardzo lubiłam ten domek, ciągle się nim bawiłam. Zresztą zapytaj dziadka.
- No to cześć, mamo.
- Cześć, synku.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do dziewcząt. Była spokojna i opanowana. Zgodziła się, by dziewczyna skontaktowała się z matką. Podała jej aparat i zaproponowała, żeby wykręciła bezpośredni numer, bez wywoływania centrali. Potem zajęła się troskliwie swoimi klientkami, bo to one zapewniały jej środki utrzymania.

Sercem jednak była daleko stąd, ze swoim synem, Mikiem Talbotem, siedemnastolatkiem, którego kochała nad życie, a który postanowił kultywować rodzinną tradycję szycia kołder i ratowania farmy pod skrzydłami jej ojca, obrażonego George'a Talbota z wyspy Ełk w stanie Maine. W takich chwilach żałowała, że nie pozwoliła, by stara farma upadła.

Drugiego dnia pracy z kartografem Will przeleciał nad hrabstwem Algonquin jedenaście razy. Nanieśli na mapę rzekę Setauket, Puszczę Robertsona, Jezioro Cromwella, Eagle Peak i podgórze Arrowhead. Przelecieli również nad miasteczkami i nad Wilsonią, siedzibą hrabstwa. Policzyli młyny i silosy, przyjrzeli się szachownicy farm i polom upstrzonym pomarańczowymi dyniami. Lecieli na wysokości sześciu tysięcy stóp, lecz w drodze powrotnej odbyli niską rundę wokół Fort Cromwell.

Miasto wyglądało jak miniaturka, a domy jak modele w kolejce Freda. Will rzadko wspominał tę kolejkę, ale wobec zainteresowania kartografa torami kolejowymi, oznakowaniem przejazdów i sygnalizacją świetlną ciągle stawała mu przed oczami. Makieta Freda była podobna do Fort Cromwell: zielone stare miasto, budynki z czerwonej cegły i tory kolejowe wijące się wśród wzgórz. Will stacjonował wówczas w Newport i kwatery wojskowe nie zostawiały zbyt dużo miejsca na zabawę z synem. Kolejka Freda była w najlepszym gatunku. Will marzył o takiej jako chłopiec. Zajmowała prawie całą jadalnię. Matka Alice podarowała im ładny stół z drzewa wiśniowego. Pamiętał, że ustawili go pod ścianą, by zrobić miejsce na dom dla lalek Susan i kolejkę Freda. Will większość czasu spędzał na morzu, więc Alice rzadko korzystała z tego stołu.

Za to teraz go używa. W tym momencie znaleźli się nad otoczoną drzewami posiadłością Juliana na wzgórzu Windemere. Kamienny dom, kort tenisowy, łukowaty podjazd i brama strzegąca wstępu, godna gwiazdy filmowej lub jakiejś ważnej osobistości. Tutaj właśnie

mieszkają, pomyślał Will. Kartograf zajęty był porządkowaniem notatek, więc Will przechylił samolot na lewe skrzydło, celując prosto w dom, jakby błogosławił córkę i przeklinał Juliana za to, że znalazł się we właściwym miejscu, o właściwym czasie i rozbił mu rodzinę, kiedy nie mogli dojść do siebie po stracie Freda.

W tej chwili dostrzegł córkę opierającą rower o ścianę garażu. To było ponad jego siły. Poczuł się, jakby połknął haczyk. Wykonał gwałtowny skręt i poszybował w stronę lotniska. Kartograf rzucił mu przestraszone spojrzenie.

- Przepraszam - mruknął Will.
- Wszystko w porządku?
- W jak najlepszym. Wpadliśmy w niewielką turbulencję.
- Aha - mruknął kartograf.

Serce biło Willowi jak szalone, jak po długim dystansie we wzburzonym morzu. To była jego pierwsza funkcja w marynarce: ratownik na okręcie „L. P. James". Pokonywał ogromne fale, holując dziewięćdziesięciokilowego mężczyznę, nie odczuwając przy tym nawet zmiany oddechu.

Może to ta słodka woda wyprowadziła go z równowagi, wywołując tęsknotę za oceanem i morskim wybrzeżem -pomyślał, patrząc na jeziora i rzekę. Przypomniał sobie, co powiedziała wczoraj Sara Talbot: „Daleko im do Atlantyku".

Nagle zdarzyło się coś dziwnego. Myśl o Sarze Talbot sprawiła, że uleciał gdzieś niepokój, tęsknota za słoną wodą, a serce powróciło do normalnego rytmu. Zniknęły wspomnienia dawnego życia na okręcie i wszystkie powody, dla których musiał zostawić ukochany ocean. Przed oczami stanęła mu Sara, życzliwa, mądra i piękna, wpatrująca się z zachwytem w niebo. Poczuł, że znów może swobodnie oddychać.

# Rozdział III

Secret jechała rowerem przez miasto. Panował przejmujący chłód i palce w nowych niebieskich rękawiczkach sztywniały jej z zimna. Wysunęła język i pochwyciła pierwsze w tym roku płatki śniegu. Nos i policzki ją paliły. Był dopiero początek listopada, a jezioro już

pokryło się lodem. Chyba nigdzie na ziemi nie było tak zimno jak w Fort Cromwell. Newport to w porównaniu z nim tropikalne miasto.

Wnętrza sklepów zachęcały do wejścia. Wcześnie zapadał zmierzch i kiedy koło piątej kończyła lekcje w szkole, wszędzie płonęło ciepłe pomarańczowe światło, które kojarzyło jej się z Anglią. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Nigdy nie była w Anglii, lecz miała niezwykle bujną wyobraźnię. Kiedy była mała, mama czytała jej książki Rummer Godden. Nagle zapragnęła zjeść chrupiącą bułeczkę i wypić filiżankę herbaty.

Po szkole miała pilnować dziecka Neumannów, a do domu nie musiała się spieszyć. Matka i Julian byli na koktajlu u Deana Sherry'ego. Zwolniła, by lepiej przyjrzeć się witrynom sklepowym. W niektórych stały jeszcze oświetlone dynie imitujące ludzką głowę, inne udekorowano już zielonymi łańcuchami i białymi światełkami, które zapowiadały święta Bożego Narodzenia. Jeden ze sklepów wyglądał szczególnie zachęcająco, choć nie miał świątecznej witryny. Wystarczał sam neon: magiczna chmurka i złota dziewiątka. Mosiężne lampy dawały przyjemne światło, a kołdry sprawiały wrażenie ciepłych i puszystych. Postanowiła się ogrzać, zostawiła więc rower przed sklepem i weszła do środka.

- Dzień dobry -usłyszała kobiecy głos dobiegający od strony zaplecza.

- Dzień dobry - odpowiedziała, po czym zaczęła przyglądać się cenom, udając, że jest zainteresowana kupnem poduszki.

- Proszę zawołać, jeśli będę potrzebna.

- Oczywiście - zapewniła Secret, pochylając się nad skrzynią z małymi jedwabnymi poduszkami. Była raz z matką i Julianem w sklepie z antykami, wiedziała więc, jak zachowują się bogaci klienci. Od strony zaplecza dochodził zapach grzanego jabłecznika. Zapragnęła nagle zanurzyć się w tym miękkim stosie aksamitnego puchu. Poczuła przyjemne odprężenie, chodząc wśród pięknych artykułów pościelowych.

- Czy chciałaby pani napić się grzanego wina? -odezwał się głos.

- Chyba nie powinnam - odparła, czując wyrzuty sumienia, że oszukuje właścicielkę. Nie miała przecież zamiaru niczego kupować.

- Jest pani pewna? Na dworze strasznie zimno.

- Nie musi mi pani tego mówić -zaśmiała się, podniosła wzrok i zobaczyła stojącą przed nią właścicielkę. Była to Sara Talbot, chora przyjaciółka Mimi Ferguson.

- Och, dzień dobry -uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - powiedziała Sara. - Ja cię chyba znam. Byłaś w biurze na lotnisku tego dnia, kiedy odbyłam lot wycieczkowy.

- Tak. Mój ojciec jest pilotem.

- I to doskonałym - powiedziała Sara. - Wiem coś o tym, bo miałam już do czynienia z kilkoma okropnymi.

- Naprawdę?

- Tak. Najgorsi są ci pilotujący małe samoloty. Spotkałam już takich, którzy brykali po pasie startowym jak dzikie konie. Jeden dla zabawy przelatywał pod mostami. W młodości mieszkałam na wyspie i tamtejsi piloci potrafili latać we mgle gęstej jak śmietana. To byli powietrzni kowboje.

- Połowa z nich pewnie nie dostałaby pracy w wielkich liniach - stwierdziła Secret, opierając się o łóżko stojące na środku sklepu.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło -powiedziała Sara. -Na pewno nie chcesz grzanego wina?

- Może odrobinkę - zgodziła się Secret. Zaczekała, aż Sara napełni dwa brązowe kubki. -Mojego tatę by przyjęli. Dostał nawet propozycje od TWA i Delty. Mógłby latać wszędzie, ale woli prowadzić własną firmę.

- Robi wrażenie doświadczonego pilota -powiedziała Sara, podając jej kubek.

Secret wciągnęła w nozdrza korzenny aromat.

- Zdobył doświadczenie w marynarce - dodała po chwili. - Ale latał już wcześniej. Nauczył się pilotować, kiedy miał trochę więcej lat niż ja. Bardzo ceniono go w marynarce. Umiał robić wszystko. Latać, ratować ludzi, kierować zespołem. Nigdy nie tracił głowy w czasie manewrów.

- Manewrów?

- Na przykład w Zatoce Perskiej. Brał w nich udział.

- Pewnie jesteś z niego dumna.

- Nawet bardzo.

- Stan Nowy Jork leży jednak daleko od morza - zauważyła Sara.

- Tak - przyznała Secret, popijając jabłecznik. Czuła, że astma przyczaiła się i tylko czeka na następne pytania: Czemu tu przyjechaliście? Czy masz rodzeństwo? Jednak żadne z tych pytań nie padło. Zamiast tego Sara wyciągnęła ku niej rękę.

- Jeszcze się sobie nie przedstawiłyśmy. Jestem Sara Talbot.

- Secret Burke.

- Jakie piękne imię!

Secret obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem. Zazwyczaj dorośli odnosili się do jej imienia z lekceważeniem. Jednak Sara mówiła chyba szczerze. W jej oczach dostrzegła podziw. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała lekko skrzywione przednie zęby.

- Dziękuję - powiedziała Secret. - Niedługo je zmienię.

- Naprawdę? Na jakie?

- Myślałam o Snow*.

Sara dmuchnęła na gorący jabłecznik.

- W sam raz na zimę.

- Czy Sara to pani prawdziwe imię?

- Tak. Noszę je od urodzenia. W siódmej klasie chciałam zmienić je na Sadie, ale nie pasowało do mnie.

- Rzeczywiście -przyznała Secret. -Sara doskonale do pani pasuje.

Po raz pierwszy od chwili wejścia dziewczynka zauważyła włosy Sary. Były krótkie i miały dziwny kolor między żółtym i szarym. Wiedziała, że ludzie leczący się na raka tracą włosy. Zawsze potrafiła znaleźć jakąś dobrą radę, zmierzyła więc Sarę krytycznym spojrzeniem.

- O co chodzi? -Sara zaczerwieniła się i mimowolnie dotknęła włosów. W jej oczach pojawił się wyraz takiego zaskoczenia, że Secret omal nie wylała wina. Sara była nieśmiała! Ten sam wyraz zobaczyła w oczach Margie Drake, kiedy dwie dziewczyny żartowały z jej trwałej ondulacji.

- Ja... - zaczęła Secret, zastanawiając się, co powiedzieć. Mogła

---

* * *Snow (ang.) - śnieg (przyp. tłum.).*

skłamać i udać, że dostała czkawki. Mogła też powiedzieć prawdę i udzielić rady. - Patrzyłam na pani włosy -wyznała szczerze.

- Są okropne - jęknęła Sara, oblewając się rumieńcem. -Kiedyś były ciemnobrązowe, a teraz spójrz. Mają taki śmieszny kolor. Coś między starymi skarpetkami a brudnym wiadrem.

- Mogłaby je pani rozjaśnić - zasugerowała Secret. - Są krótkie i będą wyglądały oryginalnie i punkowo. A gdyby tak ufarbować je na biało.

- Jak Annie Lennox - uśmiechnęła się Sara.

- Jak kto? - zdziwiła się Secret.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Do sklepu weszła grupa studentek z college'u, pocierając ręce dla rozgrzewki. Sara zaproponowała im grzany jabłecznik.

Tymczasem Secret usadowiła się na brzegu łóżka. Zajmowało prawie całą powierzchnię sklepu, lecz było wyjątkowe. Przypominało łóżko z sypialni domu dla lalek, jaki stał w ich mieszkaniu w Newport. Brakowało jeszcze kolejki Freda, jeżdżącej wokół pokoju, i jej wesołego pogwizdywania.

Sara poczęstowała dziewczęta jabłecznikiem, który w ich kubkach zdążył na tyle wystygnąć, że mogły go wypić, po czym usiadła obok Secret. Na zewnątrz panował przejmujący chłód, a one delektowały się ciepłym aromatycznym napojem. Podekscytowane głosy dziewcząt rozbrzmiewały wesołością. Rodzice przysłali im pieniądze, mogły więc kupić nowe kołdry na zimę. Choć to one były prawdziwymi klientkami, Sara dotrzymywała towarzystwa Secret. Jakby była jej przyjaciółką, jej jedyną przyjaciółką.

"Wieczorem tego dnia Sara stała przed lustrem w łazience i przyglądała się swojemu odbiciu. Doszła do wniosku, że wygląda jak wystraszony kociak. Brzydkie żółtoszare włosy sterczały na wszystkie strony, jak szczecina na szczotce. Od chwili zamknięcia sklepu wciąż myślała o tym, co powiedziała Secret: że mogłaby je rozjaśnić.

Byłoby to radykalne posunięcie. Nigdy dotąd nie farbowała włosów. Nawet nie przyszło jej to do głowy. Rzadko decydowała się na jakieś eksperymenty ze swoim wyglądem. Nie robiła sobie makijażu i nie używała szminki. Umalowane usta sprawiały wrażenie ciężkich i wciąż oblizywała wargi, by sprawdzić, czy szminka nadal

tam jest. Poza tym nie chciała zbyt rzucać się w oczy. Kosmetyki upiększające były dla kobiet wzbudzających powszechny zachwyt.

Teraz jednak zapragnęła coś zrobić z włosami. Nienawidziła swego obecnego wyglądu. Po chemioterapii nie mogła siebie poznać. Z jednej strony wyglądała zbyt staro, a z drugiej zbyt młodo. Zmienił się kolor włosów, wokół oczu i ust przybyło zmarszczek, co ją postarzało, natomiast twarz nabrała wyrazu przestraszonego i wiecznie zdziwionego dziecka.

Nigdy jednak nie usłyszała choćby słowa krytyki odnośnie do swojego wyglądu. Przyjaciele milczeli, milczała też wspaniała pielęgniarka Meg Ferguson. W szpitalu proponowano jej różne peruki, lecz zawsze odmawiała. W peruce czułaby się jak w majtkach na głowie - gorąco i duszno. Z kolei ogolona głowa za bardzo by szokowała. Poddawała się wszelkim zabiegom, jeśli chodzi o raka mózgu, godząc się na każdą najbardziej nowoczesną metodę leczenia, natomiast z wyglądem bała się eksperymentować.

Westchnęła i przeszła do sypialni. Z odtwarzacza CD dochodziły dźwięki piosenki śpiewanej przez Annie Lennox. Jej muzyka podtrzymywała ją na duchu. Annie i Sara. I Secret. Ciekawe, czy Secret Burke wie, jak bardzo jej pomogła, zwracając uwagę na coś, co przyprawiało ją o szaleństwo i rozpacz.

Święto Dziękczynienia. Co by było, gdyby zdecydowała się pojechać? Nawet pomijając dawne zatargi z ojcem i wyrosły między nimi mur pretensji i niechęci, już sama myśl o tym, że za niecałe trzy tygodnie mogłaby znaleźć się na wyspie Elk, wywoływała w niej paniczny strach. Bała się spotkania z synem. Nie chciała, żeby zobaczył ją w takim stanie, żeby poczuł odrazę do własnej matki. Poza tym musiałaby zamknąć sklep na cały weekend.

Przypomniała sobie, jak otworzyła pierwszy sklep. Miała wtedy dziewiętnaście lat i była studentką college'u w Bostonie. Dziewiętnaście lat! Zaledwie dwa lata więcej niż obecnie ma Mike. Skąd wzięła pewność siebie i zapał? Sklepik składał się z jednego pomieszczenia, miał nietynkowane ściany i drewnianą podłogę. Zapełniła go swoimi marzeniami. Na półkach ułożyła kołdry robione przez ciocię Bess i stała się kobietą interesu. Wyobraziła sobie, jak to otworzy kolejne sklepy, rozszerzy asortyment, wprowadzi sprzedaż

wysyłkową i uratuje farmę, czym sprawi radość ojcu i przysporzy dumy przebywającej w niebie matce. To właśnie podsunęło jej myśl, by nazwać sklep „Pod Dziewiątą Chmurką".

Opierając się o biurko, wspominała, jak projektowała logo sklepu: złotą dziewiątkę na białej chmurce w błękitnym owalu, z białymi piórami opadającymi niczym płatki śniegu. Wykonanie znaku zleciła Dawidowi Walkerowi, drzeworytnikowi z wyspy Elk. Wymyślenie nazwy dla sklepu sprawiło jej wielką przyjemność, było urzeczywistnieniem marzeń i znalezieniem swego miejsca w świecie. Nigdy przedtem ani potem nie czuła się równie szczęśliwa. Do czasu narodzin Mike'a.

Michael Ezekiel Loring Talbot.

Te drogie jej imiona wywołały taką burzę uczuć, że musiała chwycić się brzegu biurka. Zawsze lubiła imię Michael. Miało w sobie ukrytą siłę, przywodziło na myśl Archanioła i brzmiało jak poezja. Dała synowi imię przywódcy i mocarza, kogoś, kto umie cieszyć się życiem i podejmować ryzyko.

Chciała, aby Michael nosił imię po ojcu, lecz nazwisko mógł mieć tylko jedno: Talbot. Może dlatego tak go ciągnęło do wyspy i do dziadka, do starej farmy i azylu, który zapewniała.

Poczuła napływające łzy i gwałtownie zamrugała powiekami. Nie było sensu rozpaczać nad czymś, czego nie mogła zmienić. Mike dokonał wyboru. Nie mogła nawet powiedzieć, że uciekł z domu, bo nie krył swoich planów. Jego celem nie był Nowy Jork, Los Angeles czy Albany, lecz rodzinna farma. Miał dopiero siedemnaście lat, a zdecydował się żyć na odludnej wyspie, by odnaleźć prawdę o zmarłym ojcu. Nie darowałby jej, gdyby wiedział, że ona wciąż myśli o nim jak o chłopcu.

Usiadła na szerokim parapecie okiennym z filiżanką ziołowej herbaty w ręku. Jadła teraz jedynie zdrowe rzeczy. Codziennie szła na krótki spacer, jeśli tylko pozwalały na to siły. Czasami biegała trochę, jak czyniła to przed chorobą. Trudno jej było z tego zrezygnować. Lekarz zalecił jej umiar, a Sara stosowała się do jego rad. Chciała żyć. Wydała na świat syna i pragnęła żyć, by móc zobaczyć, jak bezpiecznie kroczy swoją drogą.

Alice von Froelich weszła do pokoju córki. Wsłuchując się w jej

oddech, starała się zorientować, czy dziewczyna śpi, czy tylko udaje. Leżała z głową przykrytą kilkoma kocami i kołdrą. Grało radio, bo Susan zawsze zasypiała przy muzyce.

Czekając, aż córka się poruszy, mimowolnie wstrzymała oddech. Rozejrzała się po pokoju. Lampy były zgaszone, lecz wpadające z korytarza światło wydobyło z mroku kilka szczegółów. Pokój Susan, równie elegancki jak cały dom Juliana, nie wyglądał jak pokój nastolatki. Alice zmarszczyła brwi i ciężko westchnęła.

Susan lubiła wszystko, co wiązało się z Anglią, więc Julian pozwolił jej wybrać dwa obrazy Gainsborougha ze swojej kolekcji: dziewczynkę w niebieskiej sukience i dwa spaniele na atłasowej poduszce. Meble i inne przedmioty również były angielskie: łóżko i serwantka w stylu królowej Anny, stary fotel bujany w jej ulubionym różowym odcieniu, srebrna szczotka z ozdobnym monogramem i lustro na toaletce. W zeszłym roku na Gwiazdkę dostała od Juliana kilka oryginalnych ramek, by mogła umieścić w nich fotografie.

Podeszła bliżej, by przyjrzeć się zdjęciom. Susan bardzo kochała ojca - był na każdym: z czteroletnią córką w kokpicie awionetki, siedzącą mu na kolanach pod parasolem w „Czarnej Perle", ich ulubionej restauracji w Newport; i w porcie, tuż przed wypłynięciem na Środkowy Wschód. To ona robiła to zdjęcie. Spojrzała na czwartą fotografię.

- Freddie -wyszeptała.

Stał przed choinką z Willem. Było to ostatnie Boże Narodzenie syna. Szczupły chłopiec o sennym spojrzeniu, uśmiechający się do obiektywu, taki piękny i wysoki. Był prawie równy z Willem. Czemu przedtem tego nie zauważyła? Może to tylko złudzenie? Na fotografii nie widać było ich stóp. Czy Fred stał na jakimś podwyższeniu?

- Mamo? - odezwała się Susan, osłaniając oczy przed wpadającym z korytarza światłem.

- Nie śpisz, kochanie? - Alice przysiadła na brzegu łóżka.

- Nie było cię w domu.

- Nie odebrałaś wiadomości? - zaniepokoiła się Alice. -Nagrałam się na sekretarkę.

- Odebrałam.

- Byliśmy na koktajlu u Deana Sherry'ego, a potem kilku

przyjaciół Juliana stwierdziło, że powinniśmy zjeść razem kolację. Poszliśmy więc do Martine'a, przyrządziliśmy indonezyjską potrawę i słuchaliśmy nowych utworów Armanda.

- Boże, ale nuda - stwierdziła Susan.
- Jadłaś coś?
- Tak.

Alice obrzuciła córkę niespokojnym spojrzeniem. Wyczuwała w jej głosie napięcie i urazę, jakby chciała wywołać w niej poczucie winy. Przecież wiedziała o tym koktajlu.

- Co jadłaś?
- Poszliśmy z tatą do Chedder'sa.
- Telefonowałaś do ojca? Susan, przecież w spiżarni jest mnóstwo jedzenia. Pansy kupiła wszystko, co chciałaś. Lodówka jest pełna różnych odmian sałaty, które tak lubisz. Susan...
- Susan? Jeśli chcesz, żebym ci odpowiedziała, to używaj właściwego imienia.

Alice nie chciała uczestniczyć w tej grze. Wszystko zaczęło się po jej ślubie z Julianem i trwało do dziś. Poczuła gwałtowny przypływ irytacji. To wina Willa. Jest taki wyrozumiały, pozwala córce na wszystko. Załamał się po śmierci Freda i do tej pory nie może się pozbierać.

- Chciałam cię o coś spytać -powiedziała z udanym spokojem. Nigdy nie rozmawiała z Susan o Fredzie, bo nie chciała wywoływać bolesnych wspomnień. Był jej starszym bratem, bohaterem. Jednak musiała zadać jej to pytanie. - Czy Freddie był tego samego wzrostu co tata?

Żadnej reakcji. Z dołu dochodziły rozbawione głosy Juliana i Armanda, brzęk szklanek i stuk kijów bilardowych. Pewnie nastąpiła przerwa w grze.

- Odpowiedz mi, Susan.
- Tu nie ma żadnej Susan - posłyszała stłumiony głos córki, dochodzący spod kołdry.

# Rozdział IV

Festyn w Fort Cromwell zawsze odbywał się w sobotę, między Halloween a Świętem Dziękczynienia, i cieszył się wielką

popularnością. Organizowano go od lat w tym samym miejscu, w szczerym polu za miastem. Jeśli ktoś przejeżdżał tamtędy w innej porze roku, mógł zobaczyć jedynie sunący drogą traktor, natomiast w dniu festynu ciągnęły tu sznury pojazdów. Okoliczne pola wypełniały luksusowe auta turystów, przybyłych tu w poszukiwaniu lokalnego kolorytu.

Sara przyjechała na festyn z Meg i Mimi. Spacerowały, oglądając dorodne świnie i krowy. Ciężkie konie pociągowe szły wolno do swoich boksów. Jako że festyn odbywał się pod koniec roku, ktoś wpadł na pomysł, by posadzić na koźle świętego Mikołaja, i właśnie minął je wóz z dziećmi śpiewającymi *Jingle Bells.*

Mimi dostała na urodziny aparat fotograficzny i z zapałem robiła zdjęcia, lecz chciała też wszystkiego spróbować: zjeść cukrową watę, przejechać się wozem drabiniastym, wejść do domu z duchami i pokręcić na diabelskim młynie. Dziecko walczyło w niej z dorastającą panienką. Sara przypomniała sobie Mike'a w tym wieku i zapragnęła, by był tu teraz.

- Chcesz się przejechać na diabelskim młynie? -spytała ją Meg. - Chyba pójdę z Mimi.

- To idźcie - odparła. - Ja napiję się gorącej czekolady. Ustaliły, że spotkają się za godzinę przy budce, gdzie

malowano tatuaże. Zmierzając w stronę stoisk z napojami, Sara czuła w sobie radość. Takie ludowe festyny zawsze wprawiały ją w dobry nastrój: tłumy ludzi, zwierzęta, dochodzące zewsząd dźwięki dzwonków. Skinęła głową kilku znajomym. Byli to przeważnie klienci odwiedzający jej sklep.

Miała dziś na sobie czarny kapelusz z małym rondem, czarne dżinsy i starą skórzaną kurtkę Zeke'a. Rzadko ją nosiła, kiedy mieszkała z synem, bo należała do jego ojca i była powodem zbyt wielu pytań, na które wolała mu nie odpowiadać. Raz Mike zapytał ją, dlaczego ojciec podarował jej tę kurtkę, a ona nie potrafiła zdobyć się na powiedzenie mu prawdy: że Zeke wcale nie dał jej tej kurtki, tylko pożyczyła ją i nie zdążyła oddać, że pragnęła, by ofiarował jej znacznie więcej.

- Poproszę gorącą czekoladę - zwróciła się do starszawego mężczyzny za ladą.

- Z bitą śmietaną?

- Nie, dziękuję, bez - odparła. Mogłaby jej zaszkodzić, a ona czuła się coraz lepiej. Nie będzie ryzykować, chociaż miała na nią wielką ochotę.

Tekturowy kubek parzył ją w palce. Rozejrzała się za serwetkami i dostrzegła je na sąsiedniej ladzie, wciśnięte między butelki z keczupem, musztardą i rurkami. Drogę do nich zagradzał jej jakiś mężczyzna - wysoki, barczysty, w prawie identycznej skórzanej kurtce.

- Przepraszam - powiedziała, wyciągając rękę po serwetkę.

- Witaj, Saro - odezwał się zaskoczonym głosem mężczyzna.

- Witaj - odparła.

Był to pilot, Will Burke. Sięgnęła mu pod ręką po serwetkę, a on uniósł w górę hot doga. W końcu wyplątali się z tej gmatwaniny i uśmiechnęli do siebie.

- Miło cię widzieć -powiedział.

- Ciebie również. Jak się masz?

- Doskonale - odparł, przechylając głowę na bok, jakby się zastanawiał. - A ty?

- Wspaniale. Co robisz na festynie? Przyszedłeś z Secret?

- Z Secret? -powtórzył. -Ach, z Susan. Poznałaś ją?

- Była u mnie w sklepie.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

- Secret. Za każdym razem mnie to zaskakuje. Daliśmy jej bardzo ładne imię: Susan. Co prawda myśleliśmy o czymś bardziej egzotycznym. Zastanawiałem się nad Delfiną, ale nie chcieliśmy, by później miała do nas pretensje. No i proszę.

Śmiał się, ale w jego oczach nie było radości. Sprawiał wrażenie zafrasowanego, ale krępowała się, by go o to spytać. Może miał jakieś kłopoty z żoną. Trudno jej było się domyślić, bo nigdy nie była mężatką.

- Miła z niej dziewczyna -powiedziała. -Bez względu na imię, jakie nosi. To naprawdę mało ważne.

- Uważasz więc, że nie ma się czym przejmować?

- Ja bym się nie przejmowała.

- Hmm. - Zmarszczył brwi. Najwyraźniej stracił zainteresowanie

hot dogiem, szczodrze przyprawionym chili i cebulą. -Jej matka uważa to za zły znak. Coś w rodzaju wołania o pomoc.

- Nie chciałabym podważać opinii twojej żony - zaczęła.
- Byłej żony - poprawił.
- Sądzę jednak, że nie ma czego się obawiać. Ona ma piętnaście lat. W tym wieku lubi się eksperymentować. Mogło być gorzej.
- Na przykład narkotyki?
- Właśnie. Ona po prostu szuka swego miejsca na świecie. Kiwnął głową i zaczął jeść hot doga. Twarz i ręce miał

ogorzałe od wiatru i słońca jak ktoś, kto lubi przebywać na powietrzu. Przyprószone siwizną kasztanowe włosy, z białymi pasmami na skroniach, były trochę za długie jak na kogoś, kto służył w marynarce. Wyraziste oczy o ciemnoniebieskiej barwie przypominały odcieniem zatokę w Maine.

- Czy przyszła tu z tobą? - spytała, rozglądając się wokół.
- Secret? - Uśmiechnął się. - Nie, została w domu. Ja jestem tu służbowo. Zabieram ludzi na przejażdżki samolotem, takie jak odbyłem z tobą nad Fort Cromwell.
- To był wspaniały lot. Często go wspominam.
- Naprawdę?
- Tak. Wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że... - Przełknęła łyk gorącej czekolady, by zapanować nad emocjami.
- Że co?
- Że wyzdrowiałam -dokończyła z uśmiechem.

Promieniała zdrowiem i radością. Zadrżała mimowolnie, wciąż nie mogąc uwierzyć, że żyje i stoi teraz na dworze w ten piękny jesienny dzień.

- Cieszę się -powiedział, dotykając ramienia Sary.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przez kilka ostatnich nocy leżała bezsennie, zastanawiając się, czy powinna pojechać do domu na Święto Dziękczynienia, a jeśli tak, to jak się tam dostać. Teraz znalazła odpowiedź.

- Czy odbywasz również i dłuższe loty? Na przykład do Maine?
- Tak - odparł. - Bardzo często. A dokładnie gdzie?
- Na wyspę Elk.

Zamknął oczy, jakby usiłował zlokalizować to miejsce na mapie.

- To na północy stanu - wyjaśniła. - Taka mała wysepka za zatoką Penobscot, prawie przy wyspie Mount Desert.

- Czy jest tam jakieś miejsce do lądowania?

- Tak, porośnięty trawą pas startowy.

- Moje samoloty lubią takie pasy - uśmiechnął się. -Kiedy chcesz lecieć?

- W tym właśnie problem. Na Święto Dziękczynienia. Pewnie masz już jakieś plany, więc... Jeśli pracowałbyś w ten weekend.

- Pracuję - powiedział.

- To może pomyślisz o tym? Zastanów się nad ceną i daj mi znać, dobrze?

- W porządku - skinął głową. -Trzeba będzie sprawdzić prognozę pogody. Mój samolot ma wszystkie potrzebne przyrządy, ale o tej porze roku niczego nie można być pewnym. To będzie drożej kosztować.

Kiwnęła głową i z trudem przełknęła ślinę. Czynione w tej chwili plany przybliżały ją do celu. Zobaczy Mike'a! Poczuła wzbierającą radość i już miała się roześmiać, gdy nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od wielu lat będzie musiała stanąć twarzą w twarz z ojcem. Nigdy nie pogodził się z tym, że dorosła, że wyjechała z wyspy, by wstąpić do college'u, a potem wróciła, by zajść w ciążę i wywołać skandal. Po śmierci matki pogrążył się w smutku i w miarę upływu lat coraz bardziej gorzkniał. Przywoziła więc co roku Mike'a na wakacje, lecz w końcu zrezygnowała z tego.

- Skontaktuję się z tobą - powiedziała, podając Willowi rękę.

- Dobrze - uścisnął jej dłoń i spojrzał na zegarek. Był wielki, ciężki i silny, tak jak jego ręka. -Muszę już wracać do pracy.

- Szczęśliwego lotu.

- Dzięki - odparł i ruszył w swoją stronę.

Sara objęła dłońmi kubek z gorącą czekoladą. Oddalający się Will odwrócił się nagle i zawołał:

- Saro!

Zbliżając się do siebie, znaleźli się w samym środku grupy młodzieży. Sara popychana ze wszystkich stron przycisnęła łokcie do boków, starając się zajmować jak najmniej miejsca. Stanęli z Willem przed straganem udekorowanym ciemnoczerwonymi wzorzystymi

girlandami, zakrzywionymi mieczami i magicznymi lampami. Z wnętrza dochodziły dźwięki muzyki hinduskiej, a umieszczony napis w górze głosił: *Cygańskie sekrety Orientu. Przepowiadanie przeszłości ze światła wiecznego ognia.* Nagle ze straganu wybiegł chłopak, a za nim mężczyzna w turbanie.

- Zatrzymać go! - krzyknął. - Zdmuchnął wieczny ogień. Wieczny ogień - powtórzył zrozpaczony.

- Ojej, to poważna sprawa -stwierdził Will. Sara uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- W zeszłym roku zdmuchnął go mój syn. Pewnie to należy do tradycji.

- Ach, ta młodzież -westchnął Will.

Wyglądali jak dwoje turystów zagubionych w tłumie. Sara patrzyła mu w oczy, które były teraz bardziej błękitne niż niebo. Najwyraźniej zapomniał, po co ją zawołał.

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Secret mieszka razem z matką i ojczymem - wyjaśnił. -To znaczy jest moją córką, ale nie mieszka ze mną i Święto Dziękczynienia spędzi z Alice. Mogę więc polecieć z tobą do Maine.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy pojawiła się kolejna grupa chłopców. Pomyślała, że może rozpozna wśród nich dawnych kolegów Mike'a. Wszyscy mieli na sobie kurtki klubowe z sąsiedniego miasta. Jeden z nich strącił nagle jej kapelusz z głowy. Zsuwające się rondo boleśnie uderzyło ją w bliznę na karku.

- Przepraszamy! -krzyknął jeden z nich. Mimowolnie otworzyła usta, spojrzała na Willa i odczytała w jego oczach swój własny wstyd. Spuściła głowę, by ukryć napływające łzy, i poczuła, jak obejmują ją jego ramiona. Delikatnie przyciągnął ją do siebie i dotknął palcami szyi. Mimo że od tygodni chodziła bez kapelusza, złośliwy żart chłopców i świadomość, że wkrótce zobaczy Mike'a, sprawiły, że ogarnął ją wstyd i skrępowanie z powodu jej okropnych włosów.

- Są naprawdę ładne - szepnął Will.

- Są ohydne - rozpłakała się. - Mój syn je znienawidzi.

- Nieprawda.

- Uciekł ode mnie, kiedy zachorowałam. Nigdy nie widział mnie w takim uczesaniu. Nie zdążą mi odrosnąć do Święta Dziękczynienia.

- To zobaczy cię taką, jaka jesteś - szepnął z ustami przy jej uchu. - Zawiozę cię do niego.

- Jeśli w ogóle zdecyduję się pojechać.

- Zdecydujesz się.

- Skąd wiesz? - Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Bo jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką znam - odparł.

Secret siedziała na tylnym siedzeniu range rovera Juliana i kipiała ze złości. Matka i Julian obiecali, że pojadą na festyn, tymczasem w drodze zmienili zdanie. Wstąpili do sklepu z antykami i od sprzedawcy dowiedzieli się, gdzie można kupić wiktoriański stojak na parasole.

- Nie mogę w to uwierzyć -powiedziała.- W co? - spytał Julian.

- Że zmuszacie mnie, żebym zrezygnowała z festynu dla jakiegoś głupiego stojaka.

Zachichotał i spojrzał na siedzącą obok Alice. Rozdarta między lojalnością wobec męża i wobec córki, uśmiechnęła się do niego znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Zabawne z niej dziecko, więc nie złość się na nią". Przypominała śliczną porcelanową laleczkę: złociste włosy, klasyczne rysy twarzy. Czasem wyglądała, jakby miała się rozpaść.

- To niesprawiedliwe.

- Cierpliwości, pojedziemy na festyn - zapewnił ją Julian, spoglądając we wsteczne lusterko. Zapalił dwa papierosy i podał jeden Alice. Jeszcze jeden powód, dla którego Secret go nienawidziła: przez niego matka znów zaczęła palić po pięcioletniej przerwie.

- Nie chodzi tylko o stojak na parasole -powiedziała Alice, wydmuchując dym na kolana, jakby chciała ukryć go przed córką. - Przykro nam z powodu festynu, kochanie, ale jest też do kupienia piękny rzeźbiony wieszak, z haczykami, wielkim lustrem i ławą. Dziś po południu wystawiono go na aukcji, jeśli uda się nam go kupić, będzie wspaniale wyglądał w foyer.

- Tak to już jest z wielkim domem - odezwał się Julian. -Potrzeba do niego wiele pięknych mebli. Teraz gdy ty i twoja mama mieszkacie ze mną, chciałbym, żeby był jeszcze ładniejszy.

- Nie jestem materialistką - burknęła Secret. - Niczego nie potrzebuję.

- Kochanie... -zaczęła ostrzegawczym tonem Alice.

- Daj spokój - przerwał jej Julian, patrząc znacząco, jakby chciał powiedzieć: „Niech sobie pogada".

Secret zsunęła się na siedzeniu i ściągnęła czapkę na oczy, lecz tak, by mogła patrzeć przez okno. Obserwowała mijane pola i farmy. Krowy, ciągle krowy. Tak bardzo zapragnęła zobaczyć łodzie, że poczuła bolesny ucisk w gardle. Chciała odetchnąć słonym powietrzem i poczuć na twarzy morską bryzę. Wpatrując się w tył głowy Juliana, żałowała, że nie potrafi sprawić, by zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Przez rok był szefem matki. Potem rozwiodła się z ojcem i wyszła za niego. Był właścicielem firmy Von Froelich Precision, która produkowała samochody wyścigowe dla bogatych facetów. Zjeżdżali do niego zawodowi bokserzy i gwiazdy rocka, by zamówić szybkie i wspaniałe auta. Matka Secret pracowała tam jako sekretarka i przynosiła do domu opowieści o sławnych ludziach, z którymi rozmawiała, o gwiazdach kina ubranych w stare dżinsy i zniszczone buty, denerwujących się jak zwykli śmiertelnicy, że muszą wydać tyle pieniędzy.

Pewnego dnia zaczęła też mówić o Julianie von Froelichu. O tym, jaki to interesujący człowiek, że brał udział w wyścigach samochodowych w Lime Rock i w Laguna Seca, a nawet raz jeździł w Le Mans, i że chociaż jest taki sławny, odznacza się niezwykłą skromnością. Nie znosi, kiedy ludzie wypytują go o Paula Newmana, choć to jego przyjaciel. Co roku finansuje puchar dla zwycięzcy w zawodach organizowanych przez miejscowe liceum i pozwala dzieciakom posiedzieć w samochodzie wyścigowym.

Przede wszystkim jednak opowiadała, jaki to z niego wspaniały szef, bo zrobił z niej cenionego pracownika firmy. Stała się równie ważna jak jego główny mechanik. Kiedy jej mąż zajęty był lekturą gazet i oglądaniem programów telewizyjnych, ona budowała sobie nowe, bajeczne życie. Secret i ojciec rozpaczali po stracie Freda i byli tak pogrążeni w smutku, że nie zauważyli, że matka coraz bardziej się od nich oddala. Rok temu rodzice się rozeszli, a miesiąc po rozwodzie matka wyszła za mąż za Juliana.

- Wiesz, że takim samochodem jeździ królowa angielska? -

spytał Julian.

Secret uniosła głowę i zobaczyła, że patrzy na nią we wstecznym lusterku.

- No i co z tego? -burknęła.
- Myślałem, że to cię zainteresuje, skoro jesteś taką anglofilką.
- Interesuje mnie, kiedy pojedziemy na festyn.

Chciała zobaczyć się z ojcem. Do trzeciej odbywał loty widokowe, więc chciała być tam wcześniej. Spojrzała na zegarek.

- Jest prawie druga. Wkrótce będzie za późno, by w ogóle tam jechać. Gdybym wiedziała, że pojedziecie po stojak na parasole, umówiłabym się z przyjaciółmi.
- Ludzie, których interesują tylko małe sprawy, mają nieciekawe życie - powiedział Julian.
- Zgadzam się -odparła Secret.
- Jesteś zbyt inteligentna, by bawić się na festynie. Jest tam tylko kupa taniego towaru na sprzedaż i źle zorganizowane wyścigi, wręcz niebezpieczne. To impreza poniżej twojego poziomu. Chcę pokazać ci naprawdę piękne rzeczy.
- Myślałam właśnie o tym, co jest małe - weszła mu w słowo.
- Kochanie -ostrzegła matka, chcąc uciąć dyskusję.
- Tak? Co takiego? - spytał Julian, patrząc we wsteczne lusterko. Miał przymilne, zielone oczy szczeniaka. Chciał, żeby go polubiła, ale nic z tego. Długie, ciemnokasztanowe włosy związywał w kucyk. Uważał, że nadaje mu to seksowny wygląd i upodabnia do jednej z gwiazd rocka czy filmu. Ona zaś uważała, że nosi się pretensjonalnie. Ciekawe, jakby zareagował, gdyby mu powiedziała, że z tyłu ma łysinę wielkości srebrnej dolarówki.
- Co takiego? -powtórzył Julian, nie spuszczając z niej wzroku.
- Ludzie, którzy ciągle coś kupują -powiedziała cicho.

Nic na to nie odpowiedział.

- Żal mi ich -dodała.
- Susan, przecież lubisz robić zakupy -wtrąciła matka.
- Nie przerywaj jej. - W głosie Juliana brzmiała uraza. -Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.
- Tak? No to proszę. Jak tylko macie wolną chwilę, jedziecie nabyć coś drogiego. Ile można mieć bezcennych antyków? -

Pomyślała o garażu zastawionym stołami z mahoniu, szafkami z drewna różanego i ławami z drewna tekowe-go. -Mógłbyś otworzyć własny sklep.

- Nie mam takiej potrzeby - odparł.

- Wiem. - Pomyślała o Sarze Talbot. Sprzedawała piękne rzeczy, ale robiła to, by uszczęśliwić ludzi. Chciała, by studentom było przyjemnie i ciepło pod grubymi kołdrami i miękkimi wełnianymi kocami. Mieszkali daleko od rodziców, ale mniej odczuwali rozłąkę z domem dzięki rzeczom z jej sklepu. Ciekawe, czy Sara poszła na festyn.

- Kochanie, dostajesz od Juliana tyle pięknych rzeczy, jak możesz być taka niewdzięczna?

- Tata daje mi wszystko, czego mi trzeba. Julian prychnął wzgardliwie.

- Chciałeś coś powiedzieć? - spytała i czując nagły ucisk w piersi, zaczęła spazmatycznie oddychać.

- Masz rację, masz absolutną rację - powiedział.

- Czemu więc prychnąłeś?

- Och, bez powodu. To wszystko prawda, co powiedziałaś o ojcu. Ubiera cię, przysyła pieniądze na jedzenie, ale...

- Ale *co?* - Była bliska krzyku.

- Myślę, że ważne jest, gdzie kupuje ci ubrania. Skoro supermarket ci odpowiada, to w porządku.

- Odpowiada.

- Jesteś jeszcze młoda, Susan, ale pewnego dnia takie nazwy jak Armani czy Chanel zaczną coś dla ciebie znaczyć. Chcę traktować cię jak księżniczkę. Nie mam własnej córki. Jakoś nie wystawiłaś obrazów Gainsborougha na korytarz. Pilot to wspaniały zawód, ale jego pensja nie wystarczy na dzieła sztuki.

- Julianie, myślę, że już dość powiedziałeś -wtrąciła Alice.

- Chciałem tylko, żeby zrozumiała - powiedział, gładząc ją po głowie - jak ten świat jest zbudowany.

- Nie mów nic na temat jej ojca - odparła stłumionym głosem. - Nie mów nic złego o Willu.

Matka usiłowała bronić ojca, ale było za późno. Secret dostała ataku duszności. Zaczęła spazmatycznie chwytać powietrze, tłumiąc

jednocześnie zbierający w niej szloch. W płucach czuła ból, a w gardle płomień, lecz nie to było najgorsze. Zraniono jej serce. Miała wrażenie, jakby ktoś trzymał je w żelaznym uścisku i chciał rozerwać na strzępy.

Sięgnęła do kieszeni po inhalator, przytknęła do ust i zaciągnęła się głęboko. Płyn w zbiorniczku zasyczał, a płuca wydęły się jak balon. Matka odwróciła głowę i spojrzała na córkę, jakby chciała spytać, czy atak przechodzi. Secret kiwnęła głową. W jej oczach błyszczały łzy. Popatrzyły na siebie w milczeniu. W ich wzroku płonęła tęsknota za czymś, co bezpowrotnie utraciły.

Kiedy matka odwróciła się do Juliana, by go jakoś udobruchać, Secret była już daleko stąd. Z zamkniętymi oczyma żeglowała po zatoce Narragansett. Na tle błękitnego wrześniowego nieba odcinała się biała wieża kościoła Świętej Trójcy. Na powierzchni wody unosił się żaglowiec. Ojciec trzymał rumpel, a Fred sterował żaglem. Secret i jakaś pani siedziały na tyle i śmiały się radośnie, chłonąc w płuca wiatr. Kobieta promieniała szczęściem, a jej oczy jaśniały miłością. Secret czuła, że to powinna być jej matka, ale tak nie było. Matka wydawała właśnie pieniądze z Julianem. Zacisnęła dłonie, starając się zatrzymać obraz. Dzień był piękny, woda w zatoce spokojna, ojciec i Fred roześmiani. Siedząca przy niej kobieta trzymała termos z gorącym jabłecznikiem. Płynęli na wyspę, tajemniczą wyspę, na której żadne z nich nigdy nie było. Mieli tam zrobić sobie piknik. Kobieta spojrzała z uśmiechem w słońce, po czym odwróciła się do Secret i dotknęła jej ramienia. Miała miłą, przyjazną twarz Sary Talbot.

## Rozdział V

Sara siedziała na leżance w szpitalnej koszuli, czekając na doktora Goodacre'a. Każda comiesięczna wizyta wymagała od niej dużych pokładów cierpliwości. Doktor Goodacre był neurochirurgiem i większość przypadków, którymi się zajmował, to były kwestie życia lub śmierci. Specjalizował się bowiem we wszelkich obrażeniach mózgu. Trafiały do niego ofiary wypadków z urazami głowy, motocykliści jeżdżący bez kasków, dzieci skaczące na głowę do

płytkiej wody, jeźdźcy spadający z koni i ludzie z nowotworami mózgu.

Do gabinetu weszła Vicky -pielęgniarka doktora. Otworzyła szafkę i zaczęła czegoś w niej gorączkowo szukać. Westchnęła, zamknęła drzwiczki i wysunęła szufladę. Była szczupłą kobietą niewielkiego wzrostu, o kasztanowych włosach i wspaniałej figurze. Poza pracą musiała zapewne uchodzić za atrakcyjną kobietę. Niestety atmosfera napięcia panująca w szpitalu czyniła z niej osobę nerwową i zgorzkniałą.

- Cześć, Vicky - powiedziała Sara.
- Cześć -odparła z roztargnieniem pielęgniarka.
- Wziął cię do galopu?
- Potrzebuję torby z narzędziami i to na przedwczoraj. Sara roześmiała się. Przez *ostatnie* dziewięć miesięcy miała

okazję obserwować doktora przy pracy i doskonale wiedziała, co Vicky ma na myśli. Był świetnym specjalistą, lecz koszmarnym szefem.

Siedząc na brzegu leżanki, patrzyła, jak Vicky wybiega z gabinetu. Chciała spytać, jak długo będzie musiała czekać, i czy można by zmniejszyć temperaturę w pokoju, lecz zrezygnowała z tego. Choroba nauczyła ją nie zwracać uwagi na drobiazgi. Koncentrowała się jedynie na istotnych sprawach, pozwalając, by mniej istotne same się ułożyły.

Wreszcie doktor pojawił się w gabinecie. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, miał na sobie czarny garnitur, biały fartuch i koszulę z jasnożółtym krawatem. Z krótko ściętymi ciemnymi włosami przypominał Abrahama Lincolna, chociaż nosił okulary w drucianej oprawie i był bez brody. Z powagą na twarzy sięgnął do stojącej za drzwiami kartoteki i wyciągnął kartę Sary.

- Dzień dobry, doktorze -powiedziała Sara.
- Witaj, Saro.
- Straszny tu dziś ruch.
- Mhm.

Marszcząc czoło, zaczął przeglądać historię jej choroby. Sary nie przestraszył surowy wyraz jego twarzy. Wiedziała, że taki ma sposób bycia, że to jego forma obrony przed zbyt emocjonalnym

angażowaniem się w najtrudniejsze przypadki. Uratował jej życie i wręcz go uwielbiała.

- Odczuwasz jakieś bóle?
- Tylko gdy dotykam blizny.
- Czujesz drętwienie lub mrowienie?
- Nie.
- Żadnych ataków? - pytał dalej ze wzrokiem utkwionym w papierach.
- Od lipca żadnych.

Zamknęła oczy i wypowiedziała w myślach dziękczynną modlitwę. Bała się ataków. Miała już trzy, łącznie z tym, po którym zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Dziewięć miesięcy temu była absolutnie zdrowa, przebiegała siedem mil dziennie i szykowała się do wzięcia udziału w swoim pierwszym maratonie. Pewnego dnia ocknęła się na podłodze w kabinie prysznicowej. Z kranu lała się gorąca woda. Nie pamiętała, jak tu weszła i jak długo leżała. Musiała zebrać wszystkie siły, by doczołgać się do telefonu i wezwać karetkę.

Początkowo uznano, że to atak serca. Nie mogła się ruszyć, nie mogła mówić. Czuła ciężar w nogach i widziała podwójnie. Kardiolodzy podłączyli ją do monitora, zalecili zrobienie EKG i EEG. Elektroencefalogram wykazał zmiany w mózgu i przekazano ją na oddział neurochirurgii. Tam stwierdzono nowotwór.

Doktor Goodacre odłożył kartę i spojrzał jej w oczy. Po- czuła mocny męski zapach i uśmiechnęła się.

- Gdybym miała przyjaciela, kupiłabym mu taką wodę kolońską.
- Siądź prosto i zamknij oczy - polecił, nie odpowiadając na jej uśmiech. - Teraz wyciągnij ręce przed siebie.

Domyśliła się, że chce sprawdzić, czy nie ma drżenia rąk.

- A teraz wyciągnij ręce w bok.

Jak skrzydła samolotu lecącego do Maine, pomyślała.

- Teraz dotknij palcem lewej ręki do nosa. Teraz prawej. Oczy zamknięte. Bardzo dobrze.

Sara czuła się jak dziecko badane przez szkolną pielęgniarkę. Siedząc z zamkniętymi oczyma i chłonąc znajomy zapach doktora Goodacre'a, czuła się bezpieczna. Pierwszy raz przyszła do niego, by zasięgnąć opinii specjalisty. Poprzedni lekarz, w małym

prowincjonalnym szpitalu, powiedział, że ma osteogenicznego mięsaka, najgroźniejszy z nowotworów. Oznajmił, że leczenie tylko przedłuży to, co i tak nieuniknione, i nawet gdyby zdecydowała się na operację, dał jej dziesięć tygodni życia. Poradził, żeby pojechała do Paryża, jadła swoje ulubione potrawy i pożegnała się z bliskimi. Mówiąc to, trzymał ją za rękę. Był godnym szacunku mężczyzną w podeszłym wieku. W jego głosie brzmiało współczucie i smutek.

Odesłał ją do domu. Zwinęła się na łóżku, myśląc o Paryżu, Mike'u i dziesięciu tygodniach życia, jakie jej pozostały. Czy przez to właśnie musiała przechodzić jej matka? Modliła się do niej we łzach. Jej osłabiony organizm wymagał pomocy pielęgniarki. Wtedy to poznała Meg Ferguson. Tydzień później Mike wyjechał do Maine, a dziesięć dni później, kiedy podzieliła się Meg swoimi obawami, usłyszała od niej niosącą nadzieję radę: zasięgnij porady specjalisty.

Było to jak światełko w ciemności, nadzieja po całkowitym załamaniu. Uświadomiła sobie, że nie potrafi pogodzić się z wyrokiem śmierci. Jej matka była zbyt odizolowana na wyspie, by walczyć z chorobą, lecz ona nie. Ona również była matką, jej syn uciekł do Maine, nie chciała jechać do Paryża i nie mogła umrzeć na raka. Po prostu nie mogła. Niemal słyszała głos matki, błagający, by się nie poddawała. Meg zdobyła nazwisko i telefon do neurologa i tak Sara trafiła do doktora Goodacre'a.

- Zamierzam wyjechać - poinformowała go teraz.
- Tak? - Badał tył jej głowy.
- Do Maine. Zobaczyć się z synem.
- Aha - mruknął, dotykając palcami blizny. Guz znajdował się w okolicy opon mózgowych, między czaszką a mózgiem. Tkwił w zatoce nerwowej, toteż usunięcie go było prawdziwym wyzwaniem dla chirurga, bo najmniejszy błąd groził paraliżem lub śmiercią. Doktorowi Goodacre'owi udało się uniknąć błędu. Żeby dostać się do środka, musiał wyciąć spory otwór w czaszce w kształcie litery U. Blizna wyglądała jak wielki czerwony uśmiech.
- Opowiadałam panu o nim. Ma na imię Mike. Wyjechał do Maine tuż przed moją pierwszą wizytą u pana.
- Do college'u? - spytał, nadal oglądając bliznę.
- Nie, by zamieszkać z moim ojcem.

Zamknęła oczy. Starała się stłumić uczucie zawodu. Czy dlatego, że doktor tak wiele dla niej znaczył, powinien pamiętać szczegóły z jej życia? Przy tylu pacjentach byłoby to niemożliwe. Jednak świadomość, że dotyczą one Mike'a, wcale nie poprawiła jej nastroju.

- Chciałaby pani wiedzieć, co o tym sądzę? - spytał.

- Tak.

- Nie widzę przeciwwskazań. - Oparł się o niską szafkę i po raz pierwszy spojrzał na nią z uwagą, jak na człowieka, a nie jak na przypadek kliniczny. - Pytała pani doktor Boswell?

- Nie - odparła. - A powinnam?

Doktor Boswell była onkologiem. To ona zaleciła dwie serie chemioterapii i nadzorowała naświetlania. Jednak dla Sary wyrocznią był zawsze doktor Goodacre. To on zdefiniował jej nowotwór jako limfomatyczny, znacznie mniej groźny od mięsaka, i dał nadzieję na wyzdrowienie. To w nim pokładała ufność, z nim wiązała nadzieje i obawy.

- Powiem Vicky, żeby do niej zatelefonowała - oznajmił, zapisując coś w karcie. - Jeśli ona się nie sprzeciwi, ja wyrażam zgodę.

- Naprawdę?

- Wiesz, jaką drogę musieliśmy pokonać, Saro. Zrobiłaś wszystko, co zaleciliśmy, i wyniki są obiecujące.

- Oby tylko nie nastąpił nawrót -powiedziała. Czy to nie brzmi głupio? - pomyślała. Przecież nikt tego nie chce.

- Wiem. Jednak trudno przewidzieć. Nowotwór miał bardzo skomplikowane umiejscowienie i jest raczej złośliwy...

Urwał. Wyraz jego twarzy dopowiedział resztę. Wierzył w inteligencję i intuicję Sary. Nie musiał niczego wyjaśniać. Mogła przeżyć lub nie. Wiedziała, jakie cierpienia niesie ze sobą rak. Była przecież świadkiem śmierci matki. Widziała, jak ojciec usychał z rozpaczy.

- Chciałabym zobaczyć syna -powiedziała cicho. -Pojechać do domu.

Skinął głową.

- Bądź jednak czujna. Jeśli tylko poczujesz oznaki drętwienia lub mrowienia, natychmiast skontaktuj się ze mną. Nie widzę jednak

powodu, dla którego nie miałabyś pojechać.

- Dziękuję - odrzekła, promieniejąc, jakby właśnie wygrała los na loterii.

- Chcę cię tu widzieć za miesiąc -oznajmił, po czym odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Panie doktorze. - Nigdy nie pytała go o sprawy osobiste, lecz teraz zebrała się na odwagę. -Jak się czuje pański ojciec?

Ostatnim razem słyszała, jak Vicky mówiła, że miał atak serca.

- Lepiej - odparł, zatrzymując się z ręką na klamce. Spojrzał na Sarę z zaciekawieniem, jakby zastanawiał się, skąd wie o jego ojcu. - Niestety, mieszka na Florydzie i nie mogę być przy nim. Cała opieka spada więc na mojego brata. - Czy pański brat dobrze się z niej wywiązuje?

- To prawdziwy anioł - powiedział z mocą. Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy, po czym zerknął w górę

i znowu na Sarę. Rozumiała, co znaczy kochać kogoś na odległość, martwić się o niego i pokładać ufność w drugiej osobie. W pewnym sensie brat doktora opiekował się również i nim.

- To dobrze, że ma pan takiego wspaniałego brata -powiedziała.

- Oby każdy miał kogoś takiego jak on - odpowiedział. To był zupełnie jej nieznany doktor Goodacre. Skinęła

głową, a on stał jeszcze chwilę, po czym wyszedł.

Została sama. Zamknęła oczy. Poczuła, jak mocno bije jej serce. Wyciągnęła ramiona przed siebie, a potem w bok. Nigdy nie miała takiego wspaniałego brata jak doktor. Zaraz jednak pomyślała o Willu Burke'u i o tym, jak trzymał ją w ramionach na festynie. Wkrótce zabierze ją do domu, do Mike'a.

Will jechał długim podjazdem. Droga prowadząca na wzgórze Windemere wiła się wśród dębowych i sosnowych lasów. W nocy spadł śnieg i gałęzie uginały się pod naporem białego puchu. Na szczycie rozciągał się szeroki trawnik przysypany śniegiem, obsadzony krzewami bukszpanu. Było piątkowe popołudnie i Will miał zabrać córkę do siebie.

Na końcu trawnika wznosił się okazałych rozmiarów dom Juliana, górujący nad zimową scenerią. Przed wejściem stały dwa stare ferrari, a w otwartym garażu porsche. Will zaparkował samochód, tłumiąc w

sobie uczucie niechęci do faceta, który nie dość, że był bogaty, to zdobył jeszcze Alice i Susan.

Zdziwił się, gdy przed dom wyszła Alice, a nie Susan. Jej widok zaparł mu dech w piersiach. Nadal była piękną kobietą o kremowej karnacji, dużych błękitnych migdałowych oczach, złocistych lśniących włosach i kształtnej figurze. Miała na sobie obcisły sportowy kombinezon w szarym kolorze i krótkie czarne botki.

Odkąd urodziła córkę, to znaczy od piętnastu lat, bezskutecznie starała się zlikwidować lekko zaokrąglony brzuch. Niezdolny poskromić swą ciekawość, Will sprawdził, czy coś się zmieniło w jej figurze. Stwierdził, że nic.

- Susan prosiła, żebyś chwilę na nią poczekał -powiedziała zdyszanym głosem, krzyżując ręce na piersi. Z jej ust wydobywały się małe obłoczki pary.

- Nie ma sprawy.

Wysiadł z samochodu i oparł się o drzwi. Miał na sobie dżinsy i stary zielony sweter. Było zimno i z trudem opanował chęć podania Alice skórzanej kurtki, która leżała na tylnym siedzeniu.

- Ostatnio miała okropne ataki duszności.

- Tak?

- To wszystko na tle psychicznym. Wszyscy o tym wiemy. Potrafi wywołać te ataki, jak tylko coś jest nie po jej myśli. Nie winię jej za to, wiele przeszła, ale ona stale musi być w centrum uwagi.

- Byłem taki sam, kiedy miałem piętnaście lat - uśmiechnął się Will.

- I nadal tak jest.

Czy to miał być żart? - pomyślał Will. Nie potrafił tego ocenić, bo spuściła głowę i wpatrywała się w buty. Były to stare skórzane buty i miały jedynie nowe zelówki. Ciekawe, czy pamięta, jak kupowała je dla niego przed pięciu laty, tej pierwszej zimy, kiedy sprowadzili się do Fort Cromwell.

- Chciałem porozmawiać z tobą o Święcie Dziękczynienia - powiedział.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Święcie Dziękczynienia? Susan zostaje ze mną. Planujemy...

Uniósł w górę dłoń w geście pojednania. Boże, każda ich

rozmowa zmieniała się w kłótnię, a najdrobniejsza sprawa urastała do rangi problemu. Przypomniał sobie, jak przed laty planowali ten świąteczny dzień. Alice przygotowywała Freda do szkolnego przedstawienia, w którym grał Johna Aldena, a Susan jedną z dziewcząt. Zastanawiali się, do czyich rodziców pojadą i co upieką na obiad, szarlotkę czy ciasto z dyni, a może jedno i drugie.

- Przecież wiesz, że wszystkie święta spędza ze mną. Taka była umowa.

- Wiem, nie denerwuj się. Tylko pytałem.

- Boże, ciągle się ze sobą kłócimy - powiedziała, mocniej zaciskając ramiona.

- To nie była żadna kłótnia. Chciałem ci tylko powiedzieć, że wyjeżdżam z miasta.

- W porządku.

- No to świetnie.

- Dokąd się wybierasz? - spytała po chwili, unosząc wzrok.

Dostrzegł w jej spojrzeniu jakiś nowy wyraz. Czyżby troskę? Słyszał o żonach, które rozwodziły się, układały sobie nowe życie i nagle zaczynały interesować się byłymi mężami. Czyżby ona również? Szczerze w to wątpił.

- Lecę do Maine. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć, na wypadek gdyby te ataki astmy się nasiliły lub gdybym był potrzebny.

Skinęła głową.

- Zresztą nic jej nie będzie -dodał. -Secret da sobie radę.

- Secret? Jezu, Will! Zapomniałeś, że daliśmy jej na imię Susan? Po kimś, kogo mogłaby szanować...

- Tak, po Susan Mallory - powiedział, myśląc o swojej babce.

- Nie daj się wciągać w te zabawy z imieniem. Według mnie to nienormalne. Julian uważa, że potrzebna jej pomoc psychiatry.

- To znaczy, że jej nie potrzebuje - odparł, czując wzbierający gniew. - Skoro on tak twierdzi. Nie powiedziałaś mu, że już to przerabialiśmy, kiedy przyjechaliśmy do Fort Cromwell?

- Oczywiście że tak. Nawet zna doktora Darrowa.

Splotła ze zdenerwowania palce, na których błysnął pierścionek z ogromnym brylantem i obrączka wysadzana brylancikami i szmaragdami. Will wciągnął wolno powietrze w płuca.

- Cześć! - W drzwiach pojawiła się Susan z plecakiem, bawełnianą torbą i małą paczką.

Wyglądała jak gwiazda wbiegająca na scenę: promienny uśmiech, teatralna poza, entuzjazm, jakby witała swoją wierną publiczność. Will uśmiechnął się lekko i objął ją ramieniem.

- Cześć, Secret.

- Jezu! -mruknęła Alice.

- Cześć, tato. Możemy pojechać przez miasto? Chciałabym podrzucić coś koleżance.

- Jasne.

- Na wszelki wypadek podaj mi numer telefonu tam, dokąd lecisz w Święto Dziękczynienia - rzuciła szorstko Alice.

- Wyjeżdżasz w Święto Dziękczynienia? -spytała Secret, patrząc mu niespokojnie w oczy.

- Taką mam pracę.

- Zamierzasz pracować w święto?

- Lecę do Maine z przyjaciółką Fergusonów Sarą Talbot.

- Naprawdę? - Wpatrywała się zaskoczona w trzymaną w ręku małą paczkę.

- Wzięłaś inhalator? - spytała Alice, odciągając ją od Willa, by się z nią pożegnać.

Widok byłej żony obejmującej córkę poruszył tyle wspomnień, że Will gwałtownie odwrócił wzrok. Spojrzał w stronę garażu i zobaczył Juliana w towarzystwie mężczyzny w niebieskim kombinezonie. Najwyższy czas ruszać.

- Jesteś gotowa, Secret? -spytał, biorąc jej bagaże.

- Proszę was, dajcie spokój z tym głupim imieniem -powiedziała Alice. - Bawcie się w to, kiedy jesteście sami, ale nie w mojej obecności.

- Już nie musisz nazywać mnie Secret - poinformowała ją córka. -Wczoraj o północy zmieniłam je na Snow.

- Susan... -ostrzegła Alice.

- Witaj.

Podszedł do nich Julian. Przy swoim wysokim wzroście i chudej sylwetce wyglądał jak ktoś przepracowany lub zmęczony długim biegiem. Do tego ten idiotyczny kucyk zupełnie do niego nie

pasujący. Julian musi mieć już koło pięćdziesiątki, pomyślał Will. Ubrany był w drogą zamszową marynarkę z wyszytym na piersi firmowym znakiem.

- Witaj. - Will uścisnął mu dłoń.

- Wiesz, dlaczego zmieniłam imię na Snow? -spytała napiętym głosem Susan. - Dla Freddiego. On nie mógł doczekać się zimy. To była jego ulubiona pora roku.

- Kochanie, proszę... -powiedziała Alice.

- Uwielbiał jeździć na sankach, na nartach. Pamiętacie, jak byliśmy w Mount Tom? Nawet nie chciał zrobić sobie przerwy na lunch. Jeździł i jeździł, dopóki wyciągi działały. Zrobiło się ciemno i nie mogliśmy go znaleźć. Pamiętacie?

- Nie zniosę tego. -Twarz Alice zaróżowiła się lekko.

- Uczył mnie w Newport, jak się robi anioły. Leżeliśmy na śniegu przy kościele Świętej Trójcy i patrzyliśmy na przystań. Potem kładliśmy się na plecy i machaliśmy rękami i nogami, aż zostawały ślady na śniegu. Pamiętacie?

- Pamiętam -powiedział Will, patrząc w jej błyszczące oczy.

- Przestań, kochanie. - Alice chwyciła ją za rękę. Po policzkach spływały jej łzy. -Zmiana imienia nie przywróci go do życia.

- On tak lubił śnieg - mówiła Susan jak w transie. - Spadał z nieba, przykrywał doki. Przyjęłam imię September, bo zginął we wrześniu. Zawsze dochowywał moich sekretów, więc przyjęłam imię Secret, i bardzo kochał śnieg, więc zostałam Snow.

- O Boże -jęknęła Alice. Ukryła twarz w dłoniach i wy-buchnęła płaczem.

- Może powiesz coś swojej córce -rzucił ostrym tonem Julian, obejmując Alice i patrząc gniewnie na Willa.

Will nie odpowiedział. Wziął dziewczynkę za ręce i spojrzał jej głęboko w oczy. Była wprost oszalała z rozpaczy po stracie brata. Will czuł się podobnie, Alice również. Nie mógł pracować, więc wystąpił z marynarki, zanim zdążyli go z niej wyrzucić. Teraz znów poczuł ogarniającą go rozpacz. Serce waliło mu jak młotem. Chciał przyciągnąć córkę do siebie, ale stała sztywna, patrząc nienawistnym wzrokiem na Juliana.

- Nie mów tak do mojego taty.

- Dość długo znosiłem twoje lekceważące zachowanie w stosunku do matki. Jeśli twój ojciec nie chce zwrócić ci uwagi, ja to zrobię. Bardzo ją ranisz, Susan. Jeśli potrzebna ci pomoc doktora Darrowa, załatwimy ci u niego wizytę. Ale natychmiast skończ te zabawy z imieniem.

Willa poniosło i zanim zdążył pomyśleć, Julian leżał już na śniegu, a z nosa ciekła mu krew. Alice krzyknęła, stojący z boku mechanik obserwował całą scenę, huśtając się na piętach, a Susan płakała rozpaczliwie. Will poczuł obrzydzenie do samego siebie za taki brak opanowania. Kostki dłoni pulsowały mu teraz bólem, w głowie huczało.

- Przepraszam - powiedział, stając nad Julianem. – Ale nie pozwolę, żebyś mówił w ten sposób do mojej córki.

- Pieprzony pomyleniec - burknął Julian, gramoląc się z ziemi. - Nic dziwnego, że wykopali cię z wojska. Jesteś niebezpieczny.

Will chciał podać mu rękę, ale nadal cisnęły mu się na usta obraźliwe słowa. Sprawdził tylko, czy nic Julianowi się nie stało. Następnie przeniósł wzrok na Alice, zażenowany, że przez niego płacze. Potem odwrócił się do córki i uśmiechnął niepewnie.

- Sara uważa, że Snow to piękne imię - powiedziała.

Miała szeroko otwarte oczy. Płonął w nich strach, jakby właśnie zobaczyła świat taki, jaki jest naprawdę. Wspomniała jednak o Sarze i Will poczuł, jak opuszcza go gniew. Żałował, że nie ma jej przy nim i że nie mogą polecieć, dokądkolwiek sobie zażyczy.

- Sara? Co za Sara? - pytała Alice, lecz nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Chodź, Snow - powiedział Will. Ręce mu się trzęsły. - Czas ruszać.

W milczeniu wsiedli do starego błękitnego dżipa i odjechali.

Wieczorem, w ramach cyklu koncertów organizowanych przez Marcellus College, miała wystąpić orkiestra filharmoników z Kolonii. Julian miał karnet, lecz bolał go nos i był w podłym nastroju, leżał więc na kanapie z okładem z lodu i butelką courvoisiera. Alice zaś usiłowała czytać książkę. Siedzieli w bibliotece, słuchając Sibeliusa. W kominku płonął ogień.

Kiedy Julian zaczął pochrapywać, Alice odłożyła książkę na niski

stolik i spojrzała na męża. Tak bardzo ją kochał i tak bardzo się starał jej dogodzić. Pocałowała go i wyszła po cichu z biblioteki. Ruszyła na wędrówkę po wielkim domu, wsłuchując się w szum wiatru. To był jej dom. Powtarzała to sobie, mijając portrety nie znanych jej ludzi. Przeprowadzając się tu, wierzyła, że będzie szczęśliwa. Znalazła wreszcie miłość, która miała zapewnić jej bezpieczeństwo.

Dokonała wyboru w najtrudniejszym okresie życia. Miała trzydzieści pięć lat, ustaloną pozycję i grono przyjaciół, których, jak sądziła, dobrze znała. Założyła rodzinę, wychowywała dzieci. Gdy nagle jej świat się rozpadł, nie była ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa.

Śmierć zabrała jej jedynego syna. Byli razem, kiedy to się stało. Wspominała tę scenę jak senny koszmar, w którym nikt nie robił tego, co powinien, i nie można się było z niego obudzić.

Wraz ze śmiercią syna dotychczasowe życie rozpadło się w gruzy. Córka całymi dniami rozpaczała, a mąż zamknął się we własnym piekle i przestał zwracać na nią uwagę. Czy ona w ogóle go kochała? Nie była pewna. Odtrącił ją, kiedy go potrzebowała, więc zaczęła go nienawidzić. Wystąpił z wojska i przeniósł ich daleko od znajomych i przyjaznych miejsc, pozbawiając rodzinę korzeni. Błagała go, by otrząsnął się z przygnębienia, lecz nawet jej nie słuchał. Zaangażowała się w pewnej firmie jedynie po to, by wyrwać się z domu. Pokochała najpierw swą pracę, a potem swojego szefa.

Odwzajemniał jej uczucie. Traktował ją jak królową, jak kochankę, kobietę wreszcie. Nawiązali romans, lecz on przysłonił jej cały świat, więc słowo „romans" nie oddawało tego, co do siebie czuli. Do tego właśnie stworzył ją Bóg. Dlatego gotowa była złamać serce mężowi i pozbawić córkę rodziny. Syn nie żył, lecz wyobraziła sobie, że daje jej swoje błogosławieństwo. Na pewno by chciał, żeby matka była szczęśliwa.

Czy słusznie postąpiła? To pytanie będzie ją nurtować do końca życia. Kochała swojego nowego męża, wielbiła go całym sercem, leżała obok niego w nocy i dziękowała za takie zrządzenie losu. Rzuciła pracę i zaczęła udzielać się jako wolontariuszka w szpitalu, bo była teraz bardzo bogata.

Jednak nie obyło się bez cierpienia. Widziała smutek w oczach córki, widziała załamanego mężczyznę, którego zostawiła, i obwiniała

siebie za wszystkie jego bezsenne noce. Wiedziała, że nie może spać, bo znała go lepiej niż ktokolwiek.

Snując się po wielkim pustym domu, nie mogła przestać myśleć o wybuchu wściekłości Willa, o płonącym w jego oczach gniewie, gdy zadawał cios Julianowi. Długo czekał na taką okazję. To wszystko jej wina. Winiła siebie za szaleństwo Susan ze zmianą imion, podobnie jak Will obwiniał siebie za śmierć Freda.

Wełniane pantofle przyjemnie grzały ją w stopy, kiedy chodziła ciemnymi korytarzami niczym udręczona lunatyczka. Trzeba skorzystać z nieobecności Susan i sprawdzić, czego jej brakuje z garderoby, pomyślała. Zbliżała się Gwiazdka i Julian będzie chciał jej kupić coś wyjątkowego.

Przy drzwiach do pokoju Susan znieruchomiała. Oparte o wykładaną boazerią ścianę stały dwa obrazy Gainsborougha, które dostała od Juliana. Dwa piękne obrazy w masywnych złotych ramach. Mała dziewczynka i dwa pieski.

Przypomniała sobie, co Julian powiedział w samochodzie, kiedy jechali na aukcję: że Will nie może sobie pozwolić na dzieła sztuki. Zamknęła oczy. Tego było już za wiele. Poczuła na ramionach straszliwy ciężar niezadowolenia córki i osunęła się na podłogę. Owionął ją chłodny strumień powietrza. Otuliła się ramionami i spuściła głowę. Stale zajęta problemami Susan, przestała być kobietą, w której Julian się zakochał. W końcu straci wszystko: nowe małżeństwo, bezpieczeństwo i szacunek córki.

Siedząc samotnie w kamiennym pałacu Juliana, wyszeptała jedno słowo: „Pomocy!".

# Rozdział VI

Ledwie Sara zdążyła otworzyć sklep w sobotni poranek, zabrzęczał dzwonek nad drzwiami. Słońce świeciło jej prosto w oczy, pochyliła więc głowę, by zobaczyć, kto przyszedł. W progu stał Will Burke z córką. W rękach trzymali dwie białe papierowe torby.

- Byliśmy tu wczoraj wieczorem, ale już zamknęłaś -powiedziała dziewczyna.

- Rzeczywiście -przyznała Sara. -Postanowiłam pójść do kina,

dlatego wcześniej zamknęłam. Co tam macie?

- Przynieśliśmy ci śniadanie - odezwał się Will. Wyglądał niezwykle ponętnie w zielonej sportowej kurtce, z opaloną twarzą. Kiedy mrużył oczy przed słońcem, w kącikach szaronie-bieskich oczu pojawiały się zmarszczki.

- Czytacie w moich myślach -uśmiechnęła się Sara. -Umieram z głodu.

- Naprawdę? - upewniła się dziewczyna.

- Tak, Snow. Burczy mi w brzuchu.

Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze i przykryła usta dłonią. Wyglądała blado, a pod oczami miała cienie.

- Skąd wiedziałaś, że zmieniłam imię?

- Przecież mówiłaś mi, że chcesz być Snow na zimę. Spójrz przez okno -powiedziała Sara, wskazując na pokrytą śniegiem ulicę, dachy, drzewa i pomnik generała Jamesona Cromwella.

Córka i ojciec popatrzyli na siebie. W oczach Snow było widać, że ścierały się w niej gwałtowne uczucia. Zacisnęła dłonie, lecz po chwili zaczęła się uspokajać. Odetchnęła głęboko, zdjęła z szyi gruby szalik i rzuciła go na pokryte adamaszkiem łóżko.

- Siadajcie - powiedziała Sara, robiąc miejsce na pączki, kawę i sok. Pączki nie należały do „zdrowej żywności", były zbyt słodkie i smażone na oleju, ale za nic na świecie nie przepuściłaby takiej okazji.

Will z córką przyglądali się, jak wbija zęby w pulchny placuszek, delektując się każdym kęsem. Jej życiowe motto brzmiało: Jeśli już coś postanowisz zrobić, powinieneś robić to chętnie. Nie jest to łatwe, ale warto spróbować.

- Słyszałam, że wybierasz się do Maine -powiedziała Snow, stawiając na biurku małą białą torbę. Sara chciała do niej zajrzeć, lecz dziewczyna dała znak, żeby zrobiła to później. Lekko zdziwiona, odsunęła paczkę na bok.

- Z pięciodniowej prognozy wynika, że będzie chłodno, ale pogodnie - powiedział Will. -Nie przewiduje się żadnych burz.

- Po co lecisz do Maine? - spytała Snow.

- Zobaczyć się z synem.

- Masz syna? - Zaskoczona, omal nie upuściła pączka.

- Tak. Ma na imię Mike. Jest trochę starszy od ciebie.

- Nie mieszkacie razem? Dlaczego? Pewnie jest z ojcem, tak?
- Snow... -powiedział z wyrzutem Will.
- Nic nie szkodzi. Bardzo lubię o nim mówić. To chłopak o zdecydowanych przekonaniach, prawdziwy indywidualista. Jakiś rok temu porzucił szkołę i pojechał na wyspę Elk, by ratować farmę mojego ojca.
- Wychowałaś się na farmie?
- Tak. - Wskazała na leżące w rogu kołdry. -Zrobiono je na naszej farmie. Jakieś dziewiętnaście lat temu, kiedy farma zaczęła podupadać, otworzyłam w Bostonie sklep. Moja matka umarła, gdy miałam czternaście lat. Ojciec bardzo przeżył jej śmierć. Znalazł kogoś, kto chciał kupić ziemię i gęsi, ale ja nie chciałam dopuścić do sprzedaży, więc rzuciłam college i otworzyłam sklep, by ratować farmę.
- Jaka matka, taki syn - zauważył Will.
- Właśnie. Tylko ja ponoszę za to winę. To miałeś na myśli?
- Nie, chciałem powiedzieć, że twój ojciec ma szczęście -odrzekł, podając jej kubek z kawą.
- I co, uratowałaś farmę? - spytała Snow.
- Trudno powiedzieć, że uratowałam. -Stanęły jej przed oczami zniszczone budynki, zmęczone stare gęsi, walący się płot i ciotka Bess szyjąca na maszynie z pedałem. -W każdym razie nie trzeba było jej sprzedawać.
- Nadal funkcjonuje?
- Tak. Robią dziesięć kołder rocznie, a ja płacę im za nie. Sprzedają też gęsi. Jakoś udaje nam się zarobić na podatki.
- Twój ojciec musi bardzo ciebie kochać i pewnie cieszy się, że Mike z nim mieszka - stwierdziła Snow. Na samą myśl o wdzięcznym starym ojcu zrobiło jej się ciepło wokół serca. Z radości wepchnęła dwa małe pączki do ust.
- Nie jestem pewna, czy tak jest - odparła Sara.
- Więc go spytaj.

Wydawało się to zupełnie oczywiste. Nie było to jednak takie proste, bo między ojcem a Sarą wyrósł mur goryczy. Sara zarzucała ojcu, że nie zapewnił swej żonie właściwej opieki lekarskiej, a on nie mógł córce wybaczyć, że po śmierci matki postanowiła wyjechać do

college'u. Dlatego uśmiechnęła się niepewnie do Snow.

- Czemu go nie spytasz? - nie mogła zrozumieć Snow.

- Mówiłam już, że Mike to wielki indywidualista. Wiesz, po kim to ma? Po swoim dziadku. Nie możemy się ze sobą porozumieć.

- Trudna sprawa - stwierdził Will.

- Rzeczywiście.

- Ale próbować trzeba - powiedziała Snow. - On też jest człowiekiem. Gdybym z ciebie zrezygnowała, tato, to nie wiem, co by się z nami stało. I ty mówisz o trudnościach?

- Dobrze, dobrze - mruknął Will.

Żartował czy poczuł się urażony? Sara nie potrafiła tego wyczytać z jego oczu.

- Trudności to mało powiedziane - stwierdziła Snow, patrząc na Sarę.

- Ojcowie to rzeczywiście prawdziwy problem -przyznała Sara. Pomyślała nagle o Zeke'u, który z kolei nie robił żadnych problemów. Jak tylko powiedziała mu, że jest w ciąży, przestał się z nią widywać. Ojciec się wściekł. Złość na Zeke'a na jakiś czas rozproszyła smutek, w którym pogrążył się po śmierci żony.

- I wcale nie chcą tego problemu rozwiązać - dodała Snow.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał Will, biorąc kolejnego pączka.

- Chociażby to, że wystąpiłeś z marynarki i przywlokłeś mnie i mamę do tej zapadłej dziury - rzuciła gniewnie, po czym zerknęła na Sarę w obawie, że ją uraziła. -Przepraszam. To miłe miasteczko, ale nam potrzebny jest ocean.

- Doskonale cię rozumiem. Mój syn też to powtarzał i miał rację. Przeprowadziliśmy się tu z Bostonu. Mike z kolei nazywał Fort Cromwell pipidówką.

- Gdybym miała taką farmę, to natychmiast bym tam uciekła - stwierdziła Snow.

- Nie uciekaj - powiedział Will.

- Twój ojciec ma rację. Nie warto uciekać -poparła go Sara. Poczuła nagle, że robi jej się zimno. Miała na sobie haftowany brokatem jedwabny żakiet i otuliła się nim mocniej. Spojrzała na Willa i dostrzegła niepokój w jego oczach na myśl, że jego dziecko może tak po prostu zniknąć.

- Nie rozumiem dlaczego -upierała się Snow. - Mike wyjechał, a teraz ty jedziesz do niego na Święto Dziękczynienia. Cała rodzina będzie w komplecie. I tak powinno być.

- To miłe, co mówisz, ale rzeczywistość jest trochę inna -odparła Sara. - Mój ojciec uznaje jedynie przypływy i fazy księżyca. Od lat nie obchodzi tego święta, to znaczy od śmierci mojej matki.

- To czemu cię zaprosili?

- To syn zaprosił Sarę - wyjaśnił Will, choć wcale mu tego nie mówiła.

- Rzeczywiście -przyznała Sara. -Wie, że bardzo lubię to święto, i liczy na to, że zamknę sklep i wezmę kilka dni wolnego.

- Lubisz je bardziej od innych świąt, na przykład od Bożego Narodzenia? - spytała Snow.

- Tak.

- Zawsze tak było?

- Będąc dzieckiem, wolałam Boże Narodzenie.

- Więc kiedy to się zmieniło?

- I dlaczego tak bardzo je lubisz? - dodał Will.

- To się zaczęło po urodzeniu syna - wyjaśniła Sara, i kiedy spojrzała Willowi w oczy, poczuła, że lubi go coraz bardziej. Bardzo kochał córkę i wiedziała, że ją zrozumie.

Skinął głową, nie odrywając od niej spojrzenia.

- Nie przypuszczałam, że... - Urwała, zbyt wzruszona, by dalej mówić. - Że tak mnie to zmieni - dodała po chwili.

- Posiadanie dziecka?

- Mike stał się całym moim światem. Pokochałam go do szaleństwa, a jak się kogoś kocha, wszystko wydaje się takie piękne. Patrzysz na zachód słońca i nie możesz znieść myśli, iż nie będzie trwał wiecznie. Wydaje ci się, że serce ci pęknie z rozpaczy. Rozumiesz?

Snow milczała, czując, że to sprawa między dorosłymi. Siedziała na krześle, z kolanami pod brodą, przenosząc wzrok z Sary na ojca. Will skinął głową.

- Byłam taka szczęśliwa. Świat nabrał sensu. Przyglądałam się czerwonym ziębom i wyobrażałam sobie, że Bóg stworzył je dla mnie i dla Mike'a. Byłam taka wdzięczna losowi. Pragnęłam jedynie

wyrazić swoją wdzięczność. Dlatego tak bardzo polubiłam Święto Dziękczynienia.

- Powiedziałaś o tym Mike'owi? - spytał Will.
- Powtarzałam mu to co roku.
- Trzeba stale im to mówić -zauważył Will. -Ciągle powtarzać, że się ich kocha.
- Dlatego jadę do Maine - zakończyła Sara, spuszczając głowę.
- Długo cię tam nie było - powiedział Will.

Uniosła wzrok.

- Uważam, że farma nie jest dla niego dobrym miejscem. Leży na odludziu, w pobliżu nie ma młodzieży. Jego ojciec też stamtąd pochodzi, ale nie żyje. A mój ojciec... - Spojrzała na Snow. -Mój ojciec ma trudny charakter. Nigdy się nie pogodził ze śmiercią mojej matki. Upływ czasu nie zmniejszył jego bólu.
- Ze śmiercią tak już jest -stwierdziła Snow.
- Obawiam się, że jego smutek udzieli się Mike'owi. Ciocia Bess była kiedyś najweselszą osobą, jaką znałam. Kiedy zmarł jej mąż, przeprowadziła się na wyspę i przy moim ojcu zmieniła się w starą pomarszczoną babę.
- To brzmi interesująco -stwierdziła Snow.

Sara spojrzała na nią, zdziwiona reakcją dziewczyny.

- Czułam wyrzuty sumienia, kiedy wyjeżdżałam z wyspy - powiedziała Sara. -Ale musiałam.
- Opiekowałaś się matką? - spytał Will.
- Skąd wiedziałeś?
- Bo wyglądasz na osobę dobrą i wrażliwą - odpowiedziała za niego córka.
- Opiekowałam się - przyznała cicho Sara, przypominając sobie drogą postać matki. - Jednak musiałam stamtąd uciec.
- A teraz wracasz ~ rzekł Will. - Dla Mike'a.
- Właśnie. - Bezwiednie dotknęła ręką karku. - Chciałabym go zobaczyć, zanim będzie za późno.
- Zanim zmieni się w młodego dziada? - podsunęła Snow.
- Zanim zapomni, dlaczego tak bardzo lubisz Święto Dziękczynienia - powiedział Will.
- Przygotuj duży samolot, tato, bo lecę z tobą - oznajmiła Snow.

- Nie - zaprotestowała szybko Sara. - Podejrzewam, że jest tam straszny bałagan. Dom jest zimny, a gęsi okropnie śmierdzą.

Ogarnął ją niepokój. Nie chciała, żeby wyjazd zmienił się w wycieczkę, żeby stał się dla Burke'ów okazją do wysłania gdzieś córki i uporania się z własnymi kłopotami rodzinnymi. Miała misję do spełnienia. Jej syn znalazł się na rozdrożu, był jak ten kawałek drewna dryfujący w morzu. Musiała sprowadzić go do brzegu. Zastanawiała się, jak wyjaśnić to Snow i Willowi. Nie chciała, by obca osoba rozpraszała ją i odciągała od Mike'a. Na szczęście Will jej dopomógł.

- Nie możesz lecieć, kochanie -powiedział. -Ja pracuję. To nie są wakacje. Poza tym mama nie byłaby zadowolona. Ona cię potrzebuje. Wiesz przecież.
- Ma Juliana.
- Tak, ale ty też jesteś jej potrzebna.
- Tato, ja...
- Nie. Zostaniesz z matką i koniec.

Sara wiedziała, że Will też potrzebuje córki. Był wysoki i silny, miał głęboki, spokojny głos, który skrywał wiele uczuć. Nie potrafił jednak ukryć miłości do dziecka. Tak jak ona nie była w stanie ukryć swojej miłości do Mike'a.

Tego wieczoru, w domu, Sara otworzyła torbę, którą dała jej Snow. W środku było pudełko z farbą do włosów. Popatrzyła w lustro. Czuła się dziwnie na myśl o ufarbowaniu włosów, ale do Święta Dziękczynienia pozostał niecały tydzień.

Zapaliła świecę, którą dostała od Meg przed operacją. Wpatrując się w płomień, wyobraziła sobie wyspę Elk, czerwoną stodołę, białe gęsi, świece i kołdry. Wszystko to tworzyło przedziwną mieszankę starego z nowym.

Zobaczyła stojącego w stodole Mike'a, słyszała krzyk gęsi, widziała pierze wirujące niczym śnieg na wietrze. Kiedy Mike był mały, bardzo lubił gęsi. Pewnego dnia rozpłakał się w obawie, że dziadek zrobi im krzywdę, gdy będzie wyrywał im pióra. Sara objęła go wtedy mocno i wyjaśniła szeptem, że to wcale nie boli, że wyrywanie piór to tak jak czesanie włosów.

Oczywiście nie była to prawda i Mike pracując przy gęsiach zdążył się o tym przekonać. Wsunęła głowę pod strumień ciepłej

wody, zastanawiając się, jaki stosunek ma teraz do tego jej syn.

Trzymając w ręku opakowanie z farbą, pomyślała o Snow.

Miała nadzieję, że jako córka jest równie miła dla swojej matki, jak dla niej. Przypomniała sobie, jak ją zachęcała do podjęcia tej radykalnej decyzji. Wiedziała, że sama nigdy nie zdecydowałaby się na zmianę koloru włosów. Ciekawe, co powie Will, kiedy ją zobaczy. Może uzna, że wygląda głupio, jak kobieta w średnim wieku, która chce się odmłodzić. A może pomyśli, że wygląda pięknie, tak jak powiedział na jarmarku.

Rezydencja Juliana sprawiała wrażenie zimnej i ponurej. Wielkie, brzydkie, dostojne meble niczym żabie gnomy śledziły każdy ruch Snow. Matka i Julian siedzieli na kanapie przy kominku i popijali wino. Stare portrety przodków Juliana o bladych twarzach łypały na nią z ram, jakby pilnowały, by nie uciekła.

- Chcę polecieć z ojcem -powtórzyła po raz kolejny.
- Nie ma mowy - powiedziała stanowczo matka.
- Biedny tata. Pozwolisz, by leciał do Maine z obcą osobą i spędził Święto Dziękczynienia z dala od rodziny?
- Jest dorosły. Sam zdecydował się na ten lot. Gdyby chciał zostać w Fort Cromwell, mógłby przyjechać po ciebie w czwartek po obiedzie i zabrać na cały weekend. Na pewno zobaczysz się z nim po powrocie.
- Obiad to bardzo ważna uroczystość -przekonywała Snow. - W zeszłym roku zjadł sześć kawałków zimnego indyka.
- Chcemy, żebyś spędziła to święto z nami -wtrącił Julian, mieszając wino w kieliszku i przyglądając się mu pod światło płynące z kominka.
- Akurat -mruknęła.
- Naprawdę. Powiedziałem już Pansy, żeby zrobiła sałatkę ze słodkich ziemniaków, którą tak lubisz, z ziołami i orzeszkami pistacjowymi...
- Laskowymi -poprawiła go Snow.
- W takim razie będziemy musieli powiedzieć o tym Pansy.

Snow miała ochotę zetrzeć mu ten głupi uśmieszek z twarzy. Wyobrażał sobie, że jest takim wspaniałym ojczymem, bo powie

kucharce, żeby zrobiła sałatkę ze słodkich kartofli na Święto Dziękczynienia, a tymczasem jej ojciec musi lecieć do jakiejś zapadłej dziury, by ratować czyjegoś syna.

- Oni mnie potrzebują -upierała się przy swoim.
- Nic takiego ojciec nie mówił -stwierdziła matka.
- Bo nie chciał kłócić się z tobą. Muszę im pomóc przekonać Mike'a, by wrócił do domu.
- Kto to jest Mike? -spytał Julian.
- Syn Sary Talbot. Pojechał do Maine, by ratować rodzinną farmę. Poświęcił się dla starego dziadka i cioci Bess, rezygnując z własnego życia. Sara chce go namówić do powrotu, zanim będzie za późno, a ja mogę jej w tym pomóc. Łatwiej się z nim dogadam.
- Mike Talbot - powtórzył z głupim uśmieszkiem Julian.

Snow wzięła do ręki pogrzebacz i poruszyła drewno w kominku. Mosiężna rączka miała kształt głowy rysia. Na kociej twarzy błąkał się diabelski uśmieszek, taki sam jak na twarzy Juliana. Miała ochotę wybiec z pokoju i nie słuchać tego, co ma do powiedzenia, lecz ciekawość wzięła nad nią górę.

- Znasz go? - spytała matka, opierając mu głowę na ramieniu.
- Tak. To narkoman.
- Doprawdy?
- Tak. Pracował kiedyś w mojej firmie przy myciu samochodów.
- To nie znaczy, że brał narkotyki -odpowiedziała Snow. Była kiedyś w salonie samochodowym Juliana. Miał wielki garaż z autami wyścigowymi stojącymi na podnośnikach. Mechanicy robili coś pod spodem, a chłopcy w wieku szkolnym rozpylali specjalny środek na rozlany olej i zbierali go szeroką szczotką.
- Mój brygadzista przyłapał Mike'a Talbota, jak palił skręta, i natychmiast go zwolnił. W mojej firmie nie toleruje się narkomanów.
- Bardzo rozsądnie - stwierdziła matka, patrząc na męża z podziwem, jakby wynalazł lekarstwo na raka.
- Dziękuję -odparł, uśmiechając się do niej czule. Zawsze kiedy na nią patrzył, w jego oczach płonęła miłość, czego Snow nie chciała zaakceptować. -Mimo to czułem się okropnie, zwalniając Mike'a. To miły dzieciak. Trochę niezrównoważony, ale sympatyczny. Jego matka prowadzi sklep z pościelą w centrum.

- „Pod Dziewiątą Chmurką"? Ten z kołdrami? - spytała Alice.

- Tak. Kiedyś się z nią umówiłem, zanim ty się zjawiłaś. -Julian musnął ustami jej szyję. -Była z niej piękna kobieta, póki się nie rozchorowała.

- Nie chcę słyszeć o żadnych twoich randkach z pięknymi kobietami - zaprotestowała z udanym gniewem Alice. Chciała się odsunąć, lecz jej na to nie pozwolił.

- Daleko jej do ciebie - powiedział. - To typowa przedstawicielka Nowej Anglii: wydatne kości policzkowe, orli nos i burza ciemnych włosów. Typ bostońskiej arystokratki. Kupiłem u niej kilka poduszek i zaprosiłem na drinka, nic poza tym.

- To dobrze - mruknęła Alice.

- Słyszałem, że stan jej był bardzo ciężki. Szczerze mówiąc, cieszę się, że wydobrzała na tyle, by wrócić do pracy.

- Wydobrzała i już pracuje -przytaknęła Snow.

- Sara Talbot -powiedziała w zamyśleniu Alice. -Chyba spotkałam się z tym nazwiskiem. Pewnie w szpitalu.

Po ślubie z Julianem zaczęła pracować jako wolontariuszka w szpitalu. Wkładała różowy fartuch i razem z innymi paniami z towarzystwa spędzała dwa dni w tygodniu, dostarczając chorym przesyłki od rodziny, pisząc im listy lub prowadząc do solarium. Snow była dumna z matki. Ciekawe, czy pomagała również Sarze. Jednak Alice nie mogła sobie tego przypomnieć.

- Życzę jej jak najlepiej -powiedział Julian.

- Chcę polecieć do Maine z tatą - powtórzyła Snow.

- Przecież nikt cię tam nie zaprosił -zauważyła matka. -Nie ma więc mowy o żadnym locie. Nigdzie nie polecisz.

- Polecę -powtórzyła z uporem Snow.

- Podobno znudził ci się Gainsborough - rzekł Julian, dolewając wina do kieliszków. - Chcesz zmienić wystrój swego pokoju?

- Przepraszam - mruknęła.

- Nie musisz. Możesz sobie wybrać taki obraz, jaki ci odpowiada. Wszystko, co mam, jest twoje. Chcesz słodkie ziemniaki na świąteczny obiad, proszę bardzo. W tym roku ty decydujesz o deserze. To ciasto z żurawinami na zeszłoroczne święto było wspaniałe. Musisz je zrobić i w tym roku. Pansy na pewno nie upiekłaby równie

dobrego.

- Chcę polecieć z tatą - szepnęła Snow, patrząc na matkę, lecz Alice unikała jej wzroku.

# Rozdział VII

W przeddzień Święta Dziękczynienia Sara obudziła się z lekką gorączką. Odrzuciła kołdrę i poczuła, że ma dreszcze. Bolały ją mięśnie, miała sucho w ustach i piekło ją w gardle.

- Och, tylko nie dzisiaj - jęknęła.

Nie mogła przecież rozchorować się na grypę, a objawy na to wskazywały. Dziś leciała na wyspę. Jeszcze przed końcem dnia zobaczy Mike'a. Powoli wstała z łóżka, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Nad domem po drugiej stronie ulicy wschodziło słońce. Niebo było czyste i jasno błękitne.

Kiedy wzięła prysznic i wypiła szklankę soku pomarańczowego, poczuła się lepiej. Gorączka spadła. Widocznie grypa nie zdążyła się rozwinąć. Przypomniała sobie o przebytej ciężkiej chorobie i o wszystkich rzeczach, za które powinna być wdzięczna: o szczęśliwych powrotach do domu i o białej róży, którą znalazła w zeszłym tygodniu w ogrodzie. Czyżby grypę miały zastąpić ogólne zmęczenie i bóle pooperacyjne? Nie chciała się z tym pogodzić. Wierzyła w cuda, jakie zdarzały się w jej życiu, i była przekonana, że właśnie zdarzył się następny.

O dziewiątej miała przyjechać po nią Meg Ferguson i zawieźć na lotnisko. Czekała na nią ubrana w dżinsy, irlandzki sweter i długi żakiet z granatowej wełny. Obok niej stały dwie torby, jedna z rzeczami Mike'a. Początkowo chciała włożyć na głowę stary kapelusz z czerwonego filcu, kiedy jednak zobaczyła skręcającą na podjazd Meg, wzięła głęboki oddech i odłożyła go na krzesło.

Meg początkowo niczego nie zauważyła, zajęta przesuwaniem rzeczy w bagażniku, by zmieściły się torby Sary. Kiedy jednak uniosła głowę, aż otworzyła usta ze zdumienia. Sara była tak zdenerwowana, że serce waliło jej jak młotem.

- Wyglądam śmiesznie, prawda? - spytała, przykrywając dłońmi głowę.

Meg chwyciła ją za ręce i zmusiła do opuszczenia ich w dół, lecz Sara nie miała odwagi podnieść wzroku.

- Wyglądasz cudownie. Niech ci się przyjrzę.

Cofnęła się i popatrzyła z zachwytem na Sarę. Meg nie przywiązywała wielkiej wagi do wyglądu i nie bardzo znała się na modzie. Miała proste kasztanowe włosy i zaczesaną na bok grzywkę. Ubierała się tradycyjnie i przeważnie wkładała na wierzch biały fartuch. Z jednej z kieszeni wystawał stetoskop, a w klapie tkwił przypięty plastikowy indyk. Teraz jednak patrzyła na Sarę, jakby była stylistką, a Sara prawdziwą pięknością.

- Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty - stwierdziła z podziwem w głosie.

- Może to zbyt radykalna zmiana.

- Nie znałam cię takiej -powiedziała Meg i Sara domyśliła się, że znaczy to: przed chorobą. -Rzeczywiście wyglądasz inaczej. Jak z paryskiego żurnala. Masz głowę modelki, a ten kolor dodaje ci szyku.

- Szyku? -uśmiechnęła się Sara.

- Mam nadzieję, że Will Burke zerknie czasami na ciebie -dodała Meg.

Sara pokręciła głową zawstydzona.

- Will Burke? A jakie to ma dla niego znaczenie? Nawet nie zauważy.

- Zauważy, zauważy.

- Meg, on tylko pilotuje samolot.

- Bzdura -zaprotestowała Meg. - Mimi zrobiła wam zdjęcie na festynie. Jego spojrzenie mówi samo za siebie.

- Był po prostu uprzejmy. Jacyś chłopcy strącili mi kapelusz z głowy -wyjaśniła Sara, lecz w duchu pomyślała, że chętnie zobaczyłaby to zdjęcie.

- Dziś nie będzie ci potrzebny kapelusz. Wyglądasz prześlicznie. Gotowa do drogi?

- Gotowa - odparła Sara, wsiadając do samochodu.

- Doktor Goodacre dał ci zielone światło? - spytała Meg, wyjeżdżając tyłem z podjazdu.

- Tak. - Przez chwilę pomyślała, że może powinna wspomnieć jej o gorączce. Przytknęła dłoń do czoła. Było chłodne.

- Niezły numerek z tej jego pielęgniarki Vicky -ciągnęła Meg. - Kiedyś zatelefonowałam do niej, żeby spytać, czy doktor chce, żebym ci dalej przykładała to samo lekarstwo, czy mam je zmienić na inne. W ogóle nie oddzwoniła, a kiedy w końcu to zrobiła, była bardzo nieprzyjemna.

- On krótko trzyma swój personel - powiedziała Sara, wspominając swoje kontakty z Vicky. -Mam nadzieję, że jest szczęśliwsza poza pracą.

- Tak czy owak czujesz się dobrze, i to jest najważniejsze.

- Mhm. -Gorączka minęła, a grypa przeszła bokiem. Postanowiła, że nie powie o niczym Meg. Jechały na lotnisko, dzień był słoneczny i wkrótce zobaczy Mike'a.

- Co się stało? -spytała Meg, zerkając na nią z boku.

- Gdyby to miało wrócić... -zaczęła Sara, czując ucisk w gardle, i dokończyła z trudem: -Chybabym tego nie zniosła.

Wiele razy o tym rozmawiały. Sara wiedziała, że kiedy ten typ nowotworu, który ją zaatakował, powraca, szanse na przeżycie maleją. Proces leczenia byłby równie ciężki, a wynik niepewny. Lekarze podtrzymywaliby ją przy życiu, a ona traciłaby siły. Myśl o atakach bólu i stopniowym słabnięciu napawała ją przerażeniem.

- Już nie chcę -powiedziała.

- Czego nie chcesz?

- Naświetlań, chemioterapii... -Zadrżała. -To jest moja szansa i zamierzam z niej skorzystać.

Meg objęła ją ramieniem i mocno uścisnęła.

- I trwaj w tym - powiedziała ciepło.

- Nie mam innego wyjścia - odparła Sara.

Serce biło jej jak szalone, lecz w objęciach Meg powoli się uspokajała. Była zdrowa, wolna i jechała do domu. Poczuła się znów szczęśliwa i radosna.

Duża awionetka była gotowa do drogi. Will zasięgnął informacji w instytucie meteorologii i dowiedział się, że warunki pogodowe są dobre i przez całą drogę będą mieli pomyślny wiatr o prędkości dziesięciu węzłów. Pułap chmur był wysoki. Od zachodu nadciągało zachmurzenie i jutro zacznie dmuchać, dziś jednak linia wysokiego

ciśnienia zapewni im bezpieczny lot.

Umieścił worek podróżny w przedziale bagażowym, a na tylne siedzenie rzucił marynarkę. Piper Aztec był dobrym, choć wysłużonym samolotem i miał wszelkie niezbędne urządzenia. Dysponował sześcioma miejscami dla pasażerów i przyrządami pozwalającymi oblecieć cały świat we mgle.

Will czuł się podekscytowany. Nie miał żadnych planów na Święto Dziękczynienia, a perspektywa spędzenia go w samotności, bez córki, która musiała zostać z matką i Julianem, nie nastrajała optymistycznie. Przypomniał sobie, jak to było w zeszłym roku. Postanowił zbojkotować święto i spędzić popołudnie przed telewizorem, oglądając mecz piłki nożnej i popijając piwo. Jednak w połowie meczu zatęsknił nagle za indykiem. Pojechał więc do sklepu i kupił kilka mrożonych porcji. Zjedzenie ich potem w domu nie sprawiło mu żadnej przyjemności, lecz wprawiło w przygnębienie.

Widząc nadjeżdżający niebieski samochód Meg Ferguson, zabrał futerał z mapami i zamknął za sobą drzwi do biura. Sprawdził, czy ma w kieszeni klucze i portfel. Od śmierci Freda często był rozkojarzony. Alice żartowała, że to początki choroby Alzheimera. Nie mógł zrozumieć, jak ona może pamiętać te wszystkie fakty i szczegóły z codziennego życia po tym, co ich spotkało.

Córka błagała go, by pozwolił jej lecieć do Maine, lecz odmówił. Nie byłoby to fair w stosunku do Sary, a także w stosunku do Alice. Choć bardzo chciał zabrać Snow ze sobą, nie mógł jednak postąpić inaczej. Poczuł bolesny skurcz serca na myśl o spędzeniu kolejnego święta bez dzieci.

Będzie miał swoje święto, pomyślał, śledząc wzrokiem zbliżający się samochód. Poleci na wyspę z obcą kobietą, która chce zobaczyć się z rodziną. Poczuł niechęć do siebie za użalanie się nad swym losem. Jednak na widok wysiadającej z samochodu Sary Talbot zły nastrój prysł jak bańka mydlana. Kobieta jaśniała radością. Rozejrzała się po lotnisku, popatrzyła w niebo, potem na samolot i na Willa. Pomachała mu ręką i rozwarła ramiona, jakby pytała, czy to jemu ma dziękować za ten dzień.

Spojrzał w górę i po raz pierwszy popatrzył na niebo nie pod kątem warunków do latania. Zobaczył czysty błękit i połyskujące

promienie słoneczne. Oświetlały kamieniste pole startowe i łaty śniegu. Wkrótce zobaczy je na powierzchni oceanu, migoczące niczym rozrzucone diamenty. Za kilka godzin ujrzy swój ukochany Atlantyk.

Szkoda, że nie zobaczy się z córką, ale przynajmniej był o nią spokojny. Podszedł do Sary z przekonaniem, że wszystko jakoś się ułoży. Czuł to od pierwszej chwili, kiedy ją poznał.

Silniki głośno warczały. Wokół, jak okiem sięgnąć, panował bezkresny błękit. Skrzydła samolotu połyskiwały w promieniach słońca. Sara mrużyła oczy pomimo ciemnych okularów. Ziemia w dole wyglądała niczym leśny kobierzec. Czapy śniegu przykrywały czubki sosen i skaliste wzgórza. Na wprost piętrzyły się masywne szczyty góry.

Sara i Will w milczeniu obserwowali otaczający ich krajobraz. Radio przekazywało jakieś informacje. Od czasu do czasu Will odpowiadał, używając specjalnego kodu. Sara miała wrażenie, że dobre dusze śledzą ich lot i kierują z wieży do wieży. W pewnej chwili Will ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej, po czym sięgnął po nadajnik, by wywołać centrum lotów w Bostonie.

- Spójrz.

Pochylił się ku Sarze i wskazał na szybującego po niebie orła. Ptak miał długie i szerokie skrzydła, którymi tylko nieznacznie poruszał. Serce Sary zabiło mocniej.

- Piękny okaz -powiedziała, obserwując, jak orzeł krąży nad gniazdem. -Na naszą wyspę też przylatują orły. -Była lokalną patriotką i widok orłów zawsze napawał ją dumą. Jej ojciec był lotnikiem w czasie drugiej wojny światowej i w domu często śpiewano pieśni patriotyczne. Nagle przypomniała sobie coś, co usłyszała od Snow. -A ty podobno służyłeś w marynarce, to prawda? - zwróciła się do Willa.

- Tak.

- Ale nie tam nauczyłeś się latać.

- Nie. Zawsze lubiłem latać. Wychowałem się w Waterford w Connecticut. Niedaleko było małe lotnisko. Nauczyłem się latać, jeszcze zanim zrobiłem prawo jazdy. Pierwsze loty odbywałem na wyspę Block.

- Więc przewożenie ludzi na wyspy to dla ciebie nic nowego.
- Jak stary kapelusz - zażartował.
- Snow mówiła, że służąc w marynarce też latałeś.
- Czasami.
- Jest z ciebie taka dumna.
- Nie rozumiem dlaczego - mruknął po chwili.

W jego głosie zabrzmiała gorycz. Los musiał ich bardzo doświadczyć. Pewnie dlatego Snow niechętnie wracała do domu i zmieniała imiona, a twarz Willa nosiła ślady przeżytych cierpień. Coś musiało w tym być, skoro zamiast spędzać Święto Dziękczynienia z rodziną, leciał z nią do Maine.

- To nie ma znaczenia - odpowiedziała.
- Wszystko ma znaczenie.
- Nieprawda. Najważniejsze, że jest z ciebie dumna, że cię kocha i bardzo potrzebuje.
- Czy tak właśnie jest między tobą i Mikiem? - spytał.
- Staram się, żeby tak było.
- W takim razie masz szczęście -stwierdził.
- Nie zawsze mi się to udaje - odparła. -Pamiętam, jak powiedział mi, że wyjeżdża. Jedyne, co wtedy czułam, to „mordercza wściekłość".

Will zmrużył oczy i patrzył przed siebie, jakby znajdował się na zatłoczonej autostradzie.

- Spójrz tam - powiedziała Sara.

W oddali, za ostatnim wzgórzem i wysokim budynkiem, połyskiwał pas srebra.

- O rany! - Najwyraźniej był tak zajęty myślami, że widok morza go zaskoczył.
- Czy wiesz, jak długo nie widziałam morza? - spytała Sara, opierając dłoń na desce rozdzielczej.
- Nie.
- Co najmniej trzy lata - odparła. - Trzy i pół. A ty?

Nie odrywał wzroku od oceanu, który wyglądał jak srebrny pas na horyzoncie, lecz powoli zmieniał się w srebrzystobłękitną materię. Słońce stało wysoko, oświetlając powierzchnię wody migoczącym blaskiem.

- Pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem ocean - odezwał się po

chwili.

- Kiedy?

- Przed pięcioma laty, kiedy wystąpiłem z marynarki i wyjechaliśmy z Newport. Od tego czasu nie widziałem go ani razu.

- No to teraz zobaczysz - stwierdziła z zadowoleniem. Zauważyła, że na wzmiankę o Newport jego rysy stężały z bólu. Poczuł, że mu się przygląda, i odwrócił głowę.

Przypomniała sobie pewien moment w szpitalu, kiedy leżała na stole, truchlejąc na myśl o czekającej ją radioterapii. Młoda nie znana jej pielęgniarka pogładziła ją wówczas po ręku i spojrzała w oczy. Ten ludzki odruch podziałał na nią kojąco i na zawsze utkwił w pamięci. Dotknęła teraz dłoni Willa i zdjęła okulary, by mógł widzieć jej oczy. Uśmiechnęła się ciepło.

- Nie chciałem tu wracać - powiedział.

- Wiem. -Czuła jego strach, choć nie znała przyczyny. Nie miało to jednak znaczenia.

- Kiedy patrzę na ocean, natychmiast go widzę.

- Kogo?

- Mojego syna Freda.

-Co się z nim stało? -spytała, z niepokojem oczekując odpowiedzi.

- Utonął.

- To straszne.

W jego twarzy nie było gniewu ani napięcia, a oczy nie wyrażały żadnych emocji. Popatrzył na nią i kiwnął głową.

Lecieli teraz niżej. Sara miała wrażenie, że czuje zapach soli w powietrzu. Widziała fale rozbijające się o skały i zmieniające się w pianę. Płynące statki zostawiały na powierzchni wody ślad w kształcie litery V. Liczne zatoczki oblepione były małymi domkami, a prawie na każdym wzgórzu wznosiła się biała wieża kościoła.

Will wywołał centrum lotów i po chwili odezwał się głos z charakterystycznym dla Nowej Anglii akcentem. Po przekazaniu informacji o zamiarze uzupełnienia paliwa otrzymali zgodę na lądowanie. Zatoczyli koło nad lotniskiem w Portsmouth. Stan Maine zaczynał się tuż za rzeką Piscataqua, lecz do wyspy Elk było jeszcze daleko. Sara zamknęła oczy, kiedy Will rozpoczął manewr lądowania, i pogrążyła się w myślach, przeżywając na nowo spotkanie z morzem.

Wkrótce zobaczy się z synem. Jaką cenę trzeba zapłacić, żeby znieść śmierć dziecka? Odetchnęła głęboko i zmówiła modlitwę za Willa i chłopca, którego nie znała, usiłując stłumić w sobie uczucie ulgi, jakiego doznają rodzice na wieść o tym, że to nie ich dziecko dosięgła śmierć.

Snow nie mogła już dłużej czekać. Skulona w kącie samolotu oddychała przez inhalator, żeby uniknąć ewentualnego ataku astmy. Godzinę temu przeżyła chwile grozy, bo zaczęło ją kręcić w nosie. Wystarczyło jedno kichnięcie, a ojciec zawróciłby samolot do Fort Cromwell.

Awionetka miękko dotknęła ziemi. Ojciec jak zwykle perfekcyjnie wykonał manewr lądowania. Wreszcie mogła rozluźnić mięśnie. Ukryta za tylnym siedzeniem, ostrożnie wystawiła głowę spod starego zielonego koca, który zawsze tu leżał, i wyjrzała przez okno.

Sara szła właśnie w stronę hangaru, a ojciec rozmawiał z człowiekiem pompującym paliwo. Koniecznie musiała skorzystać z toalety. Domyśliła się, że Sara też tam idzie. Jeśli wszystko dobrze zaplanuje, uda jej się przemknąć za plecami ojca, potem schowa się w kabinie i zdąży wyjść przed Sarą.

Pobiegła do hangaru, kryjąc się za innymi samolotami. Zorientowała się, że wylądowali w Portsmouth, wiedziała więc, że są blisko morza. Odetchnęła głęboko z nadzieją, że poczuje zapach soli, tymczasem wciągnęła w nozdrza ostry zapach paliwa. Weszła do toalety. Sara zajmowała jedną z kabin, widać było jej stopy. Snow wybrała ostatnią. W pomieszczeniu było bardzo zimno. Ze wszystkich kątów wychodziły smużki pary. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że musi uciekać się do takiego podstępu. Lubiła Sarę i wcale nie miała ochoty ukrywać się przed nią. Usiłowała podsłuchać rozmowę ojca z Sarą w samolocie, lecz warkot silników zagłuszał słowa. Było to strasznie frustrujące.

Szum spuszczanej wody oznaczał, że pozostało jej niewiele czasu. Uchyliła drzwi kabiny i gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Zobaczyła Sarę, ale jakże odmienioną, z ufarbowany-mi włosami. Stała teraz przed nią młoda elegancka kobieta o niezwykłym uroku.

- Cześć, Snow -powiedziało to fascynujące zjawisko.
- Skąd wiedziałaś, że to ja? - spytała Snow, nadal patrząc przez szparę w drzwiach.
- Poznałam cię po głosie.
- Jak wciągnęłam powietrze?
- Tak.

Sara podeszła do metalowych drzwi kabiny.

- Jesteś zła? - spytała Snow.
- To nie ma nic do rzeczy.
- Powiesz ojcu?
- Chyba powinnam, nie sądzisz?
- Proszę, nie mów.
- Jak długo zamierzasz się ukrywać?
- Jak już będziemy zbyt daleko, żeby zawrócić.

Sara zamknęła oczy i spuściła głowę. Snow miała wrażenie, że stara się powstrzymać płacz lub krzyk, w każdym razie silną emocję. Widywała matkę w takim stanie, głównie w czasie kłótni z ojcem. Ogarnął ją strach.

- Nie zawrócimy -powiedziała Sara dziwnie spokojnym głosem.
- Czy od początku wiedziałaś, że jestem na pokładzie? A może się tylko domyślałaś?
- Przyszło mi coś takiego do głowy, ale nie przypuszczałam, że się odważyłaś. - Głos Sary nie brzmiał zbyt przyjaźnie.
- Przepraszam.

Snow wolno otworzyła drzwi kabiny. Nie wiadomo dlaczego, ale sądziła, że Sarze spodoba się jej wyczyn i nawet pomoże jej się ukryć. Nie przypuszczała, że będzie miała jej to za złe. Wyszła z kabiny i wreszcie mogła dokładnie przyjrzeć się Sarze. Miała promienną twarz, różowe policzki i białe jedwabiste włosy, tak piękne, że chciało się ich dotknąć.

- Westchnęłam, bo wprost zaniemówiłam, że tak pięknie wyglądasz -powiedziała cicho, nie chcąc, by Sara pomyślała, że próbuje się podlizać.
- Naprawdę? -Sara spojrzała z powątpiewaniem w lustro.
- Naprawdę. Zupełnie jak modelka z „Vogue'u".
- Dziękuję.

Ku zaskoczeniu Snow, Sara objęła ją i mocno przytuliła. Dziewczyna zamknęła oczy i oddała uścisk. Sara wydawała się taka silna i pewna jak dobra matka. Tak dobrze czuła się w jej objęciach. Całe szczęście, że się nie rozgniewała. Snow przełknęła zbierające się w gardle łzy.

- Gdyby nie ty, nigdy bym się nie odważyła na ten eksperyment - powiedziała Sara.
- Czy twoja mama nie farbowała włosów?
- Nie. Jak zobaczysz wyspę, zrozumiesz dlaczego.

Snow uśmiechnęła się. A jednak Sara powiedziała, że zobaczy wyspę.

- Nie będziemy ci przeszkadzać -zapewniła ją.

Sara milczała przez chwilę, jakby się nad tym zastanawiała. Nie wyglądała na zagniewaną, ale się nie uśmiechała.

- Chodźmy do twojego taty - powiedziała w końcu, otaczając Snow ramieniem.

Ruszyły w stronę samolotu. Snow wyjęła z kieszeni ciemne okulary, które zawsze miała przy sobie. Dzięki nim poczuła się pewniej. Przez głowę przemknęła jej szalona myśl, że może ojciec jej nie pozna. Stał przy samolocie, odwrócony do nich plecami.

Snow chwyciła Sarę za rękaw.

- Co takiego?

- Powiedz mi, skąd wiedziałaś, że jestem w samolocie? Zobaczyłaś czubek mojego buta czy coś w tym rodzaju? A może z czymś się zdradziłam?

Sara pokręciła głową i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Nie - odparła, ujmując dziewczynę za ręce. - Po prostu ja postąpiłabym podobnie.

- Mamy pasażera na gapę - powiedziała półgłosem Sara.

Will odwrócił się i stanął twarzą w twarz z córką. Nie udało mu się ukryć radości na jej widok.

- Susan!
- Tato, nie każ mi wracać.
- Co tu się, u licha, dzieje?
- Po prostu chcę być z tobą. Martwiłam się o ciebie.
- Obiecałem matce, że spędzisz z nią święta.

- To tylko Dzień Dziękczynienia, tato. Przecież wiesz, że dla niej najważniejsze jest Boże Narodzenie.

- Może i tak, ale inne święta również. Jezu, Susan!

- Proszę, pozwól mi lecieć z tobą. Pokonaliśmy już więcej jak połowę drogi. Nie możesz zrobić tego Sarze.

Sara poczuła niepokój graniczący z wściekłością. Choroba nauczyła ją tolerancji i akceptowania rzeczy takimi, jakie są. Dostosowała się do harmonogramu wyznaczanego przez innych ludzi i chorobę. Była uprzejma i pamiętała o innych. Tym razem jednak miała spotkać się z Mikiem, a oni tracili czas na dyskusję o tym, czy wracać do Fort Cromwell, czy nie. Miała ochotę ostro zareagować. Próbując się opanować, zrobiła kilka ćwiczeń oddechowych. Była w tym jakaś niesprawiedliwość, która nie miała z nią nic wspólnego. Will z jednej strony wiedział, że powinien odstawić Snow z powrotem do matki, lecz z drugiej bardzo chciał ją zatrzymać.

- Proszę, przestańcie dyskutować - powiedziała stłumionym głosem Sara. - Musimy lecieć dalej.

- Co? - spytał Will.

- To mój lot. Chyba mam coś do powiedzenia?

- Oczywiście - odparła śmiało Snow. -Przecież zapłaciłaś za ten kurs.

Sara popatrzyła na oboje. Snow odziedziczyła oczy po ojcu. Na twarzach ojca i córki malował się ten sam wyraz skrywanej nadziei.

- Jeśli odwieziesz tę młodą damę do Fort Cromwell, stracimy pół dnia. Zwróciłam się do ciebie, bo jesteś najlepszym pilotem. Ona mi to powiedziała - dodała, wskazując na Snow.

- To prawda - przyznała Snow, wzruszając ramionami.

- Mam zadanie do spełnienia: chcę dotrzeć na wyspę i zobaczyć się z synem.

- Rozumiem - powiedział Will.

- Chciałabym, żebyś zawiózł mnie do Maine.

Po tych słowach zrobiła krok w tył, skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na Burke'ów, tłumiąc zbierające się pod powiekami łzy. Oto właśnie sprzeciwiła się, by inna matka spędziła Święto Dziękczynienia ze swoją córką, tylko dlatego, że ona chce zobaczyć się z synem. Jednak nie mogła nic na to poradzić. Byli już tak blisko,

tuż przy granicy stanu Maine, a od wyspy dzieliły ich zaledwie dwie godziny.

- Mama to zrozumie - powiedziała Snow, chwytając go za rękaw.

- W takim razie powinnaś ją zawiadomić. Powiedz jej, co zrobiłaś, a potem ja z nią porozmawiam.

- Przepraszam, tato, za te kłopoty.

- Oby mi się to więcej nie powtórzyło -powiedział groźnie, lecz w oczach błysnęła mu radość.

Poszli do telefonu. Snow wykręciła numer, lecz po chwili Will wziął od niej słuchawkę. Wiedział, że czeka ich przeprawa z Alice, i chciał oszczędzić córce awantury.

- Halo?

Cholera, to on, pomyślał Will.

- Julian? Czy jest Alice?

- Tak. -Julian natychmiast zrozumiał, że coś się dzieje. -Czy coś się stało z Susan?

- Tak. Leci ze mną do Maine, ale sam chciałbym powiedzieć o tym Alice.

- W porządku -odpowiedział Julian i przykrył dłonią słuchawkę. Will domyślił się, że robi, co może, by jak najogłędniej przekazać tę wiadomość Alice.

- Will? - W głosie Alice brzmiał niepokój. -Co się dzieje?

- Snow jest ze mną.

- Gdzie jesteście?

- W New Hampshire. Lecę właśnie do Maine, a ona postanowiła mi towarzyszyć. - Starannie dobierał słowa, świadomy, że Sara i Snow go słuchają. -Jesteśmy w połowie drogi i nie możemy już zawrócić. Zabieram ją z sobą.

- Zaplanowałeś to, prawda? -spytała Alice. - Przysięgam, Will, jeżeli...

- Nie, nie -powiedział szybko. Ku jego zaskoczeniu usłyszał, że Julian stara się ją uspokoić, mówiąc coś o impulsywności Susan, którą przecież tak w niej lubili. -Julian ma rację -dodał, zdumiony, że oto znalazł w nim nieoczekiwanego sojusznika. - To był wyłącznie jej pomysł.

- Jestem wściekła - stwierdziła Alice.

- Nie dziwię się.
- Niech tylko wróci do domu.
- Mhm - mruknął, patrząc, jak blask rozświetla oczy córki, a na wargach rozkwita uśmiech.
- Jestem taka wściekła, że nie wiem, czy powinnam z nią rozmawiać. Przytknij jej na chwilę słuchawkę do ucha.

Spełnił jej życzenie.

- Bądź grzeczna -usłyszał głos Alice.
- Będę - obiecała Snow. -Niedługo się zobaczymy. Kiedy odebrał słuchawkę córce, zorientował się, że Alice

zdążyła już się rozłączyć. Chciał objąć Snow, lecz ona odwróciła się i pobiegła do samolotu. Czarna powierzchnia pasa startowego migotała w słońcu, a stopy Snow niemal fruwały w powietrzu. Miała piętnaście lat, a szalała jak mała dziewczynka. Rodzice ją kochali i zaczynała się wspaniała przygoda.

Will i Sara odprowadzili ją wzrokiem, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy. Will czuł, że gdyby Sara popatrzyła na niego, musiałaby jakoś zareagować. Nie był tylko pewny, czy wybuchnęłaby śmiechem, czy płaczem. Na pewno jednak włożyłaby w to całe serce. Dlatego patrzyła przed siebie obojętnie jak klientka, która zapłaciła za lot i stara się zachować cierpliwość, póki nie ruszą w dalszą drogę.

# Rozdział VIII

Mike Talbot wpatrywał się w niebo. Zamiótł szopę, gdzie skubano pierze, i zamknął ją po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę. Dziadek był człowiekiem o niespożytej energii. Pracowałby dwadzieścia cztery godziny na dobę, także w niedziele, gdyby ciocia Bess nie dzwoniła o szóstej na obiad tak długo, póki obaj nie wrócili do domu. Pewnie zamierzał pracować też w Święto Dziękczynienia, uważając, że to taki sam dzień jak inne, lecz Mike miał inne plany.

- Co tu się, u diabła, dzieje? -spytał dziadek, pędząc przed sobą dwie gęsi. Miał pomarszczoną, ogorzałą od wiatru twarz. Tuż za nim człapała Gelsey, stara suka rasy collie. Ostatnio pracował więcej, niż był w stanie, żeby zagłuszyć natrętne myśli.
- Zamknąłem szopę -wyjaśnił Mike.

- Kto ci kazał?
- Sam zdecydowałem.

Starszy pan spojrzał na niego spod zmrużonych powiek. Wyjął fajkę, lecz jej nie zapalił. Mike oblał się rumieńcem. Czuł, że postąpił źle i że dziadek jest z niego niezadowolony.

- Czyżbyś nagle zaczął tracić rozum? -spytał. -Który hodowca gęsi zamyka interes przed Świętem Dziękczynienia?
- Przecież gęsi to nie indyki. Poza tym mama dziś przylatuje.
- Drób to drób -obstawał przy swoim dziadek. - Są tacy, którzy wolą dobre kruche mięso od wysuszonych indyków. Same piersi. Obrzydlistwo.
- Tak, ale...
- Czy opowiadałem ci, jak pewnego dnia zjawili się ci dranie z Butterball i usiłowali przekonać mnie, żebym zajął się hodowlą indyków? Rose musiała mnie powstrzymać, bo zastrzeliłbym cwaniaczków.

Przysiadł na pniu i wbił wzrok w buty. Zalała go tak silna fala wspomnień, że aż stracił oddech.

- Dobrze się czujesz, dziadku?
- Oczywiście że tak - burknął i wstał. Wziął do ręki siekierę i rozejrzał się za gęsią.

Od tygodnia sypał śnieg i białe ptaki zlewały się z otoczeniem. Mike dostrzegł je nad zatoką: grzebały w poszukiwaniu ziarna. Nigdy nie mógł zrozumieć, czemu te głupie ptaki nie wejdą po prostu do wody i nie odpłyną. Fale tłukły o skalisty brzeg. Na chłodnych skałach leżały foki zwinięte niczym banany. Naliczył ich osiem.

Przypomniał sobie, jak matka opowiadała mu różne historie z dziejów farmy. Leżał w łóżku i nie mógł usnąć, a ona siedziała przy nim, gładziła po głowie i opowiadała o tym, jak się czesze gęsi. Farma wydawała się taka wspaniała, a czesanie gęsi takie miłe. Wyobrażał sobie, że ptakom sprawia to taką samą przyjemność jak jemu dotyk matczynej ręki na włosach. Boże, ale był głupi.

- Przyprowadzę je, dziadku -powiedział.

Ruszył w dół ścieżką prowadzącą do zatoki. W pewnym momencie pośliznął się i omal nie przewrócił. Cholerne gumiaki, pomyślał. Gęsi głośno zagęgały na jego widok. Zaszedł je od tyłu i

zagonił w górę ścieżki.

- Uciekajcie -szepnął tak, by dziadek nie usłyszał. - No już, wy głupie ptaki. Odlatujcie.

Oczywiście nie odleciały. Nigdy nie odlatywały. Dreptały ufnie w kierunku szopy, wpatrując się w Mike'a małymi czarnymi oczkami. Był przy ich wylęgu, obserwował, jak rosną przez całe lato, i ciągle im powtarzał, żeby odpłynęły lub odleciały.

- Zabierzmy się do roboty -rzucił opryskliwie dziadek. - Właściciel Wayport Inn ma przysłać swoją łódź po gęsi.

Artretyzm dał o sobie znać i starszy pan zachwiał się lekko. Straciłby równowagę, gdyby Mike go nie podtrzymał. Zawsze czuł się zawstydzony, kiedy musiał korzystać z czyjejś pomocy. Nigdy nie powiedział dziękuję i nigdy nie spojrzał Mike'owi w oczy. Kiedyś był wysokim, postawnym mężczyzną, ale lata pochyliły go do ziemi. Był teraz małym wysuszonym starcem, z białymi jak jego gęsi włosami i brązową niczym kora skórą.

Zachował jednak sprawność i celne oko. Bez wahania chwycił gęś za szyję i jednym strasznym uderzeniem pozbawił ją głowy. Z drugą było gorzej, jakby czuła, co ją czeka. Zanim jednak Mike zdążył coś powiedzieć, było po wszystkim.

- No i nie szkoda twojego sprzątania? - spytał dziadek. Nie włożył sztucznych zębów i wargi mu się zapadały, lecz

Mike ucieszył się, że dziadek się uśmiecha. Zawsze lubił postawić na swoim.

- Nic nie szkodzi -odparł.

Zanieśli zabite gęsi do szopy. Wnętrze było małe i nie miało okna tylko otwór w ścianie. Wyglądało jak królestwo starego trapera. Na ścianach wisiały pozbawione futra piżmaki. Mike'owi te małe zwierzątka przypominały latające wiewiórki.

Mike włączył generator i maszyna do wyrywania piór zaczęła pracę. Tymczasem dziadek włożył wysokie gumiaki. Obaj mieli też rękawiczki na rękach. Starszy pan pracował tak szybko, że Mike z trudem za nim nadążał. Maszyna działała niczym magiczne palce, wyrywając końce piór ze skóry gęsi. Później dawały się łatwo wyciągnąć ręcznie.

Gotowe pióra Mike wrzucał przez mały otwór do drugiego

pomieszczenia. Najlepszy puch pochodził z piersi gęsi i Mike starał się dokładnie je oskubać, uważając przy tym, by ich nie zabrudzić. Usłyszał, jak dziadek klnie pod nosem. To zbliżający się przyjazd matki był powodem jego rozdrażnienia.

- Ta gęś ma mnóstwo puchu, dziadku! -zawołał Mike.
- Tak.
- Będzie więcej kołder dla mamy.
- Tak.
- Już pewnie jest w drodze. Niedługo tu będzie.
- Dziwne, że w ogóle zdecydowała się przyjechać -burknął dziadek.
- Ale przyjeżdża.
- O której ma tu być?
- Przed zmrokiem. Tyle tylko powiedziała.
- Zawsze taka była -mruknął. - Nigdy nie można było na niej polegać. Coś obiecywała, a potem zapominała, bo coś innego zaprzątało jej myśli.

Mike zawahał się, nie chcąc być nieuprzejmym, lecz nie podzielał opinii dziadka.

- Jeśli mama powiedziała, że przyjeżdża, to przyjedzie. I to się liczy -powiedział w końcu tonem obrony. Zazwyczaj to on pierwszy atakował matkę.
- Wiele rzeczy liczy się na świecie, Mike -odparł dziadek, zabierając się do patroszenia gęsi.
- Możliwe.
- Po śmierci twojej babki nie mogła się już doczekać, by stąd wyjechać.

Mike nawet nie podniósł wzroku. Kiedy dziadek wspominał babcię, głos mu się łamał. Wystarczyło, że ciocia Bess zagrała na pianinie jedną z ulubionych piosenek Rose, a on już wychodził z pokoju. Często odwiedzał też grób żony.

- Wszystko w porządku, dziadku?

Starszy pan skinął głową. Zmarszczył brwi i głośno pociągnął nosem, jakby chciał ukryć fakt, że gardło ma ściśnięte. Mike nie bardzo wiedział, dlaczego poprosił matkę, by tu przyjechała. Od ósmej klasy ciągle się z nią kłócił. Ona i dziadek prowadzili wojnę

znacznie dłużej, jeszcze zanim się urodził. Przez wiele lat myślał, że to on jest przyczyną ich nieporozumień. Rodzice nie byli małżeństwem, a on był ich nieślubnym synem. Jego przyjście na świat wywołało skandal na wyspie i może dlatego matka nie rozmawiała z dziadkiem. Później jednak zrozumiał, że to wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, kiedy babcia zachorowała na raka.

Spostrzegł, że dziadek patrzy na wiszące na ścianie piżmaki.

- Zdejmij mi tamte dwa - polecił.

Mike wykonał polecenie.

- Musimy ją porządnie podkarmić -oznajmił dziadek. -Gulasz z piżmaków wzmocni jej ciało i przywróci zdrowie.

- Ona jest zdrowa -powiedział z naciskiem Mike.

Dziadek rzucił mu pytające spojrzenie. Śmiesznie zmarszczył brwi i wydął wargi. Opłukał sprawione ptaki, włożył je do drewnianej skrzynki i postawił przy drzwiach. Potem poszedł do drugiego pomieszczenia i wyniósł stamtąd plastikową torbę z puchem.

- Ona jest zdrowa -powtórzył Mike, zaniepokojony milczeniem dziadka.

- Tak ci powiedziała?

- Tak.

- To samo mówiła jej matka -mruknął starszy pan.

- Ale... - zaczął Mike, patrząc z nadzieją w niebo.

- Jesteś taki jak one - wybuchnął dziadek. - Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć. Sęk w tym, że ludzie chorują i umierają. Czy życie na farmie nie nauczyło cię realizmu?

- Jestem realistą -odpowiedział Mike. Starszy pan roześmiał się.

- Właśnie że jestem.

- Masz jeszcze długą drogę przed sobą.

- Nie, ja...

- Wolisz słuchać bajek, ot co - stwierdził gniewnie dziadek i ruszył do domu. Wyjął z kieszeni fajkę i omal nie złamał cybucha, usiłując ją zapalić.

Mike został sam. Czuł, że marzną mu palce u stóp. Słońce zdążyło się już skryć za wysokie sosny. Ich ciemne sylwetki rzucały długie cienie na zatokę. Patrzył, jak dziadek wspina się stromą ścieżką, machając trzymanymi w ręku piżmakami. Dom był stary i

przygarbiony. Z krzywego komina sączyła się smużka dymu.

- Hej! - zawołał Mike, lecz dziadek udał, że nie słyszy. Przyspieszył kroku, jakby skulił się w sobie, i potrząsnął głową.

- Zabijanie gęsi przyprawia mnie o mdłości -powiedział Mike, kiedy był pewny, że dziadek go nie słyszy. Nie to jednak chciał powiedzieć. Serce waliło mu w piersi, oddychał spazmatycznie, wypuszczając z ust obłoczki pary. Spojrzał w niebo, nasłuchując warkotu silnika z nadzieją, że zobaczy nadlatujący samolot.

W domu panowała cisza. Bess leżała na kanapie otulona starym wełnianym szalem i cicho pochrapywała. Zegar dziadka tykał głośno. W różnych kątach pokoju usadowiły się koty, patrząc na nią żółtymi ślepiami. Zasłony były zaciągnięte, by ochronić meble przed promieniami słońca, toteż wnętrze sprawiało dość ponure wrażenie. Większość sprzętów i tapety na ścianach utrzymane były w kolorze brązowym lub odcieniach beżu. Dym z fajki doskonale pasował do tonacji.

George podszedł do siostry i patrzył na nią przez chwilę. Wyglądała staro. Z okazji przyjazdu Sary utleniła sobie włosy, lecz wcale jej to nie odmłodziło. Twarz miała pomarszczoną i braki w uzębieniu.

Spojrzał na kominek i zmarszczył gniewnie brwi. Oczywiście ogień zdążył już wygasnąć. Przecież powiedział jej, że w domu ma być miło i ciepło, kiedy przyjedzie Sara. Mike wyprowadził go z równowagi i teraz wszystko go denerwowało. Dom pachniał starzyzną, a wnętrze przypominało zakład pogrzebowy, który dni świetności miał już za sobą. George westchnął ciężko i postanowił delikatnie obudzić Bess.

- Dzień dobry, leniuchu - powiedział.

Bess poruszyła się nieznacznie. Poczuł się lepiej i rozejrzał po pokoju. Wszędzie spały koty. Poczłapał do starego pianina żony. Pachniało cytrynową politurą. Nikt nie mógł zarzucić jego siostrze, że nie dba o porządek. Wszystkie ramki od fotografii błyszczały, ustawione w szyku niczym oddziały wojska. Bess wyprała zasłony, wyczyściła flanelowe posłania psa i kotów, wypastowała podłogi. Mimo to w domu wciąż pachniało starością.

Poszedł do pracowni Bess i wstawił torbę z pierzem do wiklinowego kosza. Pokoik był tak mały, że ciągle się o coś obijał. Odkąd reumatyzm zaatakował stawy, George zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Nadepnął na śpiącego kota, który rozpaczliwym miauknięciem wyraził swoją dezaprobatę. George zaklął głośno. Przytrzymał się beli białej bawełny, brudząc ją trzymanymi w ręku skórami piżmaków.

- Cholera! - mruknął na widok plamy. W tej chwili nic na to nie mógł poradzić, poszedł więc zobaczyć, jak Bess radzi sobie z szyciem. W rogu pokoju leżały starannie złożone trzy nowe kołdry. George gniewnie zmarszczył brwi. Czemu, u diabła, Sara nie zamknie tego sklepu i nie odpocznie trochę? Zbyt ciężka praca nikomu nie wychodzi na dobre.

Kiedy wrócił do salonu i stwierdził, że Bess chrapie sobie w najlepsze, krew się w nim zagotowała. Spojrzał na zegarek, lecz przy tym świetle nie mógł dojrzeć wskazówek. Popatrzył więc na zegar wiszący na ścianie. Piętnaście po trzeciej. Sara będzie tu lada chwila.

Zamachał piżmakami nad głową Bess. Zaterkotały głośno, aż wszystkie koty rozbiegły się w popłochu.

- Wstawaj! - ryknął.

- Co się stało? -spytała zaskoczona, przytomniejąc w jednej chwili.

- Wiesz, która godzina? Chcesz, żeby twoja bratanica zastała cię śpiącą na kanapie?

- Położyłam się na chwilę, by dać wytchnienie oczom -odparła Bess, marszcząc brwi.

- Gulasz z piżmaka sam się nie ugotuje. I co z tym ogniem? Zimno tu jak w grobie.

- Nie tylko z tego powodu -mruknęła, pociągając nosem. Usiadła i wsunęła stopy w czarne skórzane buty. Poprawiła

włosy i spuściła rękawy. George przyglądał się siostrze. Zawsze zachowywała się jak elegancka i kulturalna dama. I nią była przez te wszystkie lata, odkąd wyszła za mąż i zamieszkała w Providence. Jednak wstanie z kanapy wymagało od niej wysiłku. George chwycił ją pod ręce i spróbował unieść w górę.

- Och, George, to boli! - jęknęła.

Stracił równowagę i opadł razem z Bess na kanapę.

- Do licha, co ty wyprawiasz?! - warknął.

Zaplątali się w wełniany szal i Bess zachichotała, co jeszcze bardziej go rozsierdziło. W końcu udało im się usiąść. Wyglądali teraz, jakby patrzyli w telewizor. Pochylając się do przodu, usiłowali wstać z kanapy. George czuł, że za chwilę eksploduje.

- Dziadku - rozległ się głos Mike'a. Chłopak wszedł do pokoju, lecz na ich widok zatrzymał się.

- Czego chcesz? -rzucił opryskliwie George, sądząc, że chłopak wybuchnie śmiechem.

- Niczego - odparł Mike. Z poważną miną podał rękę dziadkowi i pomógł mu wstać. Potem pochylił się, by Bess mogła go chwycić za ramiona, i delikatnie podciągnął ciotkę w górę.

- Dziękuję, kochanie -powiedziała, po czym, przytrzymując się chodzika, z godnością wyszła do kuchni.

- Poczciwy z ciebie chłopak, Mike - powiedział George.

- Nie ma sprawy, dziadku.

- Z tą Bess to jak z workiem mąki. Niełatwo ją podnieść, w ogóle ci nie pomaga, jest kompletnie bezwładna. Zanim się zorientujesz, już ściąga cię w dół.

- Nic się nie stało -odpowiedział Mike. -Dziadku, przypłynął ten facet z Wayport Inn. Mam mu wypisać rachunek na te dwie gęsi?

- W żadnym wypadku. Zażądaj gotówki. Nie daj się namówić na kredyt. To nie interes, chłopcze. Chyba nie możesz powiedzieć, że stary dziadek nie uczy cię, jak należy postępować, co?

- Nie, nie mogę -odparł Mike, idąc w stronę drzwi.

- Nie widać jeszcze matki?

- Nie - odpowiedział i wyszedł.

Nadal trzymając w ręku piżmaki, George Talbot pomyślał, że chyba świat się wali. Jego córka przyjeżdża do domu. Podszedł do pianina Rose i usiadł przy nim. Nigdy nie nauczył się na nim grać. Muzyka w jego domu zawsze była domeną kobiet.

- Sara przyjeżdża - powiedział na głos.

Miała raka tak jak Rose. Na samą myśl o tym czuł w sercu ból. Oparł głowę o brzeg pianina i uderzył w kilka klawiszy. Jak można żyć, jeśli odchodzi ktoś bliski?

Kiedy był bliski załamania, przyjechał Mike. Co on by zrobił bez tego chłopca? Nie lubił być od nikogo zależny, był realistą i odważnie stawiał czoło faktom. Chłopak miał siedemnaście lat i zjawił się w tym domu niczym anioł. Nigdy nie przypuszczał, że wnuk zdecyduje się pozostać. Jednocześnie wiedział, że nie ma prawa tego oczekiwać. Pomyślał o jego matce i babce: przyszły i odeszły.

Pod nimi rozciągało się bezkresne morze o ciemnej, prawie czarnej barwie, mieniące się tysiącami świetlnych refleksów. W zatokach leżały przykryte śniegiem wysepki. Zachodzące słońce rozpaliło na niebie pomarańczową łunę. Zapadał zmierzch i pojawiły się pierwsze gwiazdy. Sara wcisnęła się głębiej w fotel.

Will przechylił samolot na prawe skrzydło i skręcił na południowy wschód. Wówczas Sara zobaczyła wyspy.

- To tamta - powiedziała, spoglądając w dół. Serce zabiło jej mocniej.
- Która? - spytał Will. - Ta najdalej wysunięta w morze?
- Ta samotna.

Kiwnął głową, poprawił kierunek i połączył się z centrum lotów w Bostonie. Na wyspie nie było wieży ani lotniska, jedynie stary pas startowy. Mike obiecał, że skontaktuje się z panem Blackburnem, miejscowym administratorem, i poprosi, żeby oczyścił lądowisko.

Dopiero z tej wysokości widać było, jak bardzo odosobniona jest jej wyspa. Na mapie była ostatnią z grupy wysp przy półwyspie Tamaquid, układających się w znak zapytania, i pełniła rolę kropki. Jednak otaczający ją pas wody był tak szeroki, że właściwie oddzielał ją od archipelagu. Przy półwyspie Sara zadrżała mimowolnie. Kochała to miejsce ponad wszystko na świecie, lecz zbyt długo zwlekała z przyjazdem tutaj.

- To tam się wychowałaś? -spytała Snow, wyglądając przez okno.
- Tak.
- I tam mieszka teraz Mike?
- W tamtym białym domu.

Z tej wysokości widać było całą farmę. Leżała na południowo-wschodnim krańcu wyspy i obejmowała dwieście akrów sosnowych lasów i słonych łąk. Do domu przylegała czerwona stodoła, budynki

gospodarcze i wybieg dla ptactwa, ogrodzone walącym się białym płotem. Z komina unosił się dym.

- Wszystkie domy są białe -zauważyła Snow. -Cała czternastka. Czy na wyspie mieszka tylko czternaście rodzin?

- Trochę więcej -odpowiedziała Sara, przyciskając czoło do okna, kiedy Will pochylił samolot na prawe skrzydło. Była podekscytowana. Musiała głośno westchnąć, bo Will dotknął jej ramienia.

- Wszystko w porządku? -spytał.

- Jestem szczęśliwa -powiedziała, patrząc na niego rozjaśnionym wzrokiem i z uśmiechem na ustach. Gdyby Will otworzył teraz drzwi samolotu, mogłaby pofrunąć niczym ptak. - Za chwilę zobaczę Mike'a.

Will ścisnął jej dłoń, po czym zatoczył koło, by ustawić samolot w pozycji do lądowania. Z prawej strony ukazała się mała przystań i latarnia morska pulsująca zielonym i białym światłem. Ziemia zawirowała i pojawiły się gwiazdy. Smukłe sosny wyglądały niczym szczecina na szczotce. Przelecieli ponad ich czubkami, celując w wąski pas startowy. Zgrzytnęło wysuwające się podwozie.

- To jest dopiero zaufanie - powiedział Will. - Ślepa wiara.

- Nie rozumiem.

- Lądowanie w nieznanym miejscu. Muszę wierzyć, że ktoś oczyścił pas startowy.

- Mike powiedział, że...

- Na pewno to zrobił.

Nie spuszczał teraz wzroku z wąskiego zielonobrązowego pasa wśród białej równiny. Sara wiedziała, że jeżeli nie został zaorany, to koła samolotu mogą utknąć w śniegu i wprawić maszynę w ruch wirowy. Skoro jednak Mike obiecał, że zawiadomi pana Blackburna, na pewno to zrobił.

- Czy Mike miał czekać tu na ciebie? -spytał Will, zmniejszając prędkość samolotu.

- Nie sądzę. Nie powiedziałam, o której dokładnie wylądujemy - odparła Sara. -Czemu pytasz?

Ustawił klapy skrzydeł, przytrzymał drążek sterowniczy i zniżył lot. Tuż pod nimi zaszumiały sosny. Sara niemal słyszała, jak ich gałęzie ocierają się o koła.

- Bo ktoś tam stoi -wyjaśnił Will, nie odwracając głowy. -Jest strasznie do ciebie podobny.

- Mike! - wykrzyknęła Sara, przyciskając dłonie do szyby i uśmiechając się szeroko.

Samolot dotknął zmarzniętej ziemi i minął wysokiego przystojnego chłopca, trzymającego ręce w kieszeniach, o pięknej głowie, której nic nie chroniło przed zimnem, choć matka stale powtarzała, żeby wkładał czapkę.

# Rozdział IX

Mike przyglądał się, jak zniża się samolot z matką. Pan Blackburn leżał złożony atakiem podagry, więc sam musiał przygotować lądowisko. Zaorał je dwa razy: wieczorem poprzedniego dnia i dziś po południu, gdy słońce stopiło lód. Nigdy przedtem tego nie robił i martwił się, że mógł coś zepsuć. Mały samolot trząsł się, podskakując na bruzdach pozostawionych przez pług. Dopiero kiedy się zatrzymał, Mike spokojnie odetchnął. Wsiadł do wielkiego dżipa i podjechał do pasa startowego. Matka zdążyła już otworzyć drzwi i machała do niego jak szalona. Nie mogła jednak odpiąć pasa.

- Cześć, Mike! -zawołała.
- Cześć, mamo! -odkrzyknął.

Pilot uniósł dłoń w geście powitalnym, przeszedł na drugą stronę samolotu, by oswobodzić matkę z uwięzi. Był wysokim mężczyzną, o szerokich ramionach i ciemnym zaroście zupełnie jak filmowi piloci. W jego ruchach wyczuwało się niezwykłą delikatność i Mike doszedł do wniosku, że facet musi coś czuć do matki. Kolejny mężczyzna. Coś takiego! Szczęknęło zapięcie i matka wyskoczyła z samolotu.

- Mike! -zawołała, biegnąc ku niemu.

Skrzyżował ręce na piersiach. Wcale nie zamierzał tego robić. Czekając przez cały tydzień na jej przyjazd, nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego ma ochotę odwrócić się i odejść. Matka musiała wyczytać to z jego twarzy, bo zatrzymała się tuż przed nim.

- Cześć, mamo - powtórzył.
- Mike, ale ty urosłeś.

Błyskawicznie omiotła wzrokiem oczy, włosy, twarz, nie pomijając żadnego szczegółu. Ciekawe, czy zauważyła, że musi się codziennie golić. Starał się nie okazywać, że również robi to samo co ona: sprawdza, czy rzeczywiście jest zdrowa, jak mówiła.

- Masz wspaniałą fryzurę - powiedziała. - Dziadek każe ci się tak krótko strzyc?

- Sam chciałem - odparł, wzruszając ramionami. Opuścił ręce. Teraz już mogła go objąć. Jednak nie zrobiła tego. Uśmiechnął się lekko, lecz ona patrzyła na niego z powagą. Przechyliła na bok głowę i ułożyła usta w kształcie litery „O".

- O co chodzi? - spytał.

- Patrzę na ciebie. To wszystko.

Zerwał się wiatr, wzbijając w górę leżący na polu śnieg. Wkrótce zapadnie zmrok. Za godzinę będzie już zupełnie ciemno. Mike wsiadł do samochodu, jak tylko usłyszał warkot samolotu. Gdyby przylecieli później, musiałby oświetlić lądowisko i czekałby z włączonymi reflektorami w samochodzie. Na szczęście nie było to konieczne.

Pilot krzątał się koło samolotu. Przygotował cztery słupki pod koła i wielki młot. Na niebie błysnęło światło latarni. Uderzenia młota brzmiały ostro i metalicznie. Mike wskazał głową na pilota.

- On zostaje?

- Tak - odparła Sara. - Nie było sensu, żeby wracał i ponownie po mnie przylatywał.

A więc zamierzała wracać. Zaplanowała sobie drogę ucieczki jeszcze przed przyjazdem tutaj. Opuściła wyspę na zawsze, tak jak mówił dziadek. Przywiozła sobie faceta, by dotrzymał jej towarzystwa przez kilka dni, a potem zabrał z powrotem.

Żadnej z tych myśli nie wypowiedział jednak na głos. Podszedł do pilota, by zaproponować pomoc. Facet pracował szybko, podobnie jak dziadek. Mike przyglądał się, jak wbija kołki w zmarzniętą ziemię, mocuje liną skrzydła i koła, robiąc to z precyzją żeglarza.

- Może pomóc? - spytał Mike.

- Dzięki - odparł pilot, podając mu linę, kołek i młot. -Umocujesz to z przodu?

- Jasne.

- Jestem Will Burke.

- Mike Talbot.

Podali sobie ręce. Facet uśmiechnął się lekko. Uścisk dłoni był mocny, lecz niezbyt gorący. Mike poczuł, że się odpręża. Najwyraźniej Will nie należał do facetów, którzy starają się przypodobać synowi, by móc sypiać z matką. Ciekawe, jak dziadek przyjmie tego niespodziewanego gościa.

Ustawił się w odpowiedniej odległości od samolotu, odsunął na bok grudkę śniegu, wcisnął metalowy kołek, po czym wbił go w zmarzniętą ziemię. Następnie przeciągnął nylonową linę przez stalową pętlę i zawiązał mocny węzeł. Kiedy podniósł głowę, zobaczył stojącą obok matkę. Patrzyła na niego z dumą, zamglonym wzrokiem, jakby miała się rozpłakać.

- O co chodzi? - spytał, pochylony nad kołkiem.
- Tak... -Urwała. - Tak się cieszę, że cię widzę.
- Ja też.
- To obejmij mnie.

Odłożył młot, strzepnął śnieg z rękawic i przytulił matkę. Stali bez ruchu, szarpani podmuchami wiatru. Matka wydawała się drobna jak ptaszek i znacznie szczuplejsza, niż kiedy ją widział po raz ostatni. Zacisnął powieki. Czuł, że jej ciało drży. Płakała. On sam z trudem powstrzymywał cisnące się do oczu łzy. Nagle uświadomił sobie, że przecież mógł jej już nigdy nie zobaczyć.

- Mike - wyszeptała zdławionym głosem.
- Mamo, już dobrze.

Odsunęła się od niego i zaczęła szukać chusteczki. Nigdy jej nie miała. Kiedy był małym chłopcem i ciekło mu z nosa na placu zabaw, była jedyną matką, która nie miała w torebce chusteczek. Nauczył się sam dbać o siebie, sięgnął więc do kieszeni kurtki i podał matce swoją.

- Dzięki. - Głośno wydmuchała nos i oddała mu ją. Była sztywna od krochmalu. - Nikt tak nie pierze jak ciocia Bess.

- Fakt. - Włożył chusteczkę do wewnętrznej kieszeni i już miał zaproponować, że odwiezie ich do domu, kiedy nagle zaparło mu dech w piersiach, jakby dostał piłką w splot słoneczny.

- Kto to? - spytał, patrząc ponad ramieniem matki.

Z samolotu właśnie wysiadła śliczna młoda dziewczyna o

wielkich oczach, błyszczących wargach i rumianych policzkach. Ubrana była w obszerną kurtkę o marynarskim kroju, obcisłe dżinsy i nowe adidasy. Paznokcie miała pomalowane na brązowopomarańczowy kolor. Przeciągnęła się, jakby dopiero co wstała z łóżka, i rozejrzała wokół. Na widok Mike'a uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę.

- To jest Snow -wyjaśniła z uśmiechem matka.

- Snow? - powtórzył.

- Ty pewnie jesteś Mike - powiedziała dźwięcznym głosem dziewczyna.

- Tak. Cześć.

- Jesteśmy przyjaciółmi twojej matki - oznajmiło bóstwo. -Mój tata i ja.

- Aha -bąknął, czerwieniąc się pod wpływem jej urody i bezpośredniości.

- Dobrymi przyjaciółmi - dodała matka, obejmując Snow.

Dziewczyna była prawie równa z jego matką. Mike'owi przyszło do głowy, że byłoby wspaniale trzymać Snow w ramionach, i zaczerwienił się jeszcze mocniej.

- Twoja matka nie mogła się już doczekać przyjazdu tutaj - powiedział pilot.

- To prawda! - wykrzyknęła Sara, przytulając Snow do siebie.

Jej oczy błyszczały radością. Patrzyła na Mike'a tak, jakby to jego chciała objąć, nie dziewczynę, i zlikwidować dzielącą ich odległość. Mike postąpił naprzód, lecz nie przybliżyło go to do matki.

- Wyglądasz jakoś inaczej - powiedział.

- Naprawdę? -spytała z urazą w głosie. Chciał powiedzieć, że wygląda pięknie, lecz nie umiał wyrazić tego słowami, więc tylko patrzył na nią.

- Saro, mogę go spytać, czy podobają mu się...

Snow stanęła na palcach i szepnęła coś" Sarze do ucha. Wydało mu się dziwne, że dziewczyna w jego wieku mówi do matki po imieniu. Udał, że wcale go nie interesuje, o co Snow chce go spytać.

- Możesz -powiedziała matka.

- Jak ci się podobają jej włosy? - spytała dziewczyna.

- Co? - Zmarszczył brwi i spojrzał na fryzurę matki.

Rzeczywiście, coś się zmieniło w jej włosach. Były krótkie i bardzo jasne. Wyglądały świetnie i może to one dodawały jej urody. -Tak, są w porządku - powiedział, uśmiechając się.

- Mój pomysł -odparła z dumą Snow.

- Rzeczywiście są ładne -dodał z uśmiechem pilot. -Ufarbowałaś je, tak?

- Tak -uśmiechnęła się Sara.

- Tato, dopiero teraz zauważyłeś? - spytała z rozpaczą w głosie Snow. - Pewnie Mike też. Jesteście kompletnie ślepi.

- Przepraszam - mruknął ze skruchą Mike. Postanowił, że będzie bardziej spostrzegawczy. Popatrzył na Snow i zauważył szeroko otwarte oczy, długie kasztanowe włosy opadające miękko na ramiona i delikatną białą szyję. Przełknął ślinę i odwrócił wzrok, obawiając się, że dalsza obserwacja może być niebezpieczna.

- Robi się zimno -powiedział. -Jedźmy do domu.

- Wspaniale. Zmarzłam na kość -odparła z zachwytem Snow, jakby był jej bohaterem.

- Pójdę po bagaże -zapowiedział pilot i ruszył do samolotu. Mike podążył za nim, a matka i śliczna dziewczyna wsiadły

do dżipa, by się ogrzać.

Zatrzymali się przed starym domem. Sara z Willem poszli przodem. Wspomnienia z dzieciństwa zalały ją potężną falą. Tyle lat tu mieszkała, aż do wyjazdu do college'u. Do jedenastego roku życia wyspa była jej jedynym światem. W sypialni na górze zmarła jej matka.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jestem -szepnęła, czując, jak ręce jej się trzęsą.

- Zachowujesz się, jakbyś się bała -odszepnął.

- Bo tak jest.

- Przecież to twój dom.

- Właśnie dlatego.

Było to takie zabawne, że wybuchnęła śmiechem. Will otoczył ją ramieniem i czekał, aż Sara odzyska oddech. W końcu się uspokoiła i powiodła wzrokiem po obejściu. Dom należał chyba do najstarszych w Maine. Tynk w wielu miejscach odpadał i biała farba odchodziła płatami ze ścian. Jeden ze stopni prowadzących na ganek był pęknięty

w środku.

- Nie miałem czasu go naprawić -powiedział Mike.
- Ty? - spytała Sara, jakby trudno jej było w to uwierzyć. Wszelkie domowe naprawy wykonywał zawsze ojciec. Nie widziała go kilka lat i nagle przestraszyła się tego spotkania.
- Potrafisz robić takie rzeczy? - zdziwiła się Snow.
- Tak. - W głosie Mike'a brzmiała duma.
- Gotowa? - spytał Will, dotykając jej ramienia.
- Tak - odparła. Zastukała trzy razy wielką mosiężną kołatką w drzwi, przekręciła gałkę i weszła do środka.

George Talbot stał w przedpokoju. Musiał widzieć światła samochodu i wyszedł im na spotkanie. Mógł otworzyć drzwi i powitać gości na ganku, lecz nie leżało to w jego zwyczaju. Sara patrzyła na ojca. Postarzał się, pomyślała. Mój ojciec jest stary.

- Witaj, Saro - odezwał się. Sara poczuła, że twarz jej płonie.
- Witaj, tato.
- Cóż to za oddział przyprowadziłaś ze sobą? - spytał, patrząc na Willa i Snow.
- Jestem Will Burke - powiedział Will. - A to jest moja córka Snow.

Sara uśmiechnęła się, słysząc, że mówi „Snow", a nie „Susan".

- Witam. Jest pan jej nowym przyjacielem?
- Pilotem, dziadku - sprostował Mike, postępując krok w przód.
- Pańska córka wynajęła mnie - wyjaśnił Will.
- Wynajęcie pilota z Nowego Jorku na wyspę Elk drogo kosztuje.
- To dowodzi, jak bardzo chciała tu przybyć - odparł.

Sara dostrzegła zmieszanie w oczach ojca. Tak rzadko spotykał się z ludźmi, że nie bardzo wiedział, jak prowadzić rozmowę. Był strasznie nieśmiały i pokrywał to wrogością. Poczuła zakłopotanie i jednocześnie chęć zaopiekowania się nim. Podeszła bliżej i ujęła go za ręce.

Były suche i kościste niczym stare korzenie drzewa. Ścisnęła je lekko i popatrzyła ojcu w oczy. Jego szpakowate włosy stały się teraz zupełnie białe.

- Witaj, tato - powtórzyła.
- Witaj, Saro - odpowiedział.

Miał niebieskie, głęboko osadzone oczy, które blakły w miarę upływu lat. Wysunięty podbródek nadawał mu wygląd wojownika prowokującego do walki. Sara zauważyła, że ojciec zmalał. Trzymał się prosto, lecz ciało straciło dawną sprężystość.

- Moi przyjaciele zabiorą mnie w niedzielę do domu, pomyślałam więc, że wygodniej będzie, jeśli zostaną. Przygotuję im spanie...

- Przyjechałaś tylko na cztery dni?

- Tak. Musiałam zamknąć sklep, na dłużej jest to niemożliwe.

Popatrzył na nią, po czym przeniósł wzrok na Mike'a. Zrobił krok w stronę wnuka, jakby szukał w nim sprzymierzeńca. Sara wpatrywała się w nich zachłannie. Patrząc na swojego przystojnego, rosłego syna, dostrzegła w jego oczach miłość do dziadka. George dał mu kuksańca, a Mike udał, że mu oddaje.

- Dość tego, Mike - rzucił surowym tonem George Talbot. - Zachowuj się jak przystało. Mamy gości. Lubisz gulasz z piżmaka, młoda damo?

- Ja? - spytała Snow.

- Tak, ty.

- Jestem wegetarianką.

- Jesz tylko jarzyny?

- Tak. Nie lubię jeść zwierząt.

Mike sprawiał wrażenie zmieszanego, a George zdumionego.

- Nie martwi to pana, że ona tak się odżywia? - zwrócił się do Willa.

Will roześmiał się i pokręcił głową.

- Ma własny rozum, panie Talbot. Jest moją córką, ale chodzi własnymi drogami.

- Wiem, co ma pan na myśli, panie Burke - powiedział, patrząc na Sarę. - Ma pan może syna?

- Nie - odparł Will.

Sara nie zauważyła, żeby on lub Snow byli speszeni tym pytaniem. Przysunęła się do Willa i dotknęła niechcący jego ramienia. Natychmiast odsunęli się od siebie, spoglądając sobie przez chwilę w oczy.

- Z chłopcami jest łatwiej -stwierdził George.

Dziwne, pomyślała, przecież nie miał syna. Zaraz jednak

spostrzegła, że patrzy na Mike'a.

- No, ale najwyższy czas zejść na dół na kolację - oświadczył. - Bess jest głucha jak pień, w przeciwnym razie już by tu była. Chodźmy do niej.

- Dobrze, tato.

Spojrzał na nią. Jego wzrok nagle złagodniał i zaszedł mgłą. Ojciec był taki sentymentalny. Wiedziała, że jej widok wywołał wspomnienia.

- Szkoda, że nie ma tu twojej matki - powiedział. -Nigdy nie pogodziłem się z jej odejściem, choć minęło już tyle lat.

- Ja również, tato.

Chciała go objąć, lecz odwrócił się i poczłapał w stronę schodów.

- Ciocia Bess przygotuje ci jakieś warzywa - powiedział Mike do Snow.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu - odparła, idąc za nim.

Sara i Will zostali sami. Ich bagaże stały przy drzwiach, a dzieci zeszły za starszym panem do kuchni. Cynowe kinkiety dawały niewiele więcej światła niż świeca. W sercu Sary mieszały się radość i obawa.

- Wszystko w porządku? - spytał Will.

Skinęła głową. Chciała się uśmiechnąć, powiedzieć tak, lecz gdyby w tej chwili się odezwała, wybuchnęłaby płaczem. Słyszała dochodzący z dołu głos Mike'a. Przedstawiał Snow cioci Bess. Brzmiał tak spokojnie, dojrzale i niewiarygodnie. Nie mogła uwierzyć, że należał do tego samego chłopca, z którym przed rokiem nie mogła się porozumieć.

- Możesz przestać za nim tęsknić -powiedział Will. -Jest przy tobie.

- Wiem, dziękuję.

- Dziękujesz za *to,* że cię tu przywiozłem? Przecież...

- Za to, że jesteś tu ze mną.

Wiedziona impulsem ujęła go za rękę. Serce zaczęło jej mocno bić. Patrzył chwilę na ich złączone dłonie, po czym uniósł jej rękę do ust, spojrzał w oczy i uśmiechnął się.

- Ja również ci dziękuję.

Po chwili zeszli wąskimi schodami do kuchni.

Mieszcząca się w suterenie kuchnia biegła przez całą długość domu. Miała pięć dużych okien, które wychodziły na zatokę. Szeroki parapet pod oknami przykryty był długą poduszką i mnóstwem mniejszych, z jasnego materiału w gwiazdki. W ogromnym kominku buzował ogień. Na białych ścianach wisiały trofea myśliwskie: głowy dzika, łosia i jelenia. Wydrążone kopyta służyły jako pojemniki na łyżki i noże, a rogi zastępowały wieszaki na ubrania.

Stół został zrobiony z pnia powalonego przez wiatr dębu i pokryty kilkoma warstwami lakieru, spod którego przeświecały słoje. Nad kominkiem wisiał żelazny kociołek, a w nim gotował się gulasz. Mike pod czujnym okiem ciotki rozlewał go do glinianych misek. Ciocia Bess była pulchną kobietą i poruszała się po kuchni przy pomocy chodzika. Patrząc na nią, Sara zastanawiała się, jak ona daje sobie radę z wchodzeniem i schodzeniem ze schodów. Była dla niej żywym przykładem tego, jak ciężkie może być życie na farmie. Dziś miała na sobie odświętną granatową sukienkę w białe grochy. Przy stole usiadła między Sarą i Snow. Pachniała mieszaniną potu, kulek na mole i perfum Arpege.

- Tak miło mieć koło siebie kobiety - powiedziała z uśmiechem. - Człowiek czuje się trochę samotny, kiedy może rozmawiać tylko z mężczyznami.

- Tak się cieszę, że cię widzę, ciociu Bess - odezwała się Sara.

- Ja też się cieszę, Saro. Sara jest dla mnie jak córka, której nigdy nie miałam - dodała, patrząc na Willa i Snow.

- Sara miała matkę - odparł George, rzucając jej gniewne spojrzenie.

Sara nie mogła zrozumieć, dlaczego usiłuje zranić swoją siostrę. Ciocia Bess zesztywniała i zacisnęła usta. Kiedy jednak napotkała wzrok Sary, uniosła brwi i wzruszyła ramionami. Przy stole zapanowała napięta atmosfera. Tak było zawsze, odkąd Sara sięgała pamięcią. Patrząc na syna, zastanawiała się, jak on to znosi.

- Ten gulasz jest doskonały -orzekł Will.

- Miejscowa specjalność -poinformował go George.

- Cieszę się, że panu smakuje - dodała ciocia Bess, odzyskując humor.

- Nie wiesz, co tracisz, młoda damo - stwierdził George, patrząc

na Snow. - Dzięki gulaszowi z piżmaka rosną włosy na piersi.

- Moje jedzenie też jest dobre - odpowiedziała Snow znad talerza gotowanej marchwi, rzepy i włoskiej kapusty, jarzyn, które Mike pokroił, a ciocia Bess ugotowała.

- To potrawa typowa dla Nowej Anglii -powiedział George.

Snow przechyliła głowę na bok.

- My nigdy nie jedliśmy gulaszu z piżmaka, a też pochodzimy z Nowej Anglii.

- Naprawdę? Sara mówiła, że jesteście z Fort Cromwell - zdziwiła się ciocia Bess.

- Snow urodziła się w Newport, w stanie Rhode Island -wyjaśnił Will. - Służyłem tam w marynarce.

- W Newport? O mój Boże! Mieszkaliśmy z mężem w Providence i wprost uwielbialiśmy Newport. Naszą ulubioną restauracją było „Molo". Znacie ją?

- Podają tam zupę z homarów - powiedziała Snow. -Zanim stałam się wegetarianką, uwielbiałam tę zupę. A Fred lubił farsz z owoców morza. Pamiętasz, tato, on zawsze zamawiał pieczonego homara z farszem z owoców morza.

- Pamiętam - odparł Will.

- Prawie każdej soboty jeździliśmy do Newport, żeby popatrzeć na piękne domy i wstąpić do „Molo". Och, ja...

- A więc jest pan marynarzem? -wszedł jej w słowo George, patrząc z zainteresowaniem na Willa.

- Tak.

- Brał pan udział w jakichś akcjach?

- Nawet w kilku.

- Na przykład w Zatoce Perskiej - wtrąciła z dumą Snow.

- Naprawdę? - zaciekawił się Mike.

- Tak - odpowiedział Will, patrząc na George'a. - Sara mówiła mi, że walczył pan w drugiej wojnie światowej.

- Tak. W ósmym korpusie sił powietrznych w Europie.

- Dziadek latał w samolocie zwiadowczym - wtrącił Mike.

- W dniu lądowania w Normandii był jednym z pierwszych, którzy się tam znaleźli -dodała Sara, czując się równie dumna z ojca jak Snow z Willa. Zawsze uważała go za bohatera. Był bardzo

zaangażowany w sprawę, za którą walczył. Teraz jednak rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Dziwne, że to pamiętasz.
- Pamiętam - powiedziała półgłosem.

Znała wszystkie jego wojenne opowieści. Większość usłyszała od niego, niektóre zaś opowiedziała jej matka. O tym, jak bombardował Kolonię i oszczędził katedrę, jak jego samolot został zestrzelony nad Morzem Północnym i z całej załogi przeżył tylko on. W Fort Cromwell, w małym, różowym, satynowym pudełku przechowywała jego medale: Medal Sił Powietrznych i Krzyż Zasługi.

- Był pan w Zatoce Perskiej, tak? -zwrócił się Willa, jakby tylko on siedział przy stole.
- Tak.
- Jaki ma pan stopień?
- Komandora.

Sara zauważyła, jak ojcu wydłuża się twarz. Nie znosił, gdy ktoś przewyższał go rangą. Ciekawe, czy przyzna się, że odszedł z wojska w randze porucznika. On jednak odsunął krzesło, podszedł do lodówki i wyjął z niej dzbanek z mlekiem. Napełnił dwie szklanki, jedną dla siebie, drugą dla Mike'a.

- Może ktoś chce mleka? - spytał.
- Ja poproszę, jeśli pan pozwoli -odezwał się Will. George rzucił mu spojrzenie z ukosa. Nie uszło jego uwagi

słowo „pan" i ton szacunku brzmiący w głosie Willa. Napełniając kolejną szklankę mlekiem, zastanawiał się, czy może mu wybaczyć wyższy stopień. Sara patrzyła, jak odstawia dzbanek, i dostrzegła gniew w jego oczach. Czemu on się tak dręczy? Nigdy nie mogła tego zrozumieć. Dni spędzone na wyspie, które dla niej były błogosławieństwem, ojca wydawały się przytłaczać.

- George był zaledwie kilka lat starszy od Mike'a, kiedy poszedł na wojnę -powiedziała Bess do Snow. - Był taki dzielny, a my tak się o niego baliśmy. Nasz ojciec był twardym mężczyzną, nie bawił się w sentymenty, ale płakał jak dziecko, kiedy odprowadzaliśmy George'a na stację.
- Dość tego, Bess - przerwał jej George.

Tym razem nie zdołał zranić siostry. Patrzyła na swojego

bohaterskiego brata z miłością i łagodnym uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Byli teraz starymi ludźmi, lecz wyczuwało się łączącą ich więź.

- Pani Bess nie miała nic złego na myśli - stanęła w jej obronie Snow.

- Co? - nie zrozumiał George.

- Po prostu żartuje sobie z pana. Takie już są siostry, żartują, ale nie chcą zranić.

Prychnął gniewnie i spiorunował ją wzrokiem, jednak powstrzymał się przed kąśliwą ripostą. Nie lubił słuchać pochwał na swój temat. Zazwyczaj ostro na nie reagował. Snow była jednak gościem i młodą dziewczyną, toteż ograniczył się jedynie do gniewnego spojrzenia. Sara popatrzyła na Snow z mieszaniną strachu i podziwu.

- Macie państwo szczęście, że w tym wieku możecie cieszyć się sobą -powiedziała Snow.

- Szczęście? -prychnął George. - Ona ciąży mi u szyi niczym młyński kamień.

Tego nawet Bess nie była w stanie znieść.

- Szczęście, że on codziennie wstaje do pracy -odpowiedziała. - Modlę się do Boga, bym nie dożyła dnia, kiedy on przejdzie na emeryturę.

Will zerknął na Sarę, usiłując zachować powagę. Mike natomiast otwarcie się uśmiechał.

- Chyba nie myśli pani poważnie - zwróciła się Snow do Bess. - Tęskniłaby pani za nim, gdyby odszedł.

Bess spojrzała na brata. Patrzył na dziewczynę ze zmarszczonym czołem. Kciukiem poprawił wysuwającą się sztuczną szczękę. W kominku obsunęła się kłoda, wzbijając w górę fontannę pomarańczowych iskier.

- Słyszysz, co ona mówi? -zwrócił się do Bess. -Słyszę.

- Lepiej bądź dla mnie milsza.

- I vice versa. Twoja córka po sześciu latach przyjeżdża do domu, a ty zachowujesz się jak lew w klatce. Mamy gości, a skaczemy sobie do oczu niczym wściekłe psy.

- Wcale tak nie jest, prawda, Mike? - spytał George, łagodniejąc.

- Prawda.

Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Sara poczuła coś na kształt zazdrości. Jej syn stał się częścią tego domu i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Niemal czuła, jak odwraca od niej wzrok.

# Rozdział X

Świąteczny poranek był kryształowo czysty i bardzo chłodny. Słońce wschodziło tu niczym błyskawica i Sara wstała wcześnie, by to zobaczyć. Gorączka znowu dała o sobie znać. Kiedy się ubierała, poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. Ojciec oszczędzał olej i nie włączał na noc ogrzewania. Miała wrażenie, że pali ją skóra, pomimo zimna panującego w pokoju. Stała nago przy łóżku zlana potem i usiłowała przypomnieć sobie sny. Wiele się w nich działo, bo przez całą noc rzucała się w pościeli. Przed oczami stanął jej Will, jakby to on był odpowiedzialny za trawiącą ją w nocy gorączkę.

Poczuła się lepiej, gdy włożyła ciepłą bieliznę, dżinsy, golf i gruby sweter. W domu panowała cisza. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Mike'a i wsłuchiwała przez chwilę w jego głęboki, miarowy oddech. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że kiedy wróci ze spaceru, znów go zobaczy. Wyszła z domu i ruszyła ośnieżoną ścieżką schodzącą do zatoki.

Na ciemnym niebie świeciły jeszcze gwiazdy, niczym świetlne kule, które ktoś zapomniał zgasić. Sara stanęła nad brzegiem morza i wsunęła ręce do kieszeni spodni. Od strony stodoły dochodziło gęganie gęsi, a z pobliskich skał dobiegło szczekanie fok. Poruszyła ją do głębi świadomość, że oto wróciła do miejsca, które tak ukochała, a którego mogła już nigdy nie zobaczyć. Rozwarła szeroko ramiona, dziękując za świt, za rodzinną wyspę, za farmę, za pięknego syna.

Nie była jednak sama. W panującym mroku nie dostrzegła siedzącego na skale mężczyzny. Słysząc jej kroki, wstał i przeszedł po wymytej przez przypływ płaszczyźnie. Jego sylwetka odcinała się na tle płonącego nieba. Spojrzała w jego miłą twarz i oczy, które nie zaznały wiele snu, i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - powiedział.

- Wcześnie wstałeś.

- Pomyślałem, że jeżeli pierwszy wstanę, to będę pierwszym obywatelem Stanów Zjednoczonych, który zobaczy wschód słońca.

- Mogę dotrzymać ci towarzystwa? -spytała.

- Jasne - odparł, stając obok niej i patrząc w morze. Dzika przyroda powoli budziła się ze snu, a horyzont stawał się coraz jaśniejszy. Fale uderzały o pobliskie skały. Przypływ był niski, co rzadko się tu zdarzało. Odsłonięte morskie dno było pofalowane. Srebrzysty muł przecinały wpadające do morza strumyczki. Pod wodorostami kryły się homary i kraby. Otoczaki zmieniały kształty i znikały pod wodą. Sara dotknęła ramienia Willa.

- Zobacz, foki.

- Te skały? - zdziwił się.

Zwierzęta rzeczywiście wyglądały jak skały, błyszczące i szare, zgrupowane w nieregularnych skupiskach.

- Cała kolonia - powiedziała, patrząc, jak pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dorosłych fok i co najmniej tuzin młodych wygina ciała w łuk i wyciąga nosy ku niebu.

- A niech to - mruknął z podziwem.

- W Newport nie było fok?

- Jedna czy dwie. Zimowały nad zatoką Narragansett. Jak tylko ktoś je zauważył, dzieciaki zaczynały nas prosić, żebyśmy pojechali do Castle Hill czy do Beavertail.

- Dzieci lubią foki. Kiedy Mike był mały, nie mogłam odciągnąć go od skał. Mógł tam siedzieć przez cały dzień.

- To miły chłopak - zauważył. - Dobrze się wczoraj spisał z pasem startowym. Bardzo się cieszy, że przyjechałaś.

Sara z trudem stłumiła wezbraną nagle falę uczuć.

- Czemu tak sądzisz? - spytała.

- Zauważyłaś, z jaką dumą mówił, że sam oczyścił teren? Chce, żebyś uważała go za niezastąpionego. Czuje się jak gospodarz domu. Chce, żebyś była z niego dumna.

- A ja myślałam, że...

- Że co?

- Że on chce mi udowodnić, że nie jestem mu potrzebna. Teraz mój ojciec i Bess stanowią jego rodzinę.

Słońce przebiło się przez taflę morza. Przypominało złocistą kulę świecącą wśród małych skalistych wysepek. Wysokie sosny wyglądały niczym długie czarne cienie na tle zalanego złocistą łuną nieba. Powietrze nadal było chłodne. Myśląc o Mike'u i jego nowym życiu, Sara instynktownie napięła mięśnie ramion.

- Czemu on tu mieszka? - spytał cicho Will.
- Bo uciekł.
- Z domu?

Zawahała się, przypominając sobie ich ostatnią i najostrzejszą kłótnię.

- Ode mnie.
- To normalne w jego wieku. Przychodzi taki okres, kiedy chłopców zaczynają matki denerwować i nie chcą się do tego przyznać.
- Spakował swoje rzeczy - powiedziała, zamykając oczy, jakby usiłowała sobie przypomnieć tę chwilę. -Zamierzał pojechać do Maine autostopem, a potem wsiąść na statek. Pokłóciliśmy się, a potem złapałam go na autostradzie. Prosiłam, by pomyślał o swojej przyszłości, by został ze mną, póki nie ukończy szkoły, lecz on popatrzył na mnie i powiedział, że to niemożliwe. Nie chciał mnie słuchać. - Westchnęła. - Miałam wrażenie, że mnie nienawidzi.
- Dlaczego miałby cię nienawidzić?
- Z wielu powodów.

O nic więcej nie zapytał, tylko w milczeniu przyglądał się fokom. Słońce już wzeszło, więc były teraz lepiej widoczne. Wyglądały, jakby zrosły się ze skałami, jak dzieci przytulone do matek. Sara spuściła głowę.

- On nie czuje do ciebie nienawiści -powiedział Will.

Podniosła na niego wzrok. Miał ciemny zarost na twarzy, co podkreślało jego męskość. Wydawał się zakłopotany, jakby bardzo chciał, żeby mu uwierzyła.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? -spytała, modląc się w duchu, żeby powiedział coś, co by ją przekonało.
- Bo ciebie nie można nienawidzić -odpowiedział. Poczuła ukłucie zawodu. Zadrżała mimowolnie. Pragnęła

usłyszeć coś wyjątkowego, jakieś zaskakujące spostrzeżenie,

które jej samej nie przyszłoby do głowy. Nie odezwała się, lecz nie było to konieczne. Will wiedział, że czeka na dalszy ciąg.

- Bo chłopiec, który czuje nienawiść do matki, nie będzie prosił, żeby przyjechała na wyspę Elk spędzić z nim Święto Dziękczynienia.

- W zeszłym roku nie chciał być ze mną w tym dniu. Wiem, że nie dlatego wyjechał. Powodem była moja choroba.

- Przestraszył się?

Skinęła głową. Ale nie był to jedyny powód. To była tylko część prawdy. W głębi duszy czuła, że każdy syn bałby się stracić matkę, bez względu na to, czy jest niezależny, czy pozostaje na jej utrzymaniu. Mike nie był samodzielny, to ona ciężko pracowała, by opłacić podatki i utrzymać podupadającą farmę.

- Nie chce ciebie stracić, Saro. Nikt by nie chciał.

- Boże, jaki piękny jest ten wschód słońca - westchnęła, patrząc, jak niebo zmienia kolor z ciemnoszarego na niebieski, a ostatnia gwiazda blednie w świetle nowego dnia.

- Wszystkiego najlepszego, Saro.

- Wszystkiego najlepszego, Will.

Nabrali ochoty na kawę i śniadanie, zapragnęli też zobaczyć dzieci, ruszyli więc oblodzoną ścieżką ku tonącemu w szarościach domowi.

Dorośli zajęci byli przygotowaniami do świątecznego obiadu, Snow postanowiła więc zwiedzić dom i wyspę. Włożyła kurtkę i obeszła wszystkie pokoje starego domostwa. Najbardziej spodobała jej się pracownia cioci Bess. Pełno w niej było malutkich białych piór. Oblepiały wszystko, łącznie ze starą maszyną do szycia. W rogu pokoju leżały gotowe już kołdry. Wyobraziła je sobie w sklepie Sary. Dzięki nim mieszkańcy Fort Cromwell poczują się ciepło i bezpiecznie.

Mike'a znalazła nad zatoką. Wychodził właśnie z małej szopy. Kiedy ją spostrzegł, na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania. W ręku trzymał kosz wypełniony piórami.

- Co tam jest? Skarb? - spytała, podchodząc do szopy.

- Nie.

- To czemu wyglądasz, jakbyś nie chciał, żebym tam zajrzała?

- Bo to nic ciekawego.

Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego z uwagą. Nie po to spędziła dwadzieścia minut przed lustrem w lodowatej łazience, żeby dać się tak łatwo spławić. Wstała o ósmej i starannie się umalowała. Nałożyła cień na powieki, podkreśliła oczy czarną kreską, pociągnęła tuszem rzęsy, umalowała usta i przez cały ten czas myślała, jaki przystojny jest Mike Talbot. Teraz stał przed nią, wysoki, ciemny i w ogóle.

- A co tam jest? - spytała.
- Pomieszczenie gospodarskie.
- No to dlaczego nie mogę wejść?
- Bo to dość nieprzyjemny widok.
- Nieprzyjemny? Czemu?
- Tam właśnie skubiemy gęsi.
- Naprawdę? - Oczy jej się zapaliły. Spojrzała na kosz z piórami. - Czyżby biegało tam stadko nagich małych gąsek?
- Nie. One są martwe.
- Martwe? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Tak.
- Musisz je zabić, żeby oskubać?
- Tak.
- O Boże!

To stawiało sklep Sary w nowym świetle. Zabijanie zwierząt było dla niej czymś potwornym. Nie chciała jeść mięsa, nawet kurczaka czy ryby. Gardziła bogatymi kobietami, które nosiły futra, bo wyobrażała sobie cierpienia tych małych stworzonek. Co z tego, że to gryzonie? Skuliła się na wspomnienie sobolowego futra, które Julian podarował matce. Gęsi to też stworzenia. Nie mogła uwierzyć, że Sara bierze w tym udział.

- Dobrze się czujesz? -zaniepokoił się Mike.
- Nie, niedobrze. Nawet bardzo źle -dodała. - Czy twoja matka wie o tym?
- O czym?
- O zabijaniu gęsi?
- Tak, oczywiście. Przecież się tu wychowała.
- Nie mogę w to uwierzyć.

Zrobiło jej się słabo. Uważała Sarę za najlepszą osobę na świecie. Nawet lepszą od matki. Tymczasem okazuje się, że sprzedaje towary wymagające uśmiercania pięknych ptaków. Kiedy przyczłapała do nich para gęsi i otarła się o buty Mike'a, Snow zauważyła ze zgrozą czerwonobrązowe plamy.

- Czy na twoich butach to krew? -spytała.

- Tak.

- Sio! - Zamachała rękami, żeby przepłoszyć gęsi. Uciekły, oglądając się za siebie, jakby była jakimś szaleńcem goniącym je z siekierą. Zatrzymały się nad zatoczką, która w czasie przypływu znikała pod wodą, i zawróciły. Snow patrzyła, jak biegną z powrotem do Mike'a.

- One nie umieją latać - wyjaśnił. - Mają wyrwane lotki z piór.

- Kolejne okrucieństwo - stwierdziła. -Nie mogę uwierzyć, że zabija się je dla piór na kołdry.

- Również na mięso - powiedział Mike. - Dziadek i ciocia Bess umarliby z głosu, gdybyśmy nie sprzedawali gęsi.

- Nikt nie powinien głodować - zgodziła się. Dolna warga drżała jej lekko. - Ale kołdry?

- Wiem, co czujesz - powiedział. - Kiedy byłem mały, matka powiedziała mi, że gęsi lubią, jak wyrywa im się pióra. Wyobraziłem sobie wtedy, że się je czesze. Jednak wygląda to zupełnie inaczej.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Jak tu zamieszkałem.

Zadrżała mimowolnie. Nagle zrobiło jej się żal Mike'a. To musiało być dla niego straszne. A teraz jest uwięziony na tej wyspie, bo musi się opiekować tym małodusznym starym dziadkiem i zabijać gęsi.

- Pewnego dnia dziadek wręczył mi siekierę i powiedział, jak to się robi - dodał po chwili, patrząc na nią z niepokojem. -Gdybyśmy tak bardzo nie potrzebowali pieniędzy, nigdy nie zabiłbym żadnej gęsi.

- To przestań zabijać -powiedziała. -Musisz trzymać się swoich zasad.

Wzruszył ramionami. Wyglądał, jakby chciał się roześmiać, lecz nagle spoważniał.

- Właśnie to robię. Staram się utrzymać farmę.

Jaki on jest podobny do swojej matki, pomyślała. Ma prześliczne oczy, głębokie i rozmarzone, jakby bardzo czegoś pragnął. Snow czuła, że może zajrzeć w głąb jego duszy. Tę samą siłę wyrazu dostrzegła w oczach Sary. To ich do siebie zbliżało. Już z tego tylko powodu gotowa była wybaczyć Sarze te gęsi. Gorąco bowiem pragnęła pojednać matkę z synem.

- Nie musisz ich zabijać -powiedziała miękko.
- Co?

Zrobiła krok w jego stronę. Słońce raziło ją w oczy i kiedy je zmrużyła, miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Stali tak blisko siebie, że czuła ciepło bijące od Mike'a. Dreszcz przebiegł jej po plecach i nagle zapragnęła zatrzymać tę chwilę i sprawić, żeby Mike i Sara doszli do porozumienia.

- Możesz wrócić z nami do domu -powiedziała. -W niedzielę. W samolocie jest mnóstwo miejsca.

Zabawnie oddychał. Miał lekko otwarte usta i oblizał wargi. Zamrugał i uciekł spojrzeniem w bok. Domyśliła się, że jest zdenerwowany, i zastanawiała się, o czym myśli. Mieli na rękach rękawiczki, dotknęła więc odsłoniętego miejsca między mankietem a brzegiem rękawiczki. Efekt był porażający.

- Nie mogę z wami wrócić - powiedział ochrypłym głosem.
- Dlaczego?
- Bo mam tu wiele rzeczy do zrobienia.
- Och... - Odchyliła głowę w tył.

Dotyk Snow podziałał na Mike'a paraliżująco. Wypuścił z ręki koszyk, który uderzył o skałę. Otoczyła ich chmura białego puchu. Drobne piórka zawirowały, przyklejając się do wszystkiego, czego dotknęły.

- Przepraszam - szepnął, nie mogąc oderwać od niej oczu.
- Za co? - spytała.

Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Za to, że masz pióra we włosach.
- Przeprosiny przyjęte.

Potem już nic nie mówili. Snow poczuła, że szyja jej drętwieje od patrzenia na Mike'a, i nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. W

końcu usłyszeli dźwięk dzwonka wzywającego ich na świąteczny obiad.

Głównym daniem była upieczona na złoty kolor gęś z chrupiącą skórką. Sara zrobiła jabłeczne nadzienie według przepisu matki, a Will puree z kartofli. Była też rzepa i pasternak, a Bess przyrządziła suszone śliwki wymoczone w brandy i nadziewane gęsią wątróbką. Przepis ten pochodził jeszcze z czasów, kiedy była żoną jubilera.

- Czy to nie lekka przesada? -spytał George, patrząc na zastawiony stół. Najbardziej jednak denerwowały go białe świece, które Bess wyciągnęła ze swoich zapasów pamiętających czasy Providence.

- To świąteczny obiad, George - odparła Bess.

- Nie lubię świec. Chcę widzieć, co jem.

- Pierwsi osadnicy jadali przy świecach - zauważyła Snow.

- Osadnicy nie mieli elektryczności, a my mamy - odparował George. - I to jest coś, za co powinniśmy dziękować Bogu.

- Ale to takie romantyczne - powiedziała Snow, a Sara spostrzegła, że Mike się zaczerwienił.

- Chodź pokroić gęś, George! - zawołała Bess.

- Zaniosłem ją na stół. Niech Willowi przypadnie ten honor.

- Dziękuję - powiedział Will, kiedy George wręczył mu specjalne noże do krojenia.

Każdy ubrał się, w co miał najlepszego: Snow włożyła krótki wełniany sweter, Will szare spodnie z miękkiego sztruksu i granatowy blezer, ciocia Bess niebieską sukienkę z perełkami, Mike spodnie koloru khaki i niebieską płócienną koszulę, a Sara długą sukienkę z zielonego aksamitu.

Ojciec miał na sobie szare flanelowe spodnie i białą koszulę. Pożółkła ze starości i była sztywna od krochmalu. Sara domyśliła się, że od lat jej nie wkładał, i ogarnęło ją wzruszenie. Zastanawiała się, czy to matka ją prasowała. Staruszek tymczasem dorzucił drew do ognia i przy okazji przewrócił pogrzebacze.

- Niech to diabli! -zaklął, usiłując wyciągnąć pogrzebacz z płomieni.

- Uważaj - powiedziała Sara. Poprowadziła go do zlewu, odkręciła kran i podetknęła rękę ojca pod lodowaty strumień wody.

- Nic nie widać przez te cholerne świece - burknął.

- Tato, jest dopiero trzecia, jasny dzień. Jeśli te świece uszczęśliwią ciocię Bess, to niech sobie stoją.

- Trele-morele - mruknął. - Chce się pochwalić przed wszystkimi, że kiedy mieszkała w Providence z tym jak mu tam, była wielką damą.

- Z wujkiem Arturem.

- Tym ważniakiem. Dodała alkoholu do śliwek. Ciekawe, co by było, gdyby poczęstowała nimi członków miejscowego klubu. Mieliby rozstrój żołądka do Bożego Narodzenia. Zgaś te świece, Saro, doprowadzają mnie do szału.

- Mama bardzo lubiła światło świec.

Trzymała szorstką dłoń ojca pod kranem, nie mogąc się nadziwić tkwiącej w niej sile. Nagle jednak opór ręki zelżał. Na wzmiankę o matce cały gniew ulotnił się, a napięte mięśnie rozluźniły. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę nie musiała myśleć o tym, że w ojcu jest tyle złości.

- To prawda -przyznał.

- Zwłaszcza w święta. Na Boże Narodzenie i w Dniu Dziękczynienia zawsze na stole stały świece, pamiętasz? Takie piękne, długie, jak te tutaj.

- Koniecznie musiały być białe - powiedział. - Zawsze twierdziła, że łodzie i świece muszą być białe. Tęsknię za nią każdego dnia.

- Wiem, tato.

Spojrzał gniewnie w oczy córki, jakby chciał przyłapać ją na kłamstwie. Jako nastolatka wracała czasami późno z tańców i wtedy również wpatrywał się w nią tym swoim świdrującym wzrokiem, jakby dostrzegał w jej oczach chłopców, z którymi się całowała, i piwo, które wypiła.

- Jak tam twoja choroba? - spytał.

- Dobrze.

- Co znaczy dobrze? Nie może być dobrze. Albo jest, albo jej nie ma.

- Tato, medycyna zrobiła wielkie postępy od czasu śmierci mamy. -Zakręciła wodę, lecz nadal trzymała go za rękę. Pragnęła zapewnić ojca, że nic jej nie dolega, tymczasem serce waliło jej w

piersi jak szalone. I wtedy napotkała wzrok Mike'a. Stał w drugim końcu kuchni. Will kroił gęś, a Snow namawiała Mike'a, żeby wyciągnął kość obojczyka, lecz on patrzył na matkę.

- Czuję się dobrze - powtórzyła. Ojciec machnął ręką.

- Co to za wykrętna gadanina? Jeżeli nie potrafisz odpowiedzieć na proste pytanie, to nie będę pytał. Zgaś te świece, Bess, natychmiast.

Świece jednak nadal się paliły. Wszyscy usiedli przy wielkim stole, na tych samych miejscach, które zajmowali wczoraj wieczorem, dając w ten sposób początek tradycji. Willowi przypadł honor pokrojenia gęsi i teraz z satysfakcją słuchał pochwał, kiedy Bess i Sara nakładały mięso na talerze. Bał się, że Snow będzie tęskniła za matką, ale niepotrzebnie. Uległa młodzieńczej fascynacji Mikiem Talbotem i nie widziała nikogo poza nim.

Will czuł się podobnie w obecności Sary. Miała na sobie długą, piękną aksamitną suknię, która podkreślała jej kształtną sylwetkę i sprawiała, że pragnął wziąć ją w ramiona i zanieść w jakieś ciche i ustronne miejsce. Kiedy sięgała po stojący na górnej półce srebrny półmisek, odsłoniła dekolt, delikatny i blady. Wyobraził sobie, że pieści go ustami. Ona również na niego patrzyła. Krzątając się po kuchni, co chwila zerkała w jego stronę tymi swoimi niebieskimi oczyma.

Wybrała miejsce na wprost Willa. Od dawna nie czuł się tak dobrze. Był szczęśliwy, że może siedzieć blisko niej. Uspokajała go i jednocześnie pobudzała od dawna uśpione zmysły. Miał wrażenie, jakby znał ją od zawsze, lepiej niż kogokolwiek.

George poszedł do stodoły po jabłecznik i wszyscy czekali na jego powrót. Bess najwyraźniej denerwował zły humor brata, dzieci go nie dostrzegały, a Sara nie przejmowała się tym. Will zastanawiał się, czy ona wie, że gburowatym zachowaniem ojciec tłumi tęsknotę za żoną. Ciekawe, czy sam George zdaje sobie z tego sprawę. Pewnie oboje o tym wiedzą. Mieli dość czasu, by to zrozumieć.

Will bardzo się ostatnio zmienił. Rozpacz, jaką odczuwał po stracie Freda, nie była już tak bolesna. Po pięciu latach wreszcie stała się do zniesienia. Ten sam ból dostrzegł w oczach George'a. Miał to samo niewidzące spojrzenie. Pytanie George'a o zdrowie Sary wstrząsnęło nim, lecz tylko na moment. Przecież sama powiedziała, że

czuje się dobrze. Dowodem tego był blask w jej oczach, połyskująca skóra i zdumiewająca witalność.

W końcu George wrócił i postawił na stole dzban z jabłecznikiem.

- Zanosi się na burzę - oznajmił. - Wiatr się wzmaga i zaczął sypać śnieg.

- Zima wcześnie przyszła w tym roku -zauważyła Bess.

- Burza? -ucieszyła się Snow. -Och, bardzo chciałabym zobaczyć burzę na wyspie.

- Powinna przyjść koło północy -wtrącił Will, który sprawdził prognozę pogody i spodziewał się burzy. Śnieżyca powinna skończyć się jutro koło południa i ustąpić miejsca suchemu arktycznemu powietrzu, które nie powinno im zakłócić powrotnego lotu. Jednak patrząc na przytulną kuchnię i dostrzegając podniecenie w oczach Sary, nie miałby nic przeciwko temu, żeby śnieżna burza trwała kilka dni.

- Jest dopiero listopad, a my mieliśmy już dwie śnieżyce - zauważyła z niepokojem w głosie Bess.

- A czego się spodziewałaś? - burknął George. - Jesteś w Maine, nie na Florydzie.

- Nie ma się czym martwić -zapewnił wszystkich Mike. -Mamy pług i dość drewna na opał, żeby wytrzymać do wiosny.

- Nasza piękna gąska stygnie - stwierdziła wcale nie uspokojona Bess.

- Siadajmy do stołu - zaprosił gości George, choć raz się z nią zgadzając.

- Chciałabym odmówić modlitwę -powiedziała Sara. George siedział przygarbiony z ponurym wyrazem twarzy, lecz pozostali złożyli ręce i pochylili głowy. Płomienie świec migotały. Will zamknął oczy. Słyszał, jak Sara odchrząknęła i wzięła głęboki oddech.

- Błogosław nam, Panie - zaczęła. - Dziękujemy Ci za strawę, którą będziemy spożywać, i dziękujemy za to, że zachowujesz nas w dobrym zdrowiu. Dziękujemy, że mogliśmy zebrać się na tej wyspie i dziękujemy Ci za nas samych. Dziękujemy za wszystkich tych, których kochamy, a w szczególności za tych, którzy nie mogą być tu dziś z nami.

- Za Freda - szepnęła Snow.

- Za Freda - powtórzył Will.
- Za mamę -dodała Sara.
- Za moją Rose -powiedział George.
- Za Artura - powiedziała Bess.
- Czy i ja mogę coś powiedzieć? - spytał Mike, przyciągając uwagę wszystkich.
- Oczywiście, kochanie -Sara spojrzała na niego z taką nadzieją i miłością w oczach, że Will zapragnął na zawsze zatrzymać ją w objęciach.

Mike złożył ręce i jeszcze niżej pochylił głowę.

- Chciałem powiedzieć tylko, że dziękuję za to, że masz się dobrze i jesteś tu z nami. - Urwał i spojrzał ostro na matkę. - Dobrze?
- Dobrze - odparł Will, bo Sarze nagle zabrakło głosu. -Amen.

Mike rzucił mu znaczące spojrzenie. Will domyślił się, iż to dlatego, że odpowiedział za matkę. W jego oczach błysnął gniew, lecz skinął głową.

- Amen - powtórzyli wszyscy.

Will popatrzył na Sarę. Nie odwróciła wzroku. Stół zastawiony był jedzeniem, ogień ogrzewał przytulną kuchnię i zgromadzonych przy stole sześć osób reprezentujących trzy pokolenia. Sara była nareszcie z synem i przez chwilę Will wyobraził sobie, że są jedną rodziną. Wszystkich ich bowiem łączyła tajemnicza i bezinteresowna miłość. Nawet Fred był teraz z nimi.

Wieczorem, kiedy w domu zapanowała cisza i wszyscy poszli spać, Sara zeszła do kuchni posiedzieć przy kominku. Czuła się zbyt podekscytowana, by usnąć. Dom był pełen wspomnień z czasów, kiedy wspólnie z matką i ojcem tworzyli rodzinę. Spotkanie z synem również dostarczyło jej wiele emocji. Siedząc na podokiennej ławie i wpatrując się w płonące węgle, czuła spokój i zadowolenie, że jest tak blisko Mike'a.

- Myślałem, że to ja pierwszy wstaję i ostatni się kładę - powiedział Will, wchodząc niespodziewanie do kuchni.
- Nie możesz usnąć? - spytała.
- Jeszcze się nie kładłem - odparł. Kiedy podszedł bliżej, zauważyła śnieg na kurtce i butach. - Na dworze śnieżyca -dodał.
- Ogrzej się przy kominku - zaproponowała, robiąc mu miejsce

na ławie.

Zdjął buty, postawił je przy drzwiach, potem powiesił kurtkę, lecz nie wychodził z cienia. Zauważyła, że przekłada coś z kieszeni kurtki do spodni. Był wysokim, potężnym mężczyzną, lecz miał w sobie wiele wdzięku. Uświadomiła sobie, że lubi na niego patrzeć.

- Stale przerywam ci samotność -zauważył.
- Nie szkodzi. Mam jej aż nadto w Fort Cromwell.
- Tak tu cicho, kiedy ich nie ma -stwierdził.
- Rzeczywiście -przyznała, domyślając się, że mówi o dzieciach.

Niesiony wiatrem śnieg zasypywał okna. Trzeszczał ogień na kominku. Sara spojrzała na Willa i uśmiechnęła się.

- Przyjemnie tu -powiedział.
- Cieszę się, że przyszedłeś.
- Przyjemnie tu z twoją rodziną -powtórzył. -Dziękuję, że nas zaprosiłaś na Święto Dziękczynienia.
- Nie ma za co. Czułam wyrzuty sumienia, że musiałeś lecieć tak daleko. Gdzie zwykle spędzasz ten dzień?

Zawahał się.

- Kiedyś wyjeżdżałem.
- Dokąd?
- Do moich rodziców. Mieszkaliśmy w Newport, a oni w Connecticut, więc było blisko. Jeździliśmy tam co roku.
- Twoja mama przygotowywała obiad?
- Tak. Była świetną kucharką. Zawsze musiało być to, co każdy lubi. Kiedy na przykład ktoś lubił sos żurawinowy, a druga osoba jakiś inny, przygotowywała dwa sosy.
- Bardzo to miłe - stwierdziła Sara. - Zgodnie ze starym zwyczajem.

Skinął w milczeniu głową i zamyślił się. Może uznał, że dość już powiedział, ale chyba rozmowa sprawiała mu przyjemność, bo po chwili znów zaczął mówić.

- Mój ojciec wychował się w Mamaroneck w hrabstwie Westchester i u niego w domu wędziło się indyka. Dlatego, by nie wybierać między pieczonym a wędzonym, mieliśmy oba. Kiedy ożeniłem się z Alice, matka dokładnie wypytała ją o zwyczaje panujące w jej rodzinie w Northampton. Tam jadło się ziemniaki,

kukurydzę w śmietanie i ciasto z kremem czekoladowym. U nas tego nie było. Nie zrezygnowaliśmy z naszych potraw, lecz dodaliśmy nowe.

- To musiały być wspaniałe czasy -zauważyła Sara, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o jego żonie.

- Tak. Brakuje mi ich. Moi rodzice zmarli jakieś pięć lat temu, w odstępie pół roku.

- To rzadko się zdarza -stwierdziła.

- Najpierw któregoś wiosennego poranka umarła matka na atak serca. Ojciec nie chciał bez niej żyć. Przestał wychodzić z domu, stał się apatyczny. Nawet nie wypłynął łódką na morze, jak to robił co roku latem. Zmarł we śnie pewnej wrześniowej nocy.

- Słyszałam o małżeństwach, które tak bardzo się kochają, że nie mogą bez siebie żyć.

- Właśnie oni tacy byli.

- Mój ojciec nie zmarł po śmierci mamy, ale bardzo się zmienił - powiedziała. -Nie zawsze był taki... trudny -dodała, usiłując dobrać odpowiednie słowo. - Był wściekły na Pana Boga, że mu ją odebrał. Nigdy nikomu tego nie wybaczył. Zwłaszcza mnie.

- Kiedy umarła twoja matka?

- Jak miałam czternaście lat.

- Czemu właśnie tobie nie wybaczył?

- Bo mu ją przypominam - odrzekła, choć zdawała sobie sprawę, że to nie jest właściwy powód.

Przez kilka minut wsłuchiwali się w odgłosy śnieżycy. Ogień przygasł i w pokoju zrobiło się chłodno. Sara nie chciała przerywać rozmowy, podeszła więc do kominka i poruszyła żarzące się węgle. Wcześniej tego dnia Mike przyniósł zapas drewna. Wybrała teraz mały kawałek i wrzuciła go do ognia. Natychmiast objęły go płomienie.

- Czy Alice przejęła na siebie obowiązki przygotowania święta po śmierci twojej matki? -spytała po chwili.

- Alice nie przywiązuje wielkiej wagi do tradycji - odparł. - Lubi, żeby wszyscy byli razem, ale równie dobrze mogłaby jeść pieczoną wołowinę zamiast indyka. Poza tym zdarzył się ten wypadek z Fredem i Święto Dziękczynienia straciło znaczenie.

- Wyobrażam sobie.

- Bez Freda to już nie było to samo święto -dodał po chwili.

Pewnie też nie byłaby w stanie celebrować żadnego święta, gdyby coś przydarzyło się Mike'owi.

- Potem niedługo już ze sobą byliśmy - powiedział.

- Bardzo ci współczuję.

- Wierzę w małżeństwo. Uważałem, że pozwala ludziom przetrwać najgorsze chwile.

- Też tak myślę. - Nie miała w tej sprawie żadnego doświadczenia, lecz zawsze sądziła, że tak powinno być.

- A jednak tak się nie stało. Nasze małżeństwo się rozpadło.

- Wiesz dlaczego?

- Nie potrafiłem uratować Freda.

Czekała na dalszy ciąg. Słyszała, jak Will ciężko oddycha. Wiatr sypał śniegiem w okna. Czy to rzeczywiście jest takie proste? Czy naprawdę rozpad małżeństwa sprowadzał się do tych czterech strasznych słów?

- Ona też tam wtedy była - dodał po chwili. - Uważa, że to ja ponoszę winę za jego śmierć.

- Jak to się stało? - spytała.

- Wszyscy czworo płynęliśmy żaglówką. Puścił bom i Fred go nie zauważył. Uderzył go tak mocno, że Fred wpadł do wody.

- Och, Will -powiedziała ze współczuciem w głosie, ściskając go za rękę.

- Był takim wspaniałym chłopakiem.

- Opowiedz mi o nim.

- Uwielbiał sporty. Baseball, hokej. Był świetnym żeglarzem, kochał wodę. W Newport nie było dnia, żeby nie moczył się w morzu. Zdarzało się, że zamiast do szkoły chodził na ryby. Nawet nie potrafiłem go za to ukarać.

- Ja też urywałam się ze szkoły, żeby pójść na ryby -powiedziała z uśmiechem, czując, że polubiłaby tego chłopca.

- Kiedy wyjeżdżałem, co zdarzało się często, opiekował się matką i siostrą. Dostawałem od niego listy, w których pisał, że Susan uczy się pływać lub że wygrała konkurs ortografii. Usłyszał kiedyś, jak matka mówi, że nie ma pieniędzy na nowe opony, i napisał do

mnie, że boi się, by nie wpadła w poślizg.

- Zająłeś się tymi oponami?
- Tak.
- Troskliwy syn.
- Naprawdę taki był.

Utkwiła wzrok w płonącym ogniu na kominku. Will pewnie myśli teraz o swoim małżeństwie. Jaka była ta Alice? Poczuła, że jest zazdrosna o kobietę, której nie zna, byłą żonę mężczyzny, o którym tak niewiele wie. Jeśli Snow jest choć trochę podobna do matki, to z Alice musi być prawdziwa piękność. Wielkie oczy, lśniące włosy. Pomyślała o sobie, o kościstej figurze, sterczących białych włosach, sowich oczach i spłonęła rumieńcem.

- Niewiele wiem o małżeństwie -powiedziała -ale uważam, że takie pary jak nasi rodzice to najlepszy przykład udanego związku dwojga ludzi. Wspólnie walczą z przeciwnościami losu, a kiedy jedno umrze, dla drugiego jest to koniec świata.
- Tak - przyznał Will.
- Pytałeś mnie dziś rano, dlaczego sądzę, że Mike mnie nienawidzi. To właśnie jeden z powodów. Nie poślubiłam jego ojca. Mike urodził się, kiedy byłam bardzo młoda.
- To go niepokoi? Skinęła głową.
- Kiedy był w drugiej klasie, poszłam do szkoły na otwarty dzień. Jego nauczycielka spytała mnie, czemu mój mąż nie wraca z rejsu. Mike powiedział jej, że ojciec jest badaczem i wyruszył w rejs dookoła świata w łodzi rybackiej.
- Dzisiejsi nauczyciele są łatwowierni -zaśmiał się Will.
- Tak właśnie sobie pomyślałam.
- Ale czy to jest powód do nienawiści?
- On się wstydził.
- Czego? Wiele dzieci ma rodziców, którzy nie mieszkają razem.
- Wiem, ale my nigdy nie byliśmy razem. Nigdy nie wzięliśmy ślubu.

Przyciągnęła kolana do piersi i objęła je rękoma. Przypomniała sobie, jak bardzo rozpaczała z tego powodu. Ojciec wymachiwał pogrzebaczem i groził, że zabije Zeke'a. Minęło tyle lat, a ten wstyd wciąż kładzie się cieniem na życiu Mike'a. Podniosła wzrok,

zastanawiając się, co Will o niej myśli.

- Przykro mi.

Wzruszyła ramionami, próbując się uśmiechnąć.

- Biedny chłopak - mruknęła.

- Hmm.

- Nie lubił, kiedy mnie przy nim nie było. Dużo pracowałam i... byłam młoda. Miałam wielu znajomych. Jego koledzy wychowywali się w normalnych rodzinach i on im zazdrościł. Ciągle chodził z ojcami kolegów do sklepu żelaznego. Nie mogli się od niego odczepić.

- Potrzebował męskiego towarzystwa. Skinęła głową.

- Wciąż szukał ojca. Nie podobali mu się mężczyźni, z którymi się umawiałam. Kiedy w końcu zaczynał ich lubić, odchodzili. Po prostu nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego partnera.

Will patrzył na nią przez chwilę, po czym delikatnie musnął jej policzek, jakby odsuwał pasmo włosów. Odpowiedziała mu tym samym. Patrzyli sobie w oczy i wsłuchiwali się w szalejącą zamieć, czując się wewnętrznie silniejsi.

Unieśli wzrok na dźwięk czyichś kroków na schodach. Do kuchni wszedł Mike. Przystanął i zmarszczył czoło na widok płonącego na kominku ognia.

- Cześć - powiedziała Sara, czując radość w sercu na widok syna.

Drgnął i rozejrzał się po kuchni.

- O rany, przestraszyłaś mnie - powiedział.

- Cześć, Mike - rzekł Will. - Dotrzymuję towarzystwa twojej matce.

- Yhm.

- Czemu zszedłeś na dół, kochanie? -spytała Sara. Nigdy nie miał kłopotów ze snem. Kiedyś prawie co noc zasypiał na kanapie. Musiała go budzić, pytać, czy odrobił lekcje i wysyłać do łóżka. Spał zawsze twardo aż do rana. Nie budził się nawet na dźwięk telefonu lub gdy ktoś pukał do drzwi albo kiedy Sara wracała późno do domu.

- Chciałem sprawdzić ogień - wyjaśnił. - Zerwał się wiatr i coś zaczęło stukać na dole przy pomoście. Muszę mocniej przywiązać brezent na łodzi.

- Pomogę ci -zaofiarował się Will.

- To nic wielkiego. Sam mogę to zrobić.

- Wiem, że możesz -stwierdził Will, wciągając buty. -Ale chętnie się przewietrzę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Proszę bardzo. - Głos Mike'a brzmiał obojętnie, lecz oczy płonęły. Sara poczuła ucisk w sercu. Rozmowa z Willem otworzyła stare rany. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że niedostatecznie opiekowała się synem.

- Na okręcie zawsze pełniliśmy wartę we dwóch, zwłaszcza w nocy - powiedział Will. -A podczas burzy obowiązkowo.

- Tu nic nie może się stać. Bo niby co? Ożyje któryś z dziadka piżmaków? -rzucił opryskliwie Mike. -Wyfrunie z baraku i zaatakuje nas?

- Biedne małe stworzenia - westchnęła Sara. Znów to samo, pomyślała. Wszyscy jej znajomi, którzy starali się być mili dla syna, spotykali się z hardą i arogancką reakcją. A więc nic się nie zmieniło. Zaniepokoiła się, bo przecież ona i Will byli tylko przyjaciółmi. - Strasznie mi ich żal -dodała, udając, że niczego nie dostrzega. - Rozpięte na ścianie i wysuszone. Dziadek nadal na nie poluje?

- Jeśli tylko może -powiedział obronnym tonem Mike. -Coraz trudniej mu chodzić. Boję się, że w końcu potknie się gdzieś w lesie i nie będziemy mogli go znaleźć.

- Dlatego dobrze jest zabierać kogoś ze sobą - zauważył Will, klepiąc Mike'a po plecach.

- Przecież chciałeś się przewietrzyć -burknął. - Nie prosiłem cię o towarzystwo.

- Czy zawsze zachowujesz się jak gówniarz w stosunku do znajomych twojej matki? -spytał Will.

Mike'a zamurowało. Zdecydowana reakcja Willa najwyraźniej go zaskoczyła. Przez całe lata pyskował facetom, którzy kręcili się koło Sary i którzy zwykle zmywali się, zamiast mu się odciąć.

- A co ja takiego powiedziałem? - burknął, spodziewając się, że matka jakoś zareaguje. Tymczasem Sara milczała, jakby niczego nie słyszała.

- Nie przejmuj się. Długo byłem w marynarce i miałem okazję zetknąć się z gorszymi pyskaczami. Ale ty wydajesz mi się w porządku. Wyrośniesz z tego.

Mike w milczeniu wziął rękawice, latarkę i wyszedł na dwór, a Will za nim.

Sara odprowadziła wzrokiem obu mężczyzn. Słyszała świst wiatru i własny przyspieszony oddech. Jeszcze nikt nigdy nie odezwał się tak ostro do Mike'a. Wyczuwała napięcie syna i domyśliła się, że miał wielką ochotę zadać cios. Jednak nie zrobił tego. Opanował się i poszedł z Willem uszczelnić brezent na łodzi.

Dawne związki się rozpadają, pomyślała, a lojalność i miłość znajdują innego właściciela. Jej syn przyjechał tu odnaleźć ojca, a znalazł dom i rodzinę. Teraz znowu Will wychodzi z nieprzychylnym mu chłopakiem, podczas gdy jego własny syn utonął w morzu.

Ogień znów zaczął przygasać. Westchnęła ciężko. Do kuchni wpadł podmuch chłodnego powietrza. Wstała, podeszła do kominka i dołożyła drew do ognia. Kiedy mężczyźni wrócą, będzie tu przytulnie i ciepło.

# Rozdział XI

Mike leżał rozciągnięty na podłodze. Wszyscy czekali, aż przejdzie śnieżyca. Matka i Will zajęci byli układanką. Chłopiec udawał, że śpi, lecz kątem oka ich obserwował. Usiłował jakoś pogodzić się z faktem, że wczoraj został nazwany gówniarzem.

Najpierw go to zaskoczyło, potem rozwścieczyło. Oczekiwał, że matka krzyknie na Willa, a przynajmniej przeprosi Mike'a za niego, tymczasem jakby nigdy nic siedziała sobie. To było coś nowego. Stosunek matki do Willa dawał mu dużo do myślenia. Will robił wrażenie poważnego gościa i nie uśmiechał się na zawołanie.

Mike szanował ludzi z klasą. Do tej pory matka zadawała się z mężczyznami, którzy udawali, że zgadzają się z każdą głupotą, jaką im wciskał, a każdą zniewagę traktowali jak wyciągnięcie ręki. Większość z nich była godnymi szacunku obywatelami. Reprezentowali takie zawody, jak farmaceuta, księgowy, prawnik czy specjalista od układania nawierzchni. Pięciu facetów z dziewięciu matka wybrała po to, by syn mógł ich darzyć szacunkiem.

Zawsze miała kogoś przy sobie. Pewnego dnia spytał ją, jak się buduje mosty, a ona zaraz potem przyprowadziła do domu inżyniera

lądowego. Innym razem zaczął ją wypytywać o gwiazdozbiory i nie minął miesiąc, a matka zaczęła się spotykać z profesorem astronomii z Harvardu. Domyślał się, że nie chce być sama i pragnie, żeby on miał ojca, usiłowała więc upiec dwie pieczenie na jednym rożnie. Strasznie go to wkurzało. Dlatego też zaczął okazywać wrogość każdemu facetowi, którego przyprowadzała do domu. Jak mógł szanować biurokratów, kiedy jego ojciec był niezależnym poławiaczem homarów? Jeszcze jako mały chłopiec opowiadał kolegom, że ojciec jak Jacques Cousteau odkrywa świat w oceanograficznej łodzi.

Obserwując matkę i Willa, zastanawiał się, czy łączy ich coś więcej niż przyjaźń. Zachowywali się bardzo dyskretnie. Miał wrażenie, że Snow również się nad tym zastanawia. Swoją drogą ciekawe, co też ona o nim myśli. Siedziała w drugim końcu pokoju i żeby na nią spojrzeć, musiałby obrócić głowę, ale wtedy oni domyśliliby się, że nie śpi, więc dalej leżał bez ruchu.

Will wydawał się facetem, którego można szanować. Pilot marynarki to niezłe zajęcie. Kiedy Mike przyjechał do Maine, dowiedział się, że jego ojciec wcale nie był takim bohaterskim poławiaczem homarów, jak to sobie wyobrażał. Nikt jednak nie musiał o tym wiedzieć.

Śnieg przykrył wyspę Elk od północnych skał do zatoki i nadal padał. Wszystkie koty zbiegły się do domu w poszukiwaniu ciepłego kąta i poukładały w najróżniejszych miejscach: na biblioteczce, na pianinie, na starej kanapie, w szufladach ze swetrami i w koszykach na puch. Gelsey leżała na samym środku dywanika u stóp cioci Bess.

Tyle kotów, tyle piór, tymczasem Snow nie miała ani jednego ataku astmy. Czuła się zdrowa i mogła swobodnie oddychać. Coraz bardziej podobało jej się na wyspie Elk i z żalem myślała o powrocie do domu. Mogłaby tu zostać na zawsze. Leżąc z książką na kanapie, patrzyła na padający śnieg i zastanawiała się, jakby to wszystko mogło się ułożyć. Zostałaby z ojcem. Ojciec i Sara bardzo się lubią, miałby więc odpowiednią wiekiem towarzyszkę. Poza tym prowadziłby długie rozmowy z George'em, bo obaj służyli w wojsku. Z ciocią Bess dogadałaby się bez problemu, a Sara byłaby jednocześnie matką, najlepszą przyjaciółką, no i w przyszłości teściową. Snow bowiem zamierzała poślubić Mike'a Talbota.

Leżał w drugim końcu pokoju, z poduszką na twarzy. Obserwowała każdy jego ruch, każde drgnienie mięśni we wspaniałych ramionach. Wydawały się takie silne. Wyobraziła sobie, jak ją obejmują, unoszą w górę i przenoszą przez próg. Cała rodzina byłaby szczęśliwa.

Sara i ojciec siedzieli przy stoliku stojącym przy oknie, pochyleni nad górzystym krajobrazem, który razem układali. Jeden z kotów otarł się o policzek Sary, domagając się pieszczot, i rozrzucił kawałki układanki. Ojciec coś na to powiedział i Sara wybuchnęła śmiechem.

Czy jej rodzice kiedykolwiek tak się śmiali? Z ich małżeństwa zapamiętała jedynie ciche dni, gniew i wzajemne oskarżenia. Kiedy żył Fred, kochali się i chętnie bawili. Jednak tamte wspomnienia zacierały się w pamięci, znikając jak żaglówka na morzu.

Westchnęła na myśl o matce. Sara spojrzała w jej stronę, uśmiechając się figlarnie.

- Wszystko w porządku? -spytała.
- Mhm - odparła Snow, rewanżując się uśmiechem.
- Nudzisz się?
- Ani trochę.

Czy Sara wiedziała, jak wspaniale czuje się w tym odciętym od świata domu, wśród życzliwych jej ludzi? Otulając się kocem i patrząc na zwinięte w kłębek koty, zastanawiała się, czy Sara zdaje sobie sprawę, że to ona połączyła wszystkich ze sobą. Była mamą Mike'a, córką George'a, bratanicą Bess, przyjaciółką jej i ojca. To cudowne, nawet gotowa jej była wybaczyć zabijanie gęsi.

Na myśl o matce zajętej Julianem i urządzaniem luksusowego domu ogarnął ją smutek. Wzdrygnęła się i po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę poczuła nadchodzący atak duszności.

- Telefonowałaś do mamy? -spytała cicho Sara, jakby czytała w jej myślach.

Jak ona to robi? Jak w ogóle takie jasnowidztwo jest możliwe? Trochę przestraszona, pokręciła przecząco głową. Usiłowała sobie wyobrazić, co matka teraz robi. Może w Fort Cromwell też pada śnieg i maluje sobie paznokcie w sypialni. Albo jeździ z Julianem śnieżnym skuterem? Albo, co było najbardziej prawdopodobne, płacze z tęsknoty za Snow i Fredem.

- To czemu nie zatelefonujesz? -spytała Sara.
- Dobry pomysł, kochanie -powiedział ojciec.
- Telefon jest w hallu -dodała Sara.
- Zaprowadzę cię - zaofiarował się Mike, unosząc się na łokciach.

Wstał z podłogi i podszedł do Snow. Gdy spojrzał na nią, lekko rozchylając miękkie wargi, znów zaczęła swobodnie oddychać. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że wygląda pociągająco i tajemniczo.

- Naprawdę? - spytała niskim głosem, który, o dziwo, nie chrypiał.
- Jasne.
- Dziękuję - powiedziała przyszła pani Talbot, idąc za nim do hallu.

Wiatr ucichł, lecz śnieg wciąż padał. Mając dość siedzenia w domu, wszyscy prócz George'a i Bess, postanowili wybrać się na spacer. Na ciemnych sosnach i sękatych dębach leżała gruba warstwa śniegu. Dach stodoły uginał się pod ciężarem białego puchu. Za domem, na niskich krzewach, przycupnęły zięby i wróble. Z komina biegła w górę smużka dymu. Tafla oceanu przypominała falujący czarny jedwab.

W składziku znaleźli rakiety śnieżne i biegówki, lecz nie dla wszystkich ich starczyło, toteż mężczyźni przypięli rakiety, a Sara i Snow biegówki. Postanowili, że dotrą do Great South Head. Serce Sary biło z radości na myśl o wycieczce. Jazda na nartach w głębokim śniegu nie należała do łatwych, ale wiedziała, że sobie poradzi. Pamiętała o ostrzeżeniach doktora Goodacre'a, lecz doszła do wniosku, że jeśli zabraknie jej siły, zatrzyma się na odpoczynek.

Mike prowadził. On i Will sprawiali wrażenie, jakby chodzenie na rakietach nie wymagało żadnego wysiłku. Will szedł obok Sary, nie pozwalając, by zanadto wysuwała się do przodu. Sara czuła, że coś się rodzi między nimi, i uśmiechnęła się do Willa znad grubego szalika.

- Przegonię cię -powiedziała.
- Ile czasu mam ci dać? - spytał.
- Ani minuty. Pokonam cię w uczciwej i sprawiedliwej walce.

Roześmiał się. Szli szparko naprzód, dotrzymując kroku dzieciom. Przecięli szerokie pole i wspięli się na cypel, z lewej strony mijając las sosnowy, a z prawej walącą się drewnianą barierkę. W tym miejscu droga się zwężała i szła ostro w górę. Rozpięli kurtki, dysząc ciężko, i ruszyli dalej gęsiego.

Kiedy szlak zrobił się bardzo stromy, Sara i Snow puściły Willa i Mike'a przodem. Starej barierce w niektórych miejscach brakowało szczebli, a tuż za nią była urwista skała, opadająca prosto do morza. Sara osłaniała Snow, spychając ją bliżej drzew. Ze strachem spoglądała na swego dzielnego syna. Szedł do przodu jak strzała, goniąc Willa. Nagle przystanął.

- Mamo! - zawołał. Zaczekał, aż się z nim zrówna, i wskazał na niebo. -Spójrz.

Wysoko w górze krążył orzeł. Miał gniazdo na północnych skałach, w najdalszym końcu wyspy, a nad zatokę przylatywał łowić ryby. Sara stała obok Mike'a, ciężko dysząc. Patrzyli, jak ptak, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, zatacza nad morzem wielkie kręgi.

- Och, Mike! Pamiętasz, kiedy... - zaczęła Sara, usiłując złapać oddech. Bolały ją mięśnie, a w płucach czuła ogień. Pochyliła się i oparła dłonie na udach.

Mike wiedział, co chciała powiedzieć, dokończył więc za nią.

- Kiedy pierwszy raz go zobaczyliśmy? Tak.

Miał wtedy jedenaście lat. Przyjechał tu z matką na wakacje i przez cały tydzień łowili homary i obserwowali orły.

- To nie może być ten sam - powiedziała Sara.
- Orły długo żyją - odparł.
- Ale czy to ten sam? -Bardzo chciała, żeby tak było.
- Na pewno. Brakowało mu kilku lotek, pamiętasz? No przypatrz mu się.

Orzeł miał na końcach skrzydeł długie, podobne do palców pióra. W jednym miejscu kilku brakowało. Mike się nie mylił.

Skinęła głową, wciąż nie mogąc złapać tchu. Przycisnęła dłoń do piersi, by stłumić ból w płucach.

- Zupełnie straciłam... kondycję - powiedziała.
- Świetnie sobie radzisz, mamo.
- Naprawdę? - spytała, zadowolona z komplementu.

- Naprawdę.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią. Twarz miał zaczerwienioną z wysiłku, lecz tak przystojną i męską, że omal znowu nie straciła oddechu. Zniknął gdzieś chłopiec, którego pamiętała. Miał teraz szczupłe policzki, silnie zarysowaną szczękę i śmiałe spojrzenie.

- Naprawdę - powtórzył. - Taki kawał po śniegu. To lepiej niż świetnie.

- Bo i lepiej się czuję -odparła, myśląc o swojej chorobie.

- Czy ty i tato jeździliście na nartach? A może na rakietach śnieżnych?

Pokręciła głową.

- Nie. On tylko łowił homary.

- Wszyscy go tu pamiętają.

- To mała wyspa -powiedziała ostrożnie, zastanawiając się, czego już się o nim dowiedział.

- Dlaczego zawsze go lekceważysz? -wybuchnął.

- Przepraszam - powiedziała szybko.

W tym momencie rozległ się pisk Snow. Wskazywała kijkiem w stronę morza i podskakiwała z radości. Mimo że wylądowała w śniegu, nadal usiłowała im coś pokazać. Sara zobaczyła szeroką, ciemną zatokę. Woda miała szaroniebieską barwę, jak niepolerowana stal, a powierzchnia była gładka niczym jedwab. Nie mąciły jej fale ani wiatr. Nagle dostrzegła zbiegające się koncentrycznie kręgi, przypominające epicentrum trzęsienia ziemi.

Matka i syn wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wiedzieli, co to jest. W pewnej chwili z morza wystrzelił olbrzymi lśniący wieloryb i z głośnym pluskiem uderzył w lustro wody.

- O rany! - wykrzyknęła Snow.

Mike przyczłapał do niej na rakietach, by pomóc jej wstać.

Chwyciła go za ręce i pociągnęła w śnieg. Był tak zaskoczony, że nawet się nie ruszył.

- Co to? -spytała Snow.

- Wieloryb - odparł.

- To humbak - wyjaśnił Will, lustrując wzrokiem morze w poszukiwaniu drugiego osobnika. - Widziałem je, kiedy pływaliśmy po północnym Atlantyku.

- Skąd wiesz, że to humbak? - spytała Snow.
- Bo ma długie białe płetwy - odpowiedział za niego Mike.
- Właśnie.
- Jak skrzydła anioła - zauważyła Snow. - Mnie przypominają skrzydła anioła.
- Skrzydła anioła -powtórzyła Sara, odzyskując wreszcie oddech. Uświadomiła sobie nagle, że kocha tę trójkę wpatrującą się w morze, w którym zniknął wieloryb.
- Mój ojciec zakładał tam swoje sieci -powiedział Mike, wskazując na zatokę.
- Sieci na homary? - spytał Will.

Mike przytaknął w milczeniu. Wpatrywał się w miejsce, w którym kiedyś wystawały z wody boje ojca. Nigdy ich tam nie widział, ktoś więc musiał mu o tym powiedzieć.

- Tutejsi poławiacze homarów wypływają tylko zimą -wyjaśnił.
- Muszą to być twardzi ludzie -zauważył Will.

Mike spojrzał na niego spod zmrużonych powiek, jakby podejrzewał ironię. Jednak twarz Willa była szczera i życzliwa. Sara poczuła ucisk w gardle, domyślając się, że chce być miły dla jej syna, i zastanawiała się dlaczego.

- Był najtwardszym rybakiem w Maine -odparł Mike.

Na szczycie Great South Head zawrócili w głąb lądu. Will i Sara zostali w tyle, pozwalając, by to dzieci wybierały drogę. Weszli w las. Tu śniegu było mniej, lecz i tak leżała go gruba warstwa. Idąc po śladach pozostawionych przez rakiety i narty, Will zwolnił nieco ze względu na Sarę.

- Chcesz odpocząć? -spytał.

Pokręciła przecząco głową. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Wyglądała wspaniale w czarnych obcisłych spodniach, grubej czerwonej kurtce przyprószonej płatkami śniegu, czarnym kaszmirowym szaliku otulającym szyję i czarnej opasce na białych włosach, kontrastujących z dużymi ciemnymi oczyma.

- Nie jestem zmęczona -odpowiedziała.
- Ja też nie -uśmiechnął się, lecz postanowił, że nieco zwolnią tempo.

Skinęła głową.

- Jak widzę, zawarliście z Mikiem rozejm -powiedziała. -Dziękuję ci za to, co powiedziałeś o poławiaczach homarów.
- Naprawdę tak myślę.
- Wczoraj wieczorem zachował się okropnie.
- Po prostu cię chronił, to wszystko.
- Przepraszam.
- Nie trzeba - odparł, nie chcąc, by się martwiła. Złe maniery siedemnastolatka nie miały znaczenia, a wkrótce na pewno ulegną poprawie. Teraz myślał jedynie o Sarze i o jej urodzie. Cieszył się, że dzieci poszły przodem. Między nim a Sarą coś się rodziło i chciał być z nią sam.

Poszli dalej. Początkowo dochodziły do nich głosy dzieci, lecz w końcu ucichły. Sosny rozsiewały wokół odurzającą woń. Will zatrzymał się przy zwalonym drzewie. Nie pytając Sary o zgodę, oczyścił pień ze śniegu i oboje usiedli.

Sara rozwiązała szalik, po czym zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Rzęsy rzucały niebieskoczarny cień na bladą cerę. Wokół panowała cisza. Will nie odrywał oczu od Sary.

- Czy zawsze robisz takie przedstawienie z orłami i wielorybami? -spytał.
- Tylko dla ciebie -odpowiedziała.

Wziął od niej kijki i oparł o pień. Uśmiechnęła się lekko, jakby wiedziała, co teraz nastąpi. Dziwne, bo Will nie zdawał sobie z tego sprawy.

Otoczył ją ramionami i pocałował. Wydawała się mała i krucha, ale jej uścisk miał w sobie siłę. Czuł bicie jej serca przez grubą kurtkę. Miała zimne wargi, lecz pocałunek był niezwykle gorący. Rozpalił w nim namiętność, jakiej od dawna nie doświadczał. Rzęsy Sary łaskotały go w policzek. Otworzył oczy. Uśmiechnęli się do siebie, nadal obejmując się ramionami.

- Orły i wieloryby są niczym w porównaniu z tobą -powiedział.
- Ten wieloryb był aniołem -odparła. -Tak mówiła twoja córka.
- Naprawdę?
- Ja to wiem.

Przytrzymał ją za kark i ponownie pocałował. Pod palcami wyczuł grubą bliznę ukrytą we włosach. Serce podskoczyło mu do

gardła, lecz Sara uspokoiła go w najbardziej naturalny sposób: po prostu niczego nie ukrywała. Włożyła całe serce w pocałunek, pozwalając, by oswoił się z tym odkryciem. Nie przerwał pocałunku i przytulił ją mocniej do piersi.

- To ciekawe -powiedziała, kiedy oderwali się od siebie.
- Tak?

Trzymała twarz Willa w dłoniach i patrzyła prosto w oczy. W jej głosie dźwięczało rozbawienie, lecz wzrok miała poważny. Czekał na to, co powie.

- Pytali mnie, kim jesteś i co tu robisz ze mną, z moim ojcem i synem, a ja im odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, że jesteś moim pilotem i przyjacielem.
- Bezwzględnie przyjacielem - odpowiedział, wsuwając srebrzystozłote pasemko włosów pod wełnianą opaskę.
- Ale... -zawiesiła glos.
- Więcej niż przyjacielem? - podsunął.
- A nie jest tak?

Jeśli to była prawda, to wszystko zaczęło mieć sens. Trzymając Sarę w objęciach, pomyślał, że dawne życie się skończyło. Szok spowodowany utratą Freda rozdarł mu serce. Przez te wszystkie lata szukał jakiegoś wytłumaczenia. Czegoś, co wyjaśniłoby Boskie cele i pozwoliło zrozumieć wszechświat, co dałoby klucz do pozostania człowiekiem i ukojenia bólu.

Tym kluczem była Sara. Teraz to zrozumiał. Z gałęzi spadła czapa śniegu i przyciągnęła ich uwagę. Między drzewami przemknęła z łopotem sowa śnieżna w pogoni za polną myszką. Myszce udało się uciec. Will obserwował Sarę, która śledziła wzrokiem odlatującego ptaka, i wiedział, że do końca życia zapamięta *ten* dzień.

Nagle ciszę rozdarł krzyk. To Snow wzywała pomocy. Zerwali się na równe nogi i pobiegli tak szybko, jak tylko mogli.

# Rozdział XII

Dzieci zdążyły odejść na sporą odległość. Will szedł po ich śladach, słysząc echo krzyku córki. Sara dotrzymywała mu kroku. Wyszli z lasu na wielkie białe pole. Snow stała nad brzegiem

okrągłego wgłębienia. Will domyślił się, że jest to staw pokryty, tak jak i wszystko grubą warstwą śniegu.

- Mike wpadł pod lód! - zawołała z przerażeniem Snow.
- Nie! - wydyszała Sara.

Will przyspieszył kroku. W biegu odpinał rakiety. Snow była na granicy histerii. Po zaczerwienionych policzkach spływały łzy, a w oczach miała panikę. Popatrzyła na Sarę z przerażeniem.

- Mówiłam mu, żeby nie szedł. Mówiłam.

Sara chwyciła ją za ramię.

- Jak długo jest pod wodą?

Will nie słyszał odpowiedzi. Rozsznurował buty i ściągnął je kopnięciem. Zmierzając w stronę dziury w lodzie, rzucił na śnieg kurtkę. W wojsku poznał zasady ratowania tonących pod lodem. Wiedział, że trzeba stworzyć ludzki łańcuch i przywiązać linę do drzewa. Był świadom niebezpieczeństw wynikających z gwałtownego oziębienia organizmu i ryzyka, jakie pociągało nurkowanie w lodowatym stawie.

Sytuacja nakazywała rozsądek, lecz w tej chwili był w stanie myśleć jedynie o Mike'u Talbocie. Komandor William Burke, ratownik wodny w służbie marynarki Stanów Zjednoczonych, ściągnął gruby sweter, zostając jedynie w spodniach i podkoszulku dla ochrony przed zimnem i skoczył do dziury w lodzie.

Przez dziesięć sekund dla Mike'a była to świetna zabawa. Chciał się popisać i oczyścić lód ze śniegu, by Snow mogła się poślizgać na nartach, i nagle wpadł pod lód. Myślał, że staw porządnie zamarzł. Nie przypuszczał, że jest tu tak głęboko i zacznie tonąć.

Woda w stawie była niewiarygodnie zimna. Serce na chwilę zamarło i znowu zaczęło bić. Czuł, jak tłucze mu się w piersi niczym zardzewiały chrypiący silnik. Dotknął stopami dna i usiłował odbić się w górę. Poruszał ramionami jak do żabki, lecz ubranie i rakiety ściągały go w dół. Był śmiertelnie ciężki. Spróbował więc iść w stronę brzegu, ślizgając się po mulistym dnie.

To właśnie go rozbawiło: spacer w rakietach śnieżnych po dnie stawu Talbota. Chciał zrobić wrażenie na Snow. Po dziesięciu sekundach uświadomił sobie jednak, że jest ciemno jak w grobie, potwornie zimno i za chwilę płuca mu eksplodują. Dziesięć sekund,

jedenaście, dwanaście. Wkrótce spotka się ze śmiercią.

Zaległa cisza. Plusk skaczącego do wody Willa odbił się echem po okolicy, lecz zaraz ucichł. Sara biegała tam i z powrotem wzdłuż brzegu jak pies za piłką.

- Jak długo jest pod wodą, Snow?
- Jakąś minutę.

Sara spróbowała wejść na lód. Wydawał się mocny. Zrobiła jeszcze jeden krok. Lód zaczął trzeszczeć, więc się cofnęła.

- Gałąź! - wrzasnęła Snow. - Możemy ją tu przyciągnąć i będą mieli się czego chwycić.

Pod śniegiem leżały zwalone przez wichury drzewa i połamane gałęzie. Pobiegły do najbliższej sterty drewna. Sara chwyciła gruby koniec długiego dębowego konaru i pociągnęła ze wszystkich sił. Serce tłukło jej się w piersiach i z trudem łapała oddech. W końcu przyciągnęły konar nad staw.

- Co teraz? - spytała Snow.

Sara nie wiedziała. Drżały jej ręce i nogi, a chęć uratowania syna i Willa nie pozwalała biernie czekać. Ponownie weszła na lód. Jeden krok, drugi. Lód zaczął trzeszczeć, lecz nie załamał się.

- Podsuń gałąź - poleciła dziewczynie. Snow pchnęła konar.
- Mocniej! - zawołała Sara, bliska szaleństwa.

Snow pchnęła gałąź tak nieszczęśliwie, że uderzyła Sarę w nogę. Sara podskoczyła mimowolnie i wtedy lód się załamał. Głośny trzask przypominał rozrywanie materiału. Sara wpadła do wody po kolana i z gardła wydarł jej się jęk.

- Co ja zrobiłam -rozpłakała się Snow.

Idąc mozolnie do brzegu, Sara miała ochotę rwać włosy z głowy, drapać twarz i krzyczeć. Snow chwyciła ją za ręce. Cała się trzęsła i Sara zaczęła ją uspokajać.

- No już dobrze.

Przytuliły się do siebie i popatrzyły na dziurę w lodzie. Snow stanął przed oczami tonący Fred, potem wpadający pod lód Mike i tonący ojciec, który próbuje go ratować. Sara objęła ją mocno, dygocąc jak w febrze. Snow trzęsły się kolana.

- Jeśli potrafisz się modlić, to pomódl się teraz - poprosiła Sara.
- Ale pomóż mi -wyszlochała Snow.

- Módl się.

- Jestem zbyt przerażona -załkała dziewczyna. -Nie wiem, co mam mówić.

- Ależ wiesz -Sara nie wypuszczała jej z objęć. Dygocząc wpatrywała się w czarną dziurę, jakby wzrokiem

chciała wyciągnąć Mike'a i Willa spod lodu. Wyobraziła sobie, że matka stoi przy niej, pochyla się nad ciemną czeluścią i ratuje mężczyzn, których przeznaczeniem było życie.

- Proszę, pomódl się - szepnęła do Snow.

- Och, Freddie - jęknęła dziewczyna.

Jak długo może człowiek wytrzymać w lodowatej wodzie? A jak długo dwóch? Nie miała pojęcia, lecz na pewno niezbyt długo. Obejmując Snow i starając się podtrzymać ją na duchu, czerpała siłę z młodości dziewczyny. Zamknęła oczy. Will uratuje jej syna.

Przypomniała sobie zakupy w Bostonie przed Bożym Narodzeniem, kiedy Mike miał sześć lat. Był straszny tłok. Trzymała go za rękę i prowadziła do świętego Mikołaja. W pewnym momencie rozdzielił ich tłum kupujących. Usłyszała jego krzyk, który wkrótce zmieszał się z gwarem innych głosów. Wciąż wydawało jej się, że czuje jego rączkę w swojej, lecz tak nie było. Oderwano ją od dziecka i przez jedną sekundę myślała, że umrze.

- Mike - powiedziała teraz, jak zrobiła to wtedy.

- Saro, on cię nie usłyszy!

- Mike! - powtórzyła głośniej. - Mike!

Wróć mi go, Boże, modliła się tego dnia w Bostonie. Oddaj mi Mike'a, a obiecuję, że o nic Cię już nie poproszę.

Naturalnie prosiła. I to wiele razy. Prosiła o miłość, o pośpiech, kiedy dostawca materiałów się spóźniał, o dobre miejsce do parkowania, żeby trzeci kwartał przyniósł zyski, o dodatkową godzinę snu, wreszcie o życie.

Zamknęła oczy i pomyślała o guzie w mózgu. Mogła go wyczuć, naciskając pewne miejsce w czaszce. Modliła się o wyzdrowienie i Bóg ją wysłuchał. Tyle w życiu otrzymała, czemu nie miałaby dostać jeszcze tego jednego? Chętnie oddałaby swoje zdrowie za to, by Will uratował jej syna. Życie Mike'a za swoje życie.

Teraz już miała pewność, że skoro Bóg oddał jej Mike'a wtedy w

Bostonie, teraz też odda. Otworzyła oczy, głęboko odetchnęła i spojrzała na staw. To musi się stać. Bóg nie może odebrać jej ukochanego dziecka.

Snow wciąż płakała.

- Wszystko będzie dobrze, Snow - szepnęła.
- Och! To trwa zbyt długo.
- Zaczekaj - powiedziała, czując, jak wraca jej nadzieja i tęsknota za tym, co wkrótce ją czeka.

Powierzchnia wody zafalowała i ukazała się najpierw jedna głowa, potem druga. Will i Mike, spleceni w uścisku, oddychali spazmatycznie, chwytając powietrze w płuca z siłą wielorybów. Will torował drogę do brzegu, rozbijając lód potężnymi uderzeniami pięści.

- Tato! -wrzasnęła Snow. -Och, tato!

Will i Mike, mokrzy, ociekający wodą, z włosami, które natychmiast zaczęły zamarzać, zwalili się na śnieg. Mike pluł wodą, krztusząc się i gwałtownie chwytając powietrze. Will pociągnął go dalej, na bezpieczniejszy grunt, gdy tymczasem Snow starała się odpiąć mu rakiety.

- Uratowałem go - powiedział Will, patrząc Sarze w oczy. Policzki błyszczały mu od lodu, a może od łez.

Sara przykucnęła, pocałowała najpierw syna, potem Willa. Mieli białe twarze i sine wargi. Przycisnęła policzek do ich policzków, teraz już zupełnie spokojna.

- Uratowałem go dla ciebie - powtórzył Will.

Łzy płynęły mu po policzkach.

- Wiem -odparła, patrząc na niego z radością, nieskończoną wdzięcznością i rodzącym się uczuciem. -Nigdy ci tego nie zapomnę.

W domu ciocia Bess przygotowała gorącą czekoladę, a George wyjął z dębowej skrzyni ciężkie wełniane koce. Przyniósł je do kuchni, gdzie przy kominku leżał Mike. Tuż przy nim przycupnęła Snow.

- Musimy zawieźć go do szpitala -powiedziała Sara.
- Do jakiego szpitala? -warknął George.
- Na kontynencie -odparła.
- Z hipotermią nie ma żartów - dodała drżącym głosem ciocia

Bess.

- Podróż statkiem tylko mu zaszkodzi - stwierdził George. Sara siedziała przy Mike'u i rozcierała lodowato zimne

dłonie syna. Will stał obok niej. Sam był przemarznięty do szpiku kości, lecz za nic nie zostawiłby jej samej. Praktycznie przez całą drogę do domu musieli Mike'a nieść. Will powiedział Sarze, że kiedy do niego dotarł, Mike był bliski utraty przytomności. Młócąc rękami wodę, trafił Willa w oko.

- Mogę go zawieźć samolotem -zaproponował, starając się opanować szczękanie zębami.

- Bzdura - odrzekł George i rzucił mu koc. - Musisz się wysuszyć i ogrzać.

- Nie pod tymi szorstkimi kocami - jęknęła ciocia Bess. -Przynieś im miękkie ciepłe kołdry.

- Daj spokój, Bess - powiedział George, otulając Mike'a kocami. -Kołdry są zbyt puszyste, a tu potrzebne są ciężkie wełniane koce, które zatrzymają ciepło i rozgrzeją ciało. Jak tam, chłopcze?

- Dobrze, dziadku - wykrztusił z trudem Mike. Spojrzał mu w oczy z taką miłością i oddaniem, że Sarze aż serce się ścisnęło. Tak patrzył syn na ojca.

- Kochanie -powiedziała, starając się zwrócić jego uwagę. - Dzięki Bogu jesteś cały i zdrów. Tak bardzo...

- Mamo. -Pokręcił głową. -Już dobrze.

- Pozwólmy chłopcu się rozgrzać -powiedział dziwnie łagodnym tonem George. -Może byś się zajęła Willem? Nieźle oberwał w oko.

- Ale ja... - Urwała, bo nie była w stanie dokończyć zdania.

Poczuła dłonie Willa na ramionach. Jego długie palce były zimne nawet przez sweter. Podtrzymał ją delikatnie i pomógł wstać. Chciała wyrazić wzrokiem wdzięczność za uratowanie syna, lecz w sercu czuła rozpacz. W tej wyjątkowej chwili, kiedy o włos uniknął śmierci, Mike zwrócił się do jej ojca, a nie do niej.

- Nic mu nie będzie -powiedział Will.

- Dziękuję - powtórzyła po raz kolejny. - Naprawdę jestem ci wdzięczna.

- Nie ma za co.

- Masz sine wargi - zauważyła.

Kiwnął głową i dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

Wzięła jeden z leżących na podłodze koców i zarzuciła go Willowi na ramiona, na wierzch tego, którym okrył go ojciec. Uśmiechnął się, kiwając z zadowoleniem głową. Sięgnęła po trzeci.

- Lepiej? - spytała.
- Znacznie lepiej.
- Chcesz jeszcze jeden?

Pokręcił przecząco głową. Włosy mu już odtajały, nadal jednak były mokre. Poszła do pralni, przyniosła stamtąd ręczniki i zabrała się do wycierania głowy. Musiała stanąć blisko niego, tak że ich nogi i piersi się stykały. Popatrzyła mu w oczy.

- Cześć - szepnął.
- Cześć - odszepnęła.

Działo się to w obecności innych. Ojciec, Snow i ciocia Bess krzątali się przy Mike'u, sprawdzając, czy wracają mu kolory, rozcierając jego dłonie i stopy.

- Masz podbite oko - zauważyła.
- Ten drugi nie lepiej wygląda - zażartował.

Chciała się roześmiać, lecz zatrzymał jej dłonie w swoich. Przysunęła się bliżej. Czuła teraz jego ciepły oddech na czole. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Choć tuż obok była cała rodzina, miała wrażenie, że są sami w kuchni.

Will skoczył pod lód, by uratować jej syna, lecz ona również potrzebowała pomocy. Usłyszała, jak ojciec mówi jakiś kawał, z którego Mike się śmieje. Poczuła łzy pod powiekami. Will puścił jej ręce i otoczył ramionami. Wełniane koce drapały ją w policzek. Zazwyczaj używano je podczas pikników i przejażdżek łódką. Wiele razy leżała na nich z Mikiem, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Zalała ją fala wspomnień i wybuchnęła płaczem. Will trzymał ją w ramionach, pozwalając się wypłakać, ona zaś wspominała dzieciństwo chłopca, którego już prawie straciła. Słysząc, jak rozmawia z innymi, ogarnął ją jeszcze większy żal. Jego głos brzmiał coraz pewniej. Nie do niej jednak mówił. Najwyraźniej nie zależało mu na jej obecności.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, przenieśli Mike'a na górę. Will kierował całą akcją, uważając, że ma najwięcej doświadczenia, bo brał

udział w ratowaniu tonących pod lodem. Ciocia Bess w końcu osiągnęła swój cel, zabrała stare wełniane koce i położyła obu mężczyzn do łóżka, przykrywając ich po nos kołdrami. Will nie miał nic przeciwko temu. Leżał na wznak i cały się trząsł.

- Tato, wyglądasz, jakby opętał cię diabeł - stwierdziła Snow.

- Nie przesadzaj.

- Cały się trzęsiesz. -Zmarszczyła czoło i obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem.

- Tak właśnie się rozgrzewam -wyjaśnił, czując, że zbliża się kolejny dreszcz.

- Czy odmroziłeś sobie ciało? - spytała. Pokręcił głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.-A Mike?

- Też nie. Byliśmy pod wodą niecałe trzy minuty. Kiedy odzyskamy normalną temperaturę ciała, wszystko będzie dobrze. Może pójdziesz zobaczyć, jak on się czuje.

Zawahała się. Miał wyrzuty sumienia, że się jej pozbywa, ale w drzwiach stała Sara i uśmiechała się w sposób, jakiego nigdy u niej nie widział.

- Może zajrzałabyś do Mike'a - zaproponowała, wchodząc do pokoju. -Na pewno chciałby cię zobaczyć.

Snow spojrzała na nią płonącymi oczyma.

- Cześć, Saro. Wybaczysz mi?

- Co takiego?

- Że zaciągnęłam Mike'a nad staw. Że mnie nic się nie stało, podczas gdy on wpadł do wody. I za ten głupi pomysł z gałęzią. Sama już nie wiem.

Sara pokręciła głową.

- Wypadek Mike'a nie ma z tobą nic wspólnego. A z tą gałęzią to wcale nie było takie głupie.

Snow nie wyglądała na przekonaną. Pewnie myśli o Fredzie, przemknęło Willowi przez głowę.

- Cieszę się, że nic mu nie jest - powiedziała w końcu.

- Idź do niego -przekonywała ją Sara.

Snow pocałowała ojca i ruszyła do drzwi. W progu zatrzymała się i cmoknęła Sarę w policzek.

- To było miłe - zauważyła Sara. Will zaczekał, aż minie kolejny

dreszcz.

- Co takiego? - spytał.
- Pocałunek.

Leżał pod kołdrą do połowy nagi i myślał o tym, że sam pragnąłby ją pocałować. Prawdę powiedziawszy, to nie mógł myśleć o niczym innym i z trudem panował nad tym, by nie przyciągnąć jej do siebie i nie całować do świtu.

- Naprawdę? -spytał.
- Jedynie groźbą lub przekupstwem mogłam zmusić Mike'a, żeby mnie pocałował. Jednak rzadko to skutkowało. Żałuję, że tak się dziś rozkleiłam.
- Wprost przeciwnie, byłaś bardzo dzielna.
- Płakałam jak bóbr, kiedy powinnam się cieszyć. No wiesz.
- Wiem - odpowiedział, biorąc ją za rękę.
- Ocaliłeś mu życie. Czyż nie powinnam być szczęśliwa? Uśmiechnął się, pieszcząc jej dłoń.
- Robiłeś to już kiedyś? - spytała. -Wskakiwałeś do lodowatej wody?
- Raz. U wybrzeży Martha's Vineyard.
- To było niewiarygodne - powiedziała, całując po kolei każdy palec jego dłoni.
- Tak?
- Jesteś moim bohaterem.
- Nie jestem żadnym bohaterem.
- Nie masz tu nic do powiedzenia.
- Jestem starym marynarzem. Po prostu nie miałem wyboru. Tym razem się udało, pomyślał. Holując Mike'a ku

powierzchni wody, wiedział, że chłopak żyje. Walczył z nim bowiem rękami i nogami, szarpiąc się rozpaczliwie jak każdy tonący. Kiedy ciągnął go w stronę brzegu, cały czas myślał o Fredzie. Leżąc teraz w miękkim ciepłym łóżku, zamknął oczy i wywołał obraz syna.

Sara ogrzewała mu dłonie gorącym oddechem, co wywoływało ból w palcach. Czuł się tak, jakby to ona go uratowała. Zaledwie kilka godzin temu siedział na ośnieżonej kłodzie i całował Sarę, a ona oddawała mu pocałunki. Ciało drżało mu z bólu, odzyskując utracone ciepło, a serce pompowało gorącą krew do najdalszych zakątków.

Zawsze uważał, że ma serce jak dzwon. Nigdy jednak nie pracowało tak jak teraz.

- Zachowuję się jak smarkula -powiedziała ze łzami w oczach.
- Dlaczego?
- Bo... bo znowu płaczę -wydusiła z trudem, wycierając oczy.
- Nic nie szkodzi.
- Wcale nie byłam mu potrzebna - dodała. - Przez cały czas siedział przy nim ojciec i opowiadał o wielorybie, a Mike słuchał go z zapartym tchem.
- Nie przejmuj się tym, Saro.
- Nawet nie wiedział, że przy nim jestem. Zmierzyłam mu temperaturę, a on wcale na mnie nie spojrzał.
- Mężczyźni nie lubią, jak matki mierzą im temperaturę.
- Słuchał tych opowieści dziadka, jakby to była najwspanialsza bajka na dobranoc.
- O wielorybie?
- O wielorybie, którego widzieliśmy. Mój ojciec zna mnóstwo opowieści o ptakach i zwierzętach żyjących na wyspie. -Wydmuchała nos.
- Wysłałaś Snow, żeby go od niego odciągnęła? - spytał Will.
- Nie - uśmiechnęła się. - Po prostu wiem, że Mike bardzo chciał ją zobaczyć. Ciągle patrzył na drzwi, jakby na nią czekał.
- Ona też chętnie posłucha o tym wielorybie.
- Teraz pewnie opowiada o śledziach. O tym, jak tworzą ławice, kiedy łączą się w pary, kto je zjada, czym się żywią i o tym, że wieloryby jedzą plankton zamiast śledzi - dodała z westchnieniem.
- Hej! - powiedział Will.
- Co?
- Mike jest zakłopotany.
- Zakłopotany? Skąd wiesz?
- Wiem. Faceci z charakterem nie wpadają pod lód. Musi go to dręczyć. Stało się to na oczach Snow i jeszcze trzeba było go ratować. W dodatku ja go uratowałem. Mike to twardy gość i teraz głupio się czuje.

Twarz Sary zaczęła się rozjaśniać. Will uspokoił jej rozbiegane myśli.

- Z charakterem? - spytała.
- Tak. Przeciwieństwo mięczaka. Twardzi faceci mają charakter.
- Ty też masz charakter -powiedziała z uśmiechem.
- Tak myślisz? - Serce waliło mu jak młotem. Czuł na nogach miękką kołdrę i suchość w ustach.
- Tak. - Pochyliła się, by go pocałować, lecz on przyciągnął ją bliżej, przytulając do nagiej piersi. Czy to charakter wywoływał w nim takie uczucia? Leżał spokojnie, lecz wewnątrz szalał w nim ogień.

Wkrótce po wejściu Snow do pokoju Mike'a stary George wstał z krzesła i wyszedł bez słowa.
- Czemu twój dziadek tak nagle wyszedł? -spytała Snow.
- Pewnie miał coś do zrobienia.
- Musi dużo wiedzieć o śledziach.
- Chyba tak -przyznał od niechcenia Mike, chociaż Snow domyśliła się, jak bardzo go podziwia. Z taką uwagą słuchał opowiadania George'a. Zniknął też ponury wyraz twarzy, który pojawiał się w obecności Sary.
- Jesteś w mojej mocy -powiedziała, siadając na brzegu łóżka.
- Tak?
- Zamierzam cię torturować.
- Jak? -spytał zaintrygowany.

Nie miała zamiaru odpowiadać. Była szczęśliwa, że może siedzieć i patrzeć, jak policzki Mike'a nabierają kolorów, i czuć, jak porusza stopami pod kołdrą. Do pokoju wsunęło się kilka kotów. Weszły pod kołdrę, moszcząc się w okolicy stóp, kolan i brzucha Mike'a.
- Bałeś się? - spytała.
- Nie.
- Myślałeś, że dasz sobie radę?
- Tak. - Zawahał się. - No może nie w ostatniej minucie.
- My z twoją mamą nie byłyśmy tego pewne.
- A jednak się udało. Twój tata to twardy gość.
- Wiem - odparła po prostu. Po co zaprzeczać temu, co oczywiste?
- Pilot, ratownik... Co jeszcze potrafi?

- Mógłby być tajnym agentem - powiedziała, choć nie miała co do tego pewności. -Gdyby nie wystąpił z marynarki.

- Czemu wystąpił, skoro był takim Jamesem Bondem? Oparła się o poduszki, spojrzała mu w oczy i pomyślała, że jak na chłopaka z problemami wydaje się całkiem normalny.

- Czemu? -powtórzył.

- Co?

- Czemu twój tata wystąpił z marynarki?

- Ach. Z powodu Freda.

- Zastanawiałem się wczoraj, kim jest ten Fred. Wspomniałaś o nim podczas modlitwy.

- Był moim bratem. Utonął - odpowiedziała. - Byłam przy tym, kiedy to się stało.

- Przykra sprawa -stwierdził.

- Wszyscy wtedy tam byliśmy.

- Było tak zimno jak dzisiaj?

- Nie. To nie było zimą. -Stanął jej przed oczami ten dzień. Babie lato, złociste niebo, jasny wrześniowy dzień, w oddali przystań w Newport. Jesienią burza nadchodzi tak nieoczekiwanie, kiedy najmniej się spodziewasz.

- Nie umiał pływać?

- Był świetnym pływakiem. -Uczył ją pływać i pokazywał, jak robi się nożyce.

- To dlaczego utonął?

- Żeglowaliśmy po zatoce. Rodzice, Fred i ja. Zerwała się burza, wracaliśmy do portu i tata pozwolił Fredowi trzymać ster. Był prawie w twoim wieku, na tyle dorosły, żeby dać sobie z tym radę, rozumiesz?

- Tak.

- Zerwał się porywisty wiatr i stanęliśmy dęba.

- Cholera.

Snow zrozumiała, że też jest żeglarzem. Nie przypuszczała, że można mieszkać na wyspie i nie umieć żeglować, ale nie miała pewności. Patrzył na nią z takim smutkiem, jakby domyślał się, co teraz usłyszy.

- Bom się obrócił i wszyscy uchylili się z wyjątkiem Freda.

Uderzył go w głowę i Fred wypadł za burtę.

- To okropne.

W głosie Mike'a zabrzmiało współczucie. Poruszył dłonią, jakby chciał dotknąć jej ręki. Nagle zapragnęła wziąć go za ręce, lecz uznała, że byłoby to niewłaściwe, w samym środku opowiadania o Fredzie. Zacisnęła więc tylko palce.

- Ojciec skoczył za nim tak jak dziś za tobą. Pływał i pływał, a my z mamą stałyśmy i starałyśmy się wypatrzyć to miejsce, w którym Fred wpadł do wody, ale nie mogłyśmy. Dwa dni później... morze wyrzuciło ciało na brzeg.

- Utonął.

- Ojciec omal nie umarł. Mówię serio. - Jej głos brzmiał głucho, a oczy miała szeroko otwarte. Wciąż słyszała płacz ojca dochodzący zza zamkniętych drzwi gabinetu, kiedy przyszli powiadomić go, że znaleziono Freda.

- Cholera.

- Tata był ratownikiem w marynarce. Rozumiesz więc, jak się czuł.

- Tak.

- To możesz sobie wyobrazić, co przeżywał, gdy wyciągał cię spod lodu.

- Nic nie jest w stanie wynagrodzić straty twojego brata.

- Nic - przyznała Snow.

- Fred Burke? - spytał.

Nadal trzymał rękę na kołdrze. Snow otarła łzy, spojrzała na jego dłoń, po czym kiwnęła głową i wsunęła w nią swoją.

- Fred Burke.

- Zapamiętam sobie.

- Twoja matka była przerażona, Mike. Naprawdę przerażona.

Chrząknął niepewnie.

- Muszę podziękować twojemu ojcu.

- Powinieneś mu pozwolić zabrać cię do domu.

Nic na to nie odpowiedział. Zamknął oczy, jakby się zastanawiał. Patrzyła na niego i marzyła, żeby ją pocałował. Nie miał już sinych warg i policzki zdążyły się zaróżowić. Ścisnęła mu dłoń, która była już prawie ciepła, a on oddał jej uścisk.

Sara siedziała przy Willu, dopóki nie zasnął. Wyczerpany organizm odpłynął późnym popołudniem w sen. Patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Wyglądał tak spokojnie. Szpakowate włosy miękko układały się wokół uszu i szyi. Chciała go dotknąć, pocałować i dziękować bez końca, bała się jednak, że go obudzi.

Jak można wyrazić wdzięczność komuś, kto uratował syna? Jakich słów powinna użyć i ile razy je powtórzyć? Była pewna, że gdyby nie Will, Mike by utonął. To nie to samo co rozdzielenie przez świąteczny tłum w sklepie. Wtedy prędzej czy później by go odzyskała. Natomiast dziś Will naprawdę ocalił mu życie.

Rozejrzała się po pokoju. Kiedyś spała w nim matka. Przeniosła się tu, jak zachorowała, bo nie chciała budzić ojca swoim kaszlem. Często siadywała w tym miejscu co teraz i trzymała matkę za rękę. Na ścianach pozostały nawet te same tapety, tylko już nieco wyblakłe - jasnoniebieskie, w staromodne różyczki. Na wysokiej mahoniowej komodzie wciąż stała ślubna fotografia matki w złoconej ramce.

Sara wstała ostrożnie, by nie zbudzić Willa, i podeszła do komody. Ramka była tania jak na taki piękny portret, ale ojciec zawsze kazał matce robić na wszystkim oszczędności. Wzięła do ręki zdjęcie i przyjrzała się twarzy matki.

Rose Talbot miała tyle życia w oczach. Wysoka i pełna wdzięku, pięknie wyglądała w sięgającej ziemi ślubnej sukni i koronkowym welonie, spod którego wysuwały się ciemne włosy. W ręku trzymała bukiet z kwiatów rosnących na wyspie. Wyglądała jak żywa. Sprawiała wrażenie, jakby patrzyła z miłością na swoją dorosłą córkę. W czasie pobytu w szpitalu Sara często z nią rozmawiała; błagała o siłę i wyobrażała sobie, że matka przy niej siedzi na łóżku. Kiedy leczenie odniosło skutek i zaczęła wracać do zdrowia, wyobraziła sobie, jak matka by się cieszyła. Nie mogła przeboleć, że nigdy nie poznała wnuka.

- Pokochałabyś go, mamo - szepnęła. -Myślałam dziś, że go straciłam.

Zamknęła oczy i przytuliła fotografię do piersi. Wydawało się to niemożliwe, ale czuła płynącą z niej miłość matki. Objęły ją jej ramiona i usłyszała głos matki mówiący, jak bardzo ją kocha.

Spojrzała przez ramię na śpiącego Willa. Chciała, aby matka wiedziała, co zrobił. Nagle uświadomiła sobie, że chciałaby jej powiedzieć, że się zakochała.

- Czy to możliwe? -szepnęła do fotografii, czując ucisk w gardle. Ponownie zerknęła na Willa i poczuła to jeszcze mocniej. Miała trzydzieści siedem lat, właśnie skończyła chemioterapię i zakochała się w tym silnym mężczyźnie, śpiącym teraz w łóżku matki. Zakręciło jej się w głowie od nadmiaru uczuć. Wytarła kurz z fotografii i delikatnie odstawiła ją na komodę. Potem podeszła do okna, patrząc, jak zatokę spowija mrok.

Śnieg przestał padać, lecz mimo to noc była pełna uroku. Na niebie połyskiwały gwiazdy i wydało jej się, że widzi wieloryba wyrzucającego w górę mieniącą się kolorami fontannę wody. Wyobraziła sobie, że jest to ten sam wieloryb, którego dziś widzieli.

Przetarła oczy, spojrzała na Willa, a potem na fotografię matki. Oto ludzie, którzy troszczą się o innych i opiekują swymi bliskimi. Zaciągnęła stare zasłony, by do pokoju nie wpadało chłodne powietrze. Chciała, żeby Will porządnie się rozgrzał. Jeśli się obudzi, weźmie go za ręce, spojrzy mu w oczy i powie to, co ma w sercu. Spał jednak mocno.

- Kocham cię - powiedziała na głos.

Nie poruszył się. Na szczupłej, pociągłej twarzy kładły się niebieskie cienie. Pod białą kołdrą rysowała się potężna, nieruchoma sylwetka. Usiadła cicho przy łóżku, nie odrywając wzroku od śpiącej postaci.

# Rozdział XIII

Rano, kiedy Will się obudził, Sara spała w bujanym fotelu okryta pledem. Głowa opadła jej na piersi. Miała na sobie to samo ubranie, w które przebrała się po przyjściu z wycieczki. Ułożył się wygodniej, nie spuszczając z niej wzroku. Chciał ją przywołać do siebie. Czuł w sobie żar, a serce biło mu jak szalone.

- Dzień dobry -powiedział.
- Co? - spytała, natychmiast się budząc.

Patrzył na nią podparty na łokciu. Ciekawe, co by pomyślała,

gdyby teraz podszedł do niej i pocałował jak wczoraj wieczorem? Kołdra rozgrzała go do czerwoności.

- Spałaś w tym fotelu? - spytał.

- Mhm. - Przetarła oczy. -Chyba tak.

- Niezbyt wygodnie -zauważył. -Szyja ci nie zdrętwiała? Odchyliła głowę i poruszyła ramionami.

Nie czekając na jej odpowiedź, wstał, podszedł do niej i pocałował w czubek głowy. W pokoju było chłodniej, niż przypuszczał. Zaczął rozcierać szyję i ramiona Sary.

- Jak przyjemnie.

- Śniło mi się... - Urwał, starając się sobie przypomnieć. Czekała w milczeniu na dalszy ciąg, huśtając się delikatnie

w fotelu. Przed oczami Willa przesuwały się obrazy minionej nocy: strach i miłość, wodna głębina, powolny ruch w stronę powierzchni wody, chłopcy bawiący się na dnie zamarzniętego stawu, on i Sara przytuleni do siebie.

- Co ci się śniło? - spytała.

- Ty - odpowiedział po prostu.

Ścisnęła go za rękę. Palce masujące szyję znieruchomiały. Kiwnęła głową i spojrzała w górę.

- Ty też mi się śniłeś.

Tyle pragnął jej powiedzieć, lecz nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Bił się z myślami. Chciał zanieść Sarę na łóżko i jednocześnie powiedzieć jej, żeby zaczekała, aż się ubierze, by mogli wyjść na dwór i oglądać wschód słońca jak w Dniu Dziękczynienia.

Fotel bujany skrzypiał ze starości. Will splótł palce z palcami Sary i ucałował miękką dłoń. Oczy kobiety płonęły blaskiem i energią, pomimo nocy spędzonej na siedząco. Nie miał odwagi się odezwać, bo to, co chciał powiedzieć, wydawało się takie niewiarygodne. Zakochał się w Sarze.

Po śniadaniu każdy zajął się swoimi sprawami. Will i George pojechali zobaczyć, czy śnieżyca nie zniszczyła samolotu. Mike poszedł do stodoły, a po chwili udała się tam również Sara. Snow zapukała do pracowni cioci Bess.

- Proszę.

Starsza pani siedziała przy wielkiej czarnej maszynie do szycia.

Miała na sobie wełnianą sukienkę w wiśniowym kolorze i miękki ciemnoszary szal. Na czubku nosa tkwiły okulary.

- Nie przeszkadzam? - spytała Snow.
- Nie. Potrzebujesz czegoś?
- Pomyślałam, że moglibyśmy urządzić przyjęcie.
- Przyjęcie?
- Tak. To nasz ostatni wieczór i mamy tyle do uczczenia, uratowanie Mike'a i...
- Też o tym myślałam -powiedziała Bess, uśmiechając się znad roboty. - Zamówiłam już u Hillyera Crawforda homary i przygotowałam wszystko do upieczenia ciasta. Tylko wstawić do pieca. Uwielbiam przyjęcia, a tu rzadko je miewamy.
- No to się cieszę, że urządzimy je dziś wieczorem -odparła Snow, zadowolona, że znalazła sprzymierzeńca. Cofnęła się do drzwi. - Nie będę pani przeszkadzać.
- Zostań. -W głosie Bess brzmiała szczerość. -Kończę właśnie kolejną kołdrę dla Sary. Będzie mogła je zabrać, a my zaoszczędzimy na kosztach przesyłki. Zepchnij na bok pisma i usiądź sobie przy oknie. Zrzuć tego kota.

Snow przygotowała sobie miejsce do siedzenia, po czym ostrożnie podniosła śpiącego kota i położyła go na kolanach. Patrzyła, jak Bess wygładza biały materiał, układa puch i śmiga igłą po kołdrze tak szybko, że Snow nie mogła nadążyć za ściegiem.

- Byłaś w sklepie Sary? - spytała Bess.
- Tak. A pani?
- W tym pierwszym, w Bostonie, wiele lat temu. W Fort Cromwell nie.
- Jej sklep jest śliczny -stwierdziła z przekonaniem Snow. -Taki, jakie można spotkać w Anglii.
- Anglia jest piękna -powiedziała Bess. -Kiedyś byłam tam z Arturem. Pojechaliśmy do Londynu i do Stonehenge. To było wspaniałe.
- Ma pani szczęście. Może któregoś dnia znowu pani pojedzie.
- Rzadko opuszczam wyspę - stwierdziła Bess, wciskając pedał maszyny. Zauważyła, że skończyła jej się nitka w bębenku. Spuściła zawieszone na łańcuszku okulary i sięgnęła do szufladki ze szpulkami.

- Proszę pozwolić mi pomóc. - Snow zerwała się z miejsca.

- Dziękuję. -Bess wybrała małą metalową szpulkę z białą nitką. - Tak się cieszę, że ty i twój ojciec przyjechaliście z Sarą. Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się wczoraj... Gdyby nie twój ojciec, staralibyśmy Mike'a.

- Wiem -odparła z powagą Snow.

- Pewnie Sara chciałaby, żeby wrócił z nią do domu.

- Nie wiem. -Snow czuła, że Bess chce coś z niej wyciągnąć.

- Bardzo nam z nim dobrze.

Snow poczuła wyrzuty sumienia, że tak bardzo chciała, by z nimi pojechał. Myślała o Sarze, ale także o sobie i o tym, jak świetnie mogliby się bawić w Fort Cromwell.

- Wprowadza w domu taki radosny nastrój, zwłaszcza kiedy zaczyna żartować z dziadkiem.

- Naprawdę? - Jakoś dotąd nie słyszała, żeby Mike opowiadał kawały. Prawdę powiedziawszy, to w ogóle niewiele mówił.

- On jest chłopcem z wyspy jak jego ojciec.

- Jego ojciec? - Ciekawość Snow wzrosła, zwłaszcza że Mike już o nim wspominał.

- Tak. Właściwie to nie powinnam o nim mówić. Niezbyt miło wspominamy tu Zeke'a Loringa - stwierdziła Bess, usiłując nawlec nitkę. Zmoczyła wargami koniuszek, skręciła go w palcach i pochyliła się nad stopką, opierając policzek o kołdrę.

- Może ja pomogę -zaproponowała Snow.

- Miło z twojej strony. Mike też mi pomaga -dodała, odchylając się na oparcie krzesła.

Snow była mistrzynią w nawlekaniu nitki. Bez trudu wsunęła ją w oczko igły. Zawsze trafiała. Raz zrobiła to nawet z zamkniętymi oczyma. Matka nie mogła w to uwierzyć.

- Wspaniale. - Bess włożyła bębenek do srebrnej kasetki.

- Nie lubicie ojca Mike'a? - spytała ostrożnie Snow, nie chcąc spłoszyć cioci Bess.

- Nie dlatego, że jest ojcem Mike'a. Mike od dziecka był naszym ulubieńcem. Ale dlatego, że skrzywdził Sarę. Zostawił ją przed ołtarzem.

Snow gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nie może być!

- Tak właśnie było. - Bess zacisnęła usta. - W dniu jej ślubu. Była w ciąży, chociaż nikt z nas jeszcze o tym nie wiedział. Sama szyłam jej suknię ślubną,

- Miała na sobie suknię, a on...

- ... po prostu nie przyszedł - dokończyła dramatycznym szeptem Bess.

- To straszne! - Snow czuła się zdruzgotana na myśl o kobiecie stojącej samotnie przed ołtarzem.

- Tak. Była piękną dziewczyną, radosną i dobrą. Jak ona się troszczyła o innych. Wcześnie straciła matkę i przez te wszystkie lata opiekowała się ojcem. W końcu wyjechała do college'u do Bostonu. Tak się cieszyłam. Nareszcie mogła wyrwać się z tego odludnego miejsca i zacząć prawdziwe życie. I jak myślisz, co się stało?

- Co?

- Przyjechała do domu na wakacje i zakochała się bez pamięci w najgorszym chłopaku na wyspie.

- W Zeke'u Loringu?

- Tak.

- Skoro był taki zły, to czemu Sara się w nim zakochała?

- Bo był przystojny i wesoły. Sara przyprowadziła go do domu, a on rozśmieszał nas do łez swoimi opowieściami. Sara była piękną, pełną uroku dziewczyną i mogła mieć każdego chłopca w Bostonie. Myślę, że wybrała tego gagatka, bo pochodził z wyspy. A ona jest bardzo przywiązana do tego miejsca.

- Zaszła z nim w ciążę -powiedziała ze smutkiem Snow. -Pani uszyła jej suknię, a on ją zostawił... Gdzie miał być ten ślub? W Bostonie?

- O nie, tutaj, w miejscowej kaplicy.

Snow znów straciła oddech. Żeby coś tak strasznego zdarzyło się tu, na ukochanej wyspie Sary. Takiej sielankowej, piękniejszej od Yorkshire, wspanialszej od Stonehenge. Snow poczuła, że kocha tę wyspę bardziej niż Anglię.

- Nie widziałam tej kaplicy podczas spaceru.

- Bo jest we wschodniej części wyspy, przy wrzosowiskach. To taki mały kościółek, stojący frontem do Atlantyku. Tylko ocean

oddziela go od Francji.

- Chciałabym go zobaczyć -powiedziała Snow.

- To piękne miejsce - rzekła Bess, strzepując kołdrę, spod której wyskoczył przestraszony kot.

- Czy Zeke nadal mieszka na wyspie?

- Nie, on nie żyje. Miał wypadek. Uderzył w drzewo tego samego lata, kiedy miał się odbyć jego ślub z Sarą. Zginął na miejscu razem z dziewczyną, która przyjechała tu na wakacje. Nigdy nie zobaczył syna.

- Biedna Sara i Mike.

- Pochowano go na przykościelnym cmentarzu. Tak jak jego rodziców, matkę Sary i innych mieszkańców wyspy. Tam również spocznie George, gdy przyjdzie jego czas. Ja będę leżała obok Artura na Rhode Island, choć wolałabym tutaj sprowadzić prochy męża.

- Rozumiem.

- Cieszę się, że przyjechałaś.

- Szkoda, że jutro musimy wracać.

- Za prędko, stanowczo zbyt prędko.

- Wcale nie chcę wyjeżdżać.

- Ja również wolałabym, żebyście zostali - powiedziała Bess. - I ojciec Sary. -Zadrżała. -Będziemy musieli znosić przez tydzień jego humory. Nie masz pojęcia, jak on kocha Sarę. Jest jego oczkiem w głowie, choć nigdy tego nie okazuje. A jeśli zabierze ze sobą Mike'a...

Bess ponownie zadrżała, wpatrując się w ciągnące się za oknem pola i gładząc pomarszczonymi dłońmi śnieżną kołdrę, równie białą jak te pola. Snow pomyślała o ślubnej sukni Sary, która miała prawie tyle lat co Mike. Ciekawe, gdzie jest teraz i czy Sara jeszcze kiedyś ją włoży.

- To będzie wyjątkowa kolacja - powiedziała Bess. -Chociaż smutek ogarnia na myśl, że jutro wyjeżdżacie.

- Wielka szkoda - powiedziała Snow, żałując, że nie może tu zostać na zawsze.

Sara siedziała na wysokiej skrzynce, przyglądając się, jak Mike rozkłada stary silnik od łodzi motorowej. W stodole było ciepło, bo w jednym z boksów zainstalował piec. Wyprostowała plecy, starając się

znaleźć wygodną pozycję. Rano obudziła się z bólem krzyża. Kiedy Will masował jej szyję, za nic na świecie nie powiedziałaby, żeby przestał, bo boli ją znacznie niżej. Czuła teraz, jak ból promieniuje na nogi.

Stara łódź zajmowała prawie całą stodołę. Mike ubrany w granatowy drelich umazany był po łokcie w smarze. Kiedy tak się pochylał nad łodzią i marszczył czoło, bardzo przypominał swojego ojca. Sara z trudem odegnała wizję dawnego ukochanego. Nie uszczęśliwił jej ten widok.

- Na pewno jest ci ciepło? - spytała.
- Mamo. - W głosie Mike'a zabrzmiała pretensja.
- Przepraszam. Nie każdego dnia mój syn wpada do zamarzniętego stawu.
- A co z Willem? O niego się nie martwisz?
- On... -Urwała. Nie miała odwagi powiedzieć choć jednego słowa na temat Willa Burke'a.

Mike najwyraźniej nie zwrócił uwagi na to, że tak nagle umilkła. Był dobrym mechanikiem i lubił pracować przy silnikach. Bardzo się zdenerwował, kiedy go wyrzucono z Von Froelich Precision. Twierdził, że przyłapano go na paleniu skręta w towarzystwie innego mechanika; nie smakował mu i nie miał zamiaru dać się w to wciągnąć. Uwierzyła mu. Nie pochwalała niektórych jego postępków, ale wierzyła, że w tym wypadku mówił prawdę.

- Nie tęsknisz za pracą przy samochodach wyścigowych? - spytała.
- Nie. One nigdy nie wydawały się prawdziwe. Spojrzała na niego zdziwiona.
- Naprawdę?
- To zabawki dla bogatych facetów.

Uśmiechnęła się ukradkiem. Ogarnęła ją duma na myśl, że jej syn okazał się takim realistą. Wszyscy koledzy w szkole zazdrościli mu, że pracuje w soboty przy samochodach, o których większość mężczyzn mogła tylko pomarzyć.

- Wolisz grzebać przy tym starym silniku? -spytała.
- Jasne.
- Zupełnie jak twój ojciec.

Popatrzył na nią. Odgarnął włosy, zostawiając jedno czarne pasemko nad czołem. Wiedział, że matka nie lubi mówić o Zeke'u, czekał więc, aż sama zacznie.

- Czy to z jego powodu tu przyjechałeś? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Wolałabym, żeby tak było. W przeciwnym razie pozostałoby tylko jedno wytłumaczenie - powiedziała. Serce biło jej w piersi równie mocno jak wczoraj, kiedy tonął w stawie.

- Jakie?

- Że mnie nienawidzisz.

Wydał z siebie gniewne westchnienie. Sięgając po klucz maszynowy, przewrócił pudełko ze śrubkami. Przykucnął i zaczął je cierpliwie zbierać. Jakie on ma duże ręce, pomyślała. Jej syn stał się mężczyzną. Patrzyła na niego, jakby chciała zaprzeczyć temu, co powiedziała, czując wzbierające pod powiekami łzy.

- Mike?

- Nie nienawidzę cię, mamo.

- Więc dlaczego uciekłeś?

- Nie uciekłem.

- Uciekłeś! Rzuciłeś szkołę, pracę i wyszedłeś z domu z plecakiem. Chciałeś złapać okazję. Wiem, bo pojechałam za tobą. Nie pamiętasz, jak znalazłam cię na autostradzie? Machałeś ręką i...

- Nie uciekłem -powtórzył, patrząc jej prosto w oczy.

- Więc co?

- Przyjechałem tutaj.

Nie uciekał, lecz dążył do czegoś... Teraz to zrozumiała. Podciągnęła kolana pod brodę. Nagle zrobiło jej się zimno pomimo ciepłego pieca.

- Czy to z powodu ojca?

- On nie żyje. Czemu miałbym przyjeżdżać z jego powodu?

- By poznać miejsce, gdzie się urodził.

- Nie wiem.

- Rozumiem, że chciałeś dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu. Rzadko ci o nim opowiadałam.

- Wiele już o nim wiem. Ale ty możesz mi powiedzieć więcej.

Skinęła głową. Z trudem wyrzuciła z myśli obraz Willa, ale Zeke

Loring był dla niej przez sto dni słońcem, księżycem i gwiazdami. Liczyła dni od ich pierwszej randki na wiosnę, kiedy była studentką pierwszego roku, aż do dnia, kiedy władował się swoją furgonetką w drzewo przy Birdsong Road.

- Zeke potrafił wszystko naprawić. Masz to po nim. Był zabawny, lekkomyślny i inteligentny. Był pięknym chłopcem. Powinnam powiedzieć „przystojnym", lecz to nie oddaje jego wizerunku. Był piękny, Mike. Tak jak ty.

- Mhm.

- Znaliśmy się od zawsze, ale tak naprawdę spotkaliśmy się pewnego kwietniowego wieczoru. Przyjechałam do domu na przerwę i spacerowałam nad brzegiem zatoki. Świecił księżyc i patrzyłam w niebo. Nagle rozległ się warkot silnika. Był to Zeke na swoim motocyklu. Zahamował, a ja wsiadłam. Tak po prostu. Obwiózł mnie po całej wyspie.

- Naprawdę?

- Widziałeś jego mały domek? Ten w dolinie, niedaleko farmy jego rodziców? Pokazywałam ci go, kiedy byłeś mały.

- Pamiętam -odparł, siląc się na ponury ton.

- Więc byłeś tam?

- Tak. To taka mała chatka rybacka. Teraz zarosła chwastami i bluszczem.

Ku swemu zdziwieniu ogarnął ją smutek.

- Bardzo lubiłam to miejsce. Razem je urządzaliśmy. Na maszynie cioci Bess uszyłam białe zasłonki i założyliśmy ogród. Zeke znalazł duży, wydrążony w środku kamień i zrobiliśmy z niego sadzawkę dla ptaków.

Mike zawsze lubił obserwować ptaki, bardziej nawet niż jego koledzy. Może miał to po ojcu. Wierzyła, że tak.

- Kochaliśmy się - ciągnęła. - Kłóciliśmy się jak szaleni, ale chcieliśmy być razem. Raz omal nie zerwaliśmy ze sobą. Wybiegłam z domku, zostawiając biały sweter. Kiedy wróciłam, Zeke'a nie było, a sweter leżał obok jego skórzanej kurtki. Były ułożone tak, jakby dwoje ludzi obejmowało się ramionami.

- Chciał, żebyś została - powiedział Mike. Uśmiechnęła się smutno, bo była to tylko część prawdy.

- Czy tam mieliście zamieszkać po moim urodzeniu?

- Chciałam, żeby pojechał ze mną do Bostonu. Otworzyłam właśnie sklep. Mało tu zarabiał, lecz nie dbał o to. Lubił swoją pracę. Chyba dlatego nie przyszedł na umówione spotkanie. Nie udało nam się dojść do porozumienia.

Jej głos brzmiał łagodnie, jakby bała się obudzić dawne przykre wspomnienia. Chciała zabrać rybaka do miasta i urządzić mu życie. Przypomniała sobie wszystkie plany i marzenia, jakie wówczas snuła. Zeke był przystojny i inteligentny. Mógł pójść do college'u, może nawet do szkoły biznesu. Osiągnąłby sukces, wtedy kupiliby dom na Beacon Hill, chatkę nad morzem, gdzie spędzaliby wakacje, łódź dla dzieci i licencję na łowienie homarów dla niego.

- Chciał tu zostać? - spytał Mike.

- Tak**.**

- Zamiast przeprowadzać się do Bostonu?

- Raczej zamiast ożenić się ze mną.

- Nie rozumiem.

- Byliśmy za młodzi na małżeństwo, Mike - powiedziała miękko Sara. - Ale ty byłeś już w drodze.

- On o mnie wiedział? - Spojrzał na nią przerażonym wzrokiem. Czyżby bał się usłyszeć prawdę? Że Zeke wiedział, że zostanie ojcem, dlatego ich zostawił? Że zginął z inną kobietą? Nie chciała mu tego mówić, ale nie chciała też kłamać.

- Że byłam w ciąży? Tak. Ale nie wiedział, że to będziesz ty, kochanie. Nie wiedział, że będzie miał Michaela Talbota.

- Co za różnica?

- Gdyby cię znał, wszystko inaczej by się ułożyło -skłamała, nie mogąc znieść bólu w głosie syna. Wątpiła, żeby dziecko, bez względu na to jak wspaniałe, zdołało przekonać Zeke'a do małżeństwa. Był niespokojnym duchem i w jego życiu nie było miejsca dla żony i dziecka.

- Życie byłoby lepsze, gdyby zamieszkał z nami - powiedział Mike.

- Twój ojciec miał inne plany -rzuciła podniesionym głosem.

- To ty chciałaś wyjechać z wyspy!

- I tak by ze mną nie został. Nie był gotowy do małżeństwa.

- Moglibyśmy go poprosić - odparł, pochylając się nad silnikiem. -Ale on nie żyje. Widziałem jego grób.

Znieruchomiała. Mięśnie ramion miał napięte, a w jego głosie brzmiały twarde nuty. Walił w silnik, jakby chciał go zniszczyć. Poczuła ostry ból w plecach i drgnęła raptownie.

- Przykro mi, kochanie -powiedziała cicho. Podczas ich wspólnych wizyt na wyspie ani razu nie zaprowadziła go na grób ojca.
- Leży na cmentarzu przykościelnym. Byłaś tam?
- Byłam -odparła, starając się zapanować nad głosem.
- Ciebie też tam pochowają, tak?
- Tak. - Nigdy jeszcze nie widziała, by był tak zdenerwowany.
- Mamo -odezwał się, opierając dłonie o stół.
- Co, kochanie?
- Dlaczego zachorowałaś?

Wstała ze skrzynki i podeszła do syna. Płakał, choć starał się to ukryć. Może była to reakcja po kąpieli w stawie i rodzinnym święcie, a może rozmowa o ojcu tak na niego podziałała. Po raz pierwszy też przyznał się, że nie może znieść jej choroby. Tak czy owak miał zalaną łzami twarz i wyglądał jak mały chłopiec, któremu zrobiono krzywdę.

- Mike - szepnęła, obejmując go ramieniem.
- Lepiej się czujesz? - spytał. - Bo dziadek mówi, że nie.
- Oczywiście, że lepiej. Tylko spójrz na mnie.
- To nic nie znaczy. Nigdy nie wyglądałaś źle, nawet wtedy gdy stwierdzono, że masz raka.

Nie odpowiedziała. Nie widział jej po operacji, która poszarpała jej szyję i zdeformowała głowę. Nie widział w trakcie radioterapii i chemioterapii. Wyjechał zaraz po diagnozie, jaką postawił jej pierwszy lekarz, ten, który ją namawiał na wyjazd do Paryża. Widziała, że się przejął, lecz nie przypuszczała, że do tego stopnia. Miał wówczas szesnaście lat i gdyby umarła, zostałby sierotą.

- Spójrz na mnie -powiedziała, ujmując w dłonie jego twarz.

Zamrugał, unikając jej wzroku. W końcu poddał się i spojrzał w oczy. Policzki miał mokre od łez i ubrudzone smarem, a w oczach ten sam wyraz rozpaczy, jaki miewał w dzieciństwie.

- Ten kolor nazywa się platynowy blond - powiedziała.

- Czy to ma być żart? -wybuchnął.

- Nie, Mike. Ja tylko... -Próbuję wnieść trochę światła do rozmowy o mojej śmierci, dokończyła w myślach.

- Ty mnie w ogóle nie znasz - stwierdził. -Nigdy nie znałaś. Myślisz, że kawałek indyka wynagrodzi mi brak ojca, a żarty z twoich włosów sprawią, że zapomnę o tym, że masz raka?

Pokręciła przecząco głową.

- Mike, ja...

- Mów, co chcesz, ale tak właśnie myślisz.

- Mike, musimy poważnie porozmawiać - powiedziała pospiesznie. - Chcę, żebyś wrócił ze mną do domu, skończył szkołę i zapewnił sobie przyszłość. Gdybyś wiedział, jak bardzo...

- Ja tu zostanę, mamo -przerwał jej beznamiętnym tonem. Zaniemówiła. Czyżby po raz drugi popełniła ten sam błąd,

pragnąc dla niego przyszłości, która nie była mu przeznaczona? Układała plany, które odpowiadały jej, nie jemu? Nie mogła w to uwierzyć. Mike miał silną wolę i namiętność ojca, lecz po niej odziedziczył poczucie odpowiedzialności. Był jej synem i miał zaledwie siedemnaście lat.

- Proszę tylko, byś to przemyślał -powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i bezosobowo, choć miała ochotę krzyknąć, złapać go za ramiona i wytrząsnąć z niego ten upór.

- Zostanę - powtórzył.

# Rozdział XIV

George Talbot przyglądał się, jak Will Burke oczyszcza samolot ze śniegu niczym szofer swoją furgonetkę, i wiedział już, że ma przed sobą bratnią duszę. Mężczyzna, jeśli już coś robi, to dokładnie i z uporem, bez wykrętów i chodzenia na skróty. Will zrobił, co należy, ze swoim samolotem. Oczyścił go od dziobu po ogon, wymiótł śnieg spod kół, rozwiązał mocujące koła linki, potem zepchnął samolot na bok, by George mógł zaorać pas startowy. Następnie włączył silnik, upewnił się, że działa, rozkręcił śmigła. Kiedy wszystko sprawdził, ustawił samolot na miejscu i zabezpieczył koła.

- Ładna maszyna - powiedział George.

- Dziękuję.
- Latanie to twoje hobby?
- Raczej moja praca.
- Myślałem, że zrobiłeś to dla Sary.
- Jestem właścicielem małej firmy lotniczej w Fort Cromwell. Głównie wynajmuję samoloty różnym firmom. W pobliżu Wilsonii jest mnóstwo wielkich firm.

George zapalił fajkę i wypuścił strużkę dymu. W taką pogodę odzywał się reumatyzm i wtedy najlepszym lekarstwem była fajka.

- Masz szczęście, że dostajesz pieniądze za to, co lubisz robić. Kiedyś sporo czasu spędzałem w powietrzu-
- Latał pan nad Europą?
- Tak. Odbyłem czterdzieści dwa loty. Kolonia, Drezno, Normandia.
- Czterdzieści dwa to dużo.
- O siedemnaście więcej, niż planowano -dodał zadowolony, że mógł się tym pochwalić. Nie miał zbyt wielu okazji, by porozmawiać z kimś o wojnie. Jedynie Rose o wszystkim wiedziała. Słuchała go godzinami, kiedy tylko miał ochotę się wygadać. Oczyszczając pas startowy z byłym marynarzem, George znów poczuł się jak za dawnych lat.
- Czemu aż tyle?
- Mieliśmy mnóstwo bomb do zrzucenia. Wlewali w nas kawę i wysyłali w powietrze. Nie zdążyliśmy wrócić, a już znowu lecieliśmy.
- Trafili pana kiedyś? Skinął głową.
- Zestrzelili mnie nad Alzacją. Dostałem w cylinder i wylądowałem na drzewie. Ale dobrze się skończyło.
- Stracił pan kolegów.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Każdy dobry żołnierz był tego świadom. Jeśli tobie się to nie zdarzyło, to znałeś kogoś, kto zginął na wojnie: najlepszy przyjaciel, sąsiad z koi, pilot czy lekarz.

- To była moja pierwsza załoga -wyjaśnił George. -Razem się szkoliliśmy. Odbyliśmy wspólnie dziesięć lotów. Potem z jakiegoś idiotycznego powodu awansowałem na nawigatora bombardiera w samolocie zwiadowczym.
- Sara mi o tym opowiadała.

- Dumna z niej córeczka -stwierdził bez uśmiechu George. On wcale nie czuł się dumny i nie uważał siebie za bohatera. Była wojna i niechętnie latał tam, gdzie go posyłano. Jego nowa załoga musiała przenieść jego łóżko i rzeczy do nowego namiotu.

- Zostali trafieni w czasie pierwszego lotu beze mnie, nad Helgoland. To mała wysepka na Morzu Północnym, nie większa od wyspy Elk.

- Przykro mi -powiedział Will.

- Wszyscy zginęli.

- Przykro mi - powtórzył Will.

- Tak -mruknął George, pykając fajkę.

To zdarzenie wciąż wyciskało mu łzy z oczu. Nie mógł uwierzyć, że ci wspaniali faceci, najlepsi przyjaciele, odeszli. Ich strata pozostawiła w nim głęboką bliznę. Śmierć była czymś ostatecznym i bardzo bolała. Albo się z nią godziłeś, albo gorzkniałeś lub też i jedno, i drugie.

- Latałeś nad Zatoką Perską? - spytał.

- Tak.

- Zuch z ciebie. Jako pilot?

- Tak.

- Sara mówiła, że pracowałeś jako ratownik.

- Tak. Odbyłem szkolenie w bazie w Jacksonville i służyłem przez jakiś czas na „USS Jamesie". Potem jednak zostałem przewoźnikiem. Wiem, co pan czuł, rozstając się ze starą załogą. Byłem w podobnej sytuacji.

George gryzł ustnik fajki. Zrobili już wszystko, co mieli zrobić, wrócili więc do dżipa. George otworzył drzwi samochodu i spojrzał na Willa. W oczach młodego mężczyzny czaiła się udręka. Czy był to wynik przeżyć wojennych, czy też kłopotów rodzinnych? Ten cały bigos dopada cię później i nic nie możesz na to poradzić, to silniejsze od ciebie. Stajesz się twardy po tym wszystkim, czego byłeś świadkiem i przez co przeszedłeś.

- Co się stało, synu? Straciłeś człowieka?

- Tak - odparł Will. Oparł się dłońmi o siedzenie samochodu. - Straciłem syna.

- Syna? O Boże!

George usiadł za kierownicą. Will wpatrywał się teraz w przestrzeń, mając przed oczami obraz chłopca. George znał ten wyraz. Czasami dostrzegał go w swoich oczach, kiedy rano stawał przed lustrem, wspominając Rose i chłopców z załogi.

Zacisnął dłonie na kierownicy. Rzadko mu się zdarzało zapomnieć języka w gębie. Chciał spytać Willa, jak to się stało. Ale co by przez to osiągnął? Może Will poczułby się lepiej, to wszystko. Tyle smutku jest teraz na świecie. Wszyscy chcieliby przeciąć wrzód, by wypłynęło z niego całe zło i nie zraniło drugiego człowieka. Jednak to byłoby za proste. Smutek i żal pozwalają ludziom zachować człowieczeństwo i pamięć o tych, których stracili.

Odchrząknął i splunął przez okno. Wiatr dmuchnął do wnętrza dżipa mroźnym powietrzem. George poklepał Willa po ramieniu.

- Przysporzyłeś wczoraj dumy twojemu staremu okrętowi - powiedział. -Ratując Mike'a.

- Dziękuję panu.

- My też jesteśmy z ciebie dumni. Myślę, że Sara nigdy ci tego nie zapomni.

- Może.

Uścisnął Willowi rękę.

- Witamy na pokładzie, komandorze - dodał, po czym włączył silnik i ruszył w stronę domu.

Sara czekała na nich w hallu. Ciocia Bess rozmawiała właśnie przez telefon z Hillyerem Crawfordem, usiłując przekonać go, żeby osobiście dostarczył im homary.

- Ciocia Bess i Snow zaplanowały na dziś uroczystą kolację - poinformowała wchodzących mężczyzn, starając się nadać głosowi wesołe brzmienie, chociaż wciąż myślała o Mike'u.

- Hillyer nie może nam przywieźć homarów. Jest zbyt zajęty. Mogę wziąć dżipa i pojechać po nie?

- Hamulce są zużyte -odparł z powątpiewaniem ojciec. -Mike zamówił nowe szczęki, ale nie zdążył ich wymienić.

- Będę ostrożna - uśmiechnęła się Sara.

- Pojadę z tobą - zaproponował Will.

- Siądź za kierownicą, Will - polecił ojciec. - Ona pokaże ci drogę.

- Dobrze - odparła Sara.

Tak często się ze sobą kłócili, że nie było sensu wszczynać nowego sporu. Dawno minęły już czasy, kiedy obraziłaby się za ten brak zaufania ojca do jej umiejętności prowadzenia samochodu terenowego. Dopiero po wielu latach zrozumiała, że on stara się ją chronić, w ten nieporadny sposób okazując miłość. Cmoknęła go w czoło.

- Tylko wybierz ładne -powiedział, nadymając się. -Jeżeli powie, że ważą po dwa funty, to każ mu je położyć na wadze.

- Tato, przecież on nie będzie cię oszukiwał. Znacie się od dzieciństwa. Chodziliście razem do szkoły.

- Wiem, co mówię. Niezły z niego kanciarz. Potrafi położyć na szalce nożyce do cięcia skorup, co zwiększa ciężar prawie o funt. Niech pan patrzy mu na ręce, komandorze.

- Dobrze.

Kiedy znaleźli się w końcu w ciepłym wnętrzu dżipa, przysunęli się do siebie i czule objęli. Nie widzieli się zaledwie kilka godzin, lecz mieli wrażenie, że minęło kilka dni. Will przywarł wargami do jej ust, a ona wsunęła mu ręce pod kurtkę, marząc o tym, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Nikt z mieszkańców domu ich nie widział, lecz i tak by się tym nie przejęła.

Will wyjechał tyłem z podjazdu. Ze stodoły wyszło kilka gęsi w poszukiwaniu pożywienia i stanęło im na drodze. Sara otworzyła okno i zamachała rękami. Poczuła ostry ból w krzyżu.

- Och! - jęknęła, bo zobaczyła gwiazdy.

- Co się stało? - spytał Will. Wyprostowała się i ból minął.

- Nic takiego.

- To czemu jęknęłaś?

- Musiałam urazić sobie nerw - odparła, modląc się, żeby naprawdę tak było. - A może to z powodu Mike'a. Pokłóciłam się z nim.

- To wywołałoby ból w plecach? - zdziwił się Will.

- Napięcie. Ono jest przyczyną wszystkiego.

- O co się pokłóciliście?

- O mnie - powiedziała z uśmiechem, żeby się nie domyślił, jak bardzo to przeżyła.

Kazała Willowi jechać na północ, wąską drogą dzielącą wyspę na dwie części. Minęli staw, do którego wpadł Mike, sosnowe lasy i dom rodziców Zeke'a. Sara znała tu każdy kąt.

Pokazała Willowi szkołę podstawową i miejsca, gdzie rośnie najwięcej borówek. Droga prowadziła do Kestrel Point, do kolonii domków letniskowych; tam zatrzymała się dziewczyna, która zginęła razem z Zekiem.

Potem skręcili w wymytą przez jesienne burze Harbour Road biegnącą wzdłuż nabrzeża, przy którym cumowały łodzie poławiaczy homarów. Było teraz puste. Tutejsi rybacy łowili od września do kwietnia i czekali całe lato, żeby homary osiągnęły odpowiednią wagę. Jesienią też można je było łowić, lecz wymagało to wielkiego trudu, a zimą stawało się niebezpieczne. Mniej więcej co cztery lata ginął jeden rybak, lecz homary z Maine uchodziły za najlepsze w kraju i osiągały wysokie ceny.

W dokach stały trzy trawlery. Na nabrzeżu piętrzyły się setki skrzynek z homarami. Pod ścianą leżały boje i stare liny. Stadka mew szukały smakowitych kąsków lub zabłąkanego homara. Powietrze pachniało solą i rybami. Will i Sara zaparkowali w miejscu zasypanym przez muszelki i weszli do starego drewnianego budynku.

Hillyer Crawford był w tym samym wieku co ojciec Sary, lecz wyglądał starzej. Ogorzała twarz miała więcej zmarszczek, a artretyzm bardziej go przygarbił. Życie na wyspie było ciężkie, ale George Talbot zawsze powtarzał, że hodowanie gęsi to niemal odpoczynek w porównaniu z łowieniem homarów. Patrząc na starego Hillyera, trzeba mu było przyznać rację.

- Jak się masz, Saro - powiedział na jej widok.

Miał na nogach wysokie gumowe buty, jakie George wkładał, kiedy zabijał gęsi, poplamioną marynarkę i wymięte spodnie. Sara uśmiechnęła się, wspominając jego żonę Sophię. Była przyjaciółką jej matki. Sophia Crawford bardzo dbała o elegancję i nie pozwoliłaby mężowi wyjść z domu w niechlujnym ubraniu. Krochmaliła i prasowała mu koszule, a wełniane rzeczy oddawała do prania na sucho na kontynencie. Umarła tego lata.

- Dzień dobry, panie Hillyer - powiedziała, obchodząc wielki drewniany zbiornik na homary, by go przywitać. Przytulił ją mocno i

długo nie puszczał. Pachniał lekko whisky.

Całe szczęście, że ojciec miał Bess, pomyślała. Starzy mieszkańcy wyspy muszą czuć się bardzo samotni.

- Straciłem Sophię, Saro -wymruczał jej w szyję.
- Wiem. Przykro mi.
- Tak. Była prawdziwą damą, jak twoja matka.
- Kochała pana - powiedziała. -Pamiętam, jak stała na ganku i czekała, aż wróci pan z połowu. Brakuje panu jej?
- Bardzo -powiedział, ocierając łzy. -To pan jest tym pilotem, który wyciągnął Mike'a spod lodu? - spytał, zerkając na Willa.
- Wieści szybko się rozchodzą -zauważyła Sara. -Hillyerze, to jest Will Burke. Will, to nasz stary przyjaciel Hillyer Crawford.

Uścisnęli sobie dłonie i Hillyer zaczął wylewać swe żale. Mówił o starej łodzi, o wrzodach, o rozbitym półmisku, o niezrealizowanych planach przeniesienia się na Florydę.

- To był raczej pomysł Sophii, nie mój -wyjaśnił, sięgając do pojemnika po homary. - Kilka razy byliśmy na wakacjach w Naples i bardzo jej się tam podobało. Myśleliśmy, że może sprzedamy interes i przeprowadzimy się na zimę. Dom chcieliśmy zatrzymać, by spędzać w nim lato.
- Nadal może pan to zrobić -powiedziała Sara.
- Nie. Bez Sophii nie mam na nic ochoty.
- Może ona chciałaby, żeby się pan przeprowadził - Patrzyła, z jakim trudem porusza się między pojemnikiem a wagą. Ważył każdego homara, zapisywał cenę na papierowej torbie i wkładał do drewnianej skrzynki.
- Może i tak - powiedział. - Ale nie chcę się bez niej nigdzie ruszać. Ile ma być tych homarów?
- Niech pomyślę. - Spojrzała na Willa. - Sześć.
- Pięć - poprawił Will. - Snow nie będzie jadła.
- Ale Mike zje dwa.
- Bess mówiła, że mają być dwufuntowe, tak? Dorzucić wam kilka mięczaków? Są ładne i tłuściutkie. Jadłem je wczoraj na obiad.
- Jasne, dzięki, panie Hillyer.
- Nie ma sprawy. -Podał Willowi skrzynkę z homarami. Poruszał się wolno i bez energii. Sara zapomniała o ostrzeżeniu ojca, by

pilnować Hillyera przy wadze, uznała jednak, że nie ma się czego obawiać. Hillyerowi najwyraźniej na niczym już nie zależało.

- Dobrze się pan czuje? -spytała, biorąc w dłonie jego stare spracowane ręce.

- Starzeję się, Saro -powiedział.

- Niech pan uważa na siebie.

Kiwnął głową bez przekonania. Will podszedł i podał mu rękę.

- Pańska żona musiała być wspaniałą kobietą - powiedział. - Miał pan wielkie szczęście.

- To prawda -przyznał Hillyer. W oczach błysnęły mu łzy.

Will nie miał jeszcze ochoty wracać do domu. Nie pytając Sary o zgodę, skręcił z Harbour Road na wschód zamiast na południe. Chciał poznać całą wyspę, na wypadek gdyby tu jeszcze kiedyś przyjechali. Minęli dom handlowy, pocztę i dwie stacje benzynowe.

- To dom Hillyera i Sophii - powiedziała Sara, wskazując na okazały biały budynek w stylu kolonialnym, otoczony drewnianym płotem. Był on jednym z czterech domów stojących przy drodze, lecz właśnie ten uważano za miejski i traktowano jako coś w rodzaju atrakcji turystycznej. Przyciągał wzrok majestatycznym wyglądem. Na trawniku przed wejściem stał biały maszt z zatkniętą na nim amerykańską flagą. Dostrzegało się w nim jednak ślady zaniedbania. Rosnące w skrzynkach na parapetach geranium i bluszcz zupełnie wyschły, bo nikt ich od lata nie pielęgnował. Jedna z okiennic miała urwany zawias, a na podjeździe leżały rozsypane śmieci.

- Kiedy byłam mała, bardzo chciałam tu mieszkać -powiedziała Sara.

- Twoja farma też jest piękna.

- Zawsze uważałam ten dom za szczyt elegancji. Przede wszystkim stał w mieście, wśród kwiatów i innych dużych domów. Często przychodziłyśmy tu z mamą w odwiedziny do Sophii. Ale bez Sophii pewnie popadnie w ruinę. Musiała bardzo o niego dbać.

- To nie dom się rozpada -powiedział Will.

- Nie rozumiem.

- To Hillyer bez Sophii się rozpada.

- Masz rację.

- Nie znam go, ale sprawia wrażenie kogoś, kto po śmierci

bliskiej osoby popadł w depresję.

- Powinien wyjechać na Florydę - powiedziała Sara, wyglądając prze okno.

„Miasto" się skończyło i ulica zmieniła się w wąską drogę, na której z trudem mieściły się dwa samochody. Porastały ją sosny, ograniczając widoczność. Potem znów ukazało się morze. Minęli dwie małe przystanie, stację elektryczną i rzekę. Płynęła wartko pod malowniczo wygiętym mostem.

- Kiedyś przyjeżdżali tu artyści malować ten most -powiedziała Sara. - Z Nowego Jorku i Bostonu. W Metropolitan Museum of Art wisi nawet obraz przedstawiający ten widok. Miałam okazję go zobaczyć. Ale mnie kojarzy się nieodmiennie z krabami w rzece.

- Niebieskimi krabami? - spytał Will.

- Tak.

- Uwielbiam łowić kraby. Znam takie jedno miejsce pod mostem kolejowym w South Lyme. Duże tu są okazy?

- Olbrzymie. Jako przynęty używamy bekonu i małych rybek.

- Ja łowiłem na kości kurczaka - odparł Will. - Mój rekord to dwadzieścia krabów jednego dnia.

- Czy w Connecticut są ładne kraby? - spytała z niedowierzaniem Sara.

- A jak myślisz? Czyżby Maine miał monopol na skorupiaki? - rzucił ze śmiechem. - Mogę cię zapewnić, że są całkiem spore. Moja mama gotowała je na kolację i uważała za wyjątkowy rarytas.

- Moja matka również.

- Pokaż mi jeszcze jakieś miejsca -poprosił. –Widziałem już szkołę, nabrzeże, rzeczkę z krabami. Chciałbym poznać wszystkie ważne miejsca.

- To jedźmy na grób mojej mamy -zaproponowała. Minęli północne skały i wysokie granitowe szczyty, gdzie orły zakładały swoje gniazda. Sara rozglądała się po okolicy w poszukiwaniu tych dumnych ptaków. Wysoko, na występie skalnym, dostrzegła puste gniazdo wyłożone patyczkami i gałązkami jeżynowymi. Pewnie jego mieszkańcy wylecieli na połów. Kazała Willowi skręcić w lewo. Droga była wąska, dobrze utrzymana, ale teraz pokryta świeżym śniegiem, włączył więc napęd na cztery koła. Jechali najpierw wśród

pól, potem przez dębowy las. Gałęzie drzew łączyły się nad ich głowami w sklepienie.

Wreszcie dotarli nad brzeg oceanu, gdzie wśród ośnieżonych pól stała kaplica. Przylegał do niej mały cmentarz otoczony żelaznym ogrodzeniem. Will wyczuł zmianę nastroju u Sary. Zatrzymał samochód i przytrzymał ją za rękę. Spoglądała na morze z wyrazem dziwnej determinacji na twarzy.

Przeszli po śniegu ku małej średniowiecznej kaplicy z ciemnego kamienia, jakie można spotkać w Oksfordzie czy Cambridge. Iglicę wieńczył kamienny krzyż, przymocowany do dachu żelaznymi prętami, chroniącymi go przed podmuchami atlantyckich wiatrów. Trzy granitowe stopnie prowadziły do zakończonych łukiem drewnianych drzwi. Ktoś zawiesił na nich świerkowy wieniec ozdobiony sosnowymi szyszkami, srebrnym wawrzynem, suszonymi borówkami i purpurową kokardą.

- Mój ojciec tu był - powiedziała Sara.
- To on zawiesił ten wianek?
- Robi to co roku, następnego dnia po Święcie Dziękczynienia. Nie lubi świąt, ale mama kochała wszystkie święta i robi to dla niej.
- Czy ona jest tu pochowana? - spytał, obejmując Sarę ramieniem.
- Tam. - Wskazała na kamienną płytę z aniołem.

Will podniósł skobel i otworzył furtkę. Ostry wiatr dmuchnął im w twarze solą i śniegiem. Było to chyba najzimniejsze miejsce na wyspie. Dreszcz wstrząsnął ciałem Willa. Przypomniał sobie wczorajszą kąpiel w stawie. Kiedy zatrzymali się wśród grobów, Will pochylił głowę i pomyślał o Fredzie.

Sara uklękła przy grobie matki. Wyglądała ślicznie, pogrążona we wspomnieniach i modlitwie. Na płycie wyrzeźbiony był mały anioł szybujący nad morzem. Poniżej wyryto imię i nazwisko matki Sary, daty jej urodzin i śmierci, obok zaś figurował George Talbot bez żadnych dat i wreszcie Sara.

Na ten widok ogarnęło Willa przerażenie i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w nagrobek. Przeniósł wzrok z płyty na Sarę. Była tuż obok niego, klęczała przy grobie skupiona na modlitwie. Wystarczyło jedynie wyciągnąć rękę.

Zdjął rękawiczkę i musnął palcami jej szyję. Poczuł ciepło skóry.

- Saro - powiedział, klękając przy niej.

- Mamo, to jest Will - powiedziała, biorąc go za rękę. -Żałuję, że nie możesz go poznać, a także Mike'a... Tak bym chciała, żebyś zobaczyła mojego syna.

- Dzień dobry pani - powiedział Will, splatając palce z palcami Sary.

- Mamo, tęsknię za tobą - wyszeptała Sara.

Will nie był w stanie tego dłużej znieść. Sam często rozmawiał z Fredem, ale ta rozmowa ze zmarłą matką i nazwisko Sary wyryte na grobie wpłynęły na niego przygnębiająco. Dlatego pospiesznie podniósł Sarę z klęczek.

- Co się stało? -spytała przestraszona.

Wiatr dmuchał im w twarze, szarpał policzki i wyciskał łzy z oczu.

- Jest zimno -powiedział. -Zmarzniesz.

- To wejdźmy do kaplicy.

- A jest otwarta? - zdziwił się. Stała na uboczu i pewnie mało kto tu przychodził, więc powinna być zamknięta.

- Wiem, gdzie jest schowany klucz.

Był ukryty za ostrokrzewem i za kawałkiem poluzowanej zaprawy w murze, miał misternie rzeźbioną główkę i sprawiał wrażenie bajkowego. A jednak działał. Sara jednym ruchem ręki przekręciła go w zamku i otworzyła ciężkie drzwi.

Wnętrze tonęło w mroku i pachniało stęchlizną. Stało w nim sześć rzędów dębowych ławek. Okna zdobiły witraże w kolorach granatowym i wiśniowym, przedstawiające świętych i łodzie. Za ołtarzem, bardziej w stylu Nowej Anglii niż Oksfordu, wisiał drewniany krzyż.

Sara powiodła wokół wzrokiem, po czym podeszła do ławki i przesunęła palcami po drewnianym oparciu.. W jej oczach błyszczały gniew i zmieszanie. Jeśli weszła do środka w poszukiwaniu spokoju, to go nie znalazła.

- Co się stało? -spytał.

- Nie wiem.

Chciał jej dotknąć, lecz poczuł się skrępowany. Nie mógł też

patrzeć jej w oczy.

- Czemu na nagrobku wyryto twoje imię?
- Nie tylko moje, ale i mojego ojca.
- Widziałem tylko twoje.
- To jest rodzinny grób.
- Nie podoba mi się to.

Uśmiechnęła się lekko.

- Uważasz to za dziwne? Taki tu jest zwyczaj. Tu się rodzimy i tu nas chowają.

- Byłaś chrzczona w tej kaplicy? - spytał, starając się myśleć o weselszych rzeczach i próbując uspokoić serce. Stali teraz przed ołtarzem.

- Tak - odparła drżącym głosem. - I Mike również. Dwadzieścia lat po mnie - dodała, wskazując marmurową chrzcielnicę w kształcie muszli. Willowi stanęły przed oczami wszystkie dzieci płaczące, kiedy lano im na główki wodę. -Tu też omal nie wyszłam za mąż.

- Za tego rybaka? - Czuł się dziwnie na myśl, że Sara stała w tym miejscu z innym mężczyzną.

- Nie przyszedł -powiedziała. -Nie chciał mnie.
- Był idiotą.

Wzruszyła ramionami. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

Podeszła do chrzcielnicy i umoczyła palce w święconej wodzie. Była lodowato zimna.

- Też tam leży - powiedziała cicho. - To z jego powodu Mike przyjechał na wyspę.

Poczuł radość, że mężczyzna, który uczynił ją brzemienną i kazał jej czekać przed ołtarzem, nie żyje.

- Mike'owi zawsze brakowało ojca - powiedziała Sara, myśląc o niedawnej kłótni.

- To dobry chłopak. Da sobie radę.

- Tak, tylko jeszcze w to nie wierzy. Chciał odnaleźć ojca. Pokonał taki szmat drogi tylko po to, by poznać prawdę o kimś, kto nie żyje. Życie tutaj to szaleństwo... Tu nie ma przyszłości. Spójrz na mojego ojca, na Hillyera. Chcę go mieć przy sobie, Will. Chcę, żeby wrócił z nami do domu.

- Wiem - powiedział, obejmując ją.

Rozpłakała się w jego ramionach. Chciała wyrwać stąd syna, lecz on się przed tym bronił. Will nie wiedział, co przyniesie im jutro, i martwił się o nią. Miała tyle do stracenia, więcej niż jej syn mógłby zrobić na wyspie przez pół roku. Dlatego tak rozpaczliwie szlochała.

- Pozwól mu zostać, Saro -powiedział. -Tylko to możesz zrobić.

- Stale to sobie powtarzam, ale jestem przecież jego matką. Przesunął dłonią po jej włosach, myśląc o Fredzie.

Czy można pozwolić odejść swojemu dziecku? Wydawało się to niemożliwe. Will jednak przekonał się, że nie ma innego wyboru. Dzieci należą do rodziców tylko przez krótki czas. Człowiek daje z siebie wszystko, chroni przed okrutnym światem. Ale jeśli zapragną nagle zmienić imię, można tylko spytać na jakie. Jeśli chcą żeglować, pomaga im się ustawić pod wiatr.

- Przecież kochasz go bez względu na to, gdzie jesteś.

- To prawda.

- Pomyśl o sobie i twojej matce.

- Kocham ją bez względu na to, gdzie jestem -powiedziała, pociągając nosem.

- Jesteś dobrą córką. - Uśmiechnął się i otarł jej łzy. -Bądź teraz dobrą matką.

Kiwnęła głową. Widział już przedtem, jak płakała, i nie mógł się nadziwić, jak bardzo jest zmienna w nastrojach. Zaledwie przed dziesięcioma sekundami szlochała w jego ramionach, a teraz promieniała niczym szczęśliwa panna młoda. Wyobraził ją sobie, jak idzie przejściem między ławkami i staje przed ołtarzem, czekając na mężczyznę, który nie zamierzał nawet się pokazać.

- Saro -szepnął, biorąc ją za ręce.

- Mhm? -mruknęła, jakby nie ufała swojemu głosowi. Słowa uwięzły mu w gardle. Patrzył w jej piękne, pełne blasku oczy i czuł ogień pod powiekami. W tak krótkim czasie zaszedł tak daleko. Sara przywróciła mu chęć do życia, którą stracił w dniu śmierci Freda. Może przyszedł tu po to, żeby pomóc jej uporać się z problemem syna.

Patrzyli sobie w oczy w milczeniu, po czym, trzymając się za ręce, ruszyli do wyjścia. Will pomyślał o mężczyźnie, który tak Sarę zawiódł, a potem zmarł, nie dając ich dziecku nazwiska. Było mu go

żal, ale nie dlatego, że umarł, lecz że uciekł od Sary.

Kiedy doszli do drzwi, Will zatrzymał się i spojrzał Sarze w oczy. Potem musnął dłonią jej włosy, jakby unosił welon i pocałował tę, która nigdy nie była szczęśliwą panną młodą. Ramię przy ramieniu wyszli na spotkanie zimnego wiatru.

# Rozdział XV

Snow zatelefonowała do matki do Fort Cromwell, lecz usłyszała jedynie automatyczną sekretarkę. Nienawistny głos Juliana informował z emfazą: „Nie ma nas w domu... Biegamy po śniegu albo jesteśmy na wyścigach samochodowych w Monzy, albo zjeżdżamy na nartach z Saxon Hill lub też leżymy przed kominkiem i nie odbieramy telefonów. Proszę więc łaskawie zostawić wiadomość".

- Cześć, mamo, to ja - powiedziała do słuchawki. - Jesteśmy na wyspie Elk. Wracamy jutro. Tata mnie odwiezie, więc nie musisz po mnie przyjeżdżać. - Potem łagodniejszym już tonem dodała: -Kocham cię. Cześć.

Odłożyła słuchawkę z przeświadczeniem, że coś jest nie w porządku. Czemu matka nie odbiera telefonu? Pewnie jest wściekła i urażona. Co to za córka, która bez słowa wyjeżdża i zostawia matkę samą na Święto Dziękczynienia? W środę była przekonana, że matka i Julian nie będą za nią tęsknić i że bardziej jest potrzebna ojcu niż im. W sobotę jednak doszła do wniosku, że źle zrobiła. Mamie na pewno jest bardzo przykro, a Julian się złości. Może nawet szepcze jej teraz do ucha, jak przebiegły doradca w sztuce Szekspira, który przekazuje zdezorientowanej królowej złe rady. W zeszłym roku, w ramach gwiazdkowego prezentu, Julian zafundował Snow warsztaty teatralne organizowane dla uczniów Marcellus College. Doszła tam do wniosku, że w życiu jest dość tragedii, zdrady i farsy, by jeszcze się uczyć Szekspira.

Ponownie wykręciła domowy numer, modląc się, by tym razem matka podniosła słuchawkę. A jeśli coś się stało? Może złodzieje włamali się do domu Juliana, ukradli obrazy, stare samochody i poderżnęli domownikom gardła? A może byli to poszukiwani mordercy? Mocniej ścisnęła słuchawkę i zagryzła wargę. Wyobraźnia

podsuwała jej coraz to nowe pomysły: samotny dom na wzgórzu, obłąkani kryminaliści, strach w oczach matki i Juliana. A jeśli zamordowali Juliana, a matka leży nieprzytomna, lecz na dźwięk telefonu dźwiga się...

- Halo? -rozległ się głos matki.
- O Boże! -wyrwało się Snow.
- Susan, to ty?
- Tak, cześć, mamo. Nie mogę się do ciebie dodzwonić. Ostatni raz rozmawiałyśmy, kiedy tu dotarłam, pamiętasz?
- Pamiętam - odparła oschle Alice.
- Co u was? Jak spędziłaś święto?
- Dobrze. Julian jest lekko przeziębiony.
- Mam nadzieję, że czuje się już lepiej - powiedziała, udając zmartwioną.

Matka nic na to nie odpowiedziała i Snow ogarnął niepokój. Czemu tak się denerwuje? Dlaczego stale ma wrażenie, że robi coś nie tak, że martwi matkę lub przeszkadza jej i Julianowi?

- A jak... - Matka urwała i odchrząknęła. - A jak ty spędziłaś święto?
- Dobrze - odparła Snow, siląc się na obojętny ton. Nie chciała mówić, że było cudownie i że wspaniale spędziła czas.
- Cieszę się -powiedziała matka. Snow niemal widziała, jak zaciska usta.
- Czy coś się stało? - spytała.
- To... to pierwsze święto, które spędziłyśmy osobno - powiedziała matka, wybuchając płaczem. -Dotąd zawsze byłyśmy w święta razem.
- Przepraszam, mamo - wyszeptała poruszona Snow.
- Nawet Czwartego Lipca. Tylko raz, kiedy ty i Freddie byliście mali, ojciec zabrał was na pokład „Jamesa" na pokaz fajerwerków. Byłam wówczas chora i nie poszłam z wami.
- Ale wróciliśmy do domu na kolację -powiedziała Snow.
- Kochanie, ja... -Urwała, bo zapewne w tej chwili do pokoju wszedł Julian.
- Co się stało? -spytała Snow.
- Nic -odparła matka i Snow wyczuła zmianę w jej głosie. -

Jestem tylko rozczarowana twoim postępowaniem. Gdybyś poprosiła, można byłoby to jakoś załatwić.

- Wiem - odparła Snow, kątem oka dostrzegając zbliżającego się Mike'a.

- Bardzo mnie zawiodłaś.

- Przepraszam, mamo -powiedziała skruszonym tonem.

Mike zatrzymał się i nie zamierzał odejść.

- Nie obejdzie się bez kary -powiedziała groźnie matka.

- Kary? -powtórzyła Snow.

- Porozmawiamy, jak wrócisz do domu. A teraz zaczekaj chwilę. Julian chce ci złożyć życzenia.

- Muszę kończyć, mamo - powiedziała szybko Snow. -Ktoś czeka na telefon. Kocham cię, cześć.

Odłożyła słuchawkę, jakby paliła ją w rękę. Zamknęła oczy i zaczęła spazmatycznie oddychać. Ostatni raz matka była w takim humorze podczas sprawy rozwodowej. I na pewno rozmawia teraz z Julianem.

- Wcale nie czekałem na telefon - powiedział Mike.

- Wiem. Po prostu nie chciałam rozmawiać z moim ojczymem.

- Masz ojczyma?

Skinęła głową z ponurą miną. Czuła się zmartwiona i przybita. Uświadomiła sobie, co ją czeka po powrocie do Fort Cromwell: życie z matką i Julianem. Ostatnio Alice stała się bardziej żoną niż matką. Wszystkie uczucia przelała na Juliana. Najlepszym dowodem ta rozmowa. Póki nie wszedł do pokoju Julian, miło ze sobą rozmawiały.

- Nienawidzę go -wyszeptała. -Nie powinnam tak mówić, ale to silniejsze ode mnie.

- Czasami tak bywa.

- Gdybym mogła uciec na jakąś wyspę, bez wahania zrobiłabym to. Tak jak ty.

- Przecież jesteś na wyspie, nie?

Uśmiechnęła się z trudem i poszła za nim do bocznych schodów. Były ciemne i zakurzone. Na każdym stopniu spał kot. Te które nie spały, schodziły im z drogi. Kiedy weszli na górę, poczuła chłód. Strych nie był opalany. Przez deski w ścianie przeświytywało światło dnia. Podeszli do jakichś drzwi. Mike przekręcił gałkę i puścił Snow

przodem.

Był to skład najróżniejszych rupieci: stały stare łóżka, komody, pęknięte lustro, skrzynie i pudła. Mike odgrodził kawałek przestrzeni na końcu strychu i poprowadził Snow wśród labiryntu połamanych mebli. Zawieszone na sznurach stare koce tworzyły coś w rodzaju namiotu. Odchylił jeden z kocy i gestem zaprosił Snow do środka.

- Jak tu przytulnie -powiedziała.
- Tak -przyznał, zadowolony z pochwały.

Na podłodze leżał stary materac i dwie puchowe kołdry. Stojące pod ścianą półki wypełnione były książkami. Małe okienko wychodziło na pola schodzące do zatoki. Snow miała wrażenie, że znalazła się w dużym domu dla lalek.

- Tu właśnie sypiasz? - spytała.
- Nie, mój pokój jest na dole.
- Więc po co to wszystko?
- Tu przychodzę, gdy chcę być sam.
- Taka wyspa na wyspie?

Skinął głową twierdząco. Nawet nie pomyślał, że mogło to dziwnie zabrzmieć. Oparł czoło o szybę okienną i spojrzał na podwórze. Dziadek stał przed szopą do skubania gęsi i grzał ręce nad koksownikiem. Na śniegu czerwieniły się plamy krwi. Snow natychmiast odwróciła głowę.

- Dlaczego uciekłeś? -spytała.
- Wcale nie uciekałem -powiedział. -Po prostu chciałem tu przyjechać. Stąd pochodzi moja rodzina. Zarówno rodzice, jak i dziadkowie.
- Ciocia Bess opowiedziała mi o twoim ojcu. Przykro mi, że nie żyje.
- Nie znałem go - powiedział, jakby dzięki temu łatwiej było mu to znieść.

Snow zadrżała, wyobrażając sobie, że jej rodzice umarli, i nagle uświadomiła sobie coś, co do niej nie docierało: Sara była bardzo chora.

- Pewnie martwisz się o mamę -powiedziała.
- Tak.
- Na szczęście czuje się lepiej.

Skinął głową. Snow doszła do wniosku, że oboje wiele przeżyli. On nigdy nie znał ojca, wychowywała go tylko matka, a jej rodzice się rozwiedli i matka wyszła za mąż za palanta. Wiedzieli też, co znaczy stracić bliską osobę, on ojca, ona brata. Dochodziła jeszcze choroba Sary. Na samą myśl o tym zakręciło jej się w głowie i klapnęła na materac, patrząc pytająco na Mike'a.

- Jak to jest z normalnymi dziećmi? Pewnie się strasznie nudzą.

- Nie rozumiem?

- We dwójkę moglibyśmy zapewnić zajęcie kilku poradniom na następne dziesięć lat.

Roześmiał się.

- Chodziłaś do takiej poradni?

- Jasne. Jak Fred się utopił i drugi raz, kiedy rodzice się rozwodzili. Sara też cię tam wysłała?

- Próbowała kilka lat temu, kiedy przeprowadziliśmy się z Bostonu. Ale ja nie miałem na to ochoty.

- Nie mogę powiedzieć, żebym tam chodziła - stwierdziła Snow. -No może byłam kilka razy, ale wykręcałam się, jak mogłam. Często chorowałam na lewą grypę.

- Na co?

- Udawałam chorą. - Zaprezentowała mu próbkę szarpiącego płuca kaszlu. - Rozumiesz?

- Ja bym tak nie umiał.

- Chodziłeś do psychoterapeuty?

- Tak. Nazywał się doktor Darrow i bardzo działał mi na nerwy. Przyjmował w jednym z tych budynków niedaleko Marcellus College. Przez całą godzinę siedział i gapił się na mnie tymi swoimi...

- Doktor Darrow? - Snow podniosła rękę do ust. - Chodziłeś do doktora Darrowa?

- Tak.

- Wysoki facet, ze szpilką w krawacie? Cały czas milczy?

- Za biurkiem wiszą jego dyplomy. Nie możesz więc nie zauważyć, że ukończył Princeton i Cornell, kiedy wypruwasz z siebie flaki.

- A także fotografie jego żony i dwóch wspaniałych synów bliźniaków z wakacji na wyspach Bahama.

- Tak. Wszyscy się uśmiechają. Myślisz więc, jaka to szczęśliwa rodzina w porównaniu z twoją.

- Kiedyś my też tacy byliśmy -zauważyła Snow.

- Nie mogę uwierzyć, że chodziłaś do doktora Darrowa. Zapomniałem już, że oboje pochodzimy z Fort Cromwell.

- Ja pochodzę z Newport, w stanie Rhode Island -sprostowała Snow.

- A ja z Bostonu. Ale chodziło mi o to, że oboje mieliśmy kłopoty w Fort Cromwell.

- Nienawidzę tego miasta -stwierdziła Snow.

Już po raz drugi użyła tego słowa. Nie lubiła negatywnych postaw i ludzi, którzy narzekali na swoje życie. Uświadomiła sobie, jak bardzo się zmieniła. Potrzebowała tej wycieczki na wyspę Elk.

Mike usiadł obok niej na materacu i oparł się plecami o ścianę. Obróciła się lekko, by widzieć jego twarz. Wyglądał na spokojnego i zadowolonego, że jest tu z nią. Oboje zaczęli się śmiać.

- Doktor Darrow - powiedział, kręcąc głową.

- Straszni są ci dwaj jego synowie - zachichotała Snow. -Te idealne blond fryzurki i poduszeczki do pływania.

- Wodne skrzydełka - dodał Mike. - Dmuchane ochraniacze na chudych ramionach. Przydałyby mi się wczoraj.

- Wyobrażasz ich sobie pod lodem? -parsknęła śmiechem Snow. - Zanimby się obejrzeli, leżeliby na kanapce u tatusia. Zaliczyłeś jego kanapę?

- Chciał, ale się nie dałem.

- Czemu Sara cię do niego wysłała?

- Miałem problem ze szkołą.

- Ze stopniami?

- Nie. Z chodzeniem.

- Aha, rozumiem.

Dostali takiego ataku śmiechu, że aż brzuchy ich rozbolały. Mike stał się jej nagle dziwnie bliski. Siedzieli obok siebie, dotykając się łokciami, lecz Snow nawet nie przyszło do głowy, że Mike mógłby ją pocałować. W tej chwili czerpali radość z faktu, że byli pacjentami najbardziej milczącego psychoterapeuty w Fort Cromwell.

- Kogo ci to przypomina? - spytał Mike. Oparł brodę na kciuku i

przymknął jedno oko. Trudno było o lepszy portret doktora.

- A to jego żona na fotografii. - Snow zerwała się z materaca i stanęła w pozie modelki. Brakowało jej tylko rudych włosów i złotej biżuterii.

- Pani doktorowa. - Mike pokręcił głową. - Musiał pewnie przyjąć wielu pacjentów, żeby zabrać ją na wyspy Bahama.

- I kupić tę biżuterię.

- Czemu twoi rodzice cię do niego wysłali? - spytał. -Udawałaś grypę, żeby nie chodzić do szkoły?

- Nie, lubię chodzić do szkoły. Chcieli mi pomóc zapomnieć o Fredzie.

- Dlaczego myśleli, że możesz o nim zapomnieć?

- Bo są dorośli -stwierdziła rozsądnie Snow.

- W tym musiało coś być.

- Co? Myślisz, że jestem wariatką? -spytała Snow, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Tak - odpowiedział, łaskocząc ją.

Poczuła palące szpileczki pod żebrami, na brzuchu i zwinęła się w kłębek, tak jak niegdyś podczas zabawy z bratem.

- Oni wizłać mnie z powodu ghoźna objawa -powiedziała, naśladując niemiecki akcent.

- Jakich objawów?

- Och, miałam senne koszmary, co kilka miesięcy zmieniałam imię, nosiłam skarpetki Freda.

- Nosisz jego skarpetki?

Podciągnęła nogawki spodni i pokazała chłopięce skarpetki w granatowo-brązowe paski. Należały do ulubionych Freda, ale Snow lubiła też szare, granatowe i te już nieco pożółkłe białe. Niektóre miały dziury, lecz cierpliwie je cerowała i dalej nosiła.

- No, no - mruknął z podziwem Mike.

- Czy twój przyjazd na wyspę to tak jak noszenie skarpetek twojego ojca? -spytała.

- I mojej mamy -dodał ze śmiechem. -Od każdego po jednej.

- Doktor Darrow miał rację - powiedziała, wpatrując się w sufit. Osy zbudowały sobie tu gniazdo. Było pokryte pajęczyną i wyglądało niczym bezkształtna twarz. - Jesteś stuknięty.

- A ty nienormalna. Jakie miałaś imię przed Snow? Powinienem haczej powiedzieć „Znow".
- Zuzan. Kiedyś miałam na imię Zuzan, ale to było PŚF.
- Co to jest PŚF?
- Przed śmiercią Freda.
- Nie powinni byli umierać - stwierdził Mike.
- Masz na myśli ludzi, których kochamy?
- Tak.
- Jasne że nie. - Poklepała go po ręku. -Ale gdyby nie umarli, doktor Darrow nie miałby z czego żyć. Nie znalazłby tylu smutnych ludzi, żeby móc zabrać panią Darrow i bliźniaki na wyspy Bahama.
- Fakt -przyznał z westchnieniem Mike. Skrzyżował ręce na piersi i utkwił wzrok w gnieździe os.

# Rozdział XVI

George czekał, aż Sara otworzy skrzynkę z homarami. Jego córka miała olśniewającą urodę tak jak *jej* matka. Była drobna, lecz silna, miała długie nogi i delikatne dłonie. Jej twarz, przywodząca na myśl buzie aniołków z gwiazdkowych znaczków, mogła poruszyć serce każdego mężczyzny. Błękitne oczy spoglądały z taką łagodnością, a usta były pełne życzliwych słów.

Włosy to już inna sprawa. Kiedyś długie i czarne, pełne błysków i lśnień, teraz sterczały w kępkach na wszystkie strony, jak u tych drwali z kniei, którzy nie mogli sobie pozwolić na kupno porządnej brzytwy. Miały taki dziwny kolor, jak wstążka lub papierek od cukierka czekoladowego. Domyślał się, że to wynik leczenia, więc powstrzymywał się od uwag na ten temat.

W końcu Sara otworzyła skrzynkę. George zajrzał do środka, przeliczył homary i wyjął jednego. Po dokładnym obejrzeniu stwierdził, że to osobnik płci męskiej.

- Przeklęty Hillyer -mruknął. -Przecież dobrze wie, że słodsze jest mięso samic. Widzi mi się, że zapakował same samce.
- Na pewno nie zrobił tego celowo -powiedziała Sara. -Nawet nie zauważyłam, żeby je oglądał.
- Założę się, że dobrze wiedział, co wkłada do skrzynki -obstawał

przy swoim George. Nie znosił, gdy go wykorzystywano. Usiadł gniewnie na krześle, czując, jak szybko bije mu serce. Homary kosztowały fortunę, a on miał mnóstwo wydatków. Nowe hamulce, nowy dach, tyle gąb do wyżywienia. Mike jadł przecież za dwóch.

- Niepotrzebnie się denerwujesz - stwierdziła Sara. Ścisnęła mu rękę w nadgarstku, jakby badała tętno. Miał ochotę odtrącić jej rękę, lecz zabrakło mu odwagi. Prawdę powiedziawszy, to czuł ból w piersiach i trochę się tym niepokoił. Siedziała tak blisko niego, że mógł spojrzeć jej w oczy. Były intensywnie niebieskie, o niezwykłej głębi i pięknym kształcie.

- Czemu nie wrócisz do domu, gdzie twoje miejsce? -spytał.

- Mam przecież firmę, tato.

- Firmę -powtórzył cicho. - Czy firma jest ważniejsza od rodziny?

Uśmiechnęła się. Słyszała to już kilka razy: po śmierci Rose, kiedy chciała pójść do college'u i kiedy postanowiła otworzyć sklep.

- Przecież jestem, tato.

Rzucił jej ukośne spojrzenie. Domyślił się, do czego zmierza. Oddalili się od siebie. To straszne słowo oznaczało miesiące milczenia i lata jej nieobecności w domu. Bess przekonywała go, by nie był taki twardy, by przyjął Sarę taką, jaka jest. Nie było to łatwe. Po śmierci Rose musiał być dla niej matką i ojcem i popełnił kilka błędów. Kiedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, uznał, że skomplikowała sobie życie.

- Lepiej byś zrobiła, zostając -powiedział. -Powinnaś myśleć o Mike'u. A on jest tu szczęśliwy.

- Zauważyłam.

- Zabiłbym Zeke'a Loringa, gdyby nie zginął. Ale jestem mu wdzięczny za Mike'a.

- Wiem.

Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu fajki. Nigdy nie umiał rozmawiać z córką. Wystarczyła godzina spędzona z Willem przy samolocie, a miał wrażenie, jakby znał go całe życie. Z Sarą było inaczej. Wymagała innego podejścia i innych słów. George czuł się tak, jakby rzucono go na obce wody.

- Zostań -powiedział.

- Nie mogę. I chcę, żeby Mike wrócił ze mną do domu.

Popatrzył na nią bez słowa. Spodziewał się tego. Serce mocniej mu zabiło, ale nie tak jak przedtem. Mike był już dorosły i sam potrafił o sobie decydować. George wiedział, jaką podejmie decyzję. Bardziej martwił się o Sarę, o te cienie pod oczami, o dziwne metaliczne włosy. Jego mała córeczka była poważnie chora.

- Wyglądasz zupełnie jak twoja matka -wybuchnął.

- Naprawdę?

Kiwnął głową i dotknął jej policzka. Miała taką delikatną skórę. Przyszła na świat tu, w tym domu, w pokoju na górze. Sam gotował wodę na kuchni. Wziął Sarę za rękę. Jaką drobną miała dłoń! Popatrzyli sobie w oczy. Zaczerwienił się, bo uświadomił sobie, że wspomina dawne czasy. Tacy szczęśliwi byli we troje: on, Rose i Sara. To była ich wyspa.

- Czy masz miłe wspomnienia? -usłyszał nagle swój głos.

- Och, tato - uśmiechnęła się. - Najwspanialsze.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową. Otoczyła go ramionami i oparła głowę na piersi ojca. Będąc małą dziewczynką, często to robiła. W dżipie, kiedy objeżdżali wyspę, w łodzi, kiedy wyprawiali się na ryby. Siedziała przy nim i opierała mu głowę na ramieniu. Poczuł, że coś ściska go w gardle. Pomyślał o Rose. Rak tak szybko ją zabrał, zanim zdecydowali się umieścić ją w szpitalu.

- Może w mieście będzie ci lepiej -powiedział.

W Nowym Jorku były dobre szpitale, doświadczeni lekarze, wszystkie najlepsze lekarstwa i najnowsze metody leczenia. Jeśli choroba powróci, właśnie tam powinna się znaleźć. Tutaj byłaby uwięziona jak jej matka. Doktor Miller zrobił wszystko, co mógł, ale to było za mało. Umarł przed laty i nikt nowy nie zajął jego miejsca.

- Nie mogę zamknąć sklepu -powiedziała Sara. -Bo nie będzie gdzie sprzedawać kołder cioci Bess.

- Jeśli myślisz, że potrzebne mi te pieniądze, to się mylisz -rzucił gniewnie. - Chcę jedynie twojego dobra, rozumiesz?

Wpatrywała się w niego tymi swoimi wielkimi oczyma.

- Rozumiesz? - powtórzył.

Skinęła głową i nagle jej oczy wypełniły się łzami. Westchnął

ciężko. Zawsze doprowadzał kobiety do płaczu. Najpierw Rose, potem Sarę. Przytulił ją do piersi. Zakryła twarz rękami i cicho płakała.

- No, już dobrze, kochanie.
- Tato...
- Ciii. Nie denerwuj się. Tylko nie choruj.

Pokiwała głową. Jej łzy wsiąkały mu w rękaw koszuli.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować -powiedział, z trudem wymawiając słowa -natychmiast daj znać. Może konieczny będzie przeszczep nerki albo szpik... Słyszałem o takich przypadkach. Cokolwiek będzie trzeba, dam ci.

Nie patrzyła na niego, tylko mocno go obejmowała. Zupełnie, jak wtedy kiedy była małą dziewczynką, a on odpłynął zbyt daleko od brzegu. Łódź się przechyliła, usiłował zrównoważyć szot i chwycił za rumpel. Sara przywarła wówczas do niego jak przerażona małpka. Teraz była dorosłą kobietą, a tuliła się do ojca, jak gdyby jej życie od tego zależało.

- No już cicho -powtórzył. -Cicho.

W końcu potok łez wysechł. Sara wytarła oczy, nie podnosząc głowy. Odetchnęła kilka razy i kiedy znów spojrzała na ojca, policzki miała zaróżowione. Jak na kobietę całkowicie samodzielną, była wyjątkowo wrażliwa. Kierowała własną firmą bez niczyjej pomocy. Pod pewnymi względami był z niej dumny, że tyle lat daje sobie radę bez mężczyzny. Z drugiej jednak strony pragnął, żeby znalazła to, co on znalazł w małżeństwie z Rose.

Wstał z krzesła. Nie rozwiązali problemu Mike'a, ale to czas pokaże. Zawsze tak było. Jeśli myśli, że zabierze Mike'a z wyspy, to czeka ją rozczarowanie. Chłopak nigdzie nie pojedzie. Ale nie zamierzał jej tego mówić.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Kończyła się sobota, ich ostatni dzień na wyspie. Sara stała przy oknie w kuchni, obserwując, jak fioletowe cienie zasnuwają schodzące ku zatoce pola. Ojciec krzątał się po podwórzu w towarzystwie Gelsey i zapędzał gęsi do stodoły. Gelsey zaszczekała, kołysząc się na boki, zupełnie jak jej pan. Gęsi człapały po śniegu, głośno gęgając. Setki razy widziała tę scenę, lecz

nigdy jeszcze nie wywołała w niej łez. Dotknęła zimnej szyby, czując wilgoć na policzkach. Ojciec właśnie zaofiarował jej własną nerkę i szpik. On, który nie mógł zrozumieć, jak kogoś może boleć głowa, uważał, że Sara może potrzebować przeszczepu.

Jej raka nie można było zlikwidować przetaczając krew lub przeszczepiając nowy organ. Powstał w węzłach limfatycznych i przeniknął do mózgu. Doktor Goodacre zrobił, co mógł. Poddała się wszelkim zabiegom, które lekarze uznali za konieczne, i teraz wszystko było w rękach losu i Boga.

Stojąc dziś rano z Willem w kaplicy modliła się o zdrowie. Wiedziała, że nie powinna prosić Boga o coś konkretnego. Powinna sama wziąć sprawy w swoje ręce, zrobić wszystko, co zalecili jej doktorzy, i ufać, że Bóg się nią zaopiekuje. Ale życie było takie słodkie. Jej serce przepełniała miłość do najbliższych, do ojca, syna, do Snow i do Willa. Grób matki przypomniał jej o niebie i o tym, że pewnego dnia się spotkają, teraz jednak pragnęła zostać tutaj. Miała tyle do zrobienia. Musiała prowadzić sklep, skorzystać z tego, że jest zimno i zbliża się Boże Narodzenie, i sprzedać dużo kołder. Chciała pomóc Snow, przekonać ją, żeby nawiązała zerwaną nić porozumienia z matką. Ojciec i ciocia Bess potrzebowali jej pomocy i finansowego wsparcia. I wreszcie Mike. Musi sprowadzić tego chłopca na właściwą drogę.

Był jeszcze Will. Tak bardzo go potrzebowała. Serce zaczęło jej mocno bić, a dłonie zrobiły się zimne. Przez nieszczelne okna przenikało lodowate powietrze. Ojciec kuśtykał za swoim stadkiem do stodoły. Z czołem opartym o zimną szybę odprowadziła go wzrokiem, póki nie zniknął jej z oczu. Na zmierzchającym niebie zabłysła pierwsza gwiazda.

Sara powoli odwróciła się od okna i poszła schodami na górę. W domu panowała cisza. Ciocia Bess odbywała popołudniową drzemkę, a dzieci bawiły się na strychu. Dochodziły stamtąd muzyka i śmiechy. Czując się jak konspiratorka, zapukała do drzwi pokoju Willa.

- Proszę! - zawołał.

Wśliznęła się do środka, cicho zamykając drzwi za sobą. Pokój tonął w mroku. Przez okna wychodzące na morze wpadało do wnętrza nikłe światło. Will leżał na łóżku. Musiał czytać i usnął, bo obok

zauważyła otwartą książkę. Pewnie obudziło go pukanie do drzwi. Na widok Sary uniósł się na łokciu.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Skinęła głową i podeszła bliżej. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale poczuła ucisk w gardle i chciało jej się płakać.

Will rozwarł ramiona i Sara położyła się obok niego. Czuła jego ciepłe ciało przy swoim. Był taki potężny, że miała ochotę się roześmiać.

- To dziwne - powiedział, przesuwając dłonią wzdłuż jej pleców.
- Co takiego? - spytała szeptem.
- Miałem nadzieję, że przyjdziesz.
- Tak?
- Zanim usnąłem, pomyślałem, że może Sara mnie obudzi.
- Zabawnie się czułam, zakradając się do twojego pokoju.
- Wiem. -Przytulił ją mocniej do siebie. -Zachowujemy się gorzej niż dzieci.

Z góry dochodziły hałaśliwe odgłosy zabawy. Snow piszczała, a Mike śmiał się, zapewne goniąc ją po całym strychu. Ich ciężkie buty dudniły po starej podłodze.

- Ile czasu mamy do kolacji? - spytał Will, całując jej czoło i policzki.

- Kilka godzin - odparła, przesuwając jego dłonią po piersi. - A przynajmniej dwie.

Ściągnął jej sweter przez głowę, a ona rozpięła mu koszulę. Chwilę zmagali się z paskami, suwakami i guzikami u spodni. Już w samej bieliźnie wsunęli się pod kołdrę. Pościel była wygrzana. Sara czuła, jak jego dłoń sunie wzdłuż pleców ku pośladkom. Pochylił się nad nią i przywarł do jej ust w namiętnym pocałunku. Jego dłonie pieściły teraz ramiona i szyję i nagle natrafiły na bliznę. Sara natychmiast znieruchomiała.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Will przerywa pocałunek, zastanawiając się, co takiego wyczuły jego palce. Ogarnął ją wstyd. Była zadowolona, że w pokoju jest ciemno.

- Miałam operację -wyjaśniła. - Z powodu guza w mózgu.
- A to jest blizna?
- Tak. Nie znoszę jej. Udawaj, że nic tam nie ma.

- Jest cząstką ciebie, więc jest piękna.
- Gdybyś ją zobaczył, nie mówiłbyś tak.
- Więc mi ją pokaż.

Pokręciła głową przecząco. Nikt prócz lekarzy i pielęgniarek nie widział jej blizn. W czasie radioterapii nabawiła się infekcji skóry, która dotarła również do kości. Doktor Goodacre musiał usunąć zniszczony kawałek czaszki. W tym celu wykonał duże nacięcie, by dostać się do chorego miejsca. Co prawda zrobili jej potem operację plastyczną, lecz blizna pozostała. Była obrzydliwa. Sara wiedziała, że nigdy już nie będzie mogła włożyć wydekoltowanej sukni. Latem, w czasie upałów, lubiła klimatyzację, bo dzięki niej mogła mieć szczelnie zakrytą szyję i ramiona.

- Pokaż mi ją - poprosił.
- Chciałabym, ale się boję.
- Nie musisz.
- Jest wstrętna.
- Nie wierzę - szepnął, trzymając ją w ramionach. Sięgnęła za jego plecami do stojącej przy łóżku lampki i włączyła ją. Potem usiadła i pochyliła głowę. Usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze. Kiedy Meg Ferguson po raz pierwszy zdjęła jej bandaże, nie mogła powstrzymać łez.
- Och, Saro! - wyszeptał.

Nie potrafił udawać. Miała poszarpaną górną część pleców, a pod skórą tkwiła gruba żyła, która doprowadzała krew z karku do głowy. Pochylił się i pocałował to miejsce. Kiedy dotknął jej warg, poczuła słony smak łez, lecz pocałunek był gorący.

- Jest okropna, wiem.
- Uratowała ci życie, prawda?
- Tak.
- A więc jest piękna, tak jak mówiłem.

Zaczął pieścić jej ciało, wkładając w to całą swoją miłość. Dłonie muskały skórę, jakby była delikatną i cenną materią, jakby bał się, że sprawi jej ból.

Uspokajała się powoli, z każdą chwilą nabierając coraz większej ufności. Zeke ją zdradził i od tej pory nigdy nikomu nie zaufała. Przywierając do piersi Willa, czuła, jak jego silne ciało drży. Napięcie

i niepokój znikły bez śladu. Teraz mogła już oddać całą siebie, po najdalsze zakątki serca, i to było cudowne uczucie.

Blizna była jej tajemnicą, znakiem na mapie choroby. Przypominała o życiu i śmierci, toteż zawsze się jej obawiała. Teraz jednak stała się podarunkiem, który mogła ofiarować Willowi. Zaczęła odpowiadać na jego pieszczoty, obsypując delikatnymi pocałunkami, czując, jak wstępuje w nią nowe życie. Każdy dotyk, szept, muśnięcie oddechu na skórze odbierała z niezwykłą intensywnością.

Nie byli już młodzi, ale wciąż silni i pełni namiętności. Sara miała wąskie biodra, szczupłą talię, sterczące małe piersi i długie nogi. Kiedy Will pieścił dłońmi wewnętrzną stronę ud, wyobraziła sobie, że uczestniczy w maratonie, a on czeka na nią na mecie.

Sunęła wargami po całym jego ciele, odkrywając drobne blizny. Nie były tak straszne jak jej, lecz z każdą wiązała się jakaś historia, którą pragnęłaby poznać. Teraz jednak myślała jedynie o pochylającym się nad nią mężczyźnie.

Rozumieli się wprost idealnie. Nigdy dotąd nie doświadczyła takiej harmonii. Will nie musiał pytać, co jej sprawia przyjemność, po prostu wiedział. Niezauważalnie przejął inicjatywę, rozpalając jej namiętność. Powoli traciła kontrolę nad sobą, oddając się ufnie w ręce mężczyzny.

Pościel owijała się wokół ich ciał, skrzypiały stare sprężyny. Sara miała ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz nie była w stanie. Przywarła do Willa, kiedy w nią wszedł, objęła go nogami w pasie, zaciskając palce na jego ramionach.

Zawsze była pod wrażeniem takich mężczyzn jak on.

Zawsze marzyła o takim zespoleniu z drugą osobą, żeby zniknęła granica dwóch ciał. W oczach Willa było tyle ognia i miłości. Widziały tylko ją. Jęknęła, próbując odwrócić głowę i uciec spojrzeniem w bok, lecz nie była w stanie. Wzrok mężczyzny przyciągał ją jak magnes.

- Zaczekaj na mnie - szepnął.

Znów była w rodzinnym domu, w dawnym pokoju matki, leżała w jej łóżku, w objęciach Willa, starając się, by nikt z rodziny ich nie usłyszał. Rodzina. Wyobraziła sobie, jak wsłuchują się w skrzypienie

sprężyn. W tym jednak momencie Will zaczął się szybciej poruszać, zamykając jej usta głębokim pocałunkiem.

- Zostań ze mną -wyszeptał, pieszcząc wargami jej ucho.

Niczego więcej nie pragnęła usłyszeć. Dom odpłynął w niebyt. Byli teraz na pustyni, setki mil od morza, nad głowami mieli rozgwieżdżone niebo, a gorący piasek rozpalał ich splecione ciała. Byli tak blisko siebie, jak tylko może być kobieta z mężczyzną, owładnięci miłością o niezwykłej mocy i namiętności.

Drżąc z pożądania, przywierała do niego coraz zachłanniej, żebrząc o pocałunek, odpowiadając ruchem na jego ruch. Tyle miesięcy zmagała się ze swoim ciałem, niczym z poobijaną starą walizą mieszczącą we wnętrzu duszę, teraz jednak dobrze jej służyło. Drżało i wibrowało, odbierając wszystkie znane kobiecie doznania, które ogniskowały się w jednym czułym punkcie w dole brzucha.

- Will -wyszeptała, pragnąc usłyszeć jego imię i upewnić się, że wciąż tu jest. Ciało miała mokre od potu, serce waliło jej jak młotem, oddech stał się szybki i urywany, a głowa nerwowo przetaczała się po poduszce.

- Saro -powiedział, najwyraźniej z tego samego powodu. Włosy opadły mu na czoło, a w oczach płonął ogień pożądania zmieszany z najczystszą miłością. Wyglądał, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

Spełnienie zalało ją oślepiającym żarem. Poczuła w dole brzucha narastający ogień, który szybko jednak zgasł. Starała się o niczym nie myśleć, lecz im mocniej próbowała, tym bardziej była świadoma rzeczywistości. Nie chciała myśleć o dzieciach, o rodzicach, o domu, o samolocie, o doktorze, o lekkim bólu w plecach i... Och!

- Saro - szepnął Will, przyciągając jej wzrok.

Znów poczuła jego wargi na swoich i wszystkie myśli odpłynęły. Tym razem nie musiała się starać. Ciało mówiło jej, co ma robić. Ona i Will byli razem tak blisko, że bliżej już nie można, i tylko to się liczyło. Myśli odpłynęły w niebyt.

Napięcie rosło, wprawiając jej nogi w drżenie. Czuła, jak rozkosz powoli przenika jej ciało, i zalewa swym żarem. W końcu ogarnęła ją całą i trwała, póki patrzyła Willowi w oczy.

On zaś wypełniał ją bez reszty, wnikając głęboko. Przy każdym ruchu ocierała się piersiami o jego tors, jęcząc cicho, bo nabrzmiałe

brodawki wzmagały płonący w niej ogień. To ekscytujące wrażenie skupiło się nagle w jednym sekretnym miejscu, gdzie łączyły się ich ciała, dostarczając jej niewysłowionej rozkoszy.

Po chwili oboje jej doświadczali, przekazując ją sobie wraz z miłością płynącą z serca, duszy i ciała. Stali się jednością. Zrozumiała teraz, co znaczy związek dusz, które odnalazły się po długich poszukiwaniach. Zapragnęła wszystkiego naraz: miłości, zdrowia, życia i danej jej szansy przeżywania rozkoszy z drugim człowiekiem. Zaraz jednak zapomniała o wszystkim, o pragnieniach, tęsknotach, o ukochanym mężczyźnie, o otaczającym ją świecie, i zatonęła w *morzu zapomnienia,* uwolniona z wszelkich krępujących więzów, poddając się fali unoszącej ją na szczyt coraz szybciej i coraz wyżej, bezwiednie wypowiadając słowa, które szeptały także usta Willa.

- Kocham cię, kocham!

# Rozdział XVII

Na wyspie Elk homary gotowało się w jeden sposób: na parze ze skalnymi wodorostami. Był odpływ, więc Mike i Snow zaproponowali, że pójdą po wodorosty i małże. Wszyscy żartowali z Mike'a, radząc, żeby wziął kapok i nie zapomniał zdjąć rakiet śnieżnych przed wejściem do wody. Sara była szczęśliwa i zaskoczona, widząc, jak pogodnie przyjmuje kpiny. Mógł zachowywać się jak uparciuch, lecz w głębi duszy był delikatny i wrażliwy.

- To nowa dyscyplina - oznajmił. - Zamierzam wystartować w niej na najbliższej olimpiadzie.

- Chodzenie po dnie stawu, tak? - spytała Snow.

- Tak. Rakiety śnieżne nie są konieczne, ale trzeba wpaść pod lód i wylądować na nogach. Medal zdobywa ten, kto wydostanie się na powierzchnię.

- Mike Talbot zdobył złoto w chodzeniu po dnie stawu - powiedziała Snow do solniczki, naśladując głos sprawozdawcy sportowego.

- Złoty medal należy się twojemu tacie -stwierdził Mike. Sara słuchała tego w oszołomieniu.

- Ładnie powiedziane - zauważył George. - Ale niedługo zacznie

się przypływ i jeśli się nie pospieszycie, nie zerwiecie wodorostów.

- Proszę iść z nami - powiedziała Snow, biorąc go za rękę. - Pokaże nam pan, gdzie są najlepsze małże.

- Mike wie.

- Chodźmy razem -przekonywała Snow. - Zrobimy sobie spacer.

W końcu cała trójka włożyła buty i kurtki i poszła nad zatokę. Kiedy ciocia Bess wyszła z kuchni, Will objął Sarę i musnął wargami szyję i kark. Dreszcz przebiegł przez jej ciało. Zapragnęła wziąć Willa za rękę i pójść z nim na górę do pokoju. Will miał na sobie dżinsy i koszulę z podwiniętymi rękawami. Czuła pod palcami miękki materiał i twarde mięśnie obejmujących ją ramion. Całując go w usta, odchyliła głowę i zamknęła oczy. Nagle dobiegło do nich dyskretne chrząknięcie cioci Bess.

- Pomogę pani -zaofiarował się Will, odbierając z jej rąk zniszczone tekturowe pudło.

- Dziękuję - powiedziała. - Wyciągnęłam je z myślą o świątecznej dekoracji, ale może wy się tym zajmiecie. Sara wie, co do czego służy.

- Zostań, ciociu - poprosiła Sara.

Pokręciła głową przecząco i uśmiechnęła się zagadkowo, przenosząc wzrok z jednego na drugie. Sara domyśliła się, że chce zostawić ich samych. Widziała, jak się całowali.

- Dyskretna - mruknął Will, obejmując Sarę ramieniem, kiedy Bess zniknęła w pracowni.

- Tak.

- Otwórzmy to pudło - zaproponował.

Każda z leżących w nim świątecznych ozdób miała swoją historię. Szklane bombki matka Sary dostała od ciotki z Anglii, aniołki należały do jej babki, a drobne muszelki na czerwonej wstążce nanizała Sara, kiedy miała dziesięć lat.

- Tak dawno tego nie widziałam -powiedziała, biorąc do ręki szklanego aniołka. Należał do matki jej matki, która podarowała go córce przed śmiercią, tego roku, kiedy urodziła się Sara. Matka co roku opowiadała jego historię.

- Kiedy ostatni raz spędziłaś tu Boże Narodzenie? - spytał Will.

Zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć.

- Dawno temu. Przed urodzeniem Mike'a.
- Myślałem, że przyjeżdżałaś tu z nim.
- Nie chciałam spędzać świąt na wyspie.
- Dlaczego?
- Bo przypominała mi o wszystkim, czego nie mieliśmy. O rodzinie, o ojcu Mike'a. W Bostonie łatwiej było to znieść razem z innymi samotnymi matkami.
- Musiało być ci smutno z dala od miejsc, które kochałaś.
- Kocham tę wyspę - powiedziała, przytulając się do niego i czując jego oddech na włosach. - Ale przez dłuższy czas nie chciałam tu przyjeżdżać.
- Cieszę się, że cię tu przywiozłem.
- Ja też.

Wyszli na dwór naścinać zielonych gałązek. Było chłodno i ich oddechy zmieniały się w parę. Will wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął ścinać gałęzie białych sosen rosnących na polu. Sara szła za nim i odbierała je od niego. Poczuła łzy pod powiekami. Nie mogła uwierzyć, że dekoruje dom na Boże Narodzenie z mężczyzną, który chce jej pomóc i którego kocha.

- Wystarczy? - spytał Will.
- Tak.

Wziął od niej całe naręcze i wrócili do domu.

Ułożyli gałązki na gzymsie kominka, przyczepiając do nich bombki. Matka wiązała też czerwone wstążeczki, ozdabiając nimi wszystkie lampy i lichtarze, lecz Sarze zbyt trzęsły się ręce. Czuła się niewypowiedzianie szczęśliwa i pełna życiowej energii.

- Co to jest? - spytał Will, wyjmując z pudełka papierową ozdobę.
- Och!

Gwiazda Mike'a, pomyślała z rozczuleniem. Zrobił ją w pierwszej klasie. Mieszkali w Bostonie i postanowili wysłać coś dziadkowi na święta. Sara wycięła z kartonu gwiazdkę, a Mike pomalował ją kredkami. Pojechali do Swampscott po piasek, muszelki i wodorosty, a potem Mike nakleił je na gwiazdkę. Sara spryskała wszystko lakierem i razem poszli ją wysłać.

- Mój syn ją zrobił, kiedy miał sześć lat - powiedziała.

- Piękna gwiazda.
- A więc ojciec jej nie wyrzucił.
- Czemu miałby wyrzucać?
- Czasami bywa taki zły. Zawsze myślałam, że potem wszystko wyrzuca.
- Nie rozumiem dlaczego - odparł. - Przecież widzisz, jak żyje, otoczony pamiątkami z przeszłości. Tylko się rozejrzyj.

Will ma rację, pomyślała. Może sama czuła się odrzucona? Ojcu nie podobało się, że wyjechała z wyspy i zamieszkała w Bostonie, że zaszła w ciążę, że czekała na próżno przy ołtarzu. Teraz zrozumiała, że ojciec wcale jej nie odrzucił. To ona sama postanowiła wyjechać.

- Jestem dla niego zbyt surowa.
- Zbyt surowo traktujesz siebie, Saro -odparł. Spojrzała mu w oczy. Tak bardzo pragnęła słuchać tego

mężczyzny. Tak dobrze ją rozumiał i potrafił wszystko wyjaśnić. Serce zaczęło jej mocniej bić i ból w plecach stał się ostrzejszy.

- Nie chcesz uwierzyć, jak bardzo ludzie cię kochają -powiedział cicho Will, przytulając ją do piersi.
- Naprawdę?
- Twój ojciec, twój syn. Możesz być o to spokojna -dodał, gładząc ją po włosach.
- Naprawdę?
- Oni cię kochają, Saro. Tylko nie potrafią tego okazać.
- Jeśli nie dają mi tego odczuć, skąd mam wiedzieć, że to prawda?

Wziął w dłonie jej twarz i spojrzał z powagą w oczy. Trwało to tak długo, że w końcu się uśmiechnęła.

- O co chodzi? - spytała.
- Chciałem się tylko upewnić, czy to widzisz - odpowiedział.
- Co takiego?
- Że tu jestem.

Mike brodził w wodzie, zbierając do wiadra skalne porosty. Czuł chłód w nogach przez wysokie gumowe buty, lecz nie mógł on się równać z lodowatym stawem. Znajdowali się w najdalej na północ wysuniętej części atlantyckiego wybrzeża i morze nie zdążyło się

jeszcze ochłodzić. Pytał starych rybaków, dlaczego tak się dzieje, a oni wyjaśnili mu, że to skutek prądu zatokowego.

Nie interesowało go łowienie homarów, ale czasami myślał o zostaniu oceanografem. Kochał morze i bardzo za nim tęsknił w Fort Cromwell. Chciał wiedzieć wszystko o przypływach, prądach, homarach, wielorybach i dlaczego morskie wybrzeże jest w Maine skaliste, a na Florydzie piaszczyste. Informacje potrzebne poławiaczowi homarów pragnął wykorzystać w innym celu.

Marzył o wielu rzeczach. Dziadek prenumerował „National Geographic" i Mike spędzał długie godziny na lekturze starych numerów. Dowiedział się, że istnieje dziedzina zwana antropologią kulturową i bardzo go ona zainteresowała. Zajmowała się nauką o życiu różnych ludów, o tym dlaczego żyli tak, a nie inaczej. Pomyślał, że byłoby wspaniale porównać życie poławiaczy homarów na wyspie Elk z życiem rybaków na Matinicusie. Może dzięki temu dowiedziałby się czegoś więcej o ojcu.

Mógłby też zająć się hodowlą gęsi i uprawą ziemi. Sprzedawałby drób i szył kołdry. Znalazłby kogoś do zabijania gęsi i utrzymałby rodzinny interes.

- Hej, podejdź tu! -zawołał dziadek do Snow.

Dziewczyna przeszła po płytkim bajorku i pochyliła się nad miejscem, które wskazywał.

- Małże! -wykrzyknęła.

- Największa kolonia na wyspie. Tylko nikomu nie mów. Mike uśmiechnął się. Dziadek był niesamowity. Panował na farmie niczym król. Znał tu każdy kąt i wszystko, co miał, zawdzięczał własnej pracy. Tej wiosny pokazał mu miejsce, gdzie rosną słynne w całym Maine jadalne paprocie. Ukryte w zacienionej części bagna młode pędy wyglądały jak zwinięty ślimak od skrzypiec. Zerwali kilka i usmażyli na maśle. Smakowały wspaniale.

W październiku chodzili do lasu na małe złociste kurki, które Mike wziąłby za trujące grzyby, gdyby dziadek nie wyjaśnił różnicy między nimi. „To jest jadalny grzyb", powiedział, podając mu kurkę. „A ten wywraca ci trzewia i umierasz", dodał. Kiedy wrócili do domu, ciocia Bess udusiła kurki w śmietanie i podała z grzankami.

Małże były niebiesko-czarne i przypominały kolorem wieczorne

niebo. Każde z nich zebrało po kilka sztuk do osobnego kubełka. To wszystko może być moje, pomyślał Mike. Te małże nad brzegiem oceanu, dwieście akrów falujących wzgórz i sosnowych lasów i biały dom, który od ponad wieku należał do jego rodziny. Tu było jego miejsce.

- Spójrzcie! - zawołał nagle George.

Wrzucili porosty i małże do koszyków i spojrzeli w niebo. Płonęło zimnym ogniem. Na północy, tuż nad domem, pojawiła się zorza polarna.

- Co to jest? - spytała Snow.
- Nigdy tego nie widziałaś? -zdziwił się George.

Pokręciła głową przecząco. Mike stanął obok niej, obserwując jej reakcję. Powietrze mieniło się złotem i zielenią. Wyglądało jak niebiański las pełen świątecznych drzewek. Choinki drżały i uginały się poruszane jakimś tajemniczym wiatrem. Gdyby został oceanografem, mógłby zbadać to zjawisko. Zostałby specjalistą od wód północnego Maine i zajmowałby się wszystkim, co dotyczy morza, wybrzeża, atmosfery i nieba. Ciekawe, czy w Marcellus College jest oceanografia. W Cornell na pewno była.

- Co to jest? -ponownie spytała Snow.
- Powiedz jej, Mike.
- To światła północy -wyjaśnił. -Zorza polarna.
- Niemożliwe! -wykrzyknęła Snow.
- Tak, to jest zorza polarna - przytaknął George.

W jego głosie brzmiała duma, jakby to on wszystko urządził, jakby był panem nie tylko ziemi, ale wszystkiego, co ją otacza. Gdyby został antropologiem kulturowym, mógłby włączyć dziadka do swoich badań, a nawet napisać o nim książkę.

- Zorza polarna! O, mój Boże! - ekscytowała się Snow.

Odsunęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. Było jednak zbyt ciemno, by coś zobaczyć.

- Po co patrzysz na zegarek? -spytał z rozdrażnieniem George. - Widowisko jest na niebie.
- Chcę wiedzieć, o której godzinie to było -wyjaśniła Snow.

Mike dostał od matki na piętnaste urodziny timex indiglo. Wystarczyło nacisnąć guzik i tarcza zegarka podświetlała się na

niebiesko. Podsunął ją pod nos Snow i wcisnął guzik. Całe szczęście, że było ciemno, w przeciwnym razie zauważyłaby, że spłonął rumieńcem.

- Osiemnasta zero zero - powiedziała.

- Tak.

- Po raz pierwszy widziałam zorzę polarną o osiemnastej zero zero, trzydziestego listopada - powiedziała, trzymając Mike'a za rękę.

Ta dziewczyna jest niesamowita, pomyślał. Kiedy po raz pierwszy ją zobaczył, poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę, i teraz też miał takie wrażenie.

- Osiemnasta zero zero - powtórzył zachwycony, że poznał dziewczynę, która mówi jak marynarz.

- Chodźmy powiedzieć o tym matce - zaproponował George i ruszył w stronę domu. -Niech też zobaczy.

Mike ociągał się z odejściem. Snow została przy nim, patrząc za oddalającym się George'em.

- Snow - odezwał się Mike.

- Co? - spytała bez tchu.

- Nic. -Pochylił się i pocałował ją. Nie pierwszy raz całował się z dziewczyną, ale pierwszy ze Snow. Złapała go za rękawy kurtki, jakby kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Zorza polarna przestała się liczyć, bo Mike zobaczył gwiazdy.

Cała rodzina wyszła przed dom oglądać światła północy. Dzięki Bogu nikt nie potrafił czytać w myślach Snow, bo okazałoby się, że w kółko powtarza jedno zdanie: Mój pierwszy pocałunek, Mike Talbot, pani Michaelowa Talbot. Stała między Sarą i ojcem, zaledwie kilka kroków od Mike'a, i promieniała radością. Czuła swędzenie na wargach, jakby posmarowała je oranżadą w proszku.

Ciocia Bess głośno wyrażała swój zachwyt.

- Przecież już nieraz widziałaś -stwierdził George.

- Za każdym razem mam wrażenie, jakbym widziała ją po raz pierwszy -odparła Bess, wpatrując się w niebo.

- Nie jesteś małą dziewczynką, Bess - ofuknął ją George. - Pierwszy raz, też coś! Mnóstwo ich widzieliśmy, prawda, Mike? W Nowym Jorku nie zobaczysz takiego zjawiska.

- Wspaniałe -powiedział Mike.

Snow uśmiechnęła się na tę dyplomatyczną odpowiedź. Dzięki temu nikogo nie uraził. Przysunęła się bliżej i wsunęła dłoń w dłoń Mike'a. Natychmiast odwzajemnił uścisk. Nie posiadała się z radości. Oto trzymała się za ręce z Mikiem Talbotem. Pod nosem obu rodzin. Poczuła, jak rumieniec oblewa jej twarz.

- Tato, pamiętasz, jak pojechaliśmy na ryby? - spytała Sara. -I kiedy wieczorem wracaliśmy...

- Tak -wszedł jej w słowo. -Zorza była wówczas czerwona. Dom wyglądał, jakby stał w płomieniach.

- Rzeczywiście - przyznała Sara, patrząc na Willa. W oczach miała pełen miłości uśmiech. Will również wyglądał na zakochanego.

Snow zmarszczyła brwi. Nie była pewna, co o tym myśleć. W tej jednak chwili Mike splótł palce z jej palcami i Snow poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

- Zobaczymy ją teraz w kwietniu, prawda, Mike? A może nawet i w maju - powiedział George, nie mogąc oderwać oczu od splecionych dłoni młodych. Sprawiał wrażenie, jakby chciał je rozerwać.

- Nie wiem, dziadku - odparł Mike. - W zeszłym roku widzieliśmy ją w połowie maja.

Ta uwaga mogła oznaczać, że nie zamierza zostać na wyspie, i Snow odebrała ją jako zapowiedź wyjazdu.

- Na pewno ją zobaczymy -stwierdził George. – Kiedy przyjdzie wiosna, będziemy wpatrywać się w niebo, podczas gdy ludzie w Nowym Jorku będą oglądać chmury spalin. Prawda, Mike?

- Zorza to ładne imię -stwierdziła Snow, chcąc wybawić Mike'a z kłopotu. Nie zdecydowała jeszcze, jak teraz chce, by ją nazywano, a Zorza przypadła jej do gustu. Nie miała jednak żadnego związku z Fredem.

- Prawda, Mike? -powtórzył z naciskiem George. Ciocia Bess klasnęła w dłonie.

- Dość tego. Trzeba zająć się homarami. Wracajmy do domu.

- Homary i światła północy -powiedział ponurym tonem George, patrząc Mike'owi w oczy, jakby czuł, że przegrywa ten pojedynek. -Nigdzie piękniejszych nie zobaczysz.

- Wiem, dziadku - odparł Mike, lecz w jego głosie brzmiała

niepewność. Puścił rękę Snow i poklepał George'a po ramieniu.

Snow skuliła się w sobie, starając się stłumić uczucie zawodu. Była pewna, że znów weźmie ją za rękę. Utrata kogoś, choć na chwilę, była dla niej bolesna. Nie rozumiała, dlaczego gest Mike'a wywołał w niej uczucie samotności. Stojąc wśród tych wszystkich ludzi, których kochała, czuła się strasznie samotna. Zdusiła napływające do oczu łzy. Popatrzyła na ojca i zobaczyła, że on też trzyma Sarę za rękę tak, by nikt tego nie widział, podobnie jak oni przed chwilą, lecz wcale to nie poprawiło jej nastroju.

Nikt dokładnie nie pamiętał, jak długo powinno się gotować homary, lecz Talbotowie tak często je przyrządzali, że i bez tego wiedzieli, kiedy będą gotowe. Na początek poszły małże i mięczaki. Razem z nimi na stole pojawiły się miseczki z roztopionym masłem. Potem na wielkim półmisku wjechały homary. Prócz tego były też pieczone ziemniaki z dodatkową porcją dla Snow. Sara upewniła się, czy na stole jest dość masła, i ciągle uśmiechała się do Willa.

- Miejscowe homary i miejscowe ziemniaki. Byliście kiedy w hrabstwie Aroostook? - spytał George. -Tam mają najlepsze ziemniaki.

- Ja nie -odparła Snow.

- Ja też nie - odpowiedział Will.

- Tam jest mnóstwo kartoflisk -wyjaśnił George i pochylił się w stronę Mike'a. -Pojedziemy tam na wiosnę. Zabierzemy ekstra koty, wyłapią im wszystkie szczury.

- Które to są ekstra koty? - spytała Snow.

Kuchnia wyglądała jak zwierzyniec, bo zapach homarów przyciągnął wszystkie czworonogi. Co śmielsze podchodziły do stołu i wyciągały łapki w stronę miski z pustymi muszelkami. Strachliwe chowały się po kątach i wskakiwały na szafki. Zebrało się ich chyba ze trzydzieści.

- Potomkowie Desdemony - wyjaśniła z uśmiechem Sara. -Była to ulubienica mojej mamy. -Oderwała kawałek homara i podała ukradkiem chudemu czarnemu kotu ocierającemu się o jej nogi.

- Wszystko widziałem -powiedział groźnym tonem George.

- Przepraszam - mruknęła Sara.

- Karmienie zwierząt zawsze było twoją specjalnością -zauważył.

-Nawet kiedy dorosłaś. Ile razy matka musiała ci powtarzać, że nie należy tego robić?

- Ciągle o tym zapominam -odrzekła Sara, po rozmowie z Willem życzliwiej do ojca nastawiona.

- Które to są te ekstra koty? -dopytywała się Snow.

- One wszystkie są ekstra -wyjaśnił George. - Nie zmartwiłbym się, gdyby powpadały do studni.

Sara czuła narastające zniecierpliwienie ojca. Była to ich ostatnia wspólna kolacja i stąd jego zły humor. Włożył do ust homara i skrzywił się z niesmakiem.

- Fuj - prychnął, wypluwając go na chusteczkę.

- Co się stało, George? - spytała Bess.

- Świństwo. Hillyer sprzedał nam same samce, chociaż doskonale wie, że mięso samiczek jest smaczniejsze. Masz, kocie.

Postawił talerz na podłodze i natychmiast dwa rude olbrzymy rzuciły się do wyjadania resztek.

- George! - wykrzyknęła skonsternowana Bess.

- Dziadku, podobno nie karmi się kotów przy stole -zażartował Mike.

- A co ci do tego? -odburknął George, wstając od stołu. -Jesteś tu tylko przejazdem. Nie powołuj się na zwyczaje rządzące tym domem, skoro nie zamierzasz w nim zostać.

- Dziadku... -zaczął Mike, oblewając się rumieńcem.

- Tak?

Odsunięte krzesło upadło z impetem, lecz George nie schylił się, by je podnieść. Will zrobił to za niego. Sara czuła jego nogę przy swojej, lecz nie mogła oderwać oczu od ojca.

- Tato -powiedziała cicho. -Proszę cię.

- Prosisz o co? - spytał, rzucając jej wściekłe spojrzenie. Potem popatrzył na wiszącego nad gzymsem aniołka, jakby chciał go rozbić.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytała.

- Raczej zapytaj, co w niego wstąpiło -powiedział, wskazując na Mike'a.

- Nic, dziadku - odparł ze spokojem Mike. - Chodź, usiądź i zjedzmy spokojnie kolację.

- Bo to twoja ostatnia?

Mike nie odpowiedział. Sara czuła, jak mocno bije jej serce. A więc podjął decyzję. Dostrzegła to w jego oczach, które patrzyły na jej ojca z miłością i żalem. Bess miała rację, wychowała go na dobrego chłopca. Nie chciał ranić tych, których kochał. Teraz spojrzał na Sarę, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć.

- Dziadku -powiedział.

- Miłość w tym domu tylko wpędza ludzi w kłopoty -stwierdził George, przenosząc wzrok z Mike'a na Snow, a potem na Sarę. - Mam rację? No powiedz mu.

- Tato, przestań. Mike musi skończyć szkołę. Przecież wiesz, jakie ważne jest wykształcenie. -Ból w plecach, który zdążył ustąpić, ponownie się odezwał.

- Skończyłeś college, Will? - spytał George.

- Tak. Trinity College - odpowiedziała za niego Snow, mierząc George'a wrogim spojrzeniem.

- To prawda - przytaknął Will.

- Tego właśnie chcesz, Mike? - spytał George. Chłopak wzruszył ramionami.

- Może i tak.

- Naprawdę, kochanie? - Sara poczuła ulgę w sercu.

- Tak. Zastanawiałem się nad powrotem do szkoły.

Na talerzach leżały nie dojedzone homary, lecz tylko koty się nimi interesowały. George wpatrywał się w ogień, a Sara nie mogła oderwać oczu od syna.

- To wspaniale -powiedziała ciocia Bess, która nie dała po sobie poznać, jak bardzo zmartwiła ją wieść o tym, że Mike chce opuścić wyspę. -Matura otwiera drogę do dalszych studiów, a wykształcenie jest czymś bezcennym. Nie tylko daje ogromne możliwości, lecz również wzbogaca człowieka. To takie ważne iść przez życie z praktyczną znajomością sztuki, muzyki, literatury. Artur zawsze powtarzał, że nigdy by niczego nie osiągnął, gdyby nie skończył Uniwersytetu Browna. Ja mam tylko osiem klas, ale podróże z Arturem bardzo dużo mi dały.

George obrzucił ją morderczym spojrzeniem, a potem zwrócił się do Mike'a.

- Nie rozumiem - powiedział. - Myślałem, że jesteś tu szczęśliwy.

- Bo jestem -odparł Mike.

- Więc nadal nie rozumiem.

- Bardzo chciałem tu przyjechać -wyjaśnił Mike. -Poznać miejsce urodzenia moich rodziców. Miałem dość szkoły i...

- I czego? -spytał George.

- I życia - dokończył Mike, patrząc ze skruchą na Sarę. Serce jej się ścisnęło boleśnie. Jak on mógł mieć dość życia?

Czy nie rozumie, jakie jest cenne i krótkotrwałe?

- Każdy miałby dość, nie mogąc zobaczyć oceanu -stwierdził George.

- Amen -dodała Snow, znów patrząc na niego przyjaźnie.

Ale George nawet na nią nie spojrzał.

- Kiedy tu przyjechałem, wszystko mnie ciekawiło - ciągnął Mike, patrząc na dziadka. -To taka mała wyspa zagubiona wśród oceanu, i to jest właśnie niewiarygodne. Można się tu tyle dowiedzieć. Na przykład o tym, że wieloryby pokonują wąski przesmyk między wyspą Elk i Little Gull, dlaczego na południu małże są takie tłuste, a nie ma ich w Otter Cove czy Kings Bight. Trzeba bardzo dużo wiedzieć, żeby zajmować się połowem homarów.

- Co jeszcze? - spytała Sara.

- Na przykład zorza polarna. Wszyscy myślą, że pojawia się, kiedy jest zimno, ale to nieprawda. Kiedy widzieliśmy ją z dziadkiem w maju, było ciepło. Tego dnia termometr wskazywał dwadzieścia siedem stopni.

- Ona występuje w strefie podbiegunowej - wyjaśnił niechętnie George. -Nie ma nic wspólnego z temperaturą powietrza. Im bliżej bieguna, tym lepiej ją widać.

- Właśnie o to mi chodzi -powiedział Mike, patrząc tylko na dziadka. -Opowiadałeś mi o tym wszystkim, a mnie wciąż było mało. Nigdy z nikim nie rozmawiałem tak jak z tobą.

Sara zamrugała oczami. Robiła, co mogła, starając się zaszczepić w Mike'u ciekawość świata i głód wiedzy. Kochała go całą duszą, usiłując być dla niego zarówno matką, jak i ojcem, wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Mike był chłopcem i wcześnie wymknął się spod jej opiekuńczych skrzydeł. Poczuła, że łzy płyną jej po policzkach.

- To było równie ciekawe jak czytanie twoich starych numerów

„National Geographic".

- Możesz je sobie czytać do woli -powiedział George.

- Dziadku, ja tu wrócę - zapewnił go Mike. -Chcę skończyć college, a potem pracować na farmie.

- Kiedy już nas nie będzie? - spytał George.

- Jest pan okazem zdrowia - zauważył Will.

- Jak ten amerykański wiąz, którego zniszczyła choroba?

Patrzył chwilę na Sarę, po czym odwrócił wzrok. W ten sposób przypominał o jej chorobie i o tym, jak szybko rak zabrał mamę. Ona jednak myślała tylko o jednym: że Mike postanowił wrócić do domu, a to było jej pragnieniem. Nie mogła jednak znieść smutku w oczach ojca, więc pochyliła się ku niemu.

- Dziękuję, tato.

- Za co?

- Za pomoc, jaką okazałeś Mike'owi. Spójrz na niego. Chce się dalej uczyć. To dzięki tobie. Dziękuję.

Mówiła szczerze, lecz ojciec nawet na nią nie spojrzał.

- Przeklęte zwierzaki - mruknął, bo koty zaczęły wskakiwać na stół i myszkować po talerzach. Homary zdążyły tymczasem wystygnąć. Stopione masło stwardniało, a na półmisku potworzyły się plamy z soli.

Ból w plecach Sary wywołał lekkie drętwienie nogi. Poruszyła stopą i niechcący kopnęła Snow. Już chciała ją przeprosić, lecz spostrzegła, że dziewczyna wpatruje się w Mike'a.

- Nie mogę patrzeć na to, że tyle homarów się marnuje - powiedziała ciocia Bess.

- Jak to dobrze być wegetarianką -stwierdziła Snow. - Ziemniaków nie żal wyrzucać.

- Nie martw się o homary -powiedział z goryczą w głosie George. - Tu w Maine jest ich zatrzęsienie.

# Rozdział XVIII

Nadszedł dzień wyjazdu. Była to pierwsza myśl Sary po przebudzeniu. Drugą myślą było: mam gorączkę. Poczuła dreszcze, jeszcze zanim otworzyła oczy. Bolały ją też stawy i kości. Sen nie

złagodził bólu w plecach. Zogniskował się w dole kręgosłupa i promieniował na nogi i żebra. Kolacja była stresująca i tylko pogorszyła jej stan. Zacisnęła zęby i odetchnęła głęboko.

Z gorączką walczyła już od tygodnia. Brała witaminy i piła sok, oddychała świeżym powietrzem, a nawet się zakochała. Gdzieś w najciemniejszych zakamarkach umysłu kryła się obawa, że ma przerzuty, choć wszystkie objawy wskazywały na grypę. Zbliżająca się chwila odjazdu osłabiła jej odporność. Nigdy nie lubiła się żegnać. Tak się zawsze składało, że niedziele były dniami jej wyjazdu z wyspy. Nie lubiła smutku towarzyszącego pożegnaniom i myśli o ponownym opuszczeniu ojca i cioci Bess.

Na szczęście będzie miała przy sobie Mike'a. Wstała z ciepłego łóżka i wsunęła nogi w zimne kapcie. Ściskało ją w żołądku ze zdenerwowania i cała się trzęsła. W kosmetyczce miała tylenol. Zażyje większą dawkę, żeby złagodzić ból w plecach. Za dwie godziny będą już w powietrzu.

George stał w kuchni i czekał, aż kawa będzie gotowa. Ogień w kominku wygasł przez noc i w pomieszczeniu było zimno jak w grobie. W poniedziałek o tej porze pewnie będzie pracował przy gęsiach i zapomni o całym tym zamieszaniu z Sarą i Mikiem.

Sara i Mike. Nie mógł spokojnie o nich myśleć. Podobnie się czuł, kiedy wspominał Rose. Dochodziła dopiero szósta rano, a on już był zmęczony. Tymczasem czekało go mnóstwo bzdurnych zajęć.

Jeden z kotów otarł mu się o nogi, miaucząc przymilnie. Starał się nie zwracać na niego uwagi, lecz zwierzę wskoczyło mu na kolana.

- Czego chcesz? -spytał.

Było to nędzne zwierzę o żółtawym, wyleniałym futerku i zaropiałych oczach. Kot miauknął jeszcze raz i zaczął głośno mruczeć. Widocznie nie był aż tak chory, na jakiego wyglądał. George wziął go pod ramię, podszedł z nim do zlewu, odkręcił wodę, zaczekał, aż będzie ciepła, a potem brzegiem czystej ścierki Bess przemył kotu oczy. Zwierzę otworzyło ślepki i popatrzyło zaskoczone na George'a. Mruczenie ucichło i kot wyrwał się jak oparzony, drapiąc go w rękę. Rana nie była duża, lecz trochę krwawiła. George podstawił dłoń pod strumień wody. Tymczasem kawa zaczęła bulgotać, opryskując

kuchnię. Zdążył zdjąć ją z ognia, nim wykipiała. Żółty kot usadowił się na lodówce i obserwował go z bezpiecznej odległości.

- Przeklęte kocisko -mruknął George.

Jeszcze rok temu czuł się szczęśliwy, gospodarzył na farmie i dzielił posiłki z Bess. Już się z tym pogodził, że Sara i jej syn są dla niego straceni. Może nie stali się obcy, ale rzadko pisali czy telefonowali. No i oczywiście nie przyjeżdżali na wyspę. Nagłe zjawił się Mike i wywrócił wszystko do góry nogami. Całe dotychczasowe życie uległo zmianie, i to na lepsze. Miał do towarzystwa wnuka, który przybliżył go do córki, i cel w życiu. Po śmierci Rose zamknął się w sobie, skamieniał. Teraz runął mur, którym się otoczył. Znowu zaczął kochać.

Najwyższy czas zajrzeć do gęsi, pomyślał. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, nie zawracając sobie głowy kurtką. Termometr wskazywał cztery stopnie poniżej zera. George uważnie stawiał kroki, idąc po zmarzniętej ziemi. Może w tym roku powinien kupić sobie nowe buty z grubszą podeszwą. Na myśl o czekającej go długiej zimie bez Mike'a zwolnił kroku. Doszedł do drzwi stodoły i złapał za klamkę.

- Niech to diabli! - zaklął, bo rączka zamarzła i ani drgnęła. Oparł się stopą o drewnianą ścianę i szarpnął za klamkę. Poczuł się stary i słaby, co tylko go rozsierdziło. Wytężył wszystkie siły, ponownie szarpnął za klamkę i wylądował na plecach.

- Cholera! -mruknął, patrząc w niebo.

- Nic ci się nie stało, dziadku? - spytał Mike, pochylając się nad nim.

- Nic - mruknął niechętnie.

Mike podał mu rękę i pomógł wstać. Następnie popatrzył na słońce, udając, że wszystko jest w porządku. George czuł się zły, zakłopotany i stary. Bolały go wszystkie kości. Nawet to kocie zadrapanie piekło jak licho. Kiedy otrzepywał się ze śniegu, Mike otworzył drzwi. Powitało ich głośne gęganie.

- Co ty tu robisz? -spytał George.

- Będę karmić gęsi, dziadku - odparł spokojnie Mike, wchodząc do stodoły.

Każdy o innej porze pojawiał się w kuchni na śniadanie. Na domowników czekał garnek z owsianką, dzbanek soku pomarańczowego i kawa. Will siedział samotnie przy stole. Był na nogach od kilku godzin. Pożyczył dżipa i pojechał na pas startowy. Oczyścił ze śniegu samolot i drogę startową. Teraz jadł wolno, patrząc przez okno na morze. Miało granatową barwę i wysokie fale. Już wkrótce zniknie z pola widzenia. Drugi raz żegnał się z oceanem, lecz tym razem było inaczej.

Nasunęło mu to myśl o Fredzie. Kiedy tak patrzył na morze, czuł, że syn jest przy nim. Niemal słyszał jego głos i widział twarz. Ciekawe, jakby wyglądał, gdyby był w jego wieku. Przez te wszystkie lata starał się odpychać od siebie jego obraz, teraz myślał o nim ze spokojem.

Przyjechał do Maine i zakochał się w Sarze. Spędził z nią Święto Dziękczynienia i poznał jej rodzinę. Był również cztery pełne dni ze Snow, bez konieczności odwożenia jej do matki.

Podróż do Maine miała wiele wspólnego z Fredem, bo na nowo odnalazł syna.

Skończył jeść, umył talerz po owsiance oraz filiżankę po kawie i odstawił naczynia do wyschnięcia obok porcelanowego zlewu. Każdy zajęty był swoimi sprawami. Słyszał na górze czyjeś kroki i głos Snow dochodzący z hallu. Nie widział się dziś jeszcze z Sarą. Pewnie się pakuje i żegna z ojcem i z matką.

Spojrzał na zegarek: siódma trzydzieści. Za pół godziny powinni wyjść z domu. Trzeba korzystać z pomyślnych wiatrów. Ciocia Bess postawiła przy drzwiach paczkę z gotowymi kołdrami. Wcisnął koszulę w dżinsy i włożył skórzaną kurtkę. Potem wziął lalka kołder i zaniósł do dżipa. Tym razem samolot będzie miał nieco większe obciążenie ze względu na Mike'a i kołdry, lecz i tak nie będzie przeciążony. Nie ma się czego obawiać.

Snow siedziała na brzegu łóżka, zastanawiając się, kiedy znów tu przyjedzie. Pobyt na wyspie spodobał jej się z wielu powodów. Spędziła tu czas z rodziną, która miała równie wielkie problemy jak ona. Wszystkie szkolne koleżanki i dzieci, którymi się opiekowała w wolnych chwilach, wiodły takie spokojne życie, miały rodziców,

którzy się nie rozwiedli, i braci, którzy nie umarli. Jej koleżanki nigdy nie zmieniały imion, a rodzice nie posyłali ich do psychoterapeuty.

Kilka dni spędzonych z Talbotami nauczyły ją jeszcze czegoś: że można darzyć kogoś miłością i popełniać błędy, lecz nie znaczy to, że przestało się kochać. Wystarczyło spojrzeć na Sarę. Tak bardzo kochała swojego syna. Tę miłość widać było w jej oczach i brzmiała w jej głosie. Zupełnie inaczej wyglądało to między George'em i Sarą, choć nietrudno było się domyślić, że kochał córkę, a ona jego. Tymczasem nie mogli dojść ze sobą do porozumienia. Wiecznie się kłócili, co czasami bywało aż śmieszne. Robili wokół siebie tyle szumu, ranili się nawzajem, choć wcale tego nie chcieli.

Biedny George. Nie będzie mu łatwo pogodzić się z wyjazdem Mike'a. Była przekonana, że Mike chce wrócić do domu, lecz nie przychodzi mu to łatwo. Nie zawsze udaje się zrealizować to, co się zaplanowało. Miała nadzieję, że w Fort Cromwell Mike nie zapomni o niej, może nawet zostanie jej chłopakiem. Była tak podekscytowana wspólnym lotem, że nie mogła spać. Nie chciała jednak robić sobie wielkich nadziei.

Rozległo się pukanie do drzwi. Może to Mike? Spojrzała w lusterko i otworzyła. Na progu stał ojciec.

- Jesteś już gotowa? -spytał.

- Tak, tato -odparła. Musiało to zabrzmieć nieprzekonująco, bo nie ruszył się z miejsca.

- Będziesz tęsknić za wyspą Elk? - spytał.

- Bardzo.

- Mam przeczucie, że tu wrócimy.

Domyśliła się, że ma to związek z Sarą, i chciała go o to spytać. Z drugiej jednak strony wolała nie wiedzieć. Poczuła lekki ucisk w żołądku. Lubiła Sarę i pragnęła, żeby ojciec był szczęśliwy. Dlaczego więc nie cieszyła ją myśl, że będą razem?

- Mama zamorduje mnie, kiedy wrócę do domu -powiedziała.

- Porozmawiam z nią.

- Nie jesteś zły, że schowałam się w samolocie?

- Powinienem -odparł, obejmując ją ramieniem. -Ale nie mogę. To były wspaniałe dni i cieszę się, że spędziliśmy je razem.

- Ja też - powiedziała. -Tato, czy George i Bess dadzą sobie radę

bez Mike'a?

Nie chciał jej okłamywać. Próbował się uśmiechnąć, lecz nie potrafił.

- To będzie dla nich trudne - odparł. -Wiesz, jak ciężko jest przestać za kimś tęsknić.

- Tak jak za Fredem, prawda? Tęskniłeś za nim, kiedy się przeprowadziliśmy.

- Tak.

- Dobrze było zobaczyć znów morze, prawda, tato? -Nigdy się nie przyznała, jak bardzo się martwiła, że zrezygnował z morza, przestał żeglować i przeniósł rodzinę w głąb lądu do Fort Cromwell.

- Wspaniale.

- Też tak myślę.

Żałowała, że nie mogą dłużej zostać. Powrót do Fort Cromwell oznaczał rozstanie z ojcem i szarą codzienność w domu Juliana. Będą się widywać, kiedy tylko zechce, ale już nie obudzi się ze świadomością, że on jest w pobliżu, wystarczy tylko zejść na dół. Na samą myśl o tym poczuła bolesny skurcz w sercu. Zawsze uważała, że powinna porozmawiać o tym z doktorem Darrowem, lecz nie przechodziło jej to przez gardło.

- O czym myślisz? -spytał ojciec.

- O tym, że dom Juliana jest taki zimny - odpowiedziała, bo trudno jej było ująć w słowa to, co naprawdę myślała.

- To wkładaj dwie pary skarpetek. Podarły ci się?

Uśmiechnęła się. Wszyscy prócz ojca uważali, że coś z nią nie w porządku, bo nosi skarpetki Freddiego. Właśnie dlatego wysłano ją do doktora Darrowa. Cieszyła się, że Mike leci z nimi, bo wreszcie będzie miała bratnią duszę.

- Nie ma obawy -powiedziała. -Skarpetki Freddiego nigdy się nie podrą.

- Jak na dziewczynę w twoim wieku świetnie radzisz sobie z cerowaniem.

- Mama uważa noszenie skarpetek Freda za dziwne i chce mnie znowu wysłać do doktora Darrowa.

- Wiem. - Ton jego głosu dowodził, że nie podziela opinii byłej żony, lecz Snow i tak o tym wiedziała.

- Mike też do niego chodził, wiesz? Myślisz, że jest stuknięty?
- Nie. I ty też nie.
- Tato. - Przełknęła ślinę. -Co będzie, jeśli zapomnimy o Fredzie? Czasami budzę się i wcale o nim nie myślę. Dopiero, kiedy jem śniadanie albo czekam na autobus. Kiedyś w ogóle nie przestawałam o nim myśleć.
- Zawsze będziemy o nim pamiętać. Obiecuję ci to, Snow.

Kiwnęła głową.

- Idziemy? - spytał, wyciągając do niej rękę.

Snow uważała, że jest za stara, by trzymać tatusia za rączkę, zwłaszcza w domu chłopca, który miał zostać jej sympatią, mimo to ujęła dłoń ojca i razem zeszli na dół.

Sara weszła do pokoju, gdzie spał Will. Teraz pakował bagaże do dżipa, więc była sama. Zatrzymała się przy komodzie i spojrzała na fotografię matki. Gorączka nie ustąpiła, lecz ręce drżały jej nie tylko z tego powodu.

Wzięła do ręki fotografię. W Fort Cromwell miała wiele zdjęć, lecz ten ślubny portret sprawiał, że czuła się blisko matki. Może również dlatego, że w tym pokoju umarła.

- Mamo -powiedziała głośno.

Czy spodziewała się, że jej odpowie? To szaleństwo, ale w atmosferze tego pokoju było coś dziwnego, wyczuwała czyjąś obecność.

Usiadła na brzegu łóżka i powiodła wzrokiem po pokoju. Tu właśnie leżała matka i widziała wszystko to, co ona teraz: wyblakłe tapety, mahoniową komodę, obrazy na ścianie i białe zasłony w oknie. Kiedy się uniosła, mogła zobaczyć morze.

Była taka słaba. Za każdym razem, kiedy do niej przychodziła, bała się, co zastanie. Zapach choroby jest niezwykle intensywny i natychmiast się go wyczuwa. Matka zawsze dbała o higienę, toteż czuła się szczęśliwa, kiedy Sara proponowała, że umyje jej twarz.

Jak często to robiła? Raz dziennie? Taka drobna rzecz, a starała się od niej wykręcać. Nalewała do miski ciepłej wody, przynosiła biały ręcznik i ulubione mydło matki. Przez cały czas ściskało ją w żołądku. Matka uśmiechała się, wdzięczna za okazaną pomoc, a ona

chciała jak najszybciej wyjść z pokoju. Przypominając to sobie, zrozumiała, że matka uśmiechała się nie z wdzięczności za umycie twarzy, lecz za obecność córki. Poczuła teraz wstyd, że nie robiła tego częściej.

- Przepraszam, mamo - szepnęła.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Oparła się o wąski parapet i patrzyła, jak poranne słońce prześwieca przez wierzchołki sosen, rzucając pomarańczowe światło na śnieg i skały, na których wygrzewały się foki. Święto Dziękczynienia dobiegło końca. Za kilka tygodni przyjdzie Boże Narodzenie, ulubione święto matki. Przypomniała sobie w związku z tym pewne zdarzenie z przeszłości.

Ostatnie Boże Narodzenie Rose spędziła w łóżku. Była już zbyt słaba, by wstać. Sara spytała ojca o choinkę. Zgorzkniały i przerażony, odparł, że byłoby niewłaściwe ubierać drzewko, skoro mama nie może go zobaczyć, dlatego w tym roku nie będzie choinki. Przyznała mu w duchu rację. Mama umierała, więc nie mieli czego świętować. Ale ona tak bardzo chciała, żeby mama miała choinkę, iż postanowiła zrobić jej niespodziankę.

Przez cały dzień pracowała w szopie. Przygotowała lichtarzyki na świeczki z blachy cynowej i elektryczne podstawki. Wyszła na dwór i porobiła otwory w śniegu wzdłuż ścieżki do małego białego świerczka, rosnącego na skraju lasu. Doskonale nadawał się na świąteczne drzewko.

Kiedy się ściemniło, przyszła do pokoju matki. Leżała w łóżku, zbyt słaba, by się podnieść, lecz uśmiechnęła się na widok córki. Sara pomogła jej wstać, włożyć szlafrok i ranne pantofle. Postawiła krzesło przy oknie i podprowadziła matkę do niego. Chora z trudem pokonała te dziesięć kroków, które dzieliły ją od okna.

Przypomniała sobie, jak matka gwałtownie wciągnęła powietrze i przycisnęła palce do ust. Ścieżka, od drzwi aż do samego świerku, a także drzewko tonęły w powodzi świateł. Sara zużyła na to cały zapas świec, jaki był w domu. Zawiązała również na gałęziach czerwone kokardy, lecz było zbyt ciemno, by je zobaczyć. Stały z matką przy oknie, obejmując się ramionami, i patrzyły, jak płomyki gasną jeden po drugim.

- Nasze Boże Narodzenie, mamo -szepnęła, wspominając tamte

chwile. Matka uczyła ją, że święta są ważne i nie można ich lekceważyć. Trzeba je obchodzić z tymi, których kochasz, bez względu, czy masz ochotę, czy nie. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy pozostaną ci tylko wspomnienia.

Podeszła do komody i po raz ostatni ucałowała fotografię matki. Przed wyjściem zatrzymała się przy drzwiach. Bolały ją plecy i dziś nie mogłaby pomóc matce wstać. Westchnęła ciężko, po czym zeszła na dół, by dołączyć do Willa i syna.

Ciocia Bess zdecydowała, że zostanie w domu, wszyscy więc pożegnali się z nią w hallu. Trzymała się dzielnie, nie tracąc dobrego humoru. Może tylko trochę dłużej przytuliła Mike'a do piersi i prosiła, by pisał. Kiedy objęła Sarę, odsunęła się lekko i spojrzała na nią z niepokojem.

- Masz gorączkę? - spytała, dotykając jej czoła.

- Niewielką -odparła przyciszonym głosem Sara, by inni nie słyszeli.

- Po powrocie zaraz połóż się do łóżka -powiedziała ciocia Bess.

Sara była jej wdzięczna, że nie stara się namawiać, by została dzień dłużej. Teraz kiedy nadszedł czas odjazdu, zaczęła się niecierpliwić. Chciała jak najszybciej znaleźć się w powietrzu. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci z synem do domu.

Ojciec był dziś wyjątkowo spokojny. Zaniósł bagaże do dżipa i wepchnął je na tył, jakby były to śmieci do wyrzucenia. Gelsey nie mogła się wdrapać na przednie siedzenie i George podsadził ją, po czym usiadł za kierownicą niczym szofer, który chce jak najszybciej uporać się z robotą. Sara zaproponowała, żeby Will zajął miejsce z przodu, lecz odmówił. Cmoknął ją w policzek i usadowił się z tyłu obok Mike'a i Snow. Kiedy usiadła obok ojca, Gelsey wskoczyła jej na kolana.

Sara w milczeniu obserwowała mijany krajobraz. Nic tu się nie zmieniło. Wyspa była zbyt daleko od stałego lądu, by przyciągnąć przedsiębiorców i architektów. Burze mogły powalić drzewa, a morze zmienić linię brzegową. Jednak otuchą napawał ją fakt, że kiedy znów tu przyjedzie, wyspa będzie wyglądać tak samo jak teraz.

Z drugiej jednak strony doznawała mieszanych uczuć. Było jej smutno, że opuszcza ojca, ale przecież wracała do domu z synem, i

tylko to się liczyło. Czy zachłannością było oczekiwanie na coś więcej? Tak chciała, żeby ojciec spojrzał na to z jej punktu widzenia i poczuł się szczęśliwy. Sprawiał wrażenie przygnębionego. O czym będą z Bess rozmawiać w długie zimowe wieczory? Mogła sobie wyobrazić, że ojciec wraca do domu i nie wypowiada słowa aż do wiosennej odwilży. Mike na pewno bardzo ożywił jego ponurą egzystencję.

- Tato - powiedziała stłumionym głosem.
- Hmmm?
- On wróci.

Nie zareagował. Mocniej tylko zacisnął palce na kierownicy i dodał gazu. Starała się nie myśleć o tym, że dżip jest stary, a budynki gospodarcze rozpadają się. Mike robił, co mógł, łatał, gdzie się tylko dało, lecz był bezsilny wobec czynników atmosferycznych i malejącego dochodu. Będzie musiała przesłać im większą sumę pieniędzy. Ciekawe, czy ojciec schowa dumę i ją przyjmie.

- Jesteśmy na miejscu! - wykrzyknęła Snow, kiedy za zakrętem ukazał się samolot.

George zatrzymał dżipa, a Will i Mike zaczęli wyjmować bagaże. Sara nie ruszała się z miejsca, patrząc, jak Snow biegnie do samolotu z rozpostartymi ramionami, jakby chciała go objąć. Gorączka musiała podskoczyć, bo w czasie jazdy było jej gorąco, teraz jednak, kiedy owiało ją mroźne powietrze, dostała dreszczy. Czuła ostry ból w krzyżu. Środek przeciwbólowy, rosół z kurczaka i łóżko to najlepsze lekarstwo, pomyślała, obserwując krzątaninę przy samolocie. Wszystko, co działo się wokół, było niczym w porównaniu z faktem, że Mike wraca do domu. Mój syn, pomyślała z dumą.

Mike ułożył starannie bagaże w luku. Słyszał o latających w powietrzu torbach, kiedy samoloty wpadały w turbulencje. Tu chodziło przecież o bezpieczeństwo osób, które kochał, starał się więc ułożyć wszystko jak najlepiej.

Dopiero w małych samolotach człowiek czuje, że leci. Jak ptak szybuje ku chmurom. Na myśl o ptakach spojrzał w górę i zobaczył orła.

- Mamo! -zawołał.

Siedziała w dżipie, głaskała Gelsey i patrzyła, jak inni krzątają się

koło samolotu. Czyżby źle się poczuła? - pomyślał z niepokojem. W tej jednak chwili matka uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Wskazał na niebo.

Spojrzała w górę z tym charakterystycznym dla siebie zdziwionym wyrazem twarzy, jakby chciała powiedzieć: Czym sobie zasłużyłam na coś tak wspaniałego? Mike poczuł ucisk w gardle. Była blada i wyglądała na zmęczoną. Tyle przeszła, a jednak, przyjechała się z nim zobaczyć. Znaczyło to dla niego więcej, niż przypuszczał.

Spędzili razem Święto Dziękczynienia. Tysiące razy siedzieli wspólnie przy stole, jedli indyka i czekali na ciasto. Czasami byli sami, czasami towarzyszyli im znajomi. Przeżyli lata tradycyjnej kuchni i lata eksperymentów kulinarnych. Któregoś roku matka postanowiła wymieszać gotowaną rzepę z ziemniakami, innym razem upiekła drożdżowe ciasto zamiast szarlotki. Jednak żadne ze świąt nie mogło się równać z tym na wyspie.

- Mike, czy on nie powinien lecieć na południe? - zawołała. - Czy orły nie odlatują na zimę?

- Pewnie tak - odpowiedział. - Może właśnie jest w drodze na południe.

- Mój mądry syn! -zawołała.

Pokręcił głową. Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Matka wydawała się taka szczęśliwa. Wczoraj wieczorem mówiła o tym, że chce, aby skończył szkołę i studiował oceanografię. Pragnęła, żeby wszystko dobrze się ułożyło, żeby Mike coś w życiu osiągnął. Rozumiał to. Rodzice kochają dzieci i pragną dla nich jak najlepiej. Przykładem byli Will i Snow. A także dziadek. Bardzo martwił się o matkę, kiedy okazało się, że ma raka. Każdy brak listu od córki odczuwał niczym cios w serce. Przygarbił się i spochmurniał. Bojąc się, że może ją stracić, przylgnął do wnuka.

Jak oni to robią? -zastanawiał się Mike, wkładając ostatnie pakunki do samolotu. Jak rodzicom udaje się kochać dzieci i nie załamać się przy tym? Popatrzył na Willa i usiłował wyobrazić sobie, jak by się czuł, gdyby jego syn zniknął nagłe w fałach. Jak można pozwolić zniknąć kochanej osobie z oczu?

- A gdzie twoje bagaże? -spytał Will. Nie odpowiedział.

Will zaczął liczyć poszczególne sztuki. Jako pilot musiał

odpowiednio rozłożyć ciężar ładunku i wiedzieć, ile sztuk bagażu załadowano do samolotu. Obaj z Mikiem odnosili się do siebie z rezerwą. Teraz Will odwrócił się do niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Jest tyle samo bagaży co poprzednio -zauważył.
- Wiem - odparł Mike.

Matka wysiadła w końcu z samochodu i szła wolno, utykając lekko na jedną nogę. Podbiegła do niej Snow, otoczyła ramieniem i tanecznym krokiem poprowadziła do samolotu. Na twarzy matki pojawił się dziwny wyraz, jakby bólu. Pewnie to dlatego, że nie lubi wyjeżdżać. Zawsze tak było.

- Lepiej się pospieszcie - odezwał się po raz pierwszy tego dnia dziadek. Mówił do wszystkich, lecz patrzył na Mike'a.

Dzień zapowiadał się wspaniale. Niebo było błękitne, rozświetlone promieniami słońca. Idealna pogoda na lot, pomyślał Mike. Popatrzył na dziadka. On nie da sobie rady. Obserwował go przez ostatni rok i widział, ile wysiłku kosztuje go najprostsza nawet czynność. Wzrok go zawodził i Mike obawiał się, że któregoś dnia może odrąbać sobie rękę. Dziś rano, kiedy znalazł go leżącego na lodzie, uświadomił sobie, jak bardzo jest z nim źle.

- O co tu chodzi? -spytał przyciszonym głosem Will. Mike odwrócił się, by inni go nie słyszeli.
- Nie lecę -powiedział.
- Co takiego?
- Nie mogę wyjechać. Dziadek mnie potrzebuje...
- Nie rób tego matce -przerwał mu ostro Will. -Ona myśli, że z nami lecisz i polecisz.
- Nie mogę - powiedział po prostu Mike.

Nie darowałby sobie, gdyby wsiadł teraz do samolotu i zostawił dziadka i ciocię Bess. Nie przeżyliby zimy bez niego.

Był tego pewny. Matka popłacze, ale w końcu się z tym pogodzi. Ma przecież wielu przyjaciół do pomocy. Poza tym nie zostaje na zawsze. Może będzie to ostatnia zima dla farmy.

Will wyglądał, jakby chciał go zamordować. Oczy ciskały błyskawice, a mięśnie twarzy były napięte. Pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Mike starał się spokojniej odetchnąć, pewny, że postępuje właściwie.

- Więc powiedz jej o tym - powiedział schrypniętym głosem Will. - Nie każ jej się łudzić. Niech dowie się jak najprędzej.

Kiwnął głową, odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze Snow. Matka była tuż obok, lecz jeszcze nie mógł spojrzeć jej w oczy. Snow patrzyła na niego z uśmiechem. Przypomniał sobie, jak ją wczoraj pocałował, i zaczerwienił się. Dostrzegła to i szerzej się uśmiechnęła.

Will stanął między nim a matką, jakby chciał ją ochronić przed tym, co miało nastąpić. Objął ją ramieniem i spojrzał na Mike'a. Mike zaś pomyślał z ulgą, że nie zostawia matki samej.

- Nie lecę - powiedział.

Sara przechyliła głowę na bok, jakby go nie zrozumiała. Za to Snow natychmiast pojęła znaczenie tego słowa i uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie rób nam tego -powiedziała. -Zamierzałam poprosić tatę, żeby poleciał nad Bostonem, byśmy mogli zobaczyć, gdzie kiedyś mieszkałeś.

- Mike -powiedziała Sara.

- Przepraszam, mamo.

Zrobił krok w jej stronę. Chciał ją jakoś pocieszyć, objąć, wziąć za ręce czy coś w tym rodzaju, lecz potrafił tylko stać w miejscu.

- A co ze szkołą? - spytała drżącym głosem. - Mówiłeś, że chcesz ją skończyć. A co z twoją przyszłością?

- Skończę szkołę, mamo.

- Kiedy? - W jej głosie narastał gniew.

- Niedługo.

- I tak już przekroczyłeś swój wiek -stwierdziła Snow, opierając ręce na biodrach.

- Mike, nie rozumiesz, że marnujesz sobie życie? -spytała Sara. - Myślisz, że masz jeszcze mnóstwo czasu? Minie rok i nigdy już nie wrócisz. Uznasz to za zbyt trudne lub poczujesz się za stary.

- Nieprawda.

- Ależ prawda! -odparła zdławionym głosem. Musiała nadszarpnąć mięsień, bo nagle skrzywiła się z bólu.

- Saro. - Will objął ją mocnej. - Mike da sobie radę.

- Nie. -Odepchnęła Willa, podeszła do Mike'a, wzięła go za ręce i spojrzała mu w oczy. Nie mógł znieść widoku łez spływających jej po

policzkach. - Wróć ze mną - poprosiła.

- Mamo. - Chciał odwrócić wzrok, lecz zmusił się, by patrzeć jej w oczy.

- Wróć do domu - powtórzyła łamiącym się głosem. -Proszę.

- Powinieneś słuchać matki - powiedział bez przekonania George. -I skończyć szkołę.

- Wróć z nami - poprosiła Snow. -Byłoby fajnie.

- Nie mogę -odpowiedział, nie spuszczając wzroku z matki. - Nigdy nie wiedziałem, gdzie jest moje miejsce, ale teraz wiem. Zostaję na wyspie.

Sara na dobre się rozpłakała. Nie należała do silnych kobiet. Ukryła twarz w dłoniach i łkała spazmatycznie. Will znów ją objął. Nawet dziadek sprawiał wrażenie zatroskanego. Snow stała ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w stopach. Mike sięgnął do luku bagażowego i wyjął mały worek.

- Proszę - powiedział.

- Co to jest? - spytała ponuro.

- Jeden z ekstra kotów.

Niechętnie, lecz nie mogąc się powstrzymać, otworzyła worek i wyjęła małego czarnego kotka z białym krawatem i jasnymi niebieskimi ślepkami. Był to najmniejszy kot, jakiego Mike'owi udało się znaleźć.

- Ojej! -wykrzyknęła i ucałowała kotka w nosek. - Jak ma na imię?

- Nie wiem. Ty jesteś dobra w wymyślaniu imion. To jest chłopiec.

- Doktor Darrow - zdecydowała i uśmiechnęła się.

- Doktor Darrow -powtórzył z uśmiechem, po czym spojrzał na matkę i spoważniał. Była blada, a w oczach czaił się ból. Nie płakała już tak rozpaczliwie, lecz cała się trzęsła.

- Saro, dobrze się czujesz? -spytał Will.

- Trochę mnie bolą plecy - wyjaśniła, przełykając łzy.

- To pewnie reumatyzm -stwierdził George.

Skoro Mike zostawał, mógł sobie pozwolić na okazanie troski córce. Will podtrzymał Sarę z jednej strony, on z drugiej i pomogli jej wejść do samolotu.

Kiedy podszedł Mike, obaj mężczyźni usunęli się na bok. Wyglądała, jakby straciła kogoś najdroższego na świecie. Nie mógł zrozumieć, czemu tak się przejmuje. Matki chciały, żeby ich dzieci się uczyły, lecz on nigdy nie był asem w szkole.

- Mamo - powiedział, kucając przy drzwiach samolotu. -Skończę szkołę. Obiecuję. Nawet gdybym musiał zdawać eksternistycznie.

- A co z oceanografią? - spytała słabym głosem.

- A kto byłby lepszym oceanografem ode mnie? Ja chcę tym żyć, nie studiować.

Kiwnęła głową, jakby to ją przekonało, lecz oczy pozostały smutne.

- Przyjadę, tylko nie teraz.

- Och, Mike.

- Wiem, że chcesz, abym pojechał dzisiaj, bo uważasz, że jeśli teraz tego nie zrobię, nigdy to się nie stanie. Ale przecież mam czas. Mnóstwo czasu.

Musiał powiedzieć coś nie tak, bo znowu zaczęła płakać. Patrzyła przy tym na niego tak, jakby uczyła się go na pamięć.

- Obyś się nie mylił -powiedziała.

Kiwnął głową. Niech Will wsadza Snow do samolotu i startuje, bo matka znowu zacznie płakać, pomyślał. Will ją kocha, nie wątpił w to. Dlatego był przekonany, że się nią zaopiekuje. Kiedy on zajmie się dziadkiem, ciocią Bess i farmą, Will będzie miał oko na matkę i Snow.

- Lepiej już ruszajcie -powiedział.

- Słusznie. -Will wyciągnął do niego rękę.

Snow rzuciła mu się w objęcia. Była taka krucha i śliczna, i tak słodko pachniała. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Odsunął ją od siebie delikatnie, obawiając się, że za chwilę już nie zdoła jej puścić. Doktor Darrow wydał z siebie cienkie miauknięcie.

- O jednego kota mniej -stwierdził George. Pożegnał się z Willem i Snow, a potem objął córkę. Mike patrzył, jak dziadek ujmuje twarz Sary w dłonie i coś do niej mówi. Patrzyła mu w oczy i kiwała głową. Po chwili odwrócił się i popatrzył na Mike'a. Mike spodziewał się, że zobaczy w jego oczach wyraz sympatii, tymczasem dziadek wyglądał, jakby chciał go zamordować. Nadeszła jego kolej.

- Do widzenia, mamo - powiedział, całując ją w policzek. Objęła go i przytuliła z siłą, jakiej się po niej nie spodziewał. Powiedziała też coś, czego nie dosłyszał.

- Co mówisz? - Pochylił ku niej głowę.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Tak?

- Dziadek obiecał, że odeśle cię do domu, kiedy tylko zechcesz. Wystarczy, że poprosisz.

- Dobrze.

- Nigdy... - Urwała, jakby obawiała się, że nie powie tego, co chce. - Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie.

- Mamo...

- Nikogo, Mike.

- A tatę? - spytał i urwał, patrząc na Willa.

- Nikogo - powtórzyła. - Od pierwszej chwili. Prawdziwą miłością. Zmieniłeś moje życie.

W gardle go dławiło. Chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

- Wiem, że ty też mnie kochasz -szepnęła Sara.

- Ja…

Chciał powiedzieć coś więcej, że też ją kocha, i podziękować za to, że była taką dobrą matką. Dawne problemy przestały mieć nagle znaczenie. Ale myśli, które kłębiły mu się w głowie, były tak wielkie, że nie potrafił przekazać ich słowami. Kiwnął więc tylko głową.

Przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła. Nagle przyszło mu do głowy, że może to ostatni raz, może już nigdy się nie zobaczą. Uznał to jednak za szaleństwo i spojrzał w niebo, by odegnać złe myśli.

- Cześć, Mike -powiedziała.

- Cześć, mamo.

Podszedł Will, żeby zamknąć drzwi samolotu, pożegnać się i zabrać do Fort Cromwell dwie najdroższe mu kobiety.

# Rozdział XIX

Nikt nic nie mówił. Snow siedziała z tyłu, bawiła się z kotkiem, żałując, że nie ma przy niej Mike'a. Patrzyła przez okno i wyobrażała

sobie, jakby to było wspaniale oglądać te krajobrazy z Mikiem. Dzień był słoneczny, a ocean przypominał złote lustro. Zamierzała oddać Mike'owi najlepsze miejsce, ale skoro go nie było, usiadła z lewej strony, by jak najwięcej widzieć. Kiedy miną New Hampshire, morze zniknie bezpowrotnie. Przyglądała się więc łodziom rybackim, tankowcom, licznym osadom i miasteczkom i setkom porośniętych lasami wysepek rozsypanych wzdłuż wybrzeży Maine. Patrzyła na ośnieżone doki i nabrzeża, cienie w wodzie, które mogły być ławicami ryb albo rafami. A może był to wieloryb? Mike by wiedział, Fred też. Westchnęła ciężko.

Jaki wielki jest ten ocean, pomyślała. Nie sposób objąć go wzrokiem. Ten sam ocean opływał Newport i zatokę, w której utonął Fred. Morze zabrało jej brata, czemu więc tak bardzo je kocha? Mike podsunął jej wspaniałą myśl o zostaniu oceanografem. Jeżeli nie może mieszkać nad morzem, to pójdzie na uniwersytet i będzie się o nim uczyć. Miała ochotę ogłosić swój plan dorosłym, lecz nie chciała denerwować Sary.

Sara siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zatopiona w myślach. Snow myślała, że pogodzi się z decyzją Mike'a i wyciągnie z tego jakieś pozytywne wnioski, ale tak nie było. Niełatwo przewidzieć reakcję ludzi w trudnych sytuacjach. Na przykład jej rodzice: wybuchali w najmniej oczekiwanych momentach.

Jedynie Doktor Darrow podtrzymywał ją na duchu. Był taki śliczny. Miał pękaty brzuszek, cienki ogonek i wielkie niebieskie oczy, takie jak Mike i Sara. Nie chodził, lecz skakał. Obserwowała, jak przeskoczył przez fotel, obwąchał drzwi, okno i nogę Snow. W końcu zmęczył się i usadowił na jej kolanach. Wzięła go na ręce i położyła przy szyi. Jak tylko poczuł ciepło jej skóry, zaczął mruczeć. Zamknęła oczy. Kociak umościł się pod jej brodą i łaskotał w szyję, lecz nawet nie drgnęła.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, mijali właśnie linię brzegową. Nie wytrzymała i odwróciła się, by po raz ostatni popatrzeć, jak ocean zmienia się w cienką złocistą linię. Doktor Darrow przesunął się lekko, zgodnie z jej ruchem, lecz nawet nie otworzył oczu. Will i Sara wciąż milczeli. W pewnym momencie ojciec wziął Sarę za rękę. Ogarnął ją smutek na myśl, że Mike mógłby zrobić to samo.

Kiedy ocean zniknął na dobre, poczuła, że zaczyna ją dusić w piersi. Pospiesznie sięgnęła po inhalator. Przez cały czas pobytu na wyspie nie użyła go ani razu. Matka powiedziałaby, że to z powodu kota. Pewnie nie pozwoli go zatrzymać, tłumacząc, że jest uczulona na sierść i że z astmą nie ma żartów, a koty ją tylko nasilają. Snow wiedziała jednak, że ten atak nie ma nic wspólnego z Doktorem Darrowem ani z żadnym innym kotem. To była jej reakcja na rozstanie z morzem. Ogarnęło ją przygnębienie, co źle wpływało na system oddychania. Tęskniła za słonym powietrzem. Oddychając przez inhalator, starała się myśleć o czymś przyjemnym.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Zrobi kotkowi na drutach skarpetkę i włoży do niej różne zabaweczki. Nadszedł czas na zmianę imienia, a gwiazdka dawała mnóstwo możliwości. Na przykład Gwiazda, Betlejem, Blitzen czy Cratchit. Co prawda Cratchit nie brzmiało zbyt ładnie, ale pasowało. Fred uwielbiał *Opowieść wigilijną.* Rodzice co roku czytali je im przez cały grudzień. Fred grał też Boba Cratchita w szkolnym przedstawieniu w swoje ostatnie święta.

Patrząc na góry, tuląc do siebie zwierzątko i walcząc z oddechem, spróbowała pomyśleć o sobie jako o Cratchit. Nie. Zupełnie do niej nie pasowało i brzmiało strasznie chropawo. Poza tym wszystkie poprzednie imiona zaczynały się na literę S i nie było powodu, by to zmieniać. Dodawały jej też pewności siebie i zbliżały do brata. Wracała do jaskini Juliana i matki, więc musiała się porządnie zabezpieczyć.

Lądowali w Lebanonie, by zatankować paliwo. Poszli do hangaru skorzystać z toalety, napić się kawy i gorącej czekolady. Sara miała wrażenie, że porusza się we mgle. Głowę miała ciężką od przepłakanych łez. Na samą myśl o Mike'u zbierało jej się na płacz. Rosnąca gorączka sprawiała, że stała się bardziej podatna na stres. Również ból w plecach przybrał na sile.

Will przyniósł jej kubek z kawą. Sara uśmiechnęła się, kiedy ich palce się zetknęły. Zachowywała się okropnie. Od chwili opuszczenia wyspy nie odezwała się słowem. Czemu decyzja Mike'a o zostaniu tak bardzo ją poruszyła? Przecież nie spodziewała się, że przekona go do powrotu do domu. Jednak kiedy go zobaczyła, uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni i jak bardzo chce, żeby wrócił do szkoły. Tak

mało brakuje, a zmieni się w farmera patrzącego z niepokojem w niebo i gorzkniejącego z biegiem lat. Nie była w stanie opanować uczucia rozczarowania i zrzucała to na karb grypy.

- Przepraszam -powiedziała.

- Za co? - spytał Will.

Pokręciła głową, podnosząc kubek do ust.

- Za to, że nie potrafiłam się opanować.

- Nie dziwię ci się. On nie jest moim synem, a czuję się podobnie.

- To znaczy jak?

- Miałbym ochotę przywiązać go do fotela i odwieźć do domu bez względu na to, czy tego chce, czy nie.

Uśmiechnęła się. Nie mogła pić kawy. Zbyt ostro pachniała i wywoływała mdłości. Nie chcąc urazić Willa, trzymała kubek w ręku. Czuła, że wygląda okropnie i ma mokre od potu czoło.

Przed godziną wzięła zwiększoną dawkę tylenolu, lecz nie poskutkował. Wprost przeciwnie, ból w krzyżu narastał.

- Co ci jest? -spytał Will. Wyjął jej z ręki kubek z kawą i odstawił na parapet. W hangarze było zimno i Sara cała się trzęsła.

- Nic - odparła.

Uśmiechnęła się z trudem i ujęła Willa za ręce. Były takie silne. Otoczył ją ramieniem i przytulił do piersi. Musiał jakoś szczęśliwie ucisnąć kręgosłup, bo ból w plecach nagle ustąpił.

- Chodźmy -powiedział z ustami w jej włosach. -Im wcześniej wystartujemy, tym szybciej dotrzemy do domu. A w ogóle to cię odwiozę.

- Nie musisz. Spędziłeś ze mną cztery dni i pewnie masz mnie dość.

- Ani trochę -odparł.

Żadne z nich nie miało ochoty się ruszyć. W końcu ktoś podszedł do Willa i powiedział, że samolot jest już gotowy. Gdyby nie to, staliby tak godzinę albo i więcej, pocieszając się myślą, że wszystko będzie dobrze.

W dalszej drodze natknęli się na silne przeciwne wiatry. Nie było w tym nic nieoczekiwanego. Od strony Kanady napływała olbrzymia masa powietrza, niosąc ze sobą pogorszenie pogody i wiatry. Wkrótce

wpadli w turbulencję.

- Zapnijcie pasy - powiedział Will. -Będzie trochę trzęsło. Sara kiwnęła głową i uśmiechnęła się uspokajająco.

- Tato... -powiedziała ostrzegawczym tonem Snow, jakby chciała go powstrzymać.

- Nie martw się - rzucił przez ramię. - Wszystko będzie dobrze.

- Ale kot się przestraszył.

- Trzymaj go mocno - poradziła Sara. - Wtedy będzie się czuł bezpiecznie.

Snow nie przepadała za turbulencjami, podobnie jak nie lubiła, kiedy żaglówka się przechylała. Nie miała zaufania do takich wrażeń, gdy ziemia usuwa się spod nóg, a horyzont zmienia pozycję. W takich momentach chwytała się kurczowo siedzenia i przytulała do matki. Fred natomiast uwielbiał takie doznania. Nigdy nie miał ich dość. Bardzo lubił pływać pod wiatr, kiedy nadburcie znikało pod wodą, i patrzył prosto w fale. Lubił też turbulencje, które przerażały siostrę. Na pewno śmiałby się teraz z jej strachu, doprowadzając ją do takiej wściekłości, że przestałaby się bać.

- Ach! - jęknęła Sara.

- Co się stało? - spytał Will.

- Nic takiego - odparła wymijająco.

Popatrzył na nią i zobaczył, że ma kredowobiałą twarz **i** zaciska dłonie na poręczach fotela.

- Saro - powiedział zaniepokojony.

- Krzyż mnie boli -wyjaśniła z trudem. - To wszystko.

- Może nadwerężyłaś go przy podnoszeniu bagaży?

- Nie wiem, ale chyba nie.

W tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Zaciskała zęby, domyślił się więc, że musi ją bardzo boleć. Od początku wyglądała na zdenerwowaną, lecz zrzucał to na karb decyzji Mike'a o pozostaniu. Ciocia Bess wspominała coś o gorączce, lecz zajęty przygotowaniami do drogi nie zwrócił na to uwagi. Teraz jednak ogarnął go niepokój. Twarz Sary nagle poszarzała.

Może to wynik emocji związanych z decyzją Mike'a, pomyślał. Wiedział, do jakiego spustoszenia może doprowadzić rozpacz. Przed śmiercią Freda nigdy się nad tym nie zastanawiał. Potem sam tego

doświadczył. W ciągu jednej nocy przybyło mu dwadzieścia lat, radosna, beztroska Susan zmieniła się w przerażone dziecko nękane sennymi koszmarami i atakami astmy, a Alice przestała być kochającą żoną i matką i odwróciła się od nich. To rozpacz zniszczyła ich rodzinę.

Spojrzał na Sarę i spróbował jej dotknąć. Cofnęła się instynktownie przed jego dłonią. Nie mogła znieść żadnego dotyku. Mięśnie ramion miała napięte do ostateczności. Kark jej zesztywniał, jakby trzymała na plecach ogromny ciężar. Will chciał wierzyć, że po prostu jest zmartwiona, widział jednak, że to coś więcej. Niestety jedyne, co mógł zrobić, to pilotować samolot i dowieźć ją do domu tak szybko, jak tylko to możliwe.

Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiego bólu. Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie wszystkie ćwiczenia, jakich się nauczyła i jakie miały pomóc znieść takie chwile. W dzieciństwie uczono ją oddychać tak, by miała w płucach dość tlenu, gdy przyjdzie moment wstrzymania oddechu. Nauczyła się skupiać myśli na jakimś słowie, modlitwie czy obrazie morza. W czasie chemioterapii nie odczuwała bólu, lecz tak ostre ataki nudności, że czasami pragnęła umrzeć. Meg Ferguson uczyła ją medytacji. Siadały ze skrzyżowanymi nogami, wsłuchując się w oddechy i powtarzając mantry, które ładnie brzmiały, lecz nic nie znaczyły. Jej mantra to „Alaj-lu". Spróbowała teraz powtarzać ją w myślach.

Alaj-lu, Alaj-lu.

Kiedy ból się nasilił, nie była w stanie dłużej się koncentrować. Samolot zatrząsł się gwałtownie i Snow krzyknęła przerażona. Will starał się ją uspokoić. Sara usłyszała swój własny głos przekonujący Snow, że wszystko będzie dobrze i żeby pomyślała o fokach, które widzieli na wyspie.

- O fokach? -powtórzyła drżącym głosem Snow.
- Kiedy nurkują, czasami napotykają różne wiry i prądy, ale udaje im się wyjść cało, bo są do tego przystosowane. Podobnie samolot.
- Boję się, Saro - powiedziała, wybuchając płaczem.
- Wiem, kochanie - odparła Sara, zagryzając wargę.

Ból był tak silny, że zobaczyła gwiazdy. Słyszała swój głos i nie

mogła uwierzyć, że jest w stanie mówić. Umysł krzyczał w udręce. Snow wyciągnęła do niej rękę i Sara uścisnęła ją mocno. Snow dodało to otuchy, a ona poczuła, że ból nieznacznie zelżał.

Biodro zupełnie jej zdrętwiało i czuła mrowienie w nodze. Ściskając z całych sił rękę Snow, pomyślała o doktorze Goodacre. W czasie ostatniej wizyty bardzo podniósł ją na duchu. Rozmawiali o jego ojcu i wspaniałym bracie. Nie mówili o niej, dlatego czuła się taka spokojna. Co jednak doktor Goodacre mówił o drętwieniu? Kazał zwracać na to uwagę, ale nie powiedział dlaczego.

Chyba się domyślała. Kolejny potok łez napłynął jej do oczu. Przez cały ranek płakała z powodu Mike'a, a teraz znowu to. Tak bardzo się starała, żyła nadzieją. Jej urodziny były niczym sen. Lecąc z Willem nad górami, czuła wdzięczność za to, że żyje, że znów jest zdrowa, i wyobraziła sobie, że tak będzie zawsze.

- Saro. - W głosie Willa brzmiał niepokój. Poczuła jego dłoń na karku i spuściła głowę.

- Dziękuję -powiedziała.

- Saro, co się stało? -spytała Snow.

Chciała odpowiedzieć, że nic jej nie jest, że bolą ją tylko plecy, ale wzięła środek przeciwbólowy i to wkrótce minie. Jednak nie była w stanie wypowiedzieć słowa. W każdym razie nie na swój temat.

- Nie bój się, Snow -odparła. - Niedługo będziemy w domu.

- Trzymaj się - dodał Will. Sara skinęła głową.

- Pamiętasz, Saro, co przeżyłyśmy, kiedy Mike wpadł pod lód? - spytała Snow. - Myślałyśmy, że utonie, pamiętasz?

- Tak

- Ale nie utonął -ciągnęła. -Wyszedł z tego, choć tak bardzo się bałyśmy. Czy teraz będzie tak samo?

Dłoń Willa na karku uspokajała ją, podobnie jak uścisk dłoni Snow. W przedziwny sposób strach Sary rozproszył obawy Snow. Jej oddech stał się mniej chrapliwy. Sara była jej wdzięczna za to, co powiedziała, bo nagle wszystko zrozumiała.

- Tak, teraz będzie tak samo - odpowiedziała, wracając myślami do tych strasznych chwil nad stawem. Wpatrując się z przerażeniem w czarną dziurę w białym lodzie, sądziła, że Mike tam zostanie i że nigdy już go nie zobaczy. Módl się, powiedziała wówczas do Snow.

Sama też zaczęła się modlić. Zamknęła oczy i prosiła Boga, by ocalił jej syna. Błagała, by pozwolił Willowi uratować chłopca. Ofiarowała nawet swoje życie za życie Mike'a. Wszystko działo się tak szybko, że zupełnie o tym zapomniała.

Zdarzył się cud. Wtedy tego nie rozumiała. Pojęła to dopiero teraz, w kilka godzin po opuszczeniu wyspy i Mike'a. Ofiarowała siebie, żeby Mike mógł żyć, i teraz nadszedł czas spłacenia długu.

Uświadomienie sobie tego nie zmniejszyło bólu, lecz łatwiej go było znosić. Czując przy sobie Willa i Snow, zamknęła oczy, starając się spokojnie oddychać. Przypomniała sobie inną formę medytacji, jaką ćwiczyły z Meg. Siedziały na poduszkach w sypialni Sary i Meg powiedziała jej, żeby wciągając powietrze wypowiadać słowo „miłość", a wypuszczając „strach". Spróbowała teraz to zastosować. Czując drgania samolotu i dotyk rąk Willa i Snow, zmusiła się do oddychania, pokonując szarpiący ból w plecach. Wywołała w myślach obraz Mike'a i zamiast mówić, pomyślała te dwa słowa. Miłość... strach. Miłość... strach.

# Rozdział XX

Will spojrzał w dół i zobaczył Fort Cromwell i starą twierdzę z czasów wojny o niepodległość, którą wszyscy chcieli zobaczyć podczas lotów widokowych nad miastem. On jednak nie zwrócił na nią uwagi, bo zbyt niepokoił się o Sarę. Wywołał przez radio wieżę w Brielmann Field. Było to jego macierzyste lotnisko. Świadomość, że jest już tak blisko, sprawiła mu ogromną ulgę.

- Tu Tango 2132 -powiedział do mikrofonu. - Planowany przylot godzina piętnasta. Proszę o zgodę na lądowanie.

- Słyszymy cię, Tango 2132. Ląduj na pasie numer jeden. Pozostałe dwa mamy zamknięte z powodu silnego wiatru.

- Porządnie dmucha tu w górze -powiedział Will. Popatrzył na Sarę i pomyślał, że jest z nią coraz gorzej.

Sprawiała wrażenie spokojnej, lecz rysy twarzy miała ściągnięte z bólu i zbielałe wargi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić Curtisa z wieży o wezwanie karetki, lecz rozmyślił się. Sam zawiezie Sarę do szpitala. Otrzymał pozwolenie na lądowanie i zaczął obniżać

lot. Włączył przycisk wysuwający podwozie, lecz zamiast dwóch zielonych światełek zapaliło się tylko jedno. Świeciło się tylko to od głównego podwozia, informując, że dwa koła zostały wysunięte, lecz nie miał sygnału z koła przedniego.

W polu widzenia pojawiło się lotnisko, połyskujący w słońcu pas startowy i wieża, która zawsze sygnalizowała mu, że jest blisko domu. Z przyzwyczajenia i nie czując jeszcze niepokoju, sprawdził zbiornik z paliwem. Był opróżniony do połowy.

Wskaźniki w tego typu samolotach nie należały do dokładnych, lecz tak czy inaczej miał jeszcze paliwa na kilka godzin lotu.

Zerknął na panel i zobaczył, że zielone światełko nadal się nie świeci. Sięgnął pod tablicę rozdzielczą, znalazł właściwy kabel i poruszył nim. Bez rezultatu. Westchnął ciężko i spojrzał na Sarę.

- Aach! - jęknęła przez zaciśnięte zęby. -O Boże!
- Saro, już prawie jesteśmy w domu.
- Pospiesz się -wydusiła z trudem. W jej oczach dostrzegł niemal zwierzęcy strach. Musiała bardzo cierpieć. Po raz pierwszy się z tym zdradziła. Pewnie dlatego, że byli już prawie na miejscu.

Spokojnie, powiedział sobie w duchu. Przednie koło samo się nie wysunie, bo coś nawaliło w hydromechanice. Jednak są jeszcze inne sposoby - rączka, która uruchomi zbiornik z dwutlenkiem węgla i wypchnie koło. Nigdy nie próbował tej metody, lecz przecież nie bez powodu ją zainstalowano. Niepokoił się o Sarę, toteż palce mu się trzęsły. Wiedział, że ten sposób daje najlepsze efekty przy minimalnej prędkości, pociągnął więc drążek sterowniczy do siebie, zwalniając obniżanie się samolotu.

- Tato, powinieneś natychmiast lądować - powiedziała zaniepokojona Snow. -Sara źle się czuje.
- Wiem o tym -warknął.

W odpowiedzi Snow wybuchnęła płaczem. Sara milczała, lecz na jej twarzy malowała się udręka. Will usiłował się skoncentrować. Zwolnił tyle, ile mógł, lecz zdenerwowany umysł wydał błędną decyzję i za wcześnie pociągnął za rączkę. Zbiornik wystrzelił, jednak nic z tego nie wynikło. Zielone światło nadal się nie zapaliło.

- Cholera -mruknął.
- Co się stało? -spytała Snow.

Nie odpowiedział. Zatoczył koło nad lotniskiem, usiłując się skupić. Dłonie miał mokre od potu. Sara i Snow domyśliły się, że coś jest nie tak. Snow zarzuciła go gradem pytań, lecz w końcu umilkła. W samolocie zapanowała cisza. Słychać było tylko szum silników.

Ponownie wywołał wieżę.

- Brielmann Field, tu Tango 2132. Mamy kłopoty z przednim podwoziem. Nie zapala się zielone światło.

- Przeleć obok wieży, Will. Rzucimy na to okiem. Poczuł ulgę, że nie jest sam. Odpowiadał przecież za życie dwóch osób, córki i kobiety, którą kochał. Przechylił samolot na prawe skrzydło i zawrócił nad lotnisko. Dostrzegł swój hangar i samochód stojący na parkingu. Zaraz też pojawiła się wieża, a w niej jego przyjaciele, Ralph i Curtis. Zobaczył stojącego w oknie Curtisa.

- Dwa koła masz wysunięte, Will - przekazał mu przez radio. - Przednie zwisa luźno i nie jest do końca wysunięte.

- Co to znaczy? -spytała Snow.

- Dzięki, Curtis - powiedział Will.

- Tato, co powiedział Curtis?

Uparcie milczał.

Wskaźnik paliwa pokazywał, że zostało ćwierć baku, strzałka szybko opadała. W tego typu samolotach wskaźniki zawsze szwankowały. Dlatego Will nigdy im nie dowierzał. Piper Aztec był dobrym samolotem, lecz wskaźniki nie należały do najlepszych. Musiał zużyć prawie całe paliwo. Bez przedniego koła będą mieli twarde lądowanie, pojawi się mnóstwo iskier i groźba pożaru. Ze względu na Sarę pragnął jak najszybciej wylądować, jednak żeby ocalić jej życie, musiał jeszcze poczekać.

Każda turbulencja szarpała kręgosłup. Sara straciła czucie w nogach, lecz najbardziej dotkliwy był ból w krzyżu. Nigdy nie przypuszczała, że można tak cierpieć. Teraz pragnęła jedynie, by jej męczarnie się skończyły. Zdawała sobie sprawę z tego, że może nie przeżyć lądowania, że żadne z nich może go nie przeżyć. Will zrobił wielką pętlę w kierunku północnym i teraz znowu się zbliżali.

- Przygotujcie się -powiedział.

- Och, tato - jęknęła Snow.

Zbliżali się do pasa startowego. Sara widziała wszędzie migające

światła: samochodów policyjnych, wozów strażackich, karetek. Pulsowały na niebiesko i czerwono. Lądowisko pokrywał śnieg, a nad pasem startowym unosiła się mgła.

- Dobra. Teraz pochylcie się tak nisko, jak tylko możecie i schowajcie głowy - polecił Will.

- Tato, Doktor Darrow! - krzyknęła Snow. - Wyrwał mi się i nie wiem, gdzie jest.

- Zostaw go -rozkazał.

Sara domyśliła się, że siedząca z tyłu Snow gorączkowo szuka kota. Will uderzył dłonią w siedzenie, by zwrócić jej uwagę.

- Zostaw go, Susan. Spuść głowę i obejmij ją ramionami, słyszysz?

- Tak.

- Uderzymy mocno w ziemię -powiedział, cedząc słowa i patrząc przed siebie. - Ale nic się nam nie stanie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy musieli jak najszybciej wysiąść z samolotu. Jasne?

- Boję się! -jęknęła Snow.

- Za chwilę będzie po wszystkim -powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Tato...

- Posłuchaj. Jak tylko się zatrzymamy, odepnij pasy i wysiadaj. Potem uciekaj jak najdalej od samolotu. Najszybciej, jak możesz! Zrozumiałyście mnie obie?

- Tak, tato - odpowiedziała Snow.

Sara chyba też musiała coś powiedzieć, ale cierpiała takie męczarnie, że nic do niej nie docierało. Pochylenie się w przód wywołało kolejny atak bólu, jeszcze ostrzejszy, i kolejny potok łez. Pomyślała o Mike'u. Jak to dobrze, że z nią nie poleciał. Był teraz bezpieczny z ojcem, daleko od grożącej im katastrofy.

- Saro - powiedział Will. - Snow. Kocham was.

- Kocham cię, tato -odkrzyknęła Snow.

Kocham cię, pomyślała Sara, lecz nie była w stanie wykrztusić słowa. Samolot z hukiem uderzył o ziemię i zaczął szorować po asfalcie. Skręcił w lewo, potem w prawo, jakby chciał się wyrwać spod kontroli. Will jednak trzymał jak w kleszczach drążek sterowniczy. Sara słyszała, jak klnie i modli się, słyszała chrzęst

rozrywanego metalu. Śmigła rozpadły się i ich kawałki uderzyły w okno. Posypało się szkło, w górę strzeliły tysiące iskier wywołanych tarciem.

I nagle się zatrzymali.

Will wyskoczył z samolotu, zanim Sara zdołała podnieść głowę. Snow wygramoliła się na pas startowy, przytulając do piersi kotka. Odpechnął ją od maszyny, krzycząc, żeby uciekała. Przebiegł na drugą stronę i otworzył drzwi. Samolot otoczył personel ratowniczy. Sara zobaczyła unoszące się w górę kłęby dymu. Słyszała krzyki strażaków, nakazujące wszystkim odsunąć się od samolotu.

- Chodź, Saro -powiedział Will, przytrzymując drzwi i odpinając jej pas. - Musisz wysiąść.

- Odsuń się, Will -rozkazał jeden ze strażaków. -Teraz my się tym zajmiemy.

Will nie ruszył się z miejsca.

- Do cholery, Will, samolot zaraz wybuchnie! Zjeżdżaj stąd! Will nie zwrócił na nich uwagi. Stał nieruchomo, jakby

miał mnóstwo czasu. Wiedząc, że Snow jest już bezpieczna, mógł zająć się Sarą. Przykucnął i przysunął twarz do jej twarzy.

- Nie mogę poruszyć nogami -powiedziała, spoglądając w jego błękitne oczy.

- Wszystko w porządku, Saro -powiedział łagodnie. Pochylił się i delikatnie przełożył jej ręce na swoje ramiona. Wydawało jej się, że nie da rady. Will objął ją i wyniósł z samolotu. Przycisnęła mu twarz do piersi.

Zaniósł ją do karetki, przy której czekała Snow, i położył na noszach. Zaczekał, aż wciągną ją do środka, a potem stał i patrzył, jak karetka odjeżdża na sygnale, migając światłami.

# Rozdział XXI

Pokazano ich w wieczornych wiadomościach. Snow siedziała w bibliotece na kanapie, przykryta kocem, z Doktorem Darrowem na kolanach i oglądała telewizję. Kanał 3 filmował ich od momentu, kiedy samolot zrobił koło nad lotniskiem. Na miejscu byli przedstawiciele innych stacji i Snow słyszała niezdrowe

podekscytowanie w głosie przekazującej informacje reporterki.

- Pewnie myśleli, że się rozbijemy - mruknęła, nie spuszczając wzroku z ekranu.

- Nie mów tak - zaprotestowała Alice. - To było straszne. Czekaliśmy z Julianem na twój powrót, kiedy zadzwonili do nas z lotniska. Nie mogłam w to uwierzyć.

- Natychmiast włączyliśmy telewizor - powiedział Julian. - Czekałem z poduszką w pogotowiu. Miałem zamiar zasłonić nią oczy twojej matce, żeby nie widziała, jak lądujecie.

- Wszystko dobrze się skończyło -powiedziała cicho Snow, delikatnie głaszcząc kotka. Leżał zwinięty w kłębek na jej kolanach i mruczał.

- Dzięki Bogu - westchnęła Alice.

- Myśleliśmy, że czeka nas wielka dyskusja pod tytułem „A nie mówiłem?".

- To znaczy? - spytała Snow.

- No wiesz, ucieczka z domu i w konsekwencji przykre wydarzenia. A nie mówiłem, że tak będzie? - dodał, uśmiechając się.

Snow postanowiła go zignorować i wpatrywała się w ekran telewizora. Matka była taka miła, nie ukarała jej, nie powiedziała nic złego na temat kotka, ale Julian nie zamierzał rezygnować. Czuła, że zaczyna dusić ją w gardle i że jeśli się nie odezwie, to dostanie ataku kaszlu.

- Wcale nie uciekłam -odpowiedziała. -Byłam z ojcem.

- Jest Willi - zawołała podnieconym głosem matka, jakby zobaczyła gwiazdę filmową.

Kamera pokazała Willa siedzącego za sterami. Był taki przystojny i skupiony. Potem zatrzymała się na jego twarzy. Snow nie mogła uwierzyć, jaki jest spokojny i opanowany.

- Wcale to tak nie wyglądało - stwierdziła.

- A jak?

- Było strasznie. Krzyczałam i tata musiał na mnie wrzasnąć. Spójrzcie...

Za każdym razem, kiedy twarz Willa pojawiała się na ekranie, nie widać było na niej cienia strachu. Nawet się nie skrzywił. Zaciskał dłonie na drążku sterowniczym i patrzył w skupieniu przed siebie.

- Twój ojciec jest bardzo odważny - powiedziała cicho Alice.

- Wiem.

Matka pochyliła się teraz w przód z dziwnym wyrazem twarzy. Czy był to smutek, czy podziw? Pewnie i jedno, i drugie.

- On podejrzewał, że się rozbijecie, a mimo to był spokojny - zauważyła matka.

Kamera pokazała teraz Sarę i Snow ścisnęło w żołądku. Twarz Sary zastygła w grymasie, a oczy i usta miała zaciśnięte.

- Za to ona nie jest spokojna - zachichotał Julian.

- Była równie dzielna jak tato - stanęła w jej obronie Snow. - Szkoda, że jej nie słyszeliście.

- Czy to jego przyjaciółka? - spytała matka. -Tak mówili reporterzy.

- Nie wiem -odparła Snow. Nie zamierzała nic mówić.

- Coś musi być między nimi. Nie odstępuje jej ani na krok Snow kiwnęła głową. Matka i Julian przyjechali po nią do szpitala, bo ojciec chciał zostać z Sarą. Miała uszkodzony nerw czy coś w tym rodzaju i przymusowe lądowanie pogorszyło jej stan.

W samolocie wszystko działo się tak szybko. Tymczasem w telewizji trwało całą wieczność. Za każdym razem, kiedy widziała Sarę, czuła się chora. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Sara tak strasznie cierpi. Kiedy jednak zobaczyła ojca, ogarnął ją spokój i duma.

- Taki spokojny i opanowany -powiedziała matka, gdy kamera pokazała Willa.

- Tak - przyznała z dumą Snow.

- Zawsze taki był. W najtrudniejszych sytuacjach.

Ze zmarszczonym czołem przysunęła się bliżej ekranu. To było coś nowego. Dotąd nigdy się nie zdarzyło, żeby mówiła w ten sposób w obecności Juliana, jakby w ogóle go nie było.

- To znaczy jaki? - spytała Snow.

- Tylko spójrz na niego. -Matka zakryła dłonią usta. -Myślał, że rozbije się z córką na pokładzie, a mimo to zachował zimną krew.

- Jak tego dnia, kiedy zginął Freddie -powiedziała Snow.

- Dziś nikt nie zginął -zauważył Julian. Alice skinęła głową, ignorując jego uwagę.

- Jak tego dnia - powtórzyła. - Sądziłam, że będzie bardziej zdenerwowany, tymczasem...

- Mój mały kłębuszku nerwów - powiedział Julian, biorąc ją za rękę.

Alice zmarszczyła czoło i objęła Snow. Tym drobnym gestem sprawiła jej wielką radość. Nie krzyczała na nią, nie mówiła źle o ojcu. Wprost przeciwnie. Była pełna uznania dla niego.

- Nie doceniałam go -stwierdziła, nie odrywając wzroku od telewizora.

- Tata wcale nie jest taki opanowany -powiedziała cicho Snow, bo matka czasami, gdy opowiadała o wypadku z Fredem, twierdziła, że ojciec potrafi trzymać nerwy na wodzy.

- Nauczył się tego w marynarce - stwierdziła Alice. - My wtedy straciłyśmy głowę, prawda, kochanie?

- Tak - przyznała Snow, nie mogąc się nadziwić, że wciąż o tym mówi. Tyle razy chciała z nią porozmawiać o Fredzie, lecz matka unikała tego tematu.

- Wcale nie jest takim twardzielem - stwierdził z niechęcią Julian. - Dowodem jest mój rozbity nos. Co czułaś w tym samolocie?

- Bałaś się? - spytała matka.

Snow zdrętwiała. Kamera znów pokazała Sarę. Coś było z nią nie tak, bo nadal przebywała w szpitalu.

- Najgorsze to nie wiedzieć, co cię czeka - stwierdziła matka.

- Tak - przyznała Snow.

- Jestem pewna, że tata też się bał - powiedziała Alice, patrząc w ekran. -Choć tego nie okazywał.

- Okazywał - odparła Snow. - Trzeba tylko umieć patrzeć.

- Niektórzy załamują się, gdy jest już po wszystkim -zauważył Julian.

Snow poczuła, że się czerwieni. Julian miał rację. To właśnie stało się z ojcem, lecz nie chciała, żeby Julian o tym wiedział.

- Załamanie to paskudna rzecz - ciągnął Julian. - Przestaje się myśleć o żonie i córce, gdy najbardziej cię potrzebują, a marynarka cię zwalnia...

- Marynarka wcale taty nie zwolniła - oburzyła się do Snow.

- Tak, wiem. Twój ojciec sam odszedł. To rozsądne i odważne

posunięcie - przyznał uprzejmie. Przeczesał dłonią włosy i uśmiechnął się Snow.

- Był z nami przez cały czas -powiedziała. -Nie mów więc, że go nie było.

- Fizycznie, lecz duchowo był daleko - wyjaśnił łagodnym tonem.

- Był z nami, prawda, mamo?

Doktor Darrow przestraszył się głosu Snow i zaczął się wyrywać. Poczuła w piersiach ból, a w gardle pieczenie. Lada chwila zacznie się dusić.

Matka spuściła głowę, po czym spojrzała na ekran i pokręciła głową. W jej oczach był smutek, lecz również gniew. Przez jej twarz przemknęło tyle niewesołych myśli, że Sara miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie, nie był -powiedziała na koniec.

- Dajmy temu spokój -stwierdził Julian. Dostał to, co chciał, mógł więc okazać wielkoduszność.

Snow czuła, jak pali ją w płucach. Musiała odetchnąć, lecz nie chciała, by ktoś to zauważył.

- Znowu pokazują moment lądowania - powiedział Julian, wskazując na ekran.

Oczy zaszły jej łzami. Doktor Darrow chwycił ząbkami za sweter, bo zaplątał się we włókna. W końcu się uwolnił. Snow zaczęła chrapliwie oddychać.

- Dobry Boże, Susan! -wykrzyknęła matka, odbierając jej Doktora Darrowa. - Jesteś uczulona na tego cholernego kota.

- Oddaj mi go -wydusiła Snow.

- To śmieszne, że pozwolili ci wziąć kota do domu -stwierdził Julian. - Czy na tej wyspie nie było dorosłych? A może byli zbyt zajęci sobą, żeby zauważyć, że masz poważne kłopoty z oddychaniem?

- Oddaj... mi... go - poprosiła Snow, wyciągając ręce. To był prezent od Mike'a. Sara mówiła, że ten kot jest potomkiem Desdemony, kotki jej mamy. Przypominał jej najszczęśliwsze dni i była przekonana, że bez niego przestanie oddychać i umrze.

Matka podała jej inhalator. Snow włożyła go sobie do ust, lecz

nadal wyciągała rękę po kota. W telewizji znowu pokazywali moment lądowania. Samolot mocno uderzył o ziemię, wzbijając w górę kłęby dymu. Strzeliły tysiące iskier. Matka, zahipnotyzowana tym widokiem, oddała Snow kociaka. Julian westchnął głośno. Cała trójka wpatrywała się w ekran, kręcąc w zdumieniu głowami.

Jak myśmy to przeżyli? -pomyślała Snow, patrząc, jak ucieka z palącego się samolotu, a ojciec otwiera drzwi i wyciąga Sarę. Kiedy niósł ją do karetki, wcale nie wyglądał na opanowanego. Był oszalały z niepokoju, jak wtedy, gdy nie mógł znaleźć Freda. Sara przytulała się do niego z twarzą wykrzywioną z bólu. Ojciec niósł ją do karetki tak szybko jak mógł. Snow czuła się dziwnie, siedząc w tym domu i oglądając telewizję. Tęskniła za wyspą Elk. Chciała tam wrócić. Chciała też być z ojcem w szpitalu i czekać na wiadomości o Sarze.

- Czy on jest w niej zakochany? - spytała matka.
- Na to wygląda - stwierdził Julian.
- Tak -szepnęła Snow, lecz tylko Doktor Darrow mógł ją usłyszeć.

Czekali na doktora Goodacre'a. Will nie znał go, lecz zdążył się zorientować, że cieszy się tu powszechnym szacunkiem. Sara też mu ufała. Czekali w pokoju przyjęć, potem odesłano ich do pracowni rentgenowskiej, wreszcie znaleźli się w pokoju na czwartym piętrze.

- Nadal cię boli? - spytał.
- Trochę mniej -odpowiedziała.

Czy mówiła prawdę? Usiłował wyczytać to z jej oczu. Cały czas leżała nieruchomo. Miała na sobie niebieską koszulę szpitalną, a mimo to wyglądała tak pięknie, że miał ochotę wziąć ją na ręce i zanieść do domu. Atmosfera szpitala wprawiała go w zdenerwowanie.

- Zawiadomili go? -upewnił się. Rozumiał, że taka jest procedura. Pielęgniarki musiały otrzymać zgodę doktora Goodacre'a, który był lekarzem prowadzącym Sary, na wypuszczenie jej ze szpitala. Zbadały ją, podały środek na złagodzenie bólu, przekonane, że ma uszkodzony nerw. Taką diagnozę przekazał im radiolog: nic poważnego, jedynie uszkodzenie nerwu. Gorączka to wynik opuchlizny.

- Tak.

- Jak długo to zwykle trwa?

Nie mógł opanować zniecierpliwienia. Siedział przy łóżku Sary i trzymał ją za ręce. Pochylił się i ucałował każdy palec z osobna, po czym dotknął jej ust i zauważył, że się uśmiecha.

- Czasami długo -powiedziała, obejmując go za szyję. -Jest bardzo zajęty.

- Ale ja chcę cię stąd zabrać i zawieźć do domu.

- Wspaniały pomysł -odparła, całując go w policzek.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku z twoim kręgosłupem?

- Tak. Myślę, że po prostu zdenerwowałam się Mikiem. Jego decyzja zaszokowała mnie. Byłam taka pewna, że wraca ze mną do domu.

- Ja też -odparł, gładząc ją po ręce i patrząc na drzwi.

- Kiedy groziło nam niebezpieczeństwo, cieszyłam się, że z nami nie poleciał. Mam nadzieję, że Snow także. Byłeś nadzwyczajny. Wylądowałeś bez podwozia. Jak tego dokonałeś?

- Ludzie robią różne dziwne rzeczy, kiedy chcą ocalić tych, których kochają.

- Tych, których kochają -powtórzyła z uśmiechem.

- Tak. -Popatrzył jej w oczy. Były takie błyszczące, zbyt błyszczące. Tak wyglądały oczy Susan, kiedy miała gorączkę lub była podekscytowana. Sara denerwowała się tak samo jak on i starała się to ukryć.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł doktor Goodacre. W ciemnym garniturze z żółtym krawatem i złotą spinką wyglądał raczej jak przedsiębiorca niż jak lekarz i tak się zachowywał. Stanął przy łóżku Sary z poważnym wyrazem twarzy.

- Doktorze Goodacre!

- Witaj, Saro.

- To jest Will Burke - wskazała na Willa. - Bohater. Pewnie słyszał pan o wypadku samolotowym na Brielmann Field i o pilocie, który wylądował bez podwozia i ocalił pasażerów. To jest właśnie ten człowiek...

Doktor Goodacre uniósł brwi. Może i słyszał o wypadku, bo w jego oczach błysnęło coś na kształt ciekawości lub podziwu, lecz nic nie powiedział. Nie podał mu nawet ręki. Will zwrócił na to uwagę.

Potem pośmieją się z Sarą, jak to pan doktor chroni swoje cenne ręce chirurga, ubezpieczone pewnie u Lloyda w Londynie, i woli nie ryzykować uścisku dłoni z takim siłaczem jak Will.

- To ja wyjdę - zaproponował Will.

Doktor Goodacre skinął głową, lecz Sara chwyciła go za rękę.

- Nie, nie wychodź. -W jej głosie brzmiało rozbawienie, lecz w oczach płonął strach. -Zostań, dobrze?

- Oczywiście -odpowiedział, przysuwając się bliżej.

- Saro, oglądałem zdjęcia - zaczął doktor Goodacre.

- Przepraszam, że ściągnęłam pana z powodu uszkodzonego nerwu -powiedziała Sara. -Jest pan taki zajęty. A ja mogę tylko powiedzieć, że zdenerwowałam się moim synem i wypadkiem samolotowym i... Czy to możliwe, że wskutek napięcia przeciążyłam kręgosłup i uszkodziłam nerw? Bo najbardziej boli mnie dół kręgosłupa, jakby kręgi na coś naciskały.

Nie zamierzał jej przerywać. Stał ze złożonymi rękami, cierpliwie. Will obserwował go. Pewnie na co dzień miał z czymś takim do czynienia: zaniepokojeni pacjenci przedstawiali swoje zdanie na temat choroby, a lekarze cierpliwie słuchali. Przysunął się bliżej Sary i wziął ją za rękę.

W końcu umilkła i uśmiechnęła się. Odchrząknął. Sprawiał wrażenie doświadczonego zawodowca, który z kamienną twarzą potrafi przekazać najgorszą diagnozę. Jednak to wahanie dowodziło, że pod chłodną maską kryje się współczucie i zwykła ludzka życzliwość.

- Zdjęcia pokazują to, czego się obawialiśmy -zaczął. -Rak się odnowił.

Sara nie przestała się uśmiechać, a w jej oczach błyszczała nadzieja.

- Niemożliwe.

- Przykro mi, Saro.

- Nie chcieli mi nic powiedzieć, dopóki pan nie przyjdzie, lecz ktoś mówił, że mam uszkodzony nerw. Prawda, Will?

Skinął głową, patrząc na doktora.

On zaś tylko zacisnął wargi i pokręcił głową, jakby chciał dopaść i ukarać tego informatora.

- Nerw rzeczywiście jest uszkodzony. Rak umiejscowił się w bardzo wrażliwym miejscu, Saro. W dole kręgosłupa.

- To niemożliwe -wyrwało się Willowi.

Był przekonany, że doktor się myli. Jak rak, umiejscowiony w mózgu, mógł przenieść się w dolne partie kręgosłupa.

- Nastąpiły przerzuty, tak? -spytała Sara.

Will dostrzegł, jak bardzo to słowo ją przeraziło. Nadal się uśmiechała, lecz w oczach pojawiła się trwoga. Doktor Goodacre skinął twierdząco głową.

- Przykro mi - powiedział łagodnie.

Will nie odrywał od niego oczu. Trzeba będzie uporać się z tym problemem. Ich wyprawa nie okazała się sielanką. Musieli lądować bez przedniego podwozia i wyciągać spod lodu chłopaka. Sarę czekają operacje, chemioterapia, kolejne naświetlania. Niewiele wiedział o raku, ale znał swoje uczucia względem Sary. Zrobi wszystko, co będzie konieczne.

- Co w takim razie robimy? - spytał.

Doktor Goodacre popatrzył na Sarę. W końcu to oni musieli podjąć decyzję i Will to rozumiał.

- Rozmawialiśmy o tym - powiedział.

- Czy jest tak, jak pan mówił? - spytała.

- Jest rozległy - odparł. - Zdjęcia wykazują, że zaatakował wątrobę i naczynia limfatyczne. Chciałbym zrobić jeszcze kilka badań, sprawdzić, czy nie zaatakował mózgu.

- Ale co zrobimy? - ponowił pytanie Will. To były ważne informacje, ale musiał wiedzieć, jaki jest plan działania.

- Operacja? -spytała Sara.

Lekarz zawahał się. Chirurdzy zawsze chętnie podejmowali się operacji. Will uważał ich za rzeźników, którzy zbijają fortuny na krojeniu ludzi, zamiast zastosować mniej drastyczne formy leczenia. Dlatego zdziwił się, kiedy doktor Goodacre pokręcił głową.

- Nie, Saro. Rak zbyt szybko się rozwija, niczym winorośl wokół kręgosłupa.

- Pan odmawia? Ona chce być operowana, a pan odmawia? - spytał zaskoczony Will.

Doktor Goodacre nie odpowiedział. Will nie mógł w to uwierzyć.

Miał ochotę złapać go za klapy marynarki i walnąć nim o ścianę. Czemu on nic nie mówi? Serce tłukło mu się w piersi, a dłonie zwilgotniały. Uspokój się, nakazał sobie w duchu. Awantura nic tu nie da, tylko zdenerwuje Sarę. A on musiał przy niej pozostać.

Po policzkach Sary spływały łzy. Will chciał ją objąć, lecz nie mógł się ruszyć. Czemu musiała dziś tyle płakać? Pragnął ją uspokoić, odsunąć od tego wszystkiego. Mógłby ją stąd zabrać, lecz powinna zostać w szpitalu. Tu będzie miała lepszą opiekę.

- Ile czasu mi zostało? -spytała.

To pytanie poraziło Willa, odebrało mu oddech.

Odpowiedź doktora była równie bezpośrednia. Pomijała jednak Willa. Był już świadkiem podobnych sytuacji w marynarce. Ta sprawa dotyczyła wyłącznie Sary Talbot i jej lekarza. Przeszli długą walkę i nadszedł czas, by się poddać. Will miał ochotę krzyknąć, żeby walczyli. Gotowało się w nim z wściekłości i rozpaczy. Tymczasem w oczach Sary dostrzegł przedziwny blask, chociaż jej dłoń drżała. A więc nie poddała się i to wszystko było jedną wielką pomyłką. Przedstawiona przed chwilą diagnoza dotyczyła kogoś innego, to inny chory miał przerzuty.

- Dwa tygodnie -powiedział doktor Goodacre.
- Dwa tygodnie - powtórzyła Sara.
- Nie - posłyszał swój głos Will.

# Rozdział XXII

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Pielęgniarki wchodziły i wychodziły, dziwiąc się, że Sara nie śpi. Mówiła im dzień dobry, a one kiwały głowami i uśmiechały się. Obserwowała, jak się krzątają. Wyglądały tak młodo. Czyżby nie miały mężów ani dzieci? Co robią ich dzieci, kiedy budzą się, a matek przy nich nie ma, a ojcowie odpowiadają, że mamy opiekują się innymi ludźmi?

Poprosiła o szklankę wody. Pielęgniarka, która ją przyniosła, wydała jej się znajoma. Może już ją widziała podczas swoich poprzednich wizyt. Była mała i drobna, miała ciemne kręcone włosy i żywy uśmiech. Mogła napełnić plastikowy kubek z butelki z ciepłą wodą stojącej przy łóżku Sary, lecz poszła do pokoju pielęgniarek i

przyniosła jej chłodnej wody w szklance wymalowanej w wianki i Mikołaje.

- Dziękuję -powiedziała Sara.
- Proszę bardzo.

Pewnie słyszała o wynikach testów. Doktor Goodacre mógł coś powiedzieć lub wpisać te wyniki do karty. Sara jednak daleka była od cynizmu i uważała, że pielęgniarki to najmilsze osoby na świecie.

- Nie może pani spać? -spytała pielęgniarka.
- No właśnie.
- Mogę dać coś na sen. Doktor Goodarce zezwolił.

Sara pokręciła przecząco głową. Dostała już środek przeciwbólowy, lecz czuła się po nim otumaniona, a chciała zachować jasność umysłu.

- Nie, dziękuję - odparła. - Jak pani na imię?
- Louise. Przepraszam, zgubiłam dziś swoją plakietkę.
- Nie szkodzi. Po prostu chciałam wiedzieć.

Louise uśmiechnęła się, czekając, aż Sara coś powie lub wyrazi jeszcze jakieś życzenie. Ona jednak chciała tylko poznać jej imię. Zwracanie się do kogoś po imieniu stwarzało pewną więź i ożywiało wzajemne stosunki.

Louise wyszła z pokoju i Sara została sama. Zamknęła oczy i nie wiadomo dlaczego pomyślała o sklepie. Bardzo lubiła jego nazwę: „Pod Dziewiątą Chmurką". Była taka słodka i pełna nadziei. Przypominała jej matkę, która patrzyła na nią z nieba. Sama zaprojektowała logo sklepu: złota dziewiątka na tle pięknej, letniej chmurki. Miała przypominać o tym, gdzie jest matka i jak bardzo ją kochała. Tak jak ona będzie kochać Mike'a. Michael Ezekiel Loring Talbot. Wystarczyło, że o nim pomyślała, a serce wezbrało tak wielką miłością, że zacisnęła powieki. Tak niedawno była przekonana, że wraca z nią do domu. Tak niedawno była pewna wielu rzeczy.

Do pokoju ponownie weszła pielęgniarka.

- Louise, czy masz dzieci? -spytała.
- Tak, dwie córki.
- Dziewczynki. -Pomyślała o Snow. -W jakim wieku?
- Sześć i osiem lat.
- Piękny wiek.

Kiedy to powiedziała, natychmiast uświadomiła sobie, że każde dziecko jest piękne bez względu na wiek. Czy tak nie było z jej synem? Każdy rok przynosił coś nowego. Nawet ten ostatni, naznaczony gniewem, wrogością i ucieczką.

Louise zatrzymała się przy oknie. Pewnie myślała o swoich córeczkach. Kto się nimi opiekował? Czy miała męża? Czy był ojcem dziewczynek, drugą osobą po matce, która kochała je równie mocno jak ona? A może oddawała je pod opiekę babci lub opiekunek, tak jak ona Mike'a.

- Kiedy kończysz dyżur?
- O ósmej rano.

Dziewczynki będą w tym czasie szły do szkoły. Pomyślała o Willu, który nie mieszkał z córką. Ona i Mike przynajmniej byli razem. Mieszkali pod jednym dachem, wstawali rano i jedli płatki przy stole kuchennym. Odprowadzała go do szkoły do siódmego roku życia. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Pielęgniarka usiadła przy jej łóżku.

- Oglądałam kartę -powiedziała. Sara przełknęła ślinę i kiwnęła głową.
- Przykra sprawa.

W pokoju było ciemno, lecz do środka sączyło się żółte światło z korytarza. Sarze zrobiło się zimno. Otuliła się szczelniej kocem. Louise wstała, wyjęła z szafki dodatkowy koc i przykryła nim Sarę.

- Rozmawiała pani z doktor Boswell? -spytała, kiedy ponownie usiadła przy łóżku. -Chemioterapia daje dziś mnóstwo możliwości.

Sara pokręciła przecząco głową. Wydawało jej się, że słyszy szum sosen i morza na wyspie Elk. Stamtąd pochodziła. Medycyna nie uratuje jej przed własnym ciałem. Nie chciała być podłączona do aparatów ani poddawać się kolejnym eksperymentom. Pragnęła jedynie zobaczyć Willa i morze.

- Zawsze myślałam, że będę wiedziała, kiedy nadejdzie moja godzina -powiedziała.
- Co takiego? -spytała łagodnie Louise.
- Jak... odejść?

Łzy spłynęły jej w kąciki ust. W zeszłym roku latem wszystko wydawało się takie proste, bo nie miała żadnej nadziei. Mike

wyjechał, nie znała jeszcze Willa.

Ustalili z doktorem Goodacre i doktor Boswell, że w razie przerzutów nie będzie dalej walczyła. Jej choroba była jak fala: mogła się cofnąć w stronę morza lub wrócić i zabrać ją ze sobą. Jako mieszkanka wyspy Elk wiedziała, że morza nie da się pokonać.

- Jak mam odejść? -powtórzyła.

Drżała teraz, wstrząsana dreszczami. Miła pielęgniarka trzymała ją za rękę, siedząc przy łóżku, kiedy inni spali. Sara zagryzła wargi. Poczuła smak soli i palący ból w plecach. Myślała o Mike'u i o Willu.

Louise nie zrozumiała, że Sara zadała jej pytanie. Była młodą osobą, przepracowaną i tęskniącą za dziećmi, a teraz starała się podtrzymać na duchu umierającą kobietę. Nie wiedziała, że Sara cierpi wewnętrznie, że pragnie, aby ktoś jej powiedział, jak sobie poradzić z tą nową dla niej sytuacją. Jak pożegnać się z synem i mężczyzną, którego kochała.

Snow wcześnie się obudziła. Doktor Darrow spał z nią przez całą noc, zwinięty w kłębek tuż przy policzku. Kiedy poczuł, że się poruszyła, zaczął mruczeć, przysunął się bliżej i trącił ją zimnym noskiem. Zaśmiała się i ucałowała mały pyszczek.

Leżąc pod ciepłą kołdrą, wyobrażała sobie, że jest na wyspie Elk. Słyszała szum fal i czuła chłodne powietrze przenikające przez szpary w ścianach. Czuła się tam taka szczęśliwa, jakby była członkiem rodziny Sary. Mogło sobie być zimno, bo dom ogrzewały kominki, koty i przede wszystkim ludzie. Nic dziwnego, że Sara była taka wspaniała, skoro wychowała się w takim miejscu. Snow wsunęła się głębiej pod kołdrę i pomyślała o niej. Czy nadal jest w szpitalu? Czekała wieczorem na telefon od ojca, lecz się nie odezwał.

Zabrzęczał budzik, choć na dworze było jeszcze ciemno. Godzina szósta trzydzieści, czas wstawać do szkoły. Jak Mike da sobie radę w życiu bez szkoły? Miała nadzieję, że przemyśli to, zdecyduje się wrócić do Fort Cromwell, by podjąć przerwaną naukę. Musi tylko mieć spokój i czas na zastanowienie. Nie chciała przez to powiedzieć, że ma pretensję do Sary. Nie. Była dobrą matką i chciała dla syna jak najlepiej.

Wstała z łóżka i obserwowała, jak Doktor Darrow podbiega do

okna. Przycisnął nosek do szyby i odskoczył przestraszony chłodną taflą. Potem spostrzegł zięby siedzące w karmniku i chciał na nie skoczyć. I znów szyba mu w tym przeszkodziła. Snow wybuchnęła śmiechem i wzięła go na ręce. Żałowała, że nie może zostać w domu razem z nim. Miała własnego kota, jej i Mike'a, który będzie przypominał dni spędzone na wyspie. Dzięki niemu życie w tym domu stanie się znośniejsze. Wreszcie będzie miała bratnią duszę w tej jaskini rządzonej przez pieniądz i dziwaczną miłość. Nie mogła już patrzeć na to, jak matka usiłuje odczytać z twarzy Juliana, czy jest zadowolony, czy zły. Gdyby dłużej to trwało, pewnie wkrótce musiałaby poprosić o pomoc prawdziwego doktora Darrowa.

Ubierając się, postanowiła, że nie pojedzie autobusem, lecz rowerem. W drodze powrotnej do domu sprawdzi, czy sklep Sary jest otwarty. Poza tym na rowerze dobrze się myślało, a ona chciała powspominać pobyt na wyspie Elk i wszystko, co tam zaszło. Nadszedł czas, by zmienić imię, a najlepsze pomysły wpadały jej do głowy w czasie jazdy rowerem.

Will nie zmrużył oka przez całą noc. Nie mógł przestać myśleć o Sarze. Leżała tam sama w szpitalu. Kiedy doktor Goodacre przekazał jej tę straszną wiadomość, Will postanowił, że z nią zostanie. Przesiedział na brzegu łóżka, póki nie skończył się czas odwiedzin. Niewiele mówili. Zbyt ich przytłaczało to, czego się dowiedzieli. Za każdym razem, gdy chciał zadać jakieś pytanie, wydawało mu się bezsensowne.

Obejrzeli wspólnie wiadomości o szóstej. Pokazywali ich wypadek. Podchodzenie samolotu do lądowania, najazd kamery na zepsute podwozie, ich twarze widoczne przez szyby samolotu i wreszcie zderzenie z ziemią. Patrząc na to z dystansu, Will mógł się przekonać, jak dramatyczne były te chwile. Groziło im poważne niebezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, mogli zginąć. Patrzył jak zahipnotyzowany na ekran telewizora. Sara trzymała go za rękę i mruczała coś o bohaterskiej postawie.

Pokręcił głową. Cóż znaczyło lądowanie w porównaniu z tym, co czekało Sarę? Patrzył w ekran i miał wrażenie, jakby to nie on brał w tym udział. Kiedy kamera pokazała, jak wynosi Sarę z płonącego

samolotu, tak mocno ścisnął jej rękę, że aż krzyknęła. Gdyby to było takie proste, pomyślał, gdyby to mogło uratować życie Sarze.

Weszła pielęgniarka, by zrobić zastrzyk, i spojrzała zdziwiona na Willa. Zawahała się, czy go wyprosić, czy pozwolić zostać. Nie widziała pani karty Sary? - chciał zapytać Will. Nie mamy czasu na rozstania. Jednak przepisy zwyciężyły. Pielęgniarka kazała mu wyjść, a Sara go nie zatrzymywała.

O świcie nie mógł już dłużej leżeć bezczynnie. Myślał jedynie o pojechaniu do szpitala i o przekonaniu jej do zmiany zdania. Dwa tygodnie to zbyt krótko. Chciał być z nią dłużej. Powinni doczekać wspólnie czterdziestki, pięćdziesiątki, sześćdziesiątki, siedemdziesiątki, a nawet osiemdziesiątki, tak jak George i Bess. Pięćdziesiąt wspólnych lat, gdyby była zdrowa.

Wyszedł z łazienki i spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści. Zaparzył kawę i wypił ją przy kuchennym stole. Kuchnia była mała, bezosobowa. Kiedy przeprowadzał się do tego mieszkania, nie dbał zbytnio o umeblowanie. Utrzymywał wszystko w czystości tak jak na okręcie. Z lodówki uśmiechała się do niego Snow na szkolnej fotografii, a na ścianie wisiał jego portret namalowany przez nią na kursach malarstwa.

Przyjemnie byłoby mieć coś od Sary. Rozejrzał się po kuchni i próbował sobie wyobrazić, jak ona by ją urządziła. Nigdy nie był u niej w domu, jedynie w sklepie i na wyspie Elk. Miała wyjątkowy gust. Tak bardzo kochała przyrodę i życie. Wyobraził sobie, jak dekorują mieszkanie na Boże Narodzenie, wybierają ozdoby, jadą na wieś po sosnowe gałęzie, ubierają choinkę, po prostu prowadzą wspólne życie.

Tego właśnie pragnął: przeżyć z nią życie. Nie była cudotwórczynią, a wróciła mu Freda i sprawiła, że znalazł nową rodzinę. Nie uczyniła z niego lepszego człowieka. Po prostu była. Weszła w jego życie i teraz pójdą dalej razem. Nie pozwoli jej odejść.

Ponownie spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Zostały mu jeszcze cztery godziny do wizyty w szpitalu. Czy na wyspę Elk dotarły wiadomości o wypadku lotniczym? Czując potrzebę kontaktu z Sarą, postanowił zatelefonować na wyspę Elk.

- Mike? - spytał, kiedy usłyszał jego głos.

- Tak. Czy to Will?
- Tak.

W słuchawce rozległo się chrząknięcie. Mike powtórzył jego imię i Will domyślił się, że przekazuje informację George'owi lub Bess. Nie miał pojęcia, co powie. Chciał po prostu uczestniczyć w życiu Sary. Poza tym było zbyt wcześnie, by iść do szpitala. Wyobraził sobie otuloną śniegiem wyspę, świt wstający nad stalowozimnym morzem, gęganie gęsi budzących się ze snu i szybującego po niebie orła. Ściskając w dłoni słuchawkę, wyobraził sobie Mike'a stojącego w ciepłej kuchni, a obok dziadka i ciocię Bess.

- Wszystko w porządku? - spytał Mike.
- Tak - odpowiedział i domyślił się, że o niczym nie wiedzą. - Mieliśmy mały kłopot przy lądowaniu.
- Mały kłopot?
- Tak. Podwozie się zablokowało, ale w końcu wylądowaliśmy.
- Mieliście wypadek? -spytał Mike. Wypadek? -usłyszał gdzieś w tle głos George'a.
- Mieliśmy ciężkie lądowanie - wyjaśnił, nie chcąc ich zbytnio niepokoić. Niepotrzebnie zadzwonił. Poczuł ucisk w gardle. Miał do przekazania coś, do czego nie miał prawa. Sara powinna sama powiedzieć synowi i ojcu o swoim stanie.
- Ale z matką i Snow wszystko w porządku?
- Ze Snow tak.
- A z matką? Zawahał się.
- Jest w szpitalu.
- Dlaczego? - spytał Mike.

Nie mógł powiedzieć mu prawdy, lecz nie mógł też kłamać.

- Z powodu kręgosłupa.
- Uszkodziła kręgosłup w czasie lądowania?
- Nie.

Usłyszał szarpaninę, podniesione głosy.

- Daj mi słuchawkę! - rozległ się głos George'a. - Co się, u diabła, dzieje? -spytał w końcu starszy pan.
- Witaj, George - powiedział Will.
- Co z jej kręgosłupem?
- Boli ją.

- To rak - powiedział głucho George.

Mijały sekundy. Nie on, lecz Sara powinna poinformować o wszystkim ojca i syna, przekazać to po swojemu, delikatnie. Czuł pieczenie pod powiekami.

- Tak, George. To rak -rzekł w końcu.

- Cholera.

- Rak? -posłyszał znowu głos Mike'a. Musiał pewnie podnieść słuchawkę wiszącą w hallu na górze.

- Przykro mi -odpowiedział Will.

Zaległa cisza. Cała trójka oswajała się z nowiną. Ktoś westchnął głęboko. Will oczekiwał, że George wybuchnie gniewem, powie, że cały czas to przed nimi ukrywała, wygłosi jakąś tyradę podszytą strachem i gniewem. Nie zrobił tego, jedynie ciężko westchnął.

- Czy to pewne? - spytał Mike. - Lekarze nie dają nadziei?

- Nie - odparł Will.

Znowu zapadła cisza. Gdyby któryś z nich spytał: „Ile zostało jej czasu?", był przygotowany na przekazanie tej strasznej, niewyobrażalnej nowiny. Stał przy oknie w kuchni, patrzył, jak szarzeje świt, i czuł głośne bicie serca.

- Chcę przy niej być -oznajmił Mike. -Dziadku, powinniśmy wsiąść dziś na prom i pojechać do Fort Cromwell.

- Dobry pomysł, chłopcze - odparł George. - Ale mam lepszy. Will, masz jeszcze jeden samolot? Może przyleciałbyś po nas? Bylibyśmy tam szybciej i opowiedziałbyś nam, co mówią lekarze.

- Nie.

- Nie? -powtórzył gniewnie George.

- Will -odezwał się schrypniętym głosem Mike. -Przepraszam, jeśli zachowywałem się jak palant, ale my i tak przyjedziemy.

- Myślałem o czymś innym.

- No dobra, nie ma o czym mówić - warknął George.

- Chcę przywieźć ją na wyspę -powiedział Will. Mignęły mu przed oczami różne obrazy: spokój, piękno, miłość rodziny, bliskość matki. Zobaczył kaplicę, samotną i uświęconą, na samym krańcu wyspy. Kaplicę, w której nie dane było Sarze wziąć ślubu.

- Czy to rozsądne? -spytał George. -Powinna być w szpitalu. Tam są lekarze i nowoczesna aparatura.

- Potrzebuje doktora Goodacre -powiedział Mike. -I pani Ferguson.

- Potrzebuje ciebie, Mike. Ciebie i George'a. Przywiozę ją do domu.

George głośno wypuścił powietrze, a Mike odchrząknął. Will spojrzał na zegarek. Jeśli teraz wyjdzie, za pół godziny znajdzie się na lotnisku. Mógłby polecieć cessną, ale czekał go jeszcze przegląd. Zajmie mu to cały ranek. Będzie w szpitalu koło południa, akurat kiedy zacznie się czas wizyt.

- Do diabła! -powiedział nagle George.
- Nie kłóć się ze mną - odparł Will. - Ja...
- Dziadku, on stara się pomóc -powiedział Mike, stając w obronie Willa.

- Nie kłócę się z nim - odpowiedział George z bezdennym smutkiem w głosie - lecz z Bogiem. Dlaczego Sara, pytam? Dlaczego Rose i teraz moja Sara? Możesz mi odpowiedzieć?

- Nie - odrzekł Will.

Następna godzina minęła mu na przygotowaniach. Przejrzał notes i odwołał połowę lotów. Potem zatelefonował do Steve'a Jenkinsa, cywilnego pilota na emeryturze, który czasami mu pomagał, i poprosił, żeby go zastąpił. Steve był doskonałym pilotem i można było na nim polegać. Z chwilą gdy Steve wyraził zgodę, Will opuścił biuro. Myślał jedynie o zawiezieniu Sary do domu.

# Rozdział XXIII

Kiedy Snow przyjechała tego ranka do szkoły, okazało się, że będzie miała tylko połowę lekcji. Nauczyciele mieli jakąś konferencję, więc uczniów zwolniono do domu przed lunchem. Zjeżdżając na rowerze ze szkolnego wzgórza, Snow zastanawiała się, po co w ogóle poszła dziś do szkoły. Gdyby wiedziała, zostałaby o dzień dłużej na wyspie Elk. Jednak widocznie tak chciał los. Zawsze lubiła filozoficzne zagadki. Pędząc jak szalona przez miasto, rozważała różne możliwości.

Wszystkie sklepy miały już świąteczną dekorację: zielone wianuszki, łańcuchy, migające światełka tworzące wielkomiejską

galaktykę. Od kilku dni nie padało i leżący na ulicach śnieg zrobił się szary i obrzydliwy. Gdzie tam mu do tego z wyspy Elk, pomyślała.

Zatrzymała się przed sklepem Sary i spojrzała w ciemną witrynę. Żadnych świateł, żadnych łańcuchów. To dziwne. Sądziła, że Sara udekoruje wystawę zaraz po przyjeździe. Czyżby była jeszcze w szpitalu? Na szybie widniała przyklejona od wewnątrz kartka. Podeszła bliżej i przeczytała: *„Sklep będzie zamknięty do poniedziałku włącznie. Tymczasem trzymajcie się ciepło i słodkich snów".*

Zmarszczyła brwi. Sara napisała tę kartkę przed wyjazdem na wyspę, więc musiała być nadal w szpitalu. Czyżby coś poważnego? Ona wyszła z wypadku z zaledwie kilkoma siniakami i zadrapaniami. Nagle przemknęła jej przez głowę straszna myśl: Może Sara znowu jest chora. Wskoczyła na rower i popedałowała do domu.

Wspinając się na wzgórze Windemere, modliła się w duchu, by z Sarą było wszystko w porządku. Musiała podzielić się swymi obawami z matką. Miała nadzieję, że Julian jest w pracy i testuje samochody na torze czy coś w tym rodzaju. Chciała powiedzieć matce, że nie zastała Sary w sklepie, i namówić ją, by zatelefonowała do szpitala. Szkoda, że ojciec z nimi nie mieszka.

Tak się przejęła Sarą, że zupełnie zapomniała o ostrożności. Kiedy więc dotarła na szczyt wzgórza, nie mogła złapać tchu. Wyciągnęła inhalator i kilka razy głęboko odetchnęła.

- Wcześnie wróciłaś - zauważyła matka, stając w drzwiach.

- Cześć... mamo... -wydyszała. -Nauczyciele... mają... konferencję.

Matka skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?"

- Co? -spytała Snow.

- Nic - odparła matka, zaciskając usta. Zaraz jednak uśmiechnęła się, objęła córkę i ucałowała w oba policzki. -Ach, prawda, konferencja. Nie zajrzałam dziś do kalendarza.

Snow kiwnęła głową, starając się odzyskać oddech. Chciała zwierzyć się matce ze wszystkich obaw. Czuła, że Alice nie lubi Sary, musiała więc zrobić to ostrożnie. Odetchnęła głęboko.

- Mamo, znasz Sarę Talbot?

- Tę, z którą spędziłaś Święto Dziękczynienia? - spytała z

niechęcią w głosie Alice. - Tak, wiem, o kogo chodzi.

- Martwię się o nią. Powinna być w sklepie, ale jej nie ma. Myślisz, że nadal jest w szpitalu?

- Byłaś w jej sklepie? A spytałaś, czy możesz tam pojechać? Susan, kiedy się wreszcie nauczysz, że musisz mnie informować, dokąd się wybierasz? Boże! Gdybyś miała wypadek albo ktoś cię napadł...

- Ale nikt mnie nie napadł, mamo - powiedziała cicho Snow.

Zrozumiała, że popełniła błąd. Sama powinna zatelefonować do szpitala. Odsunęła się od matki. To było dziwne uczucie, bo z jednej strony potrzebowała jej, a z drugiej chciała od niej uciec.

- Zostaniesz ukarana, Susan -oświadczyła chłodno matka. - Zamierzałam poczekać z tym do powrotu Juliana, ale myślę, że powiem ci to teraz.

- Ukarana?

- Czy wiesz, jak się o ciebie niepokoiliśmy -spytała matka, oblewając się rumieńcem -kiedy nie wróciłaś w środę do domu? A potem ten telefon z New Hampshire, że lecisz na wyspę do ludzi, których nawet nie znam.

- Znasz tatę.

Alice pokręciła głową.

- Nie bądź bezczelna. Idź do swojego pokoju i przemyśl to. Chcę, żebyś dobrze wszystko zrozumiała. Nie wymyśliłam ci kary dla zabawy. Bardzo cię kocham, Susan. I Julian...

- Nawet o nim nie wspominaj - weszła jej w słowo Snow. Nikt jej jeszcze nie ukarał. Wiedziała, że źle postąpiła i zdenerwowała matkę, ale nie ma zamiaru wysłuchiwać, że „Julian troszczy się o ciebie" lub co gorsza, że „cię kocha".

- Właśnie, że powiem. Julian jest twoim ojczymem i moim mężem. Możesz go nie lubić, ale troszczy się o ciebie.

- Och! -jęknęła Snow, zatykając sobie uszy.

- Naprawdę. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to dla nas trudne? Chcemy, żebyś była szczęśliwa, żebyśmy byli rodziną.

- Jesteśmy rodziną - powiedziała Susan. - Ale Julian do niej nie należy.

- Jest moim mężem, a twoim ojczymem, kochanie. On nie ma

własnych dzieci. Może nie jest doskonały, ale bardzo się stara. Wiesz, co powiedział o tym głupim kocie? „Pozwól go jej zatrzymać". Byłam wściekła na twojego ojca i na tę jakąś tam Sarę, że pozwolili wziąć ci kota, nie zważając na twoje uczulenie.

- Doktor Darrow?

- I jeszcze to jego imię - powiedziała matka ze łzami w oczach. - A my staramy ci się pomóc...

- Gdzie on jest? -spytała z bijącym sercem Snow.

- Oddałam go do schroniska -wyjaśniła Alice, wybuchając płaczem. - Kochanie, jesteś uczulona. Nie możesz mieć kota. Przecież wiesz...

- Do schroniska? -zawołała z rozpaczą w głosie Snow. -To jest mój kot. Potrzebuje mnie.

- Obiecali, że znajdą mu jakiś miły dom - zawołała za nią Alice, lecz Snow nie zamierzała jej słuchać. Jak szalona wbiegła na górę do swojego pokoju.

Sara czekała na Willa. Tak szybko stała się od niego zależna. Nie musiał przychodzić, ale wiedziała, że przyjdzie. Kiedy wszedł do pokoju, leżała z głową opartą na poduszce i uśmiechała się. Już sam jego widok sprawiał jej radość.

- Cześć -powiedział, podchodząc do niej i siadając na brzegu łóżka.

- Cześć, Will.

- Jak się dziś czujesz?

- Bez zmian.

- Bardzo cię boli?

- Nie.

Dostawała środki znieczulające, więc ataki bólu nie były tak ostre, nie ustąpiły jednak zupełnie. To tak jak ból zęba w całym ciele. Teraz kiedy Will był przy niej, mogła spokojnie pomyśleć. Jakie to dziwne, że stał się dla niej równie niezbędny jak powietrze czy słońce. Póki nie wkroczył w jej życie, doskonale dawała sobie radę sama. Teraz jednak potrzebowała go, by mieć jasny umysł.

- Widziałaś się z doktorem? -spytał.

- Tak. Był u mnie dziś rano. Zrobili mi badania i pewnie zajrzy

później. Tęskniłam za tobą.

- I ja za tobą.

Tylko na to czekał. Pochylił się i otoczył ją ramionami. Sara zamknęła oczy, czując, jak przenikają jego siła. Mogła tak leżeć bez końca.

- Nie przerywaj - szepnęła, kiedy zaczął rozluźniać uścisk.

- Telefonowałaś do Mike'a? - spytał.

- Ciii. - Zacisnęła powieki i wzmocniła uścisk. Nie chciała stawiać czoła faktom i rzeczywistości.

- Bo ja telefonowałem - powiedział. Otworzyła szeroko oczy.

- Chyba mu nie powiedziałeś?

- Powiedziałem.

- Will! - Usiłowała się podnieść. - Nie zrobiłeś tego. Powiedz, że żartujesz.

- Czemu miałbym żartować, Saro?

- Przecież nie mogłeś tak po prostu powiedzieć mu, że mam przerzuty. Mike jest taki wrażliwy i boi się... Nie chcę znowu go stracić, kiedy właśnie go odzyskałam. -Ogarnął ją gniew i nie mogła dalej mówić.

- Chciał tu przyjechać - powiedział Will.

- Jak mam to rozumieć? - Ręce zaczęły jej drżeć.

- Kiedy mu powiedziałem, chciał przyjechać i być przy tobie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Mike przyjedzie do Fort Cromwell? - powtórzyła. Jej oczy wypełniły się łzami. Tak bardzo tego pragnęła.

- Mike i twój ojciec.

- Och, Will.

Ukryła twarz w dłoniach. Wprost nie mogła w to uwierzyć. Mike chciał tu przyjechać, a także ojciec, którego nic nie było w stanie wyciągnąć z wyspy. Wyobraziła sobie zdumienie na pomarszczonej twarzy, kiedy jego wyspa zniknie w oddali. Wezbrała w niej taka miłość, że na dobre się rozszlochała. Will przytulił ją do siebie.

- Jeśli chcesz, przywiozę ich -powiedział stłumionym głosem. - Ale myślałem o czymś innym.

- O czym?

- Wiem, że cię boli, że żądam od ciebie zbyt wiele, ale jeśli chcesz, zawiozę cię do domu.

- Naprawdę?

- Tak, Saro, naprawdę.

Uniosła wzrok. Zobaczyła błękitne niebo, bezmiar oceanu, szybującego orła, ciemne sylwetki sosen nad brzegiem zatoki. Chwyciła Willa za rękę i mocno uścisnęła. Było to najwłaściwsze i najlepsze z rozwiązań.

- Zawieź mnie do domu, Will - powiedziała.

Godzinę później otrzymali zgodę doktor Boswell. Zwiększyła dawkę środka przeciwbólowego na czas podróży i przeszła na morfinę, bo ból mógł przybrać na sile. Will otrzymał instrukcje od lekarki i zawiadomił Meg Ferguson, która natychmiast przyjechała do szpitala i przekazała cenne rady, podczas gdy pielęgniarki szykowały Sarę do podróży.

- Nie martw się, że dasz jej za dużą dawkę -mówiła Meg ze łzami w oczach. - Jeśli tylko cię poprosi, nie wahaj się.

- Dobrze.

- Czy będzie tam miała jakąś opiekę?

- Ciotka Sary to załatwia. Skontaktowała się z hospicjum w Maine i mają przysłać pielęgniarkę środowiskową.

- Dobrze. Hospicjum, wiesz, co to znaczy?

- Wiem, Meg.

Jej głos brzmiał szorstko i apodyktycznie, lecz po policzkach spływały łzy.

- Chciałabym ją pielęgnować -powiedziała, wycierając oczy. - Chętnie poleciałabym z wami, ale nie mogę zostawić Mimi.

- Sara to rozumie.

- Cholera, myślałam, że z tego wyjdzie.

- Ona też.

- Miałabym ochotę urwać głowę Mike'owi - stwierdziła Meg. - Nie było cię w czasie chemioterapii i naświetlań, to nie wiesz, że przez cały czas mówiła tylko o nim. Teraz musi tłuc się aż na wyspę Elk, by zobaczyć syna po raz ostatni.

- Nie dlatego tam jedzie - odparł Will.

Nie mogła tego zrozumieć. Była wściekła na świat, na coś

potężniejszego od niej, i nie zamierzała wybaczyć Mike'owi. Była nie tylko pielęgniarką, ale i przyjaciółką Sary.

- Noszę to od miesiąca -powiedziała, sięgając do torby i wyjmując zdjęcie. -Zamierzałam dać je Sarze.

Wręczyła Willowi fotografię, która przedstawiała jego i Sarę na festynie. Stali między stoiskiem z hot dogami a namiotem z wiecznym ogniem. Obejmowali się jak kochankowie. Willa zaskoczył wyraz własnej twarzy. Wyglądał, jakby był zakochany do szaleństwa.

- Mimi zrobiła to zdjęcie -wyjaśniła Meg.

Patrzył na parę splecioną w uścisku. Każde z nich mogło pójść własną drogą i nigdy więcej się nie spotkać. Tymczasem los złączył ich na zawsze.

- Mogę je zatrzymać? -spytał.
- Oczywiście.

Podziękował i wsunął fotografię do wewnętrznej kieszeni.

- O czym jeszcze muszę wiedzieć? -spytał.

Stali na szpitalnym korytarzu i Will co chwila spoglądał na drzwi do pokoju Sary, czekając, aż wyjdzie pielęgniarka i powie, że Sara jest gotowa.

- To nie będzie łatwe -ostrzegła Meg.
- Tracę ją - powiedział ochrypłym głosem. - Nie chcę, żeby było łatwo.

Meg dotknęła jego ramienia. Drzwi się otworzyły i wyjechała z nich Sara na wózku. Will starał się uśmiechnąć, żeby dodać jej otuchy. Wyglądała na słabą i zmęczoną. Jak on zdoła dowieźć ją na wyspę? Korzystając z tego, że Meg przykucnęła przy wózku Sary, spróbował się opanować.

- Mimi prosiła, żebym życzyła ci przyjemnej podróży - powiedziała Meg.

- Podziękuj jej -odrzekła Sara. -Poznała mnie ze wspaniałym pilotem.

Meg uśmiechnęła się do Willa i kiwnęła głową.

- Jest niezły -stwierdziła.

Chciał powiedzieć coś zabawnego, zaprzeczyć tym pochwałom, lecz czuł, jak ukryte na piersi zdjęcie pali mu skórę, i mógł jedynie myśleć o wyrazie swoich oczu.

- Jesteś moją przyjaciółką - powiedziała Sara, ściskając Meg za rękę.

- A ty moją - odparła Meg, przykrywając dłonią jej dłoń.

- Tyle ze mną przeszłaś -dodała Sara.

- Mam wielu pacjentów, lecz niewielu zostało moimi przyjaciółmi tak jak ty.

- Twoi pacjenci mają szczęście.

Meg pokręciła głową i otarła łzy z oczu. Z kieszeni białego fartucha wystawał jej stetoskop, a płócienna torba wypchana była kartami pacjentów. W tej chwili jednak była zwykłą kobietą, która przyszła się pożegnać. Żadne kursy nie dawały instrukcji, jak należy to zrobić. Łkając rozpaczliwie, ukryła twarz na ramieniu Sary.

Will ze ściśniętym sercem obserwował tę scenę. Sara była spokojna i opanowana. Obie były mniej więcej w tym samym wieku, obie były matkami, lecz jedną z nich czekało to, czego wszyscy się obawiali. Meg wspierała Sarę w czasie trudnych miesięcy leczenia, a teraz Sara podtrzymywała na duchu pielęgniarkę, która pozwoliła sobie na chwilę słabości.

W drodze na lotnisko Sara spojrzała na Willa.

- Chciałabym pożegnać się ze Snow.

Stali właśnie na światłach. Will wziął ją za rękę. Morfina sprawiła, że całe ciało miała jak z ołowiu. Spotkanie z Meg nie należało do łatwych, nie mogła jednak unikać tych, których kochała. Powieki jej ciążyły, a w ustach czuła suchość. Will patrzył na nią intensywnie błękitnymi oczyma. Z trudem mogła skupić na nich uwagę.

- Będzie chciała z nami polecieć - powiedział.

- Wiem.

- Matka jej nie puści.

- Nie musi z nami lecieć - odparła. -Powiemy jej, że tym razem to niemożliwe. Ale muszę się z nią pożegnać.

- Saro. - W oczach Willa błyszczała troska. - Już sam lot będzie dla ciebie trudny. To spotkanie was obie wytrąci z równowagi.

- Will, proszę cię. - Nie miała siły dyskutować. –Snow nie miała okazji pożegnać się z Fredem. Pomyśl, jak będzie się czuła.

Milczał przez chwilę, po czym kiwnął głową. Objął dłońmi

kierownicę i spojrzał na Sarę.

- Masz rację.

Snow zatelefonowała do szpitala. Powiedziano jej, że Sara została wypisana, jednak nie było jej w sklepie ani w domu. Usiłowała skontaktować się z ojcem, lecz odzywała się tylko sekretarka. Czuła, że ogarnia ją coraz większa panika. A jeśli wyszli gdzieś razem i zapomnieli o niej właśnie teraz, kiedy najbardziej ich potrzebowała?

Doktor Darrow był w schronisku. Jak ojciec i Sara mogli spędzać czas na romantycznej randce, kiedy jej kotkowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo? Już na samą myśl o schronisku zbierało jej się na płacz. Wyobraziła sobie wstrętny betonowy budynek wypełniony skamlącymi, porzuconymi zwierzętami, którymi opiekowali się jacyś okropni nieczuli ludzie.

Doktor Darrow pomyśli pewnie, że go porzuciła. Najpierw się cieszył, że jest potomkiem sławnej kotki i ulubieńcem nowej pani, a teraz trzęsie się z zimna i strachu, atakowany przez większe koty, a może nawet psy, i myśli, że ona go już nie kocha. Musi go stamtąd wyciągnąć. Musi.

- Susan - rozległ się głos matki.

Drzwi do pokoju były zamknięte. Skuliła się i objęła rękoma poduszkę. Julian wrócił dziś wcześniej z pracy i oboje z matką siedzieli na dole i czekali, aż ona zejdzie. Będą musieli jeszcze długo czekać. Kroki matki stukały po podłodze niczym buty więziennego wartownika.

- Susan! -zawołała z troską w głosie Alice.

Snow wyobraziła sobie, jak na twarzy matki pojawia się pionowa zmarszczka, jak zwykle gdy ktoś, kogo kocha, ma kłopoty i nie postępuje jak należy. Nagle zapragnęła ją zobaczyć.

- Mam na imię Snow.

- Tak. Kochanie... Ojciec jest na dole. Lepiej się pospiesz.

W jednej chwili zerwała się z łóżka, potykając o coś po drodze. Nie zwróciła jednak na to uwagi. Coś się musiało stać. Ojciec nigdy nie przychodził do tego domu, chyba że przyjeżdżał po nią lub odwoził. Może jakimś cudem dowiedział się o kocie i odebrał go ze schroniska? Minęła matkę, nawet na nią nie patrząc, choć

najwyraźniej chciała jej coś powiedzieć, i zbiegła po wielkich marmurowych schodach, jakie czasami widzi się w filmach. Stojący na dole Julian wskazał jej drzwi do biblioteki.

- Tato! - zawołała, wpadając jak burza do pokoju. - Oni zabrali Doktora Darrowa do schroniska.

- Kochanie. - Położył jej dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy. Tylko raz widziała to spojrzenie.

- Co się stało?

W tej jednak chwili zobaczyła Sarę. Siedziała na kozetce pod portretem dziadka Juliana. Snow wolno do niej podeszła. - Cześć, Saro.

- Cześć, Snow.

- Słyszałaś, co się stało z Doktorem Darrowem? - spytała, zniżając głos. - Moja mama uważa, że mam na niego uczulenie. Ale to nieprawda. Zamierzam go odzyskać.

- Susan, miewasz okropne ataki duszności - odezwał się Julian tonem gospodarza domu. - Wszyscy o tym wiemy.

- Testy nie wykazały, że jest uczulona na koty -odpowiedział Will- - Nie pozwoliłbym jej wziąć kota, gdyby tak było.

- Odzyskam go - powiedziała Snow do Sary, ignorując obu mężczyzn. Chciała ją uspokoić, że kotek z wyspy będzie kochany jak należy, choć tak źle został potraktowany. Nagle dotarło do niej, że w bibliotece zebrały się wszystkie ważne dla niej osoby- Uśmiechnęła się i spojrzała Sarze w oczy.

- Czy to nie dziwne? -spytała.

Sara pokręciła głową.

- Nie sądzę.
- Dlaczego?
- Bo jesteśmy tu z twojego powodu - odrzekła Sara**.**

Rzeczywiście. Zebrali się tu, bo ona ich wszystkich łączyła. Miała ochotę się roześmiać, lecz uświadomiła sobie, że jeszcze chwila, a wpadnie w histerię. Coś jednak było nie tak.

- To nie chodzi o Doktora Darrowa, prawda? - spytała, siadając obok Sary.

Sara pokręciła głową. Dopiero teraz Snow zauważyła, jaka jest blada. Miała białą skórę i zamglone spojrzenie, co było u niej

niespotykane. Nie mogła też skupić wzroku. Nadal jednak się uśmiechała.

- To o co chodzi? - spytała Snow.
- Przyjechałam, żeby się z tobą pożegnać.
- A dokąd wyjeżdżasz?
- Wracam na wyspę.
- Sama?

Długo nie odpowiadała i wtedy ojciec przyszedł jej z pomocą.

- Ze mną - powiedział.
- Co? Mogę jechać z wami? Jeśli ty jedziesz, to ja też. Powiedz mu, że mi pozwalasz, mamo...

Sara ścisnęła ją za rękę. Snow kątem oka dostrzegła, że matka robi krok w ich stronę, lecz nie odezwała się.

- Nie, Snow - powiedziała Sara. - Nie możesz jechać z nami.
- Nie rozumiem. To po co tam jedziesz?
- Susan... - zaczęła matka drżącym głosem, a Julian otoczył ją ramieniem.
- Znowu jestem chora -wyjaśniła Sara.
- Nie...

Snow przycisnęła dłonie do ust. To niemożliwe. Tak dobrze się czuła. Przecież jeszcze niedawno jeździły na nartach, modliły się za Mike'a, gdy wpadł do stawu. Sara miała różowe policzki, nosiła drewno, miała apetyt.

- Chcę być z Mikiem i twój ojciec zawiezie mnie do niego.
- To niesprawiedliwe - powiedziała Snow.

Tylko Sara zrozumiała, co ma na myśli. Pozostali podeszli bliżej, przekonywali, że powinna zostać w Fort Cromwell, bo szkoła, bo dom, bo matka. Słyszała każde zdanie, lecz wyrzucała je ze świadomości. Nie mówiła o wyjeździe na wyspę. Uważała, że to niesprawiedliwe, że Sara znowu jest chora.

Sara wzięła ją za rękę. Jej włosy nadal wyglądały wspaniale. Trudno uwierzyć, że przed dwoma tygodniami były takie okropne, żółtoszare, a teraz miały taki piękny białozłoty odcień.

- Masz wspaniałe włosy - powiedziała, splatając palce z palcami Sary.
- Dzięki tobie.

Schyliła głowę, czując w ustach słony smak łez. Dłoń Sary była taka drobna i ciepła. Czuła, jak emanuje energią. Ta energia wypełniała pokój i otaczała wszystkich obecnych.

- Zobaczę cię jeszcze? - spytała tak cicho, że tylko Sara mogła ją usłyszeć.

- Nie sądzę.

Snow skinęła głową. Zamknęła oczy i chłonęła obecność Sary. Jest przy mnie, myślała. Wkrótce odejdzie, ale teraz jest. Nie miała okazji przeżyć tego z Fredem. Nie doświadczyła tego momentu odejścia, kiedy zniknął jej z oczu i z życia. Ścisnęła mocno dłoń Sary.

- Mam kilka rzeczy po moim bracie -powiedziała.

- Na przykład skarpetki -podsunęła Sara.

Snow kiwnęła głową, podciągnęła spodnie i pokazała ciemnobrązowe skarpety.

- Imiona były dla mnie bardzo ważne - dodała bezosobowym głosem. Alice jęknęła. Snow usłyszała ból w głosie matki, mówiła jednak dalej. - Imiona mi go przypominają. On bardzo kochał śnieg.

- Wiem.

- Zastanawiałam się, jakie będzie następne. Musi zaczynać się na literę S. Chciałabym, by wiązało się z Gwiazdką. Byłabym bliżej Freddiego na święta.

- Na pewno coś wymyślisz - powiedziała Sara.

- Na pewno. -Snow spojrzała Sarze w oczy.

- Och, Susan! -Ciałem matki wstrząsał szloch.

- Wiem, że nie znałaś Freda - powiedziała Snow, ściskając ręce Sary. - Ale mnie się wydaje, jakbyś go znała. - Teraz kiedy zaczęła o tym mówić, wiedziała, że za chwilę nie będzie mogła się powstrzymać od płaczu, i z całych sił starała się nad sobą panować. -Kiedy tylko chciałam, mogłam o nim z tobą porozmawiać, a ty mnie słuchałaś. Jak zobaczyliśmy wieloryba i powiedziałam, że ma anielskie skrzydła, wiedziałaś, że myślałam o Fredzie. Prawda?

- Tak.

- Pokochałabyś go - dodała Snow.

- Myślę, że tak.

- Nie choruj.

Te słowa bezwiednie wyrwały się z ust Snow i nie mogła już ich

cofnąć. Wiedziała, że brzmią głupio, że tylko robi przykrość Sarze, bo gdyby mogła, na pewno by wyzdrowiała. Dlatego wybuchnęła płaczem i przytuliła się mocno do niej.

- Piękny był ten wieloryb - szepnęła Sara, gładząc Snow po głowie.

- Zobaczysz go... kiedy... przyjedziesz na wyspę - powiedziała, jąkając się Snow.

- Zobaczę.

Snow poczuła rękę ojca na głowie. Powiedział coś szeptem. Na myśl o tym, że muszą zaraz wyjść, znowu się rozpłakała. Wywołało to atak astmy i sięgnęła po inhalator.

- Chcę nazywać się Sara - powiedziała. - To twoje imię, ale wiąże się z Fredem. Poprzez wieloryba.

- Dziękuję ci - odpowiedziała Sara.

Snow kiwnęła głową. Czuła się strasznie nieszczęśliwa. Nadal ściskała dłonie Sary. Za kilka minut pozostanie po Sarze tylko jej imię. Noszenie czyichś skarpet, wymyślanie imion nie mogły się równać z żywym człowiekiem. Słyszała, jak matka pociąga nosem, a Julian szepcze scenicznym głosem: „Później o tym porozmawiamy".

- Jestem zaszczycona - powiedziała Sara. - Ale może pomyślałabyś o innym imieniu?

- Na przykład jakim?

- Na przykład Susan.

- Susan?

Sara skinęła twierdząco głową, a Snow wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

- To piękne imię -powiedziała Sara. -Nadali ci je rodzice.

- Ale to nie wystarczy - odrzekła Snow. - To tylko moje imię, które nic nie znaczy i z niczym się nie kojarzy.

- Fred znał cię jako Susan - tłumaczyła łagodnie Sara, nie puszczając jej rąk. - Nie jako Snow, nie jako Sarę.

- Ale ja tęsknię za nim -odparła Snow, krzywiąc buzię. -I za tobą też będę tęsknić.

- Wiem - uśmiechnęła się Sara. - Dlatego chciałam się z tobą zobaczyć. Bo ja też będę za tobą tęsknić.

- Ale nie będzie już innych Sar.

- Może Mike nazwie tak swoją córkę. A może nie... -dodała z uśmiechem, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Snow spuściła głowę i zagryzła wargi. Oczy Sary błyszczały jak wtedy, kiedy ją poznała. Snow zapragnęła, żeby tak już zostało. Kiedy jednak ponownie na nią spojrzała, te piękne oczy znowu zaszły mgłą. Sara patrzyła na nią tak długo, póki Snow nie odwróciła wzroku.

- Musimy już iść - powiedział ojciec.

Trzymał dłoń na ramieniu Sary, a drugą wyciągnął do córki. W tym momencie podeszła matka i również wyciągnęła rękę. Snow musiałaby puścić dłonie Sary, żeby ta odpowiedziała na gest rodziców.

Alice patrzyła z troską na córkę. Snow nie dostrzegła w jej oczach zazdrości o Sarę. Nie miała również pretensji do Willa ani nie obawiała się reakcji Juliana. W jej spojrzeniu płonęła jedynie szczera i czysta miłość do córki.

- Tato, tylko dolećcie bezpiecznie na miejsce - poprosiła Snow, nie spuszczając wzroku z Sary.
- Oczywiście -odparł ojciec.
- Bez żadnych kłopotów.

W tej chwili mogła jeszcze prosić rodziców o zgodę na lot, lecz coś ją powstrzymało. Ogarnął ją dziwny spokój i dreszcz przebiegł po plecach. Dłonie Sary ogrzewały jej ręce ciepłym uściskiem. Patrząc jej w oczy, Snow zobaczyła wyspę: ciemną zatokę, zorzę polarną i Mike'a.

- Kochanie, tata mówi, że już czas na nich - usłyszała głos matki.

Sara kiwnęła głową, Snow odpowiedziała tym samym, po czym odwróciła się do matki. Poczuła nagle ogromną miłość i wdzięczność, jakby dotąd nie rozumiała, jakie ma szczęście. Ojciec spojrzał na zegarek. Wielki zegar w hallu wybił godzinę drugą.

- Kochanie - powtórzyła matka.
- Mam na imię Susan - mruknęła, obejmując Sarę po raz ostatni, po czym puściła jej dłonie i podała ręce rodzicom. Wstała z kozetki i zamknęła oczy. Za chwilę Sara zniknie. Kiedy otworzy oczy, zobaczy ją po raz ostatni.
- Dziękuję - usłyszała, jak matka mówi do Sary.
- Ma pani wspaniałą córkę - powiedziała Sara.

Susan kołysała się na drżących nogach, trzymając rodziców za ręce i bojąc się tego, co zobaczy.

- Kocham cię - szepnęła, nie kierując tych słów do konkretnej osoby. Właściwie nie miało znaczenia, kto je usłyszy. Otworzyła oczy i wszyscy nadal tam byli.

# Rozdział XXIV

Dom.

To słowo dodawało Sarze sił i wypełniało myśli przez całą drogę z Fort Cromwell na wsypę Elk. Silniki szumiały basowo, jak aparatura do badania mózgu, powtarzając w kółko: dom, dom, dom.

Środki przeciwbólowe otumaniały ją. Meg wpompowała w nią potężną dawkę morfiny. Pielęgniarki w szpitalu założyły jej weflon, a Meg włożyła w niego wielką igłę wypełnioną narkotykiem. Kiedy ból powracał, Will robił to samo. Morfina sprawiła, że przestała się bać. Zniwelowała też ból, dzięki czemu była w stanie wytrzymać długą drogę z Nowego Jorku, przez Vermont, New Hampshire, z międzylądowaniem w Portsmouth dla zatankowania paliwa, a potem do Maine i na wyspę Elk.

Dom, myślała Sara. Dom, dom.

- Tak, lecimy do domu - powiedział Will. Czyżby mówiła na głos?

- Jesteśmy już prawie na miejscu? -spytała.

Jedna jej ręka leżała na kolanie, a drugą trzymała na zimnej szybie okiennej. Czuła pod palcami jej chłód, lecz tylko chłód, bo ból w plecach zniknął.

- Tak, Saro - odpowiedział niskim, głębokim głosem Will, dźwięcznym niczym silniki samolotu. Tak bardzo go kochała. Głos Willa przywodził na myśl filmy z lat sześćdziesiątych. Słyszała go jak przez mgłę. Zapewne był to skutek działania narkotyków. Miała wrażenie, że się unosi i zanurza w jakimś nierzeczywistym świecie.

- To musi się skończyć -powiedziała.

- Co? - spytał.

Przestraszyła go, bo raptownie odwrócił głowę w jej stronę. Nie zdawała sobie sprawy z tonu swego głosu. Tkwiła w jakimś kokonie,

otulona przez mgłę. Miała spuchnięty język i ciężkie powieki. W polu widzenia pojawiło się morze, lecz była zbyt otępiała, by zwrócić na to uwagę.

- Koniec z narkotykami - oznajmiła.
- Saro, ból będzie zbyt ostry - powiedział.
- Chcę mieć jasny umysł.

Nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Po prostu pilotował samolot. Podjęcie decyzji o odsunięciu środków przeciwbólowych rozproszyło nieco mgłę. Ból przyczaił się w dole kręgosłupa, a gwałtowniejszy ruch przypomniał, że wciąż tam jest. Kiedy organizm nie otrzymał kolejnej dawki morfiny, ból się nasilił. Za to zmysły się wyostrzyły.

Kiedy w dole pojawiły się ośnieżone wysepki, Sara chwyciła Willa za rękę. Jakaś jej część pragnęła, by Susan była teraz z nimi, żeby schowała się, jak poprzednim razem, i wyskoczyła zza tylnego siedzenia, gdy samolot wylądował. Z drugiej strony cieszyła się, że będą sami.

Zbliżając się do wyspy, samolot przeciął białe smugi na błękitnym niebie. Sara zobaczyła skały na północy, zatokę na południu, kaplicę na wschodzie i czekała na pojawienie się orła. Może Mike będzie na nich czekał na lądowisku.

- Jesteśmy na miejscu - szepnęła, patrząc na Willa rozjaśnionym wzrokiem.

W odpowiedzi ścisnął jej rękę.

Czekał na nich komitet powitalny. Will postarał się wylądować najdelikatniej, jak potrafił, mając świadomość, że środki przeciwbólowe przestały działać. George i Bess mieli miny ponure jak noc, a Mike starał się uśmiechać. Towarzyszyła im pielęgniarka z bezosobowym wyrazem twarzy, ubrana w granatową kurtkę, spod której wystawała biała spódnica. Pchała przed sobą fotel na kółkach.

Will wyniósł Sarę z samolotu. Objęła go za szyję i poczuł jej oddech na policzku. Zapragnął nagle zabrać ją gdzieś i kochać się z nią, planować podróże i wspólne życie. Powinni zamieszkać bliżej morza. Nie mógł przestać o tym myśleć, nawet gdy sadzał ją w fotelu. Pochylił się i zanurzył usta w jej włosach.

- Saro - powiedział z powagą w głosie George. Wyglądał, jakby miał sto lat.

- Cześć, tato - odpowiedziała Sara. - Cześć, ciociu Bess.

- Witaj, kochanie.

Ciocia Bess jako jedyna nie bała się jej dotknąć. Objęła ją i ucałowała. Kiedy odsunęła się od fotela, Sara uśmiechnęła się do Mike'a.

- Witaj, Mike.

- Cześć, mamo.

Zawahał się, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Will miał ochotę porządnie nim potrząsnąć. Zacisnął palce na rączkach fotela. Sara rozwarła ramiona, a Mike pochylił się z ociąganiem. Zaraz jednak wzmocnił uścisk i wyglądało na to, że nie ma ochoty jej puścić.

- Jak reaguje na środki przeciwbólowe? -spytała Willa pielęgniarka.

Omiótł ją spojrzeniem. Miała koło pięćdziesiątki, była niska i korpulentna, o włosach koloru soli z pieprzem. Poorana zmarszczkami twarz promieniowała życzliwością, a głos brzmiał miło i łagodnie.

- Nie chce ich brać -odpowiedział.

Podczas lotu on odpowiadał za Sarę. Jej decyzja o odstawieniu morfiny przeraziła go, teraz jednak mógł się tym podzielić z pielęgniarką. Niech ona przekona Sarę, by nadal brała środki przeciwbólowe.

- Mam na imię Marta. - Przykucnęła przy fotelu Sary. -Jestem dyplomowaną pielęgniarką i jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać.

Sara popatrzyła na nią z uwagą.

- Czy my się znamy? - spytała. - Jesteś z wyspy? Twoja twarz wydaje mi się znajoma.

- Pochodzę z Camden - odparła Marta. - Ale sporo podróżowałam po Maine. Mogłyśmy się spotkać. Jestem pielęgniarką środowiskową.

- Och, pielęgniarka środowiskowa -ucieszyła się Sara. Pewnie przypomniała jej się Meg, pomyślał Will. Patrzyła przez chwilę na pielęgniarkę, po czym zamknęła oczy i zaciągnęła się chłodnym słonym powietrzem. Musiała być zmęczona po podróży. Will domyślał się, że cierpi, lecz nie dawała tego po sobie poznać.

- Podać ci środek przeciwbólowy? - spytała Marta.

- Nie chcę już ich brać - odparła zdecydowanym tonem Sara, jakby oczekiwała, że pielęgniarka zacznie ją namawiać.

- Wiele osób z nich rezygnuje - powiedziała Marta.

- Jesteś pewna, kochanie? -spytała ciocia Bess.

- Tak - odparła Sara i Will zauważył, że patrzy na Mike'a.

- Jedźmy więc - rzucił gburowatym tonem George. -Za zimno, by sterczeć tu cały dzień.

Dom wyglądał tak, jak go zostawili przed dwoma dniami. Kominek zdobiła dekoracja, którą wspólnie z Willem układali. Ogień buzował wesoło i koty rozbiegły się po kuchni, kiedy otworzyły się drzwi. Ciocia Bess podeszła prosto do kuchni.

- Gulasz wołowy -oznajmiła, mieszając w garnku.

- Twój ulubiony - dodał ojciec z nadzieją w głosie. Sara domyśliła się, że chce, aby coś zjadła, lecz nie była w stanie niczego przełknąć.

- Chciałabym się położyć - powiedziała.

Mike zajął się bagażami, a Will wziął Sarę na ręce. Oparła mu głowę na piersi. Czuła, jak szybko bije mu serce. Narkotyki przestały działać i całe jej ciało płonęło z bólu. Jednocześnie miała tak jasny umysł, że wszystko dostrzegała.

Otaczały ją zapachy dzieciństwa. Ciocia Bess umyła okna i szyby błyszczały w słońcu. Gelsey skakała radośnie, witając gości. Na parapecie okiennym leżał starannie złożony różowy sweter Susan, którego zapomniała zabrać.

Dostrzegła, że Mike się boi. Dziwnie się zachowywał i unikał jej wzroku. Wchodził po schodach jako pierwszy.

- Nie do tego pokoju -powiedziała.

- Nie? -zdziwił się Mike, stając w progu.

- Do tego. - Wskazała na dawny pokój Willa, ten z wielkim łóżkiem, w którym umarła matka.

- Mogę spać w twoim pokoju - powiedział Will.

- Zostań ze mną - poprosiła Sara, nie podnosząc głowy. -Dobrze?

Przytulił ją delikatnie. Ból stał się nieznośny. Miała wrażenie, jakby potężne zęby wbijały się w kręgosłup i szarpały ciało. Płuca bolały ją przy każdym oddechu.

Marta przygotowała łóżko w innym pokoju, lecz nie miało to

znaczenia. Mike odrzucił kołdrę na wielkim łożu, a Will ułożył Sarę na materacu i wsunął jej nogi pod kołdrę. Potem pochylił się, by wyjąć dodatkowy koc ze stojącej w nogach łóżka dębowej skrzyni, i wtedy Sara pochwyciła spojrzenie syna. W jego oczach czaił się paniczny strach.

- Chodź tu - powiedziała.

- Gdzie? - Stał przy łóżku jak sparaliżowany, rzucając wzrokiem na boki, jakby bał się oddychać.

- Tutaj. - Poklepała kołdrę.

Usiadł ostrożnie na brzegu łóżka. Wyglądał poważnie, jak dorosły mężczyzna. Wciąż ją to zaskakiwało. W myślach widziała go jako sześcioletniego chłopca, lecz w rzeczywistości był ogromny. Zachciało jej się śmiać.

- Co się stało? -spytał urażonym tonem.

- Jestem szczęśliwa.

- Jak możesz być szczęśliwa? - wybuchnął, a w jego oczach pojawił się ból.

- Bo jesteś przy mnie.

- Czy to... - urwał- przeze mnie? Bo nie wróciłem z tobą do domu?

- To? -powtórzyła, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Nawrót choroby.

Pokręciła przecząco głową. Zawsze pragnęła zobaczyć swojego syna na słonecznej ścieżce, nie wiedziała jednak, gdzie ta ścieżka jest. Teraz zrozumiała. W życiu dokonuje się różnych wyborów. Żaden nie jest doskonały i żaden nie jest zły, dopóki wkłada się w niego serce, bierze pod uwagę innych i postępuje zgodnie z zasadami. Wezbrało w niej uczucie dumy z syna.

- Nie, Mike. Miałeś rację.

- W związku z czym? - spytał zaskoczony.

- Tu jest nasz dom -powiedziała, a potem ogarnęło ją takie zmęczenie, że zamknęła oczy i usnęła.

Marta zaglądała do niej kilka razy. A może to była jej matka? Ból płata różne figle udręczonemu umysłowi. Krzywiąc się przez sen, poczuła chłodną dłoń na rozpalonym czole. Delikatne palce łagodnie muskały powieki i włosy.

- Boli! - jęknęła.
- Wiem, kochanie - powiedziała kobieta.

Za oknem świecił księżyc w pełni. Rzucał blask na śnieg i zalewał srebrzystym światłem ścieżkę prowadzącą nad przystań. Powierzchnię morza rozświetlały złocistozielone smugi płynącego wieloryba. Sosna, którą Sara udekorowała dla matki na ostatnie Boże Narodzenie, znacznie urosła, lecz znów tonęła w powodzi świateł i ozdób choinkowych. Szybujący po nocnym niebie orzeł wolno poruszał skrzydłami. W szparach między deskami gwizdał wiatr, wprawiając w drgania szyby okienne.

Ból stał się nieznośny. Jego macki otoczyły całe ciało i trzymały w śmiertelnym uścisku. Sara krzyknęła i ścisnęła miękką dłoń kobiety.

- Proszę - jęknęła. - Powstrzymaj go.
- Powstrzymam, kochanie - obiecała kobieta.

Kiedy po kolacji Will przyszedł na górę, zastał Sarę stojącą przy oknie. Ubrana była w białą koszulę nocną i wpatrywała się w morze zalane księżycowym światłem. Ten widok zaskoczył Willa. Zatrzymał się w drzwiach z bijącym sercem..

- Saro.

Odwróciła się ku niemu. Wyglądała równie pięknie jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Kiedy tak stała skąpana w księżycowym blasku, przez chwilę miał wrażenie, że widzi ducha. Ona jednak podeszła do niego, przytuliła się i pocałowała namiętnie w usta.

- Co się stało? -spytał.
- Ból minął - odpowiedziała. - Nie wiem, jak i dlaczego, ale już go nie czuję.

Poprowadziła go do łóżka i delikatnie pchnęła na kołdrę. Zaczęli się rozbierać, z początku wolno, lecz gdy Will przekonał się, że nie sprawia jej bólu, coraz niecierpliwiej. Miała rozpalone ciało, jakby płonęła w niej gorączka. Przywarła do Willa, a on całował jej usta, sunąc dłońmi po całym ciele i czując pod palcami gładką, jedwabistą skórę.

Odpowiadała mu z równym żarem i namiętnością. Jęknęła, kiedy w nią wszedł. W pierwszej chwili pomyślał, że sprawił jej ból, lecz

objęła dłońmi jego twarz i zamknęła usta głębokim pocałunkiem, zapewniając, że się myli. Oddawała mu siebie całą, a on nie pozostawał dłużny, przekazując jej całą swoją miłość płynącą z najgłębszych pokładów duszy i serca.

Nie chcieli tracić czasu na sen, kiedy więc jedno zaczynało drzemać, drugie natychmiast budziło delikatnym szeptem.

- Will.

Natychmiast oprzytomniał. Zegar dziadka wybił czwartą.

- Nie mogę spać -powiedziała.
- Ja też nie.
- Dobrze, bo ja nie chcę spać.
- Ja też nie. - Nie chciał tracić ani minuty.
- Wiesz, miałam dziwny sen o matce.
- Czemu dziwny?
- Wydawał się taki realny, jakby ona była przy mnie. Czy Marta zaglądała do mnie wieczorem?
- Raz czy dwa - odpowiedział, głaszcząc ją po głowie. Nie chciał jej rozczarować i zniszczyć intymnego nastroju. Sara wydawała się taka szczęśliwa, jakby znowu była zdrowa, jakby w ogóle nie chorowała.
- Może to była Marta, ale nie sądzę - powiedziała Sara. -Myślę, że to była moja matka.
- Może i tak - zgodził się Will, który sam wiele razy widział Freda w snach. Była taka rozkoszna w jego ramionach, taka ciepła i senna. Przesunęła dłonią po piersi i pocałowała w ramię. A jeśli jej stan się poprawił? Jeśli jakimś cudem wyzdrowiała?

Przypomniał sobie, jak się poznali w czasie lotu widokowego nad jesiennymi wzgórzami Fort Cromwell. Czy wtedy już wiedział, że ją kocha? W czasie dożynkowego festynu musiał zdawać sobie z tego sprawę. Dowodem była fotografia zrobiona przez Mimi. Kiedy trzymał teraz Sarę w ramionach, gotów był uwierzyć, że ich losem kierowało przeznaczenie.

Odrzucił kołdrę i przyciągnął Sarę do siebie.

- Możesz wstać? - spytał.
- Tak, ale po co?

Wstał, ściągnął kołdrę z łóżka i otulił ich oboje. Z bijącym sercem

podprowadził Sarę do okna.

- Jak pięknie - szepnęła, patrząc na srebrzystą smugę rzucaną przez księżyc na niebieskoczarną taflę wody.

- To ty jesteś piękna - powiedział.

- Widzisz to drzewo? -spytała, wskazując na wysoką ciemną sosnę.

- Tak.

- To jest choinka mojej matki. Przyczepiłam świece do gałęzi i zapaliłam je.

- Podobało jej się?

- Bardzo.

Zmrużyła oczy, jakby widziała mrugające ogniki świec, czego Will nie mógł dostrzec, nawet gdyby bardzo się starał. Czemu przywiózł ją na wyspę? Przecież pożegnała się ze wszystkimi w niedzielę. Ta podróż nie była najlepszym pomysłem, biorąc pod uwagę stan zdrowia Sary, jak i to, że tak niedawno "mieli wypadek. Wydawało się to bezsensowne i jednocześnie najwłaściwsze.

- Saro... - powiedział, odwracając ją ku sobie.

Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- Wyjdziesz za mnie?

- Och, Will...

- Dzisiaj, w kaplicy - dodał. - Wyjdziesz za mnie?

- Tak -odrzekła. Jej odpowiedź uczyniła go najszczęśliwszym z ludzi i utwierdziła w przekonaniu, że zrobił słusznie, przywożąc ją na wyspę. -Zostanę twoją żoną.

- Chciałabym tam teraz być - szepnęła Susan.

- Wiem, kochanie -powiedziała matka.

- Cieszymy się, że jesteś z nami - dodał Julian.

Tak bardzo się starał, że nie miała sumienia, by rzucić mu nienawistne spojrzenie. Siedzieli przy śniadaniu, wpatrując się w miseczki ze stygnącą owsianką. Mały miś, mama misiowa i ojczym misiowy. Julian związał włosy błyszczącą frotką. Susan zastanawiała się, czy zrobił to celowo. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi się pospieszyć, by zdążyć na szkolny autobus.

- Muszę iść do szkoły -powiedziała, odsuwając krzesło.

- Nie, nie musisz -odrzekł Julian.

- Przepraszam, ale chyba wiem, kiedy mam lekcje -stwierdziła z wyższością.

- Zostaniesz dziś w domu -powiedziała cicho matka. Susan podniosła na nią wzrok. Wyglądała okropnie, jakby nie spała od miesięcy. Miała fioletowe cienie pod oczami. Za to jasne włosy lśniły równie pięknie jak zawsze, a cera odbijała świetlne refleksy. Włożyła dziś sweter z czerwonego kaszmiru z zielonymi rękawami i złotymi guzikami.

- Dlaczego? -spytała Susan, czując ucisk w żołądku. -Czy wiecie coś o Sarze?

- Nie - powiedział pospiesznie Julian. - W przeciwnym razie byśmy ci powiedzieli.

- Umówiliśmy cię na wizytę z doktorem Darrowem -wyjaśniła matka.

- Och, nie - jęknęła Susan.

Pomyślała o Mike'u. Co by na to powiedział? Stanęły jej przez oczami fotografie rodzinne doktora, przedstawiające okropną parę bliźniąt z poduszeczkami do pływania na pulchnych ramionkach i jego żonę o kasztanowych włosach, obwieszoną biżuterią.

- Byłam ślepa -oświadczyła matka. Susan nie zwróciła na nią uwagi.

- Czemu ślepa? -spytała w końcu z niechęcią.

- Bo nie dostrzegałam, jakie to dla ciebie trudne.

- Przeprowadzka - dodał Julian. - Ojczym. Nie wszystko można nazwać pasmem rozrywek.

- Nie wszystko? Ładnie powiedziane - mruknęła Susan. W myślach wróciła do imienia Snow. Może zmieni je na Sleet[†*] -To zaledwie drobna część tego, co wymieniłeś.

- W takim razie podaj inne powody.

- ŚF, rozwód, oddanie kota do schroniska.

- Co to jest ŚF? - spytał z powagą w głosie. Widać było, jak bardzo się stara ją zrozumieć.

---

[†] * *Sleet (ang.) - deszcz ze śniegiem (przyp. tłum.).*

- Śmierć Freda - wyjaśniła.
- Żałuję, że go nie znałem.
- Wiele osób tak mówi -powiedziała Snow, patrząc na swoje skarpetki. Były w czarno-żółte paski i Fred nosił je do czarnych dżinsów lub brązowych sztruksów.
- Nigdy mi o nim nie opowiadałaś.
- Bo nigdy nie chciałeś słuchać.
- Skąd wiesz? Nawet nie próbowałaś.
- Był super, był wspaniały, był po prostu Fredem.
- To wszystko?
- Lubił piłkę nożną i kochał baseball. Był fielderem między drugą i trzecią bazą i potrafił szybko biegać. Piekielnie szybko. Nazywał mnie Zuze lub Zeus.
- Zeus - przypomniała sobie Alice.
- Ciągle naśmiewał się z mojego imienia.
- Był starszy od ciebie - powiedziała matka. - Znał twoją prababkę Susan. Była... można powiedzieć „silna", lecz to zbyt delikatne określenie.
- Nazywał ją babsztylem.
- Rządziła domem jak władczyni Olimpu - wyjaśniła Alice ze smutnym uśmiechem. - Pewnie dlatego Fred nazywał cię Zeusem.
- Nigdy nie mówił do mnie Susan.
- Dlatego ciągle zmieniasz imiona? - spytał Julian.
- Oczywiście - odparła, powstrzymując łzy.
- Rozumiem. -Stuknął palcem w łyżeczkę. Nic nie rozumiesz, pomyślała Susan. - ŚF. Śmierć Freda. Rozumiem -powtórzył. - Ten kotek był całkiem miły -dodał po chwili.
- Rzeczywiście -przytaknęła matka.
- Był ekstra kotem -powiedziała z goryczą w głosie Susan, myśląc o Sarze. -Oni mi zaufali, byli pewni, że będzie mu u mnie dobrze. Jego pra-pra-pra-prababką była Desdemona, kotka, która należała do matki Sary.
- Wspaniałe pochodzenie - stwierdził Julian, mieszając owsiankę.
- No pewnie.
- Może zbyt ostro zareagowaliśmy -powiedziała matka.

Susan uniosła głowę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Twój ojciec miał rację. Nie masz alergii na koty.
- Mówiłam ci.
- No cóż, powinnam była uwierzyć - stwierdziła z westchnieniem.
- To znaczy, że mogę go zatrzymać?
- Tak.
- O Boże! -Susan poczuła, że coś ściska ją w gardle. Serce zabiło jej z radości. Pochyliła głowę i pomyślała, jaka Sara byłaby szczęśliwa, wiedząc, że prawnuk kotki jej matki wróci do prawowitej właścicielki. - Dzięki, mamo.
- Nie ma za co, kochanie. Obawiam się jednak, że schronisko jest dziś zamknięte. Telefonowałam tam. Będziemy musieli zaczekać do jutra.

Julian uśmiechnął się szeroko.
- Nie ma obawy, moje panie - powiedział. - Mam znajomego...
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Susan.

Julian wszędzie miał znajomości. Jeśli chcieli zamówić stolik w najlepszej restauracji, Julian miał znajomego, który mógł to załatwić. Kiedy na koncert Rolling Stonesów nie było już biletów, Julian miał znajomego, który mógł zdobyć bilety. Kiedy chcieli kupić fotel w stylu Chippendale, Julian miał znajomego w domu aukcyjnym Christie's, który mógł to załatwić.
- Mam znajomego, który pracuje w miejskim garażu -wyjaśnił. - Był moim mechanikiem. Schronisko jest tuż obok, w tym samym budynku. Na pewno ma do niego klucz.
- Czy moglibyśmy pójść tam teraz? - spytała Susan, wstając z miejsca.
- Po drodze do prawdziwego doktora Darrowa - powiedziała z uśmiechem matka.
- Naprawdę muszę do niego iść? Matka kiwnęła głową.
- Skoro muszę...
- Jeśli matka mówi, że tak, to najwyższy czas się ubierać - powiedział Julian, obejmując ją ramieniem.

# Rozdział XXV

Sara obudziła się ze świadomością, że oto jest świadkiem małego cudu. Dziś miała wziąć ślub. Will wstał przed godziną, pocałował ją i zszedł na dół, by wszystko przygotować. Przeciągnęła się, nasłuchując, czy nie odezwie się ból. Ustąpił w nocy i do tej pory nie powrócił. Podeszła do okna i pomyślała: Dzisiaj umrę.

Po wczorajszej słonecznej pogodzie nie było śladu. Gęste chmury zapowiadające opady śniegu zasnuły niebo. Zrobiło jej się zimno i zadrżała.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzała Bess. Kiedy zobaczyła, że Sara nie śpi, weszła do środka z wielkim pudłem w rękach. Ciężko jej było poruszać się bez pomocy chodzika, lecz w oczach płonęła duma i radość.

- Saro - powiedziała, oblewając się rumieńcem. - Kiedy Will nam powiedział, nie mogłam w to uwierzyć. Ale bardzo się cieszymy. Wszyscy.

Położyła pudło na łóżku.

- Dziękuję, ciociu Bess - powiedziała Sara, pozwalając, by starsza pani ją uściskała. Jej ciało było miękkie i pulchne i tak przyjemnie było się do niej przytulić.

- Will jest kochany - powiedziała ciocia Bess. - Bardzo go lubię.

- Ja też -odrzekła Sara.

Bess odsunęła ją od siebie na wyciągnięcie ramion i przyjrzała się z uwagą. Musiała wcześnie wstać, bo zdążyła włożyć sztuczną szczękę, umyć włosy, uróżować policzki i umalować usta. Miała na sobie ciemnozieloną sukienkę, odpowiednią na czas zbliżających się świąt. Szyję zdobił łańcuch pereł, a uszy perłowe kolczyki, które dostała od wuja Artura na piętnastą rocznicę ślubu.

- Tak długo czekałam na ten dzień - powiedziała. Podeszła do łóżka i otworzyła pudło. Sara domyśliła się, że jest to jej stara suknia ślubna.

- Nie mogę -zaczęła, czując wzbierającą w niej panikę i smutek. Włożyć sukni, którą uszyłaś mi na ślub z Zekiem, chciała powiedzieć, jednak kiedy zajrzała do pudła, zobaczyła suknię znaną jej z fotografii ślubnej matki.

- Rose była taka śliczna - powiedziała Bess, wyjmując z pudła białą jedwabną suknię. - Kiedy George przywiózł ją do domu, nie posiadałam się z radości. Pokochałam ją jak własną siostrę. Myślisz, że jej suknia będzie na ciebie pasować?

Sara dotknęła materiału, czując pod palcami niezwykłą miękkość. Odwróciła się w stronę komody i spojrzała na stojącą na niej fotografię matki. Uśmiechała się do obiektywu i tak było przez całe życie. Nie odrywając wzroku od fotografii, Sara uniosła suknię w górę. Zużyto na nią wiele metrów jedwabiu, a mimo to była lekka jak piórko.

- Mam nadzieję, że będzie pasowała - szepnęła, przykładając ją do szczupłego ciała. Czuła się bardzo zmęczona, lecz fotografia matki i suknia dodały jej sił.

- Na pewno -stwierdziła Bess z przekonaniem doświadczonej krawcowej.

- Ciociu Bess, nie czuję już bólu -powiedziała nagle Sara.
- Wiem, kochanie.
- Jak myślisz, co to znaczy?
- To znaczy, że masz coś ważnego do zrobienia.
- Wziąć ślub z Willem - powiedziała Sara.

Po podwórzu spacerowały gęsi. George i Mike stali przy dżipie, czekając na Sarę, Bess i pielęgniarkę. Will przechadzał się wolno przed domem. Wszyscy trzej ubrani byli podobnie jak większość mieszkańców wyspy. Will nie przywiózł ze sobą garnituru, a żaden ze znajdujących się w domu na niego nie pasował. Mike i George mieli na sobie odświętne ubrania, on zaś w swojej skórzanej kurtce wyglądał jak pilot marynarki.

- Zastanawiałeś się nad tym? -spytał George.
- Bardzo długo - odparł Will.
- Ale nie na tyle, żeby zabrać ze sobą garnitur -stwierdził George, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.
- Przed wyjazdem musiałem załatwić kilka spraw -wyjaśnił Will.
- Dziadku - powiedział ostrzegawczym tonem Mike.
- To moja jedyna córka -wybuchnął George.
- Ona chce wyjść za niego.

- No pewnie - prychnął George. - W przeszłości nie umiała mądrze wybierać mężczyzn. - Ciekawe, jak by zareagowali, gdyby się dowiedzieli, że mam na sobie ten sam garnitur co w dniu niedoszłego ślubu Sary z Zekiem Loringiem. I proszę, jak się to skończyło.

- Will jest w porządku - stanął w jego obronie Mike.

- Wtargnął w nasze życie i wywrócił wszystko do góry nogami.

- Cóż takiego wywróciłem do góry nogami? - spytał Will, kładąc nacisk na „do góry nogami", jakby żartował sobie z George'a.

- A chociażby to, że omal jej nie zabiłeś w czasie lądowania.

- Przyczyną była usterka techniczna. Podwozie się nie wysunęło.

- Nie sprawdzasz swoich samolotów? -spytał George. Im dłużej o tym myślał, tym większy rósł w nim gniew.

Stojąc twarzą w z twarz Willem miał ochotę rzucić się na niego. Czuł, jak wzbiera w nim furia, mięśnie się napinają i w myślach wymierza mu cios.

- Sprawdzam swoje samoloty, George.

- Omal się nie rozbiłeś. Chryste!

- Przepraszam. W porządku?

- Nie, nie w porządku. Myślisz, że krótkie przeprosiny wszystko załatwią?

- O co jeszcze chodzi?

- O to, że znów jest chora! -wybuchnął George. Will znieruchomiał. Reakcja George'a zaskoczyła go.

- Potrzebowała spokoju - mówił dalej George, patrząc na niego płonącymi oczyma. - A nie uniesień emocjonalnych. Może gdyby nie poznała ciebie, wróciłaby na wyspę. Zaopiekowalibyśmy się nią, ja, Mike i Bess. Prawda, Mike?

- Dziadku, przestań -powiedział ochrypłym głosem Mike.

- A to wszystko ją zdenerwowało -ciągnął George. -I organizm tego nie wytrzymał. Niech to szlag.

- Niech to szlag -powtórzył Will.

George odwrócił się, by ukryć łzy. Ta sama choroba zabrała mu Rose. Ona też nie chciała leżeć, musiała się we wszystko angażować. Kochała go do samego końca, przytulała się, kiedy tylko miała po temu okazję. Tak bardzo jego i Sarę kochała. I ta namiętność przyspieszyła rozwój raka.

- George? -usłyszał głos Willa.
- Co? -warknął.
- Zapomniałem cię o coś poprosić.

George odetchnął głęboko. Było chłodno i oddechy zmieniały się w obłoczki pary. Gardło miał tak ściśnięte, że każde słowo sprawiłoby ból. Odwrócił się więc i kiwnął Willowi głową.

- George, chciałbym prosić cię o rękę twojej córki.

Stojąc po kostki w śniegu, starszy pan spojrzał w niebo.

- Znowu zaczyna padać ten cholerny śnieg.

- George, proszę. - W głosie Willa brzmiały miękkie, pojednawcze tony. Cały gniew gdzieś się ulotnił.

George wolno skinął głową. Mike również się nie sprzeciwiał. Śnieg zaczął na dobre prószyć.

- Dobrze. Daję ci moje błogosławieństwo -powiedział George.
- Kocham twoją córkę.

Starszy pan rzucił mu ukośne spojrzenie. Przyszły oblubieniec wyglądał jak kupka nieszczęścia, jak marynarz, który zbyt długo pozostawał na lądzie. Miał posiwiałe włosy i zmęczone oczy.

Miało się wrażenie, jakby nie spał od kilku dni. Dobrze przynajmniej, że się ogolił. George odchrząknął i już chciał powiedzieć „Komandorze", lecz z jego ust wyszły zupełnie inne słowa.

- Wiem, synu. - Objął przyszłego zięcia i poklepał go po plecach.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Sara. Zaskoczona padającym śniegiem i widokiem trzech mężczyzn, zatrzymała się na ganku, patrząc ze zdziwieniem na rozgrywającą się scenę. Will płakał, a George go obejmował, pilnując, by nie zobaczył Sary. Byłby to zły znak, gdyby zobaczył pannę młodą przed ślubem.

Dziedziniec kościelny pokrywał świeży puch. Zanim dojechali na miejsce, śnieg padał gęstymi płatkami. Kamienny kościółek przetrwał już wiele śnieżnych burz. Stał nad brzegiem morza, wciśnięty w ziemię. Na drzwiach wciąż wisiał zielony wieniec. George wprowadził Willa do kościoła. Bess robiła, co mogła, by w samochodzie nie odwracał głowy, bo z tyłu siedziała Sara.

Sara została w samochodzie razem z synem, podczas gdy inni weszli do środka. Czuła się zdenerwowana i wiedziała dlaczego.

Miała trzydzieści siedem lat, dorosłego syna i po raz pierwszy wychodziła za mąż.

- Wszystko w porządku? -spytał Mike.

Kiwnęła twierdząco głową.

- Ciepło ci?

- Tak - odparła, choć cała się trzęsła.

- Przed godziną byłem w kościele i włączyłem grzejniki. W środku powinno już być ciepło.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś taki troskliwy.

- Nigdy tego nie mówiłaś.

- A powinnam. - Uświadomiła sobie, jak często zostawiała go samego, myśląc jedynie o pracy i randkach.

Wzruszył ramionami.

- Snow chciała tu przyjechać -powiedziała Sara.

- Tak?

- Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zostanie z matką. Wiem jednak, że ucieszyłaby się, gdybyś się do niej odezwał.

- Może do niej zadzwonię - odpowiedział.

- Bardzo cię lubi -odrzekła Sara i w tej chwili uświadomiła sobie, że nigdy się nie dowie, co z tego wyniknie. - Och! -Przytknęła palce do ust.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony.

Pewnie wyglądała na przestraszoną. Siedząc w samochodzie z siedemnastoletnim synem, uświadomiła sobie, że nie zobaczy go, kiedy stanie się pełnoletni. Nie dowie się, czy wróci do szkoły, czy zostanie na farmie. Nie będzie jej przy nim, gdy zakocha się w Susan. Jeśli się pobiorą, nie poprowadzi go do ołtarza jako matka pana młodego. Jeśli urodzą im się dzieci, nie będzie dla nich babcią.

- Mike -powiedziała, patrząc na niego.

- Co, mamo?

Jak miała mu o tym powiedzieć? Nie chciała zadawać mu bólu. Czuła ogromne zmęczenie. Śmierć zbliżała się milowymi krokami. Przyjęła ją do swojego ciała, kiedy Mike walczył o życie. Jak miała powiedzieć synowi, że bardzo by chciała dowiedzieć się, jak sobie ułoży życie.

- Kochanie, chciałabym...

- Wiem, mamo.

- Nie, ty... - Urwała, bo głos odmówił jej posłuszeństwa. -Bądź szczęśliwy, Mike -zdołała wykrztusić.

Popatrzył na nią z niepokojem. Jej twarz powiedziała mu wszystko, zresztą zawsze tak było. Miała na sobie ślubny strój, na twarzy lekki makijaż, lecz nie zdołała ukryć tego, co wkrótce miało nastąpić. Był to dla niej drugi, po urodzeniu Mike'a, najważniejszy dzień w życiu. Dziś miała wyjść za mąż i dziś miała umrzeć.

Mike obszedł samochód i pomógł jej wysiąść. Weszli po kamiennych stopniach, oczyszczonych już ze śniegu. Sara położyła dłoń na ramieniu syna i spojrzała w stronę cmentarza, ku miejscu, gdzie wkrótce spocznie.

- Mamo... - szepnęła.

Mike patrzył na nią w milczeniu.

- Twoja babcia była taka piękna. Czy opowiedziałam ci o niej dość, byś wiedział, jaka była?

- Tak. Przecież tu jestem, nie?

- Nie rozumiem.

- Na jej wyspie. Jestem z nią przez cały czas.

W jej piersi wezbrał płacz i przytuliła się do syna. Objął ją mocno. Był młodym mężczyzną, ale szanował przeszłość i swoich przodków. To nasunęło jej pytanie, którego nie mogła nie zadać.

- Czy opowiesz...

- Co takiego?

Czuła wielkie napięcie. Wiedziała, że nie powinna o to pytać, lecz jakaś nuta w jego głosie i wyraz oczu przekonały ją, że może.

- Czy opowiesz o mnie swoim dzieciom?

- Och, mamo -uśmiechnął się z trudem.

- Co takiego? - spytała, pragnąc się dowiedzieć, co wywołało ten uśmiech.

- Spójrz tylko, gdzie ja jestem, mamo. Jestem na wyspie Elk. I tu chcę być, bo ty tu jesteś. Kocham to miejsce. To...

- To co? - Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Zacisnęła palce na jego ramieniu, jakby czekała na wyjawienie sekretu.

- To nasz dom -powiedział.
- Tak. To nasz dom -powtórzyła.

Słowo to miało w sobie tyle słodyczy i piękna, brzmiało tak przyjaźnie i ciepło, że nie mogła powstrzymać łez. Przez cały czas szukała drogi dla Mike'a, jego sekretnej ścieżki, a on sam ją znalazł. Była to droga do domu.

Mike obejmował matkę, patrząc na pobliski cmentarz. Sara spoglądała przez chwilę na grób matki, czując, jak wracają jej siły. Wytarła oczy. Zeke też tam leżał. Zauważyła, jak wzrok Mike'a pobiegł w tamtym kierunku.

- Jesteś gotowa? -spytał.
- Tak - odparła.

Mike spojrzał na morze, na śnieg padający miękkimi płatkami, po czym odwrócił się i wziął matkę pod rękę.

- Wchodzimy -powiedział schrypniętym głosem, lecz z niezwykłą delikatnością.

Otworzyli drzwi kościoła. Wieniec pachniał lasem, przywodząc na myśl Boże Narodzenie. Sara wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Will stał przed ołtarzem. Szerokie ramiona opinały rękawy kurtki. Pochylał się lekko do przodu w postawie wyrażającej tęsknotę i oczekiwanie. Sara też poczuła tęsknotę. Tyle ich dzieliło, kiedy powinni być blisko siebie.

Przed ołtarzem, w czarnej i purpurowej szacie, stał wielebny Dunston. Był już starym i siwym człowiekiem. Chrzcił Mike'a i chował Rose. Sara znała go całe swoje życie. Uśmiechnął się do niej. Próbowała również się uśmiechnąć, nie spuszczając wzroku z Willa.

Jedynymi gośćmi były ciocia Bess i Marta. Siedziały w pierwszym rzędzie, patrząc z zachwytem na Sarę. Mike stał z jej prawej strony. Z cienia wyłonił się ojciec i stanął po jej lewej stronie.

- Suknia Rose - powiedział miękko George.

Sara skinęła głową i zamknęła oczy, kiedy pochylił się i dotknął czołem jej czoła.

- Jesteś gotowa, kochanie? - spytał.
- Tak, tato.
- Ruszamy, mamo -powiedział Mike.

Ceremonii towarzyszyła muzyka Bacha. Była stara i piękna. Sara musiała ją słyszeć setki razy. Wybrała ją ciocia Bess, a Sara wyraziła zgodę. Ze starego magnetofonu stojącego na ołtarzu płynęły wysokie, rzewne tony. Kościół oświetlały świece, migocąc ognikami. Ich zapach mieszał się z kadzidłem i Sara wciągnęła je w płuca. To cud doprowadził ją do tego miejsca. Była tak blisko, od spełnienia dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Jej oczy ani na chwilę nie opuszczały Willa.

Bardzo wolno zaczęła iść w stronę ołtarza, trzymając pod ręce ojca i syna. Ich silne ramiona nie pozwolą jej upaść. Każdy krok był błogosławieństwem.

Miłość.

Wypełniała jej serce po brzegi. Dobrze znała jej wartość, bo urodziła się w kochającej rodzinie, która umiała ją docenić. Kiedy więc przyszedł czas, żeby urodziła syna, była do tego przygotowana. Rodzice pokazali jej właściwą drogę. Jako matka popełniła wiele błędów, lecz nigdy nie miała problemu z okazywaniem miłości Mike'owi.

- Och! - szepnęła, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. George i Mike natychmiast ją podtrzymali.
- Może usiądziesz? -spytał ojciec.

Chciała dojść do ołtarza. Pozostał jej niewielki kawałek, lecz czuła, że nie zrobi już ani kroku. Otaczało ją światło świec. Przez niebieskie okno witrażowe sączył się do środka nikły blask padającego śniegu. Ale miała przecież obok siebie dwóch silnych mężczyzn.

- Pomóżcie mi dojść -szepnęła.
- Pomożemy, kochanie -powiedział z mocą ojciec.

Jeszcze tylko kilka kroków. Nie spuszczała wzroku z twarzy Willa. W jego niebieskich oczach płonęły miłość i smutek. Bądź radosny, chciała krzyknąć. To dzień naszego ślubu. Lecz łzy spływały jej po policzkach. Życie trwa tak krótko. Każda chwila jest cenna. Tak krótko znała Willa, a tak głębokie łączyło ich uczucie. Jakie bogate byłoby ich życie: pełne śmiechu, radości, podróży, morza, spacerów, snu, dzieci, wnuków, obiadów, wakacji, lotów, morskich podróży. Każda minuta życia była darem. Bóg dał im dość czasu, by odnaleźli miłość. Kiedy Mike i ojciec doprowadzili ją do ołtarza, nie chcieli

wypuścić jej z rąk, a Sara nie mogła się już doczekać Willa. Jednak popatrzyła na ojca, uśmiechnęła się i pocałowała go.

- Moje piękne dziecko -szepnął.

Potem odwróciła się do Mike'a, by odebrać od niego pocałunek i przekazać mu swoją miłość.

- Moje piękne dziecko -szepnęła.

Teraz Will wziął ją za rękę. Spojrzeli sobie głęboko w oczy i Sara poczuła, jak miłość wypełnia jej duszę. Biała jedwabna suknia matki jednocześnie grzała i chłodziła. Sara drżała na całym ciele. Will otoczył ją ramionami, czekając, aż będzie gotowa do ceremonii.

- Saro - powiedział pastor. - Williamie. Will skinął głową.

- Darzcie się wzajemnie miłością - zaczął - lecz nie twórzcie z niej kajdanów. Niech będzie raczej morzem łączącym brzegi waszych dusz.

Czas biegł tak szybko. Tyle miłości, tyle ożywczej i promiennej radości. Sara czuła, że to głębokie czyste uczucie do stojącego obok mężczyzny wlewa w nią nowe życie, choć pozostało tak niewiele czasu, choć śmierć czekała tuż za progiem. Oderwała wzrok od Willa i spojrzała na ołtarz. Przez jedną krótką chwilę zdawało jej się, że widzi stojącą z boku matkę.

Wszyscy jej najbliżsi byli tutaj. Czuła się taka zmęczona i słaba. Zachwiała się i mocniej oparła na ramieniu Willa. Patrzył na nią pociemniałymi ze smutku oczyma.

Wielebny Dunston przeniósł wzrok z jednego na drugie, jakby przewodniczył zwykłej ślubnej ceremonii, jakby obejmujący kobietę mężczyzna nie podtrzymywał w niej życia.

- Czy ty, Williamie, bierzesz sobie Sarę za małżonkę i ślubujesz, że będziesz ją kochał, szanował i wspierał w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

- Ślubuję - odpowiedział Will.

- Czy ty, Saro, bierzesz sobie Williama za męża i ślubujesz, że będziesz go kochać, szanować i wspierać w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

- Ślubuję -szepnęła Sara, patrząc Willowi w oczy.

- Nie odchodź - wyszeptał, nie mogąc się powstrzymać. Miał być tym dzielnym, silnym mężczyzną, bohaterem dnia, panem młodym,

który dla dobra Sary udaje szczęśliwego. Sara umierała, opuszczała go, a on miał być spokojny i opanowany.

Sara płakała teraz, jak niegdyś po stracie matki. Ale wtedy było inaczej. Matka była chora i zaczynała się starzeć, a ona przecież miała całe życie przed sobą. Dopóki śmierć ich nie rozłączy. Tymczasem czuła, jak nadchodzi, spokojnie i cicho, lecz nieubłaganie.

- Na znak waszej miłości i wierności nałóżcie sobie obrączki. Nie mieli czasu, by o nich pomyśleć. Jednak ojciec wziął ze sobą ślubną obrączkę matki, którą wyjął z małego pudełka z kości słoniowej stojącego na nocnym stoliku i podał ją teraz Mike'owi, a Mike wręczył Willowi.

Will wsunął złotą obrączkę na palec Sary i patrząc jej w oczy powtarzał za wielebnym Dunstonem.

- Pierścieniem tym cię zaślubiam, miłością mą cię wspieram. Ciocia Bess postąpiła krok w przód. Ramiona jej drżały od

tłumionego płaczu.

- Kochanie - szepnęła, wciskając coś w dłoń Sary. - Należała do wuja Artura. Chcę, żebyś ją wzięła. Niech Bóg cię błogosławi...

- I ciebie, ciociu Bess - powiedziała Sara.

Wsunęła obrączkę na palec Willowi i patrząc w jego szaro-niebieskie oczy powtarzała za pastorem:

- Pierścieniem tym cię zaślubiam, miłością mą cię wspieram. Spletli dłonie, a Sara czuła, jak jej serce przepełnia niezmierna radość. Ich oczy i dusze uśmiechały się do siebie.

- Saro i Williamie - powiedział wielebny Dunston i zaczął czytać:

*Nie zmoczy was deszcz, bo każde będzie dla drugiego schronieniem.*

*Nie odczujecie chłodu, bo jedno będzie ogrzewać drugie.*

*Nie doświadczycie samotności, bo jest was dwoje, lecz jedno przed wami życie.*

*Idźcie teraz do waszego domu, by rozpocząć wspólne życie.*

*I niech wasze dni będą szczęśliwe i długie tak na ziemi, jak i w niebie.*

- Na mocy prawa ustanowionego przez Kościół i stan Maine ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Sara odchyliła głowę i poczuła wargi Willa na swoich. Pocałował

ją z niezwykłą delikatnością, otaczając ramionami. Tak oto stali się mężem i żoną.

- Will -powiedziała z uśmiechem.
- Mąż i żona -dodał, uśmiechając się do niej. Przypomniała sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy na lotnisku w dniu swoich urodzin. Ich lot trwał długo, dłużej niż się spodziewali, lecz dobiegał końca. Czas był darem i każdą minutę wypełnili miłością. Byli w podróży, na sekretnej ścieżce, która Sarę przywiodła do domu.

Jej syn był przy niej. Susan, powiedziała Sara w myślach. Gdziekolwiek teraz jesteś, pozdrawiam cię, córeczko. Serce zatrzepotało w jej piersi. Poczuła na twarzy powiew anielskich skrzydeł. Obok niej stali matka i Fred. Z trudem chwytała powietrze w płuca. Łzy przesłaniały jej widok. Życie ach, życie.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy -wyszeptała.
- Na zawsze -powiedział Will.
- Na zawsze - powtórzyła.

Popatrzyła na męża, by zatrzymać w pamięci jego twarz. Na zawsze.

# Epilog

Był powszedni dzień i wszystkie trawy na wyspie zmieniły kolor na złoty. Poruszały się na wietrze, łaskocząc Susan w nogi. Przed godziną wyszła z domu na farmie i mijała miejsca, które widziała w listopadzie, kiedy wyspę pokrywała gruba warstwa śniegu.

Kościół miała tuż przed sobą. Zbliżając się do niego, czuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Denerwowała się tym, co zamierzała zrobić, choć od dawna to planowała. Ciężki plecak uderzał ją przy każdym kroku. Nie przejmowała się tym. Od kilku lat nosiła wytarte skarpetki i rozumiała, że można się czasami poświęcać dla miłości.

Podeszła bliżej i zatrzymała się. Kościół był wyjątkowo piękny, zupełnie jak na angielskich obrazach, zbudowany z ciemnego kamienia, z wieżą wznoszącą się ku błękitnemu niebu, po którym mknęły letnie obłoki. W drzwi ktoś wsunął bukiet polnych kwiatów. Ciekawe, kto je tam włożył.

Skręciła ku kamiennemu murkowi otaczającemu cmentarz.

Podniosła skobel i weszła przez furtkę. Serce wciąż trzepotało w jej piersi. Czuła się zdenerwowana i onieśmielona, jakby miała się spotkać z kimś ważnym. Dłonie jej zwilgotniały. Otarła je o nogawki spodni. Spojrzała ku małemu skupisku kamiennych nagrobków. Sądziła, że będzie musiała najpierw ich poszukać, lecz jedna z płyt natychmiast przyciągnęła jej uwagę. Bardzo wolno, nie spuszczając z niej wzroku, zaczęła ku niej iść. Czuła, że nogi się pod nią uginają. Stanęła przy nagrobku, dotknęła gładkiej powierzchni granitu i osunęła się na kolana. Nie mogła powstrzymać płynących po policzkach łez, ale nawet się nie starała.

- Cześć, Saro -powiedziała.

Wyryte na kamieniu litery sprawiły, że wszystko było takie realne. *Sara Talbot Burke, ukochana córka wyspy.*

- Nie tylko wyspy - powiedziała Susan, marszcząc brwi, kiedy łzy spłynęły do jej warg. Czemu ten napis tak ją zdenerwował? Czy wyspa Elk myśli, że jest jedynym miejscem, które ją kochało i które odmieniło ludzkie życie? Poczuła ucisk w żołądku. Nagle wydało jej się, że słyszy ciepły śmiech Sary i głos mówiący, że ona wie, co Susan ma na myśli, i może to spokojnie powiedzieć.

- Także Fort Cromwell -wyrwało jej się bez zastanowienia. -Tam też cię kochają.

Zaraz jednak rozejrzała się na boki, czy ktoś jej nie słyszał. Ten, kto rozmawia ze zmarłymi, uchodzi wśród ludzi za ekscentryka lub wariata, ale Susan od lat to robiła. Wszystkie ważniejsze rozmowy przeprowadziła z Fredem.

- Brakowało mi ciebie - powiedziała, wpatrując się w nazwisko Sary.

Wrześniowe niebo miało ciemnobłękitną barwę. Wysoko w górze krążył orzeł, jakby czegoś pilnował. Susan wierzyła w znaki dawane przez naturę, jak na przykład przez wieloryba Freda, którego widziała w Święto Dziękczynienia. Poczuła się lepiej, wiedząc, że ptak opiekuje się Sarą.

- Orzeł, Saro - powiedziała półgłosem, dotykając liter na nagrobku. - On tu jest i ja także.

Usiadła na ziemi, zdjęła plecak, położyła go na trawie, po czym skrzyżowała nogi. Ktoś położył bukiet kwiatów na grobie Sary. Był

taki sam, jak ten, który tkwił w drzwiach kościoła. Wśród astrów, nawłoci pospolitej i marchwi zwyczajnej dostrzegła karteczkę pisaną ręką ojca.

- Tata też tu jest - powiedziała. - Wiem, że był tu wcześnie rano. Słyszałam, jak wychodzi z domu. Bardzo za tobą tęskni, Saro.

Na myśl o ojcu i o tym, przez co przeszedł po śmierci Sary, serce jej się ścisnęło i po policzkach popłynęły łzy.

- Bardzo mu ciebie brakuje -powiedziała, kiedy już mogła mówić. -Na jakiś czas zamknął się w sobie. Nawet ja nie mogłam do niego dotrzeć. Ale, wiesz... -Z trudem przełknęła ślinę i dotknęła kamiennego nagrobka. -On musiał przez to przejść. Wyjaśnił mi wszystko, kiedy tu lecieliśmy. Ja też przez to samo przechodziłam z Fredem. Miłość jest wielkim błogosławieństwem i kiedy kochasz kogoś tak bardzo jak on ciebie, trudno się z tym pogodzić. Po prostu nie możesz.

Trzęsła się od płaczu i dotykała liter na nagrobku, jakby nie była w stanie oderwać od nich palców, jakby czytała coś bardzo ważnego. W końcu wydała z siebie drżące westchnienie i sięgnęła po plecak. Zamierzała go otworzyć, lecz zamyśliła się na chwilę.

Przyjechali na wyspę po Mike'a. Czy Sara o tym wie? Może siedzi gdzieś tu, promienna i uśmiechnięta, bo Mike postanowił skończyć szkołę w Fort Cromwell i zamieszkać z Willem aż do następnych wakacji.

- Twój ojciec początkowo wpadł we wściekłość -powiedziała z uśmiechem. - Prowadzili z moim tatą długie telefoniczne batalie, krzycząc na siebie, odkładając słuchawki, telefonując ponownie. To było straszne. Biedna ciocia Bess. Zatelefonowała potem do taty, kiedy George'a nie było w pobliżu, przeprosiła za niego i tłumaczyła, że to nie na niego jest wściekły, tylko na sytuację... No wiesz, że zostanie sam bez Mike'a.

Zaśmiała się i spuściła głowę.

- Najśmieszniejsze jest to, że w końcu się zgodził. Poczciwy George. Pewnego dnia Mike wszedł do swojego pokoju i znalazł związane w paczkę stare numery „National Geographic" z dołączoną do nich kartką: „Przywieź je z powrotem, kiedy otrzymasz dyplom". Co Mike miał na to powiedzieć? Zwłaszcza że... -Przestała się śmiać i

spojrzała na nagrobek. -Zwłaszcza że ty tak bardzo tego chciałaś.

Ręce jej się trzęsły, kiedy zaczęła rozwiązywać plecak.

Zamykała go szczególnie starannie, bo w środku miała coś bardzo cennego. Zawsze odczuwała potrzebę łączenia przedmiotów z osobami, które kochała i straciła. Nadal nosiła skarpetki Freda. Przez kilka lat wymyślała imiona, które przypominały jej brata, i do tej pory czuła się dziwnie, kiedy ktoś używał imienia Susan. Matka jednak odetchnęła z ulgą, bo bardzo jej zależało, by córka wróciła do prawdziwego imienia. Powinni za to podziękować Sarze.

Ostrożnie wyjęła z plecaka drewnianą tabliczkę. Popatrzyła na nią i westchnęła. W takich właśnie chwilach zastanawiała się, czy zrobiła ją z jakiegoś konkretnego powodu. Czy to możliwe, żeby Sara kierowała jej myślami?

- Wszyscy cię kochamy - powiedziała. - Twój ojciec, ciocia Bess, Mike, mój tata... Boże, Saro, jak on cię kocha. Byłaś dla niego prawdziwym darem. Nawet nie wiesz, ile go nauczyłaś. Miłości i przede wszystkim nadziei. Tata ma w sobie teraz tyle nadziei. Wstaje każdego dnia i żyje dla ciebie.

Zabrakło jej tchu w piersiach.

- Twierdzi, że musi żyć -podjęła po chwili -bo życie jest wspaniałe. To cenny dar i nigdy nie wiadomo, kiedy zostanie nam odebrany. Ty też nie wiedziałaś.

Wzięła do ręki kartkę pisaną ręką ojca. Był to cienki kawałek papieru poplamiony przez kwiaty. Widniały na nim dwa krótkie zdania: *Kocham cię, Saro. Na zawsze.* Zdając sobie sprawę z tego, że jest to prywatny list, odłożyła go delikatnie na miejsce.

- Tyle dla wszystkich znaczysz, Saro. Bez przerwy o tobie mówią. Czasami przychodzi mi na myśl, że należysz także do tych, którzy znali cię dłużej i lepiej. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Pamiętasz, Saro, kiedy się poznałyśmy? Co prawda widziałam cię na lotnisku, kiedy szykowałaś się do swojego lotu urodzinowego, ale poznałyśmy się dopiero w twoim sklepie. Weszłam wtedy do środka, bo na dworze było strasznie zimno, i udawałam, że chcę coś kupić. A ty poczęstowałaś mnie jabłecznikiem, pamiętasz?

Cień zasnuł nagrobek. Susan spojrzała w górę z nadzieją, że zobaczy orła, lecz była to tylko chmura sunąca po rozbłyszczonym

niebie.

- Chciałam cię mieć tylko dla siebie -ciągnęła. –Kiedy do sklepu weszły te dwie studentki, poczułam się zazdrosna. Ale wiesz... - Zacisnęła tabliczkę w dłoni i pochyliła głowę, by się uspokoić. - Ty jesteś moja. Jesteś moją macochą. Tata się z tobą ożenił, czym bardzo mnie uszczęśliwił. Znałaś mnie, Saro. Naprawdę mnie znałaś, i to jest wyjątkowe. Zrozumiałaś mnie i zaakceptowałaś taką, jaką jestem. Kiedy nie układa mi się z mamą i Julianem, marzę o tym, bym mogła wsiąść na rower i przyjechać do ciebie do sklepu. Wiem, że byś mnie zrozumiała.

Zrobiła miejsce obok kwiatów ojca i postawiła tabliczkę przy nagrobku. Drewniana płytka miała owalny kształt i była pomalowana na niebiesko. Wyglądała niczym magiczna chmurka ze złotą dziewiątką w środku i opadającymi niczym śnieg piórami. Była to kopia znaku firmowego sklepu Sary.

- Ojciec pomagał mi ją zrobić - powiedziała. - Pracowaliśmy nad tym całą zimę w jego warsztacie na lotnisku.

Stanął jej przed oczami chłodny hangar. Przypomniała sobie, jak pracowali nad tym kawałkiem drewna, nie odzywając się słowem, zatopieni w smutku po stracie Sary, i znów nie mogła powstrzymać płaczu. Kiedy wreszcie tabliczkę można było pomalować, nadeszła wiosna i sady otaczające lotnisko pokryły się kwieciem. Spędzili razem te długie zimowe godziny, czasami śmiejąc się i wspominając miłość do Sary.

- Kiedy robiłam ten znak -powiedziała Susan przez ściśnięte gardło -myślałam, że to było nasze wspólne miejsce. Sklep „Pod Dziewiątą Chmurką". Ale wiesz co?

Uniosła głowę, czując, jak morska bryza rozwiewa jej włosy. Fale uderzały o skaliste wybrzeże, a z dachu kościoła dochodził krzyk mew. Siedzące tam ptaki wydawały się szczęśliwe i wesołe.

- Jesteś ze mną przez cały czas. I to jest zdumiewające. -Dotknęła palcami tabliczki i uśmiechnęła się szeroko. -Wszystko zaczęło się w sklepie, ale ty stale mi towarzyszysz. W szkole, w domu, tu na wyspie. Byłaś też ze mną i tatą w warsztacie.

Ponownie przeczytała napis wyryty na kamiennej płycie.

- Sara Talbot Burke, ukochana córka wyspy - powtórzyła głośno.

Zerwał się wiatr. Poczuła na szyi jego muśnięcia. Uniosła głowę i znowu zobaczyła orła. Zatoczył koło i poszybował ku wrzosowiskom i szczytom sosen, aż w końcu zniknął jej z oczu. Nie miało to jednak znaczenia. Wiedziała, że wróci. Wkrótce ona, ojciec i Mike odlecą do Fort Cromwell, lecz latem tu wrócą. Orzeł będzie na nich czekał i Sara także.

Wstała, oczyściła dłonie z trawy i upewniła się, czy tabliczka mocno tkwi w ziemi. Będzie dotrzymywać Sarze towarzystwa, gdy ona, Mike i jej ojciec odjadą.

- Ukochana córka wyspy - powtórzyła raz jeszcze i po raz ostatni dotknęła liter.

Tym razem wyryte na nagrobku słowa nie sprawiły jej bólu.